

COLIN FORBES

Śmiertelne ostrze

Przełożył: Krzysztof Masłowski

Tytuł oryginału: THE VORPAL BLADE

Prószyński i S-ka
Warszawa 2008
ISBN 978-83-7469-824-5



Nota od autora

Wszystkie postaci przedstawione w tej książce są wymyślone przez autora i nie odpowiadają żadnym rzeczywistym osobom. Tak samo tworem czystej wyobraźni są rezydencje, miejscowości i mieszkania oraz amerykańskie i europejskie firmy.

Prolog

- Jeżeli brakuje głowy, to skąd wiesz, że to ciało Adama Holgate'a? - spytał Tweed.

Była mglista londyńska noc, jak zwykle na początku grudnia. Tweed siedział obok nadinspektora Roya Buchanana, który prowadził po opustoszałych ulicach nieoznakowane policyjne volvo. Wycieraczki przecierały przednią szybę, by zapewnić jakąś widoczność. Siedząca na tylnym siedzeniu Paula Grey, zaufana asystentka Tweeda, milczała, choć pytania cisnęły się jej na usta.

- Po prostu - odpowiedział Buchanan - otworzyłem zamek błyskawiczny worka z ciałem na tyle daleko, aby sięgnąć do kieszeni marynarki. Miał przepustkę ACTIL-u ze zdjęciem. To wielka instytucja, dla której pracował od czasu, jak od ciebie odszedł.

- Holgate nie uzyskał od nas zbyt wielu ważnych informacji - zauważyła Paula. - Nigdy nie był w naszej siedzibie na Park Crescent. Howard miał przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, by umieścić go w łączności z dala od Crescent.

- Z Bray, gdzie go znaleziono, niedaleko do Tamizy - zauważył Tweed. - Co, u diabła, Holgate robił w tak oddalonym miejscu? Przypuszczam, że wyciągnięto go z wody. Tak?

- Niezupełnie. Ciało zostało wrzucone do płytkiego strumienia. Znalazł je jakiś facet spacerujący z psem i zadzwonił z komórki do Yardu.

- A ty załatwiłeś przesłanie ciała do profesora Saafeld'a w Holland Park. Zapewne dlatego, że to najwybitniejszy z naszych patologów.

- Tak - odparł Buchanan ponuro. - Było to szczególnie brutalne morderstwo i chciałem, aby sekcję zrobił najlepszy specjalista. Zadzwoiłem do ciebie i zabrałem cię po drodze. Holgate pracował kiedyś u ciebie.

- To nie ma sensu - zauważył siedzący obok Pauli Rob Newman, międzynarodowy korespondent. - Odcięcie głowy miało pewnie służyć utrudnieniu identyfikacji, mimo to morderca zostawił w kieszeni przepustkę.

- Tak, to bez sensu - przyznał Buchanan. - Właśnie to mnie niepokoi.

Mówiąc to, spojrział na Tweeda, dobrze zbudowanego mężczyznę w ciemnym płaszczu i w nieokreślonym wieku, z gęstymi, ciemnymi włosami, gładko wygoloną twarzą i sporym nosem wystającym zza okularów w rogowej oprawie. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać i łatwo można go było minąć na ulicy, nie zauważając, co stanowiło cechę przydatną w pracy na stanowisku zastępcy dyrektora SIS¹.

Buchanan był wyższy, szczupły, nawet chuderławy, po czterdziestce. Miał przystrzyżone wąsy i sztywny wygląd wprawiający podwładnych w zakłopotanie. Zdaniem znajdującego się na rzeczy Tweeda był najbardziej kompetentnym policjantem w kraju. Obaj mieli do siebie bezgraniczne zaufanie.

- Jesteśmy niemal na miejscu - zauważył Buchanan. - Holland Park to przyjemna okolica z kilkoma porządnymi domami.

Skreślił w boczną drogę i podjechał pod wysoką bramę z kutego żelaza. Rezydencja była ukryta za ciemnymi, wiecznie zielonymi drzewami i krzewami obrastającymi obie strony drogi podjazdowej. Tweed wyskoczył z samochodu, podszedł

¹ Secret Intelligence Service - tajna brytyjska służba wywiadowcza powołana w roku 1909, znana również jako MI6 (Military Intelligence Section 6, Sekcja 6 Wywiadu Wojskowego). - Wszystkie przypisy w książce są autorstwa tłumacza.

do domofonu z metalową kratką wpuszczoną w jeden z kamiennych, utrzymujących bramę słupów i nacisnął guzik.

- Tu Tweed z Royem Buchananiem.

- Najwyższy czas - odpowiedział szorstki głos, po czym brama się otworzyła.

Po jej obu stronach z niskiego muru wyrastało nowe, wysokie na dwa i pół metra, ogrodzenie. Dzisiejszy Londyn był dżunglą, a jego mieszkańcy instalowali wszelkiego rodzaju reflektory oświetlające teren, gdy ktoś poruszał się za drzwiami, mocne kraty w nisko położonych oknach i najbardziej wyszukane alarmy przeciwwłamaniowe. Można było odnieść wrażenie, że to wielkie miasto przeżywa stałe obleżenie, co zresztą było prawdą.

Ruszyli pieszo podjazdem, z Buchananiem wyciągającym swe długie nogi na czele. Siedzibą i miejscem pracy Saafeld'a był dwupiętrowy dom z kamienia. Tweed zauważył, że od czasu jego ostatniej wizyty okna przyziemia zostały zamurowane. Do czego to doszło, pomyślał, nim otwarło się jedno skrzydło podwójnych drzwi i ostre światło niemal oślepiło Paulę, zmuszając ją do osłonięcia oczu.

- Wejdźcie - warknął Saafeld. - Nie stójcie tu.

Jest w złym nastroju, pomyślała Paula. Nigdy go takim nie widziała. Saafeld był niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce. Włosy już mu bieleły, ale twarz miał rumianą, a ruchy szybkie i zwinne. Weszli do wielkiego holu z wieloma drzwiami i podłogą wyłożoną parkietem.

Witając się z Paulą, Saafeld złagodniał. Przyjrzał się jej od stóp do głów. Miała sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Starannie uczesane czarne włosy opadały na ramiona, a linia podbródka znamionowała upór. Nic nie zdołało umknąć jej niebieskim oczom, a gdy się uśmiechała, wielu mężczyzn było gotowych zrobić dla niej wszystko. Szczupła i zgrabna,

miała na sobie ciemny kostium i jedwabną chustę wokół długiej szyi. Puściwszy ją, Saafeld odwrócił się i spod krzaczastych brwi spojrzął na mężczyzn.

- Na Boga, nie uwierzcie mi. Zostałem ograbiony. Chodźmy do kostnicy...

Idąc przez hol, wyjął kartę kodową. Kilka stopni niżej umieścił ją w ciężkich drzwiach prowadzących do małego pomieszczenia od podłogi po sufit chronionego szkłem pancernym. Gdy znaleźli się w środku, Saafeld zamknął zewnętrzne drzwi i wsunął kartę w kolejny otwór, po czym poprowadził ich dalej do wielkiej sali w podziemiu kostnicy.

Nozdrza Pauli natychmiast wychwyciły znajomy zapach formaliny. Pod ścianą zobaczyli rząd metalowych szuflad do przechowywania ciał. Na środku stał wielki, pusty stół z metalowym blatem. Nad nim wisiała kamera umieszczona na ramieniu teleskopowym. Saafeld wskazał na pusty stół.

- Tu leżało ciało z Bray, gdy weszli i je zabrali - zachrypiał.

- Kto je zabrał? - spytał Tweed spokojnie.

- Delegacja pod przewodnictwem pańskiego przyjaciela, panie Tweed, cholernego Nathana Morgana z Wydziału Specjalnego.

- Na mocy jakiego uprawnienia? - próbował ustalić fakty nadal spokojny Tweed.

- Miał oficjalne pismo od lokalnego naczelnika policji z nakazem natychmiastowego zabrania ciała z powrotem do Maidenhead. Na wierzchu - mówił Saafeld z wściekłością - był przyczepiony potwierdzający to polecenie odręczny list od ministra spraw wewnętrznych. Pozwoliłem im wziąć ciało i odejść. To była cała delegacja: Nathan Morgan z grupą sanitariuszy, ambulansem i dwoma osiłkami z Wydziału Specjalnego jako eskortą. To oburzające.

- I niezbyt dobrze wróży. Dlaczego rząd się tym zajmuje? Cała ta operacja śmierdzi próbą zatajenia. Czy rozpoczął pan chociaż sekcję?

- Nie. Obejrzałem tylko ciało, szukając włókien i innych pozostałości. Zapomniałem powiedzieć o tym Morganowi. Agresywnie dopytywał się, czy zrobiłem jakieś zdjęcia. - Saafeld uśmiechnął się ponuro. - Powiedziałem, że nie, choć wykonałem dwa zestawy kolorowych fotografii. Wreszcie kazałem mu się wynosić z mojego domu i ostrzegłem, że zamierzam złożyć skargę i narobić mu kłopotu. Nie spodobało mu się to. Próbował zabrać mi dokumenty, ale odmówiłem ich wydania.

- Czy fotografie są już gotowe?

- Tak. Na szczęście moi asystenci poszli już do domu i sam je robiłem. Bez świadków. Są tutaj, w komplecie. Możecie je zabrać, ale nie pokazujcie innym.

Tweed zaczął przechadzać się po przestronnym pomieszczeniu i rozmyślać. Saafeld otworzył zamek szuflady i wyjął wielką kopertę z kartonowym spodem. Paula wyciągnęła rękę.

- Mogę?

Saafeld zawahał się.

- Są przerażające.

Uśmiechnęła się.

- Jeżeli zemdleję, schwyci mnie pan, ale chyba nie sprawię panu tej przyjemności - droczyła się.

Zanim wyjęła kolorowe odbitki, włożyła podane przez Saafeld'a lateksowe rękawice, aby nie zostawić odcisków palców. Bardzo ostrożnie ułożyła fotografie na stole. Newman przysunął się do niej i aż go zatkało.

Na kryjącej stół białej plastikowej płachcie leżało bezgłowe ciało Holgate'a z ramionami ułożonymi wzdłuż tułowia. Było nadal ubrane w zmięty granatowy garnitur, gdyż

Saafeld chciał przy robieniu pierwszych zdjęć uniknąć naruszenia jego górnej części.

Ponad kołnierzem wystawał gruby kikut prawie całej szyi. Zdumiewające, że pokryta brązową zaschniętą krwią tkanka była w miejscu dekapitacji tylko lekko postrzępiona. Paula przypuszczała, że głowa została odcięta tuż pod podbródkiem.

Obejrzała pozostałe odbitki. Saafeld zrobił zdjęcia pod różnym kątem. Gdy spojrzała na pierwsze, poczuła lekkie mdłości. Znała Holgate'a, chociaż powierzchownie. Pochylając się, przełknęła ślinę, aby nikt nie zauważył jej reakcji. Zdawała sobie sprawę, że Buchanan stoi w pobliżu.

- Chcesz szklankę wody? - spytał szeptem.

Pokręciła głową i wróciła do zdjęcia, które oglądała na początku. Było na nim najwięcej szczegółów. Marszcząc brwi, wyprostowała się, nadal spoglądając na fotografię.

- Czy doszedł pan do jakichś wniosków? - spytał Tweed.

- Tak - odpowiedział Saafeld. - Jestem pewien, że to nie nóż był narzędziem zbrodni. Przecinając szyję, zostawiłby bardzo postrzępioną tkankę, zdecydowanie mocniej, niż tu widzimy. Przypuszczam, że użyto topora i to o bardzo ostrym ostrzu. Cięcie tuż pod podbródkiem jest bardzo gładkie. Morderca musiał być silny - prawdopodobnie odciął głowę jednym uderzeniem. Odwróciłem ciało i przed ponownym ułożeniem go na plecach zobaczyłem strumień skrzepniętej krwi, co sugeruje, że zabójca najpierw uderzył ofiarę tępą stroną topora w tył głowy. Sądzę również, że morderca jest praworęczny, ale to tylko przypuszczenie.

- Panie profesorze - Paula zwróciła twarz w jego stronę - chciałabym obejrzeć to zdjęcie przez szkło powiększające.

Saafeld nie spytał dlaczego. Poprowadził ją do drugiego stołu, na którym stało spore urządzenie z rewolwerowym uchwytem pozwalającym sterować położeniem soczewek.

Paula usiadła na biurowym krześle, wyregulowała jego wysokość i spojrzała przez okular, a Saafeld umieścił pod obiektywem metalową płytę na stelażu i na niej fotografię.

- To pomoże utrzymać zdjęcie w bezruchu - wytłumaczył - a to niewielkie kółko po prawej pozwala dobrać powiększenie. Jest bardzo czułe.

Powiedziawszy to, wrócił do pozostałych. Doceniła to, gdyż trudno byłoby się jej skupić, gdyby ktoś zaglądał jej przez ramię. Kółko sterujące było tak czułe, że musiała zdjąć rękawiczkę, aby nim operować.

Bardzo wolno przekreśliła je w przód, a potem nieco z powrotem. Część odciętej szyi, w którą wycelowane były soczewki, nagle ukazała się ze zdumiewającą dokładnością. Przyglądała się uważnie, aby mieć pewność. Potem obróciła się na krześle twarzą do pozostałych.

- Panie profesorze, jestem pewna, że topór ma trójkątną szczerbę, szerszą na brzegu i zbiegającą się w głębi obucha. Zapewne już pan to zauważył.

- Nie, nie zauważyłem.

Saafeld szybko podszedł do niej. Wstała z krzesła i odsunęła się, uważając, by nie poruszyć kółkiem regulacyjnym. Profesor zajął jej miejsce, włożył okulary w złotej oprawie i spojrzał w okular. Po chwili wstał i spojrzał najpierw na Paulę, a potem na Tweeda.

- Już dawno mówiłem panu, że Paula jest bardzo bystra. Jeżeli kiedykolwiek znudzi się jej praca dla poganiacza niewolników, przyjmę ją do mojego zespołu. Jest szczerba...

Teraz Newman spojrzał przez szkło, potem Tweed, a na końcu Buchanan, który z powodu swojego wzrostu musiał zmienić ustawienie krzesła. Przynajmniej przez minutę wpatrywał się w obraz, po czym powoli wstał i przesunął palcem po przystrzyżonym wąsie. Paula już wcześniej

zaobserwowała, że ten gest wykonuje zawsze, gdy w sprawie pojawiają się nowe okoliczności.

- To bardzo ważne - zaczął. - Jeżeli kiedyś znajdziemy narzędzie zbrodni, ta szczerba pozwoli na identyfikację. Jestem zdumiony, że morderca jej nie zauważył.

- Być może wiedział o niej - powiedziała Paula - ale ją zlekceważył.

- Powinniśmy ruszać - rzekł Buchanan, spojrzawszy na zegarek.

Saafeld w lateksowych rękawicach ponownie otworzył szufladę. Wyciągnął dwie koperty. W jednej umieścił zdjęcie, które właśnie oglądali, do drugiej włożył duplikat. Jedną kopertę wręczył Tweedowi.

- Spodziewam się, że przyda się panu - powiedział zasadniczym tonem.

Drugą podał Buchananowi.

- To może pomóc, jeżeli rozpocznie pan śledztwo.

- Dziękuję panu. To zdjęcie może się okazać bezcenne...

- Macie ochotę pojechać ze mną? - spytał Buchanan, ruszając spod Holland Park. - Zajmie to kilka godzin.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Tweed.

- Do Bray, gdzie znaleziono ciało. Może to nasza ostatnia szansa, nim szef policji położy na sprawie łapę. Nikt się nas tam nie spodziewa tego wieczoru.

- Faktycznie, dobrze by było teraz się tam wybrać - stwierdził Tweed.

Dopóki przedmieścia nie zostały za nimi, nikt nie odezwał się słowem. Gdy jechali przez Windsor, niebo się przejaśniło i w słabym świetle księżycy Paula zauważyła potężną sylwetkę zamku. Wkrótce znaleźli się na otwartym terenie, na drodze biegnącej wśród płaskich pól i obramowanej czarnymi bezlistnymi szkieletami drzew.

- Czy dojrzymy coś w tych ciemnościach? - wyraziła wątpliwość Paula.

- Są tu cztery silne latarki, po jednej dla każdego - powiedział Tweed, otwierając schowek w desce rozdzielczej samochodu.

Paula sprawdziła swoją, świecąc na podłogę. Wyrzuciła przez okno i zobaczyła kolejne posępne pola i kolejne ogołoczone z liści drzewa.

- Jednego nie mogę zrozumieć - powiedziała. - Saafeld twierdził, że morderca najpierw uderzył ofiarę tępym końcem topora w głowę. Chyba ta jego teoria ma ręce i nogi. Ale w jaki sposób odciął mu potem głowę tak równo jednym cięciem? Ciało musiałoby leżeć na plecach z szyją na jakimś pieńku.

- Myślałem już o tym - przyznał Tweed.

Buchanan skręcił z głównej szosy w prawo i ruszył wąską boczną drogą.

- Zbliżamy się do Bray - poinformował.

- Jak daleko stąd do rzeki? - spytał Tweed.

- Około półtora kilometra. Bray to ostatnia prawdziwa wieś w drodze do Londynu. Reszta została zmieciona z powierzchni ziemi przez tak zwanych deweloperów. No i proszę, jesteśmy na miejscu.

W świetle reflektorów Paula zobaczyła piękne stare domy stojące w pobliżu krętej drogi. Przez zasłony w oknach tliło się światło, ale nigdzie nie było żywego ducha.

- Mniej więcej w środku wsi skręcimy w stronę rzeki - ciągnął Buchanan.

- Nie widziałam żadnych sklepów - zauważyła Paula.

- Bo ich nie ma. Ostatni został zamknięty przed wielu laty. Miejscowi jeżdżą do supermarketów w Maidenhead. To znak czasu.

Buchanan ponownie skręcił w prawo w jeszcze węższą drogę, osłoniętą z obu stron żywopłotami. Gdy Bray zostało za nimi, nawierzchnia stała się nierówna i częściej można było zobaczyć trawę porastającą pola rozciągające się po obu stronach drogi. Zatrzymali się na skraju szosy i Paulę zaskoczyła gwałtowna cisza. Cisza była dziwna i przerażająca, przerywana jedynie dźwiękiem kropel wody spadających z drzew i niewyraźnym poszumem rzeki.

- Poprowadzę - powiedział Buchanan, zamykając samochód i zapalając latarkę.

Gdy wszedł na pole, pojawił się umundurowany policjant. Za nim znaczny obszar ziemi wokół miejsca zbrodni był otoczony policyjną taśmą przyczepioną do gałęzi wetkniętych w podmokły grunt. Paula ucieszyła się, że przed wyjazdem z Park Crescent włożyła buty do kolan.

- Tu nie wolno wchodzić - warknął policjant niegrzecznie. - Policja.

- Nam wolno - odszczeknął Buchanan. - Jestem z Yardu i to ja załatwiałem przesłanie ciała do patologa. Oto dokumenty.

Zbliżył papiery do policjanta, oświetlając je latarką. Mundurowy sięgnął po nie, ale Buchanan nie wypuścił ich z ręki.

- Nikt mnie nie poinformował o pańskim przyjeździe - zaproponował posterunkowy.

- Zejdź z drogi i unieś tę taśmę, aby moi asystenci mogli przejść. Nie mam czasu. Rusz się.

Zdezorientowany funkcjonariusz posłuchał i uniósł taśmę, a Buchanan ruszył w stronę miejsca, z którego dochodził szum rzeki. Poziom wody był wysoki. Z rękami w kieszeniach przeciwdeszczowego ganneksa Tweed podążył za Paulą i Buchananem.

- Kto znalazł ciało? - spytał ponownie.

- Jakiś Weatherspoon, który wybrał się tu z psem na spacer. Jest na emeryturze i mieszka w Bray. Sprawdziłem go i jestem pewny, że nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

- Gdzie dokładnie było ciało? - spytała Paula, przykucając na brzegu.

- W bocznej płytkiej odnodze na prawo od ciebie. Problem polega na tym, że mogło być wrzucone gdzieś w górze rzeki. Bóg jeden wie jak daleko.

- Zgodzisz się na eksperyment? - zaproponowała Paula, wstając.

- Śmiało - odparł Buchanan z cynicznym uśmiechem.

Paula rozejrzała się wokół. Teren był zarzucony kawałkami pni, prawdopodobnie ściętych na opał. Odeszła nieco w górę rzeki i wybrała pień odpowiednich rozmiarów. Uniosła go, by ocenić wagę, i zdecydowała, że będzie odpowiedni. Przeniosła więc pień nad brzeg. Teraz miała do wykonania najtrudniejszą część zadania: zaczerpnęła głęboko powietrza, uniosła drewno jeszcze wyżej i jak najdalej wrzuciła do rzeki.

Pień wylądował w wodzie około dwóch metrów od brzegu. Silny prąd uchwycił go i poniósł daleko w dół rzeki, aż zniknął z pola widzenia. Minał boczną płyciznę, nawet się do niej nie zbliżając.

Pot spływał jej po plecach, a ramiona bolały, gdy wracała do miejsca, skąd Buchanan i Tweed obserwowali próbę.

- Ktoś do mnie krzychał - powiedziała.

- Ja krzyknąłem: „Uważaj, na Boga, i nie wpadnij do wody!” - powiedział Buchanan, wpatrując się w nią.

- Przepraszam - powiedziała - ale chyba się mylisz, twierdząc, że ciało wrzucono gdzieś w górze rzeki. Musiano je wrzucić z brzegu wprost do rzecznej odnogi, tam, gdzie później zostało znalezione. Pień był cholernie ciężki, niemal tak ciężki jak ludzki korpus, a nie dotarł w poblizę odnogi.

- Ma rację - skomentował Tweed.

- A więc morderstwo zostało popełnione gdzieś tutaj, w pobliżu - stwierdził Buchanan w zamyśleniu. - Ale gdzie?

- Wrócę za chwilę - powiedziała Paula.

Ruszyła przed siebie, uniosła taśmę wyznaczającą obszar policyjnych poszukiwań i szła dalej, z wolna przesuując światłem latarki po polu. Wokół walało się wiele kawałów drewna, niektóre sterczące jak dziwaczne statki marsjańskie tuż po wylądowaniu. Kilka minut później jej latarka oświetliła coś innego: krąg wygniecionej, jakby wydeptanej trawy. W środku tkwiła dziwna gałąź z dwoma sterczącymi ramionami, które od dołu łączyła gładka drewniana podstawa, szeroka mniej więcej na piętnaście centymetrów i okorowana.

Paula powoli skierowała się w tamtą stronę, jeszcze staranniej oświetlając miejsca, w których postawić miała stopy. Zgniecionej trawy przybywało. Wkroczyła do kręgu i wycelowała latarkę w puste miejsce na gładkiej części pnia łączącej oba ramiona. Niedawno okorowane drewno powinno być białe, na tym zobaczyła brązowe plamy.

- Znalazłam pień egzekucyjny - powiedziała spokojnie i przywołała ich kiwnięciem ręki.

Buchanan i Tweed przykucnęli, by dokładnie obejrzeć gładką podstawę. Newman robił zdjęcia.

- Do diabła - powiedział Buchanan - na boku jest szpara w miejscu, gdzie topór został wbity po odcięciu głowy Holgate'a. W podstawie rozwidlenia i na trawie po jednej stronie są ślady krwi.

- I - dodała Paula - szerokość podstawy doskonale pasuje do szyi biednego Holgate'a. Amatorsko wykonany, ale skuteczny pieniek.

- Co więc się stało z głową? - spytał Buchanan, spoglądając na nią. - Została wrzucona do rzeki?

- Może tak - odparła Paula - może nie. To morderstwo coraz bardziej mnie przeraża.

- Będziemy musieli zamknąć cały ten teren - powiedział, prostując się, Buchanan.

- Ciekawi mnie, kto mieszka w tym wielkim domu - rzekła Paula, wskazując ręką na szczyt wzgórza.

Jakieś czterysta metrów dalej znajdowało się jedyne w promieniu kilku kilometrów wzniesienie, na którego szczycie widać było wielką piętrową rezydencję w stylu Tudorów bez śladu żywego ducha.

- Przed chwilą widziałam światło w bocznym oknie - powiedziała Paula.

- Teraz wszędzie jest ciemno - stwierdził Buchanan lekceważąco. - Pewnie ci się wydawało. Miejsce jest opustoszałe. Odwiedziłem je wcześniej. Brama kuta z żelaza była zamknięta na kłódkę. Przelazłem przez płot, podszedłem do frontowych drzwi i zadzwoniłem raz i drugi. W domu nie było nikogo. Obszedłem go wokół. Wszystkie okiennice były zamknięte. Wyczuwało się, że nikt tam nie mieszka. - Gdy Buchanan skończył, odwrócił się w drugą stronę, złożył dłonie wokół ust i krzyknął jak najgłośniej: - Posterunkowy! Proszę tu przyjść jak najszybciej. To rozkaz.

Policjant zaczął biec w ich stronę z wyrazem znudzenia na twarzy. Wtem upadł twarzą w trawę. Paula wiedziała dlaczego, jej buty były porządnie umazane błotem i badając teren, musiała poruszać się bardzo ostrożnie. Mężczyzna jakoś się pozbierał i stanął na nogach, gdy Buchanan wrzasnął, aby się pośpieszył. Wyprężył się przed nim w mundurze umazanym błotem.

- Cały teren na pięć metrów stąd ma być otoczony taśmą. Masz ją w zapasie?

- Całą rolkę. Sierżant dał mi ją, gdy wychodziłem. Powiedział, że starczy na obwiązanie wszystkiego. Już skończyłem służbę. Właśnie przyjechał mój zmiennik.

- Zostaniesz, dopóki całkowicie nie zabezpieczycie terenu. Twój zmiennik ci pomoże - powiedział ostro Buchanan i jeszcze raz powtórzył polecenia. - Już nic więcej nie zdiagnozowaliśmy w ciemnościach - zwrócił się do Tweeda. - Wracajmy do Londynu.

Ruszyli z powrotem, ale Buchanan zauważył, że Paula została w tyle i przypatrywała się ponuremu domowi.

- Co robisz?! - krzyknął.

- Jestem pewna, że widziałam światło w bocznym oknie.

- Nie przejmuj się, jesteś przemęczona. Wracamy do samochodu.

- Do kogo należy ten dom? - spytała, dołączycywszy do nich.

- Do firmy ACTIL. Przy pierwszym pobycie tutaj wypytałem o to w Bray. A tak naprawdę to do miliardera, który stworzył ACTIL. Nazywa się Roman Arbogast.

- ACTIL - powtórzył Tweed. - To konglomerat, dla którego po odejściu od nas pracował Holgate. Dziwne.

1

Następnego ranka Tweed siedział za biurkiem w swym wielkim biurze na pierwszym piętrze budynku przy Park Crescent, skąd widział w oddali Regent's Park. Tu mieściła się rzeczywista kwatera główna Secret Intelligence Service, a ten okropny modernistyczny gmach nad brzegiem Tamizy był tylko wizytówką firmy, w większej części zajęta przez administrację. Kierownictwo operacyjne znajdowało się tutaj.

Paula siedziała w rogu pomieszczenia, na wprost Tweeda, i właśnie starała się ukryć ziewanie, gdy zjawił się Newman.

- Jak ci się podoba twoje nowe, a może powinnam powiedzieć stare, bo przecież antyczne, biurko? - zawołała do Tweeda.

Przy finansowym wsparciu reszty personelu kupiła je na Portobello Road. Było w stylu georgiańskim z pokryciem z zielonej skóry. W szuflady wstawiono nawet nowe zamki.

- Zaczynam się do niego przyzwyczajać - uśmiechnął się Tweed. - Nawet zaczynam je lubić.

- No to masz szczęście - wtrąciła Monica, jego wieloletnia sekretarka, z siwymi włosami zawiązanymi w kok - bo kosztowało nieco grosza. - Uważnie dobierała słowa, aby nie powiedzieć czegoś niestosownego.

- Jestem wam bardzo wdzięczny - zapewnił Tweed.

- Przespałaś się chociaż trochę po wczorajszych przeżyciach? - spytał Newman Paulę.

Spojrzała na niego. Po czterdziestce, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, z głową doskonale dopasowaną do reszty ciała, gęstą czupryną, gładko wygoloną szczęką, która samym widokiem odstraszała lumpów - ten niegdyś najslawniejszy międzynarodowy korespondent od

spraw zagranicznych, namówiony przez Tweeda do pracy w SIS, był dla nich bardzo cennym nabytkiem.

- Nie spałam zbyt wiele - przyznała. - Wzięłam prysznic, a potem wślizgnęłam się do łóżka i szybko usnęłam, ale miałam, co dla mnie niezwykle, koszmary.

- Koszmary? - spytał Tweed.

- Byłam nocą nad rzeką i widziałam ubraną na czarno osobę, która pochylała się nad Holgate'em, odcinając mu głowę piłą łańcuchową. Obudziłam się z krzykiem. Gdy się uspokoiliłam, spojrzałam na zegar. Była trzecia. I do samego rana już tylko myślałam o tym, że piła łańcuchowa nie mogła być narzędziem, bo szyja byłaby porządnie poszarpana.

- Rano rozmawiałem przez telefon z Royem Buchananem - odparł Tweed. - Gratulował ci doskonałej roboty w ostatnią noc i stwierdził, że któregoś dnia przyjmie cię do swojej grupy.

- To już druga propozycja pracy w ciągu ostatniej doby - odrzekła Paula, zakładając pukiel czarnych włosów za ucho. - Muszę to sobie przemyśleć - żartowała.

- Poinformuj mnie, jeżeli którąś wybierzesz, żebym zaczął szukać kogoś na zastępstwo.

Tweed z taką samą niechęcią myślał o jej odejściu, jak o rezygnacji ze stanowiska zastępcy dyrektora. Była przecież coraz lepsza.

- Buchanan powiedział mi także - ciągnął - że o trzeciej w nocy zadzwonił do szefa lokalnej policji pułkownika Crowa. Nie wzbudził tym jego sympatii, ale poradził mu, by posłał dodatkową grupę do ochrony obu otoczonych taśmą miejsc i dokładnego przeszukania terenu w pobliżu pnia egzekucyjnego. Crow stwierdził na to, że Roy już nie prowadzi tej sprawy, więc niech dłużej nie wydeptuje nie swojej trawy, na co Roy odrzekł, żeby ekipa Crowa starannie tę trawę przeszukała, po czym rzucił słuchawkę. Ten Crow to

pompatyczny idiota. Kiedyś go spotkałem. To typ, który tyranizuje podwładnych, a przed tymi, którzy mogą mu pomóc wspiać się o szczebel wyżej, płaszczy się bez słowa.

W pokoju oprócz biurek był dywan w kolorze pieczarkowym, rozciągający się od ściany do ściany, oraz trzy fotele dla gości. W jednym z nich, swoim ulubionym, Newman czytał właśnie „International Herald Tribune”. Teraz podniósł wzrok.

- Dziwne - zauważył. - To wydanie sprzed dwóch tygodni. Czekają na mnie na stosie gazet do przejrzenia w wolnej chwili. I właśnie dwa tygodnie temu zdarzyło się podobne morderstwo w jakimś Pinedale na południe od Portland w stanie Maine. Bezgłowy tułów w torbie do transportu ciał ocean wyrzucił na skały podczas sztormu. Ofiara to pielęgniarz o nazwisku Foley. Głowy nigdy nie znaleziono.

- Mało prawdopodobne, aby istniał tu jakiś związek - stwierdził Tweed. - Maine leży trzy tysiące mil stąd, po drugiej stronie Atlantyku.

- Istnieje coś takiego jak transport lotniczy.

- A czy wiecie, że dwa dni temu przyjechał do nas wiceprezydent Stanów Zjednoczonych?

- Obrzydliwiec - skomentowała Paula. - Ktoś taki jak Russell Straub nie jest nam do niczego potrzebny. Widziałam w telewizji, jak paplał na lotnisku. Myśli, że jest pępkiem świata.

- Przypuszczają, że Straub będzie kolejnym lokatorem Białego Domu - dodał Newman. - Już rozpoczął swoją kampanię wyborczą.

- No ja bym na niego nie głosowała - stwierdziła ostro Paula i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Monica podniosła słuchawkę, nachmurzyła się i wdała w krótką wymianę zdań. Potem zakryła dłonią mikrofon i spojrzała na Tweeda.

- Nie uwierzysz, co się stało.

- Zobaczymy. Mów.

- George miał na dole ostre starcie z kimś, kto właśnie się zjawiał. - Zamilkła na chwilę. - To Nathan Morgan, szef Wydziału Specjalnego. Przyjechał z dwoma zbirami, zażądał spotkania z tobą i zaczął wchodzić na górę ze swoimi osiłkami. George zmusił rzezimieszków do pozostania w poczekalni i zamknął ich na klucz. Morgana nadal trzyma w holu.

- Rozumiem. Poproś George'a, żeby go tu przyprowadził.

Newman wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i stanął w połowie drogi. Zjawił się Morgan i wchodząc do biura, starał się zepchnąć go na bok. Newman uśmiechnął się i z wolna odsunął.

- Droga wolna - powiedział przyjaźnie.

Gość wpadł do pokoju. W białym prochowcu z szerokimi klapami, który nadawał mu wojskowy wygląd, pomaszerował wprost do biurka Tweeda. Był mocno zbudowany, miał wielką kwadratową głowę, czarne włosy i takie brwi nad nosem boksera, wąskie usta oraz wydatną szczękę. Brutal, pomyślała Paula.

- Twój gangster na dole uwięził moich dwóch ludzi! Zamknął ich na klucz! - ryknął.

- Jeżeli chce pan rozmawiać ze mną, ich obecność nie jest potrzebna - odparł Tweed ze spokojem. - Poza tym tutaj istnieje zwyczaj telefonicznego umawiania się na spotkanie.

- Byłeś w Bray ostatniej nocy. Policjant, który przyjechał na zmianę, rozpoznał cię.

- Wydawał mi się znajomy - zauważył Tweed.

- Nie zaprzeczysz, że wtargnąłeś na teren zbrodni pozostający pod kontrolą miejscowych sił policyjnych?

- Jeden z moich współpracowników umiał wykryć, jak i gdzie ofiara została pozbawiona głowy. Czyli to, co umknęło uwagi lokalnej policji. Proszę usiąść. Zapewne niezbyt panu wygodnie stać tu jak figura woskowa z salonu Madame Tussaud.

- Cała sprawa jest tajna - warknął Morgan. - Nie możemy o niej mówić przy tych wszystkich obcych ludziach.

- Zatem pozwoli pan, że ich przedstawię. Ta dama tu w rogu to panna Paula Grey, moja główna asystentka. To właśnie ona odkryła wczoraj, jak Holgate został zamordowany.

Morgan odwrócił się i po raz pierwszy zobaczył Paulę. Od razu zmienił zachowanie. Podszedł do jej biurka i z głupawym uśmiechem wyciągnął w jej kierunku wielką jak bochen dłoń.

- Co za atrakcyjna asystentka. Coś w sam raz do rozgrzewki w chłodne noce.

Paula spojrzała na niego lodowatym wzrokiem. Jedną ręką otworzyła szufladę i wyciągnęła butelkę dettolu. Nie spuszczać wzroku z Morgana, postawiła ją przed nim na biurku.

- Trochę dettolu dla pana do przepłukania ust.

Morgan otworzył usta i zamknął je bez słowa. Odwrócił się i krótkim, grubym palcem wskazał Newmana.

- Poznaję cię. Robert Newman, reporter od newsów. - Ostatnie dwa słowa wypowiedział z obrzydzeniem.

Newman, z kamienną twarzą, spojrzał przed siebie. Przemówił za to Tweed:

- Pan Newman został dokładnie sprawdzony i przeszkolony w jednym z naszych ośrodków. Ukończył pełny kurs SAS, czego dokonało niewielu. Pracuje ze mną od lat. Niech pan, na Boga, przestanie robić z siebie durnia - dodał już nieco poirytowanym tonem. - Proszę siadać lub wyjść.

Złośliwość znikła z twarzy Morgana. Rozejrzał się wokół niepewny, co powinien zrobić, po czym zasiadł w fotelu.

- Dlaczego, przychodząc tu, naraża pan siebie i mnie na stratę czasu? - spytał Tweed ostro, prostując się i opierając łokcie na biurku. Siedział teraz ze złożonymi dłońmi i twardym wzrokiem wpatrywał się w Morgana.

Paula spodziewała się eksplozji. Tweed był zwykle spokojny i ostrożny, ale skutki jego wybuchów bywały straszliwe. Morgan sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, starając się ją odnaleźć pod prochowcem, i wtedy otworzyły się drzwi, a do środka wszedł Marler.

Miał sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i około czterdziestu lat. Był szczupły, jak zawsze nienagannie ubrany, tym razem w stylowy bladoszary garnitur i białą koszulę z krawatem Valentino. Miał wiele talentów i cieszył się sławą śmiertelnie strzelca wyborowego, najlepszego w Europie Zachodniej. Przeszedł spokojnie przez pokój i stanął obok biurka Pauli w swej ulubionej pozie, jak zwykle oparty o ścianę. Miał płowe, krótko przycięte włosy. Ze złotej papierośnicy wyjął długiego papierosa i zapalił. Morgan odwrócił się i spojrzał na niego.

- O, następny. Co to za jeden?

- Marlerze - powiedział Tweed - oto pan Nathan Morgan, świeżo upieczony szef Wydziału Specjalnego. Właśnie włamał się do naszego miejsca pracy i odosobnienia.

- Już usłyszałem o jego poczynaniach - odparł Marler, a jego wymowa przypominała przedstawiciela klasy wyższej. - Cóż, nowicjusz.

Morgan ponownie otworzył usta i zamknął je bez słowa. Nadal walczył z kieszenią marynarki, wyraźnie zbity z tropu własnym przedstawieniem. Wszyscy czekali w milczeniu. Wreszcie wyciągnął kopertę, a z niej dokument ze stemplem ministra spraw wewnętrznych na szczycie.

- Zostało postanowione - zaczął tonem, jak mu się wydawało, oficjalnym - nawiązanie bliskiej współpracy między Wydziałem Specjalnym i SIS. Wyznamy obserwatora, który tu pozostanie i dla którego musicie przygotować miejsce pracy i środki łączności.

Wręczył pismo Tweedowi, a ten szybko przebiegł po nim wzrokiem i wrzucił je do szuflady, mówiąc do Pauli:

- Do niszcarki razem z innymi śmieciami.

- Do niszcarki?! - wrzasnął wściekle oburzony Morgan.

- Nie możesz zrobić tego z...

- W głowie jakiego dostojnika zrodził się ten absurdalny pomysł?

- Jakiego dostojnika? - gniew Morgana narastał. - Przecież właśnie przeczytałeś list od ministra spraw wewnętrznych.

Tweed wstał powoli, wsadził ręce do kieszeni spodni i z wolna obszedł biurko. W jego ruchach było coś tak groźnego, że zdezorientowany Morgan zerwał się z fotela na równe nogi i już stał, gdy Tweed zbliżył się do niego. W głosie Tweeda zabrzmiała wyraźnie twarda nuta:

- W tym budynku nie będzie żadnego obserwatora, żadnej infiltracji. Oprócz wszystkiego innego pozostaje kwestia bezpieczeństwa. Wydaje się także, że jeszcze pan sobie nie uświadomił, że odpowiadam wyłącznie przed premierem...

- Po przybyciu pytałem o pana Howarda...

- Proszę mi więcej nie przerywać. To, co powiedziałem, dotyczy również Howarda. Poza tym pańska instytucja przechodzi pod zwierzchnictwo nowego Scotland Yardu. To tak na wypadek, gdyby pan o tym nie wiedział.

- Jest spodziewana restrukturyzacja...

- Już mówiłem, aby mi pan nie przerywał. Z pańskim poprzednikiem Bate'em współpraca układała mi się źle.

Przypominał nieco pana. Myślał, że „finezja” to ciasto francuskie. Przed nim Wydziałem Specjalnym kierował Pardoe, którego považalem i z którym od czasu do czasu współpracowałem. Ale z kimś takim jak pan nie wyobrażam sobie w ogóle żadnej współpracy - podniósł głos. - A więc, panie Nathanie Morganie, proszę natychmiast wyjść z tego budynku. Pan Newman odprowadzi pana na dół - zakończył Tweed i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

Newman wstał i z szerokim uśmiechem otworzył drzwi.

- Tędy, panie Nathanie.

Morgan, idąc w stronę Newmana, starał się wyprostować swój prochowiec. Już w drzwiach odwrócił się, by wymierzyć pożegnalny cios:

- Powinniście zrozumieć, że morderstwo w Bray to absolutnie nie wasza sprawa.

- Do widzenia - powiedział Tweed, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Po wyjściu obu mężczyzn zamknął teczkę z dokumentami i zwrócił się do Pauli:

- Za godzinę mam spotkanie z Romanem Arbogastem w siedzibie głównej ACTIL-u w City. Uprzejmie zgodził się porozmawiać ze mną, gdyż Adam Holgate był kiedyś moim podwładnym. Chciałbym, abyś mi towarzyszyła. Newman nas tam zawiezie.

- Będzie to jakaś odmiana po wysłuchiowaniu gadania tego śmiecia. Zgaduję, że nadal prowadzisz śledztwo w tej sprawie.

- Po niespotykanej akcji pułkownika Morgana z porwaniem ciała z pracowni Saafeld'a i jego chamskiej interwencji tutaj wyczuwam, że rząd wołałby, aby sprawa Holgate'a nie została nigdy rozwiązana. Akurat zbiega się ona z nieoczekiwanym przyjazdem amerykańskiego wiceprezydenta Russella Strauba.

- Czy te sprawy na pewno się nie łączą?

- Tutaj zawsze jest korek, a do tego pada - zrzędził Newman.

- Ale jesteśmy już prawie na miejscu - odezwała się Paula z tylnego siedzenia. - Tweed, zdziwisz się, gdy zobaczysz siedzibę ACTIL-u. To najwyższy budynek w Canary Wharf, a nawet w Londynie, i do tego na szczycie ma piramidę. Wydaje mi się, że nie bywasz w tej części City, prawda?

- Nie lubię zagłębiać się w te kamienno-betonowe wąwozy. Bóg jeden wie, jak ludzie tu pracują.

- Szybciej byłoby pójść na piechotę - narzekał Newman.

Posuwali się metr po metrze. Tuż za chodnikami wystrzeliwały w górę ściany biurowców. Jak w betonowej dżungli, pomyślał siedzący obok Newmana Tweed. Paula klepnęła go w ramię.

- To tu. Nazywają go „Obeliskiem”. Plany, jak mówią, nakreślił sam Arbogast i aby zakończyć budowę w rekordowym czasie, sprowadził robotników z Niemiec.

Tweed spojrzał na olbrzymi walec sterczący w rozwidleniu ulic, okrągły kolos, którego szczytu wzrok nie sięgał. Wszędzie wokół śpieszyli się ludzie ukryci pod parasolami jak cała armia małych, ruchliwych, zestresowanych ciągłym biegiem stożków. Zupełnie jak w Ameryce. Nic dziwnego, że słowo *stress* przywędrowało stamtąd.

- Coraz lepiej. Teraz przed wejściem zatrzymała się wielka limuzyna - zrzędził Newman.

Paula spojrzała przed siebie i zobaczyła wychodzącą z budynku postać w płaszczu z wielbłądziej wełny. Jakiś szczupły i ciemnowłosy osobnik stanął na szczycie schodów i zamachał rękami. Za nim, po jego bokach i przed nim stali mężczyźni w szarych garniturach.

- To wiceprezydent! - wykrzyknęła. - Russell Straub we własnej osobie. Zawsze wymachuje rękami. Wychodzi z ACTIL-u.

- Co oznacza skrót ACTIL? Jeżeli w ogóle coś oznacza - spytał Tweed.

- *Armaments* - zaczęła Paula - *Chemicals, Technology, Intelligence, Leisure*².

- Z wywiadem Holgate miał do czynienia. Ale nie rozumiem, co ma do tego wszystkiego wypoczynek.

- ACTIL ma rozległą sieć agencji podróży, również w Rosji.

- „Uzbrojenie” brzmi złowieszczo - zauważył Newman, uderzając palcami w kierownicę. Ciągłe tkwili w tym samym miejscu.

- Gdy rusza limuzyna wiceprezydenta, przejazd musi być wolny - zauważyła Paula.

Właśnie wtedy Straub zbiegł zwinnie ze schodów i skierował się do swojego auta. Jeden z szaro odzianych jegomościów przytrzymał dla niego drzwi, a następnie zamknął natychmiast, gdy tylko wiceprezydent znalazł się w środku. Kilku członków ochrony osobistej również wsiadło do auta. Newman obserwował ich przez lornetkę.

- Ochroniarze mają broń. Widzę wypukłości pod pachami. Ale założę się, że nie dostali zezwolenia. Policyjna eskorta też.

Patrolowy samochód torował drogę limuzynie, a przed nim mundurowi policjanci odsuwali ludzi na bok i wstrzymywali ruch, aby wiceprezydent miał wolną drogę. W końcu limuzyna zniknęła za jednym z narożników „Obeliska”.

- Jesteście pewni, że to Straub? - spytał Tweed.

² Uzbrojenie, chemikalia, technologia, wywiad, wypoczynek.

- Tak, to on - potwierdził Newman. - Widziałem go w telewizji, a teraz dobrze przyjrzałem się przez lornetkę tej wybitnej postaci.

- W twoim głosie wyczuwam sarkazm - stwierdziła Paula.

- Oczywiście. Facet jest nadęty jak paw. Nie wierzę mu ani trochę. Traci cały urok, gdy obok nie ma nikogo z kamerą.

Gdy pojazdy ruszyły, Newman mógł w końcu podjechać mercedesem do krawężnika przed wejściem do ACTIL-u. Paula i Tweed wysiedli, a do Newmana podbiegł portier w liberii z prośbą, by ten podjechał kilka metrów dalej.

- Ta kobieta po drugiej stronie ulicy obserwuje budynek - zauważyła Paula. - Mała i spokojna, po sześćdziesiątce. W jasnozielonym płaszczu i ciemnozielonej futrzanej czapce.

- Różne typy przyjeżdżają do Londynu - odparł Tweed niecierpliwie, po czym odwrócił się i spojrzał w górę. - O Boże! Co za ogrom.

Patrzył na niekończącą się różową ścianę, wznoszącą się nad nim niczym Himalaje. Odległy wierzchołek drapał przepływające chmury, rozpraszając je i ukazując stożkowy, połyskujący brązem szczyt. Nawet w Nowym Jorku nie widział czegoś takiego.

- Zdumiewające, prawda? - odezwała się Paula.

Newman wręczył portierowi kluczyki, prosząc, by zaopiekował się autem do ich powrotu. Tweed i Paula zaś ruszyli szerokimi kamiennymi schodami w stronę zewnętrznych drzwi obrotowych. Szturchnęła go, by wszedł pierwszy. Drzwi wolno się obróciły, lecz zatrzymały się, gdy Paula zrobiła krok w ich stronę. W tym czasie szklana komora z Tweedem w środku dotarła już na wprost wejścia do holu recepcyjnego. Zaskoczona Paula zamachała ręką. Wówczas jakiś głos znikąd powiedział:

- Teraz może pani wejść.

Drzwi znów się obróciły, wpuszczając ją do środka. Za nią czekał już Newman, który zrozumiał zasadę wchodzenia. Skrzyżował ręce na piersiach, spojrzał w górę na kratkę domofonu i powiedział:

- Nie zapomnij o mnie. To ja trzymam kasę.

- Teraz może pan wejść - oznajmił głos, gdy Paula znalazła się już w środku.

Newman pomachał ręką do kamery.

- Wielkie dzięki, stary...

W środku Tweed, czekając na nich, gapił się na przestronny hol, solidne marmurowe ściany i także podłogi. Podszedł z Paulą do wielkiej lady, zza której uśmiechała się atrakcyjna czerwonowłosa dziewczyna. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, obok nich wyrósł wysoki, muskularny osobnik w garniturze od Armaniego.

- Ja się tym zajmę, Claro - powiedział do recepcjonistki.

Brązowa czupryna osłaniała nieco jego rysy wykute z kamienia. Był po trzydziestce, z długim ostrym nosem, złowrogimi oczami, cienkimi wargami i wystającym podbródkiem. Paula wątpiła, czy w ogóle potrafi się uśmiechać. Jego wygląd mówił: „Nie wchodź mi w drogę”.

- Pan Tweed? - spytał z szorstkim akcentem z Midlands³.

Tweed swobodnie skinął głową.

- A pani jest panną Grey - dodał mężczyzna i odwrócił się w stronę Newmana. - Pana łatwo poznać. Robert Newman, korespondent zagraniczny. Przeczytałem kilka pańskich artykułów. Są niebezpieczne.

- Mają na celu...

- I ma pan broń pod pachą. Proszę ją zostawić u recepcjonistki.

- Jak mawiają Amerykanie - odparł Newman uprzejmie - pan również ma ukrytego gnata.

³ Zwyczajowa nazwa środkowej części Anglii.

- Jestem Broden, szef ochrony.

Newman podszedł do Clary, która w podnieceniu przysłuchiwała się rozmowie. Po raz pierwszy widziała, by ktoś tak zlekceważył Brodena. Gdy Newman wyjął smith & wessona i usunął naboje, poprowadziła go za ladę. Tam za pomocą klucza matki i drugiego dodatkowego otworzyła jedną z wielu metalowych szuflad. Włożył do niej broń i zamknął, a ona przekreśliła oba klucze i jeden z nich mu wręczyła.

- Czekamy! - zawołał Broden.

- Przy takim systemie przyjmowania gości pan Arbogast powinien na każde spotkanie rezerwować dodatkowe pięć minut - odparł Newman.

- Robi to - zapewnił Broden. - Proszę do tej windy. Jest używana tylko przez prezesa. I proszę uważać na żołądki - dodał bez cienia humoru. - Winda leci jak rakietka.

Luksusową kabinę otaczały z trzech stron złote poręcze. Paula chwyciła jedną z nich i obserwowała wyświetlające się obok drzwi numery pięter. Boże, było ich aż sto pięć. Numery migały tak szybko, że nim sobie to uświadomiła, dotarli już na najwyższe.

Skierowali się do drzwi na wprost windy, które Broden otworzył tą samą kartą, której użył w holu, i weszli do wielkiego pokoju, gdzie czterech mężczyzn pisało na maszynach IBM Selectric. Nie używali komputerów, nie było śladu Internetu. Broden otworzył teraz ciężkie dębowe drzwi znajdujące się po drugiej stronie sali i stanął obok nich.

- To wszystko, Broden. Możesz odejść - rozległ się dziwny, gardłowy głos.

Newman spojrział na szefa ochrony. Czy to możliwe, by jego twarz przybrała jeszcze bardziej lodowaty wyraz? Lepiej nie mieć takiego za towarzysza podróży.

Przekraczając próg, Paula niemal wstrzymała dech. Pokój z zaokrąglonymi ścianami i oknami od podłogi do sufitu

przypominał raczej salon. Na grubym szarym dywanie stały rozproszone pluszowe fotele i sofy. Przestrzenie między oknami zdobiły oprawne w pozłacane ramy krajobrazy. W odległym końcu pomieszczenia widać było masywne biurko w stylu regencji, za którym na - jak się wydawało - wygodnym rzeźbionym krześle siedział wysoki, pulchny i brzydki mężczyzna. Przypuszczała, że był po sześćdziesiątce, ale to przede wszystkim jego nalana twarz przyciągnęła jej uwagę: zimne jak lód niebieskie oczy, na wpół ukryte w fałdach tłuszczu, krótki szeroki nos, a pod nim grube mięsiste wargi. Poniżej widać było potężne podgardle i kosztowny zmięty garnitur. Gdy powstał i wyciągnął w ich stronę tłąstą rękę z krótkimi i grubymi palcami, jego prawe oko zadrgało kilkakrotnie.

- Witam w moich skromnych progach. Dołączą do nas niektórzy członkowie mojej rodziny. Wśród nich jest również najważniejszy mój współpracownik, który pewnego dnia zajmie moje miejsce. Proszę usiąść. Obszedł biurko dookoła, by uścisnąć ich dłonie. Paula była zdumiona jego wzrostem. Roman Arbogast miał szerokie ramiona i ich widok zwiększał wrażenie jego potęgi. Nie było w tym arogancji, lecz poczucie wielkiej pewności siebie.

Gdy usiedli, stał nadal w pobliżu, masywny, ze skrzyżowanymi ramionami. Spoglądał na nich z góry, lekko przekrzywiając głowę.

- Panie Tweed, jest pan jednym z niewielu ludzi, których szanuję. Ale jest pan też bardzo niebezpiecznym człowiekiem, co miało zabrzmieć jak komplement. A teraz proszę powiedzieć, co pana do mnie sprowadza.

- Adam Holgate, zanim tu przyszedł, był jednym z moich ludzi. Jestem mu winien ustalenie, kto go zamordował w tak bestialski sposób. Gdy dowiem się dlaczego, będę wiedział kto.

- Czego się państwo napiją? - Arbogast spojrział na każdego z nich, dając do zrozumienia, że pytanie dotyczy wszystkich.

- Ja dziękuję za wszystko - powiedziała Paula.

- Błyskotliwa dama o naturze detektywa, która przyczyniła się do tego, że policjanci wyszli na durniów.

- Na czym opiera pan tę opinię? - spytała szybko.

- Na otrzymanych informacjach. Wszystkie moje sukcesy na tym świecie idiotów zawdzięczam temu, że wiedziałem lub wiem, co się działo i dzieje. - Jego głos, choć spokojny, niósł się daleko. Teraz zwrócił się w stronę Tweeda, gdy ten zapytał:

- Co dokładnie Holgate tu robił?

- Ochrona. Nie lubiłem go, lecz Broden twierdził, że jest dobry. Był również wścibski i bardzo dociekliwy.

- W jakim sensie? - spytała Paula z uśmiechem.

- Przeglądał akta, które nie miały nic wspólnego z jego obowiązkami. Zdarzało mu się czekać za drzwiami, by usłyszeć rozmowy, które go nie dotyczyły. Mógł się dowiedzieć czegoś i z tego powodu dokonano egzekucji.

- Dokonano egzekucji? - zapytała zaskoczona Paula.

Drzwi pokoju otworzyły się i jedna za drugą weszły dwie kobiety. Newman nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na pierwszą.

- Oto Marienetta, moja bratanica - oświadczył Arbogast.

Jej chód był spokojny i elegancki. Paula oceniła, że była nieco po trzydziestce. Zdumiała ją jej uroda. Wysoka i szczupła, ze złotymi lokami przyciętymi tuż poniżej uszu, miała wyjątkowo kształtną budowę i nos znamionujący siłę oraz szerokie usta, w których górna cienka warga w dziwny sposób kontrastowała z pełną dolną. Ale Paulę zahipnotyzowały przede wszystkim jej oczy, zielonkawe, z

tęczówkami nieprzesłoniętymi powiekami, co pozwalało im na niezwykłą penetrację. Jej nieco sztywny wygląd znikł, gdy z ciepłym uśmiechem podeszła do Pauli i podając smukłą dłoń, przytrzymała jej rękę dłużej niż przy zwykłym powitaniu.

- Pani uścisk świadczy o silnym charakterze, panno Grey. Wiele o pani słyszałam. Miałam nadzieję, że się kiedyś spotkamy, i nie rozczarowałam się.

- Jestem Robert Newman - przedstawił się Newman, powstając wzorem Tweeda.

- Korespondent zagraniczny, natarczywy i nachalny, nieprawdaż? Pan Tweed - ciągnęła wyliczankę, wyciągając rękę. - Z przyjemnością spotykam tak wybitnego człowieka - powiedziała szczerze. - Jest pan jedną z tych nielicznych osób, które pod zasłoną bierności ukrywają potężny intelekt i wewnętrzny wulkan energii.

- Wciąż tu jestem, choć być może wszyscy o tym zapomnieli - rozległ się poirytowany głos Arbogasta. - A to moja córka Sophie - przedstawił.

Druga kobieta także była wysoka. Miała gęste i ciemne włosy, zadarty nos, czoło wysokie, oczy szare i zimne, a rysy ostre, niemal agresywne. Pauli natychmiast przyszło na myśl, że córka w duecie z bratanicą grała drugie skrzypce. Nie dlatego, że Marienetta starała się dominować, tylko jej osobowość odsuwała córkę na drugi plan. Gdy Arbogast ją przedstawiał, uśmiechnęła się przyjaźnie do Sophie.

- Zauważyłam cię, gdy tylko weszłaś - zapewniła. - Proszę, koło mnie jest wolne miejsce.

- Przyjemna odmiana być zaproszoną - skomentowała Sophie, siadając.

- Zamierzamy się wszyscy zaprzyjaźnić, Sophie - powiedziała Marienetta z uśmiechem.

Miała na sobie dobrze dopasowaną zieloną suknię ze złotym paskiem na smukłej talii i zielone buty na średnim obcasie. Sophie była w golfie, szarej plisowanej spódnicy i czerwonych szpilkach. Kontrast między kobietami był wyraźny i nie było wątpliwości, która miała lepszy gust.

- Chciałabym zapalić - oświadczyła Sophie.

Paula spostrzegła, że Arbogast: otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz gdy Marienetta spojrzała nań, marszcząc brwi, zamknął je, nie rzekłszy słowa.

- Pal - powiedziała Marienetta - i poczęstuj i mnie. Dziękuję.

- O czym mówiliście, gdy przerwałyśmy wam rozmowę?

Arbogast spojrzał na Sophie. Spuściła wzrok i szybko zaciągnęła się dymem.

- O morderstwie - powiedział bez ogródek.

- Przyjemny temat - rzuciła Sophie. - To znaczy, że plotkowaliście o biednym Adamie.

- Rozważaliśmy tę sprawę z panem Tweedem.

- Adam nie jest sprawą, jest człowiekiem - zaprotestowała córka. - Lub raczej był. - Nachmurzyła się. - Ciekawe, jak się czuł, gdy ktoś odcinał mu głowę - powiedziała, jakby to był ciekawy temat do dyskusji. - To musi być bardzo dziwne czuć, jak własna głowa gdzieś się toczy.

- Wątpię - zaproponowała Marienetta spokojnie - czy czuje się wtedy cokolwiek.

- Panie Tweed - wtrącił się Arbogast - przyszedł pan tutaj, by spytać mnie o opinię na temat Adama Holgate'a, i myślę, że powiedziałem już wszystko, co wiem.

Gdy goście wstali, otworzył szufladę.

- Dziś są urodziny Sophie. Świątujemy je w miłej restauracji Tree Creeper⁴. - Wstał z za biurka z trzema

⁴ Winobluszcz.

drukowanymi zaproszeniami w dłoni, które wręczył każdemu z gości. - Będę zaszczycony, jeżeli przyłączą się państwo do nas. Jestem pewien, że Sophie także będzie zadowolona.

- Jeżeli Paula przyjdzie - uścisnęła jej rękę. - Zamierzam wygłosić mowę.

- Być może zainteresuje pana - ciągnął Arbogast, spoglądając na Tweeda drgającym okiem - że jednym z gości będzie przyjaciel Sophie, Black Jack Diamond.

Gdy opuścili rozległe biuro, Marienetta ujęła Tweeda pod ramię i spojrzała nań z uśmiechem.

- Tutaj niewiele się działo. Zapraszam pana do mojego studia, a raczej klitki. Z przyjemnością tam oddycham, gdy tylko mogę pozostawić moje obowiązki administratora.

- Administratora? - spytał Tweed.

- To mój niejasny tytuł tutaj. Stryj sobie życzył, abym miała oko na różne sprawy, a nie chciałam tytułu, który ograniczałby moją władzę nad starszym personelem. „Administrator” nie znaczy nic. Więc mogę włóczyć się, gdzie chcę, i sprawdzać, co mi się podoba. Nawet ochronę - roześmiała się. - Zapewne nie będzie pan zaskoczony, gdy powiem, że nie jestem ulubienicą Brodena.

Wchodząc do windy, Paula obejrzała się. Newman szedł obok Sophie, opowiadając coś i żartując, ona zaś - jak Pauli się wydawało - kroczyła w milczeniu ze spuszczoną głową. Marienetta otworzyła drzwi kartą chipową i nacisnęła guzik sto trzeciego piętra.

- Twój stryj - zauważyła Paula, odwracając się w jej stronę - chyba unika nowoczesnego sprzętu, na przykład komputerów. W pokoju prowadzącym do jego gabinetu pracownicy używali IBM Selectrics.

- To prawda - potwierdziła Marienetta i zachichotała, gdy winda stanęła na sto trzecim piętrze. - Wie, że konkurencyjne

firmy mogą bez trudu zatrudnić hakera, który włamie się do każdego systemu, a więc o Internecie trzeba zapomnieć. Właściwie zgadzam się z nim. I oto jesteśmy na miejscu, to moja dziupla.

- Ale używacie kart zamiast kluczy - drażyła temat Paula, wskazując na kolejny kartonik wsuwany przez Mariennę do czytnika.

- Zgodził się na to, ale karty muszą być zmieniane co wieczór. Wejdźcie, ale nie spodziewajcie się zbyt wiele.

Znaleźli się w przestronnym pokoju z niebieskim, włóchatym i połyskującym dywanem, który dodawał wnętrzu ciepła. Pomieszczenie było w połowie przedzielone panelami. Zaokrąglone ściany uświadomiły Pauli, że nadal są na szczycie „Obeliska”.

Wokół stały wygodne fotele i staroświeckie stoły. Marienna skierowała się w stronę przegrody, wyciągając z torebki kolejną kartę.

- Oto - oświadczyła nieco ironicznie - jest moje sanktuarium. Tylko kilku gości je widziało. Nie wpuszczam tu żadnych nudziarzy.

- Mam ochotę się napić! - krzyknęła nagle Sophie. Zaciskając wargi, odgarniała ręką włosy.

- Możesz dostać szklanek wody - odparła Marienna, napełniając jedną chłodną wodą. - Nie ma tu żadnego alkoholu.

- Nie chcę wody. Idę do siebie. Otwórz te cholerne drzwi.

- W towarzystwie gości mogłabyś zwracać uwagę na słowa - odrzekła Marienna uprzejmie i otworzyła zewnętrzne drzwi.

Newman powiedział coś o nadziei na późniejsze spotkanie, lecz Sophie przeszła obok niego, nawet nie spojrzawszy w jego stronę.

- Jest w złym nastroju - oznajmiła Marienetta przyjaźnie, gdy drzwi znowu się zatrzasnęły. - Ale jest geniuszem w dziedzinie bezpieczeństwa i wymyślania nowej broni.

- Broni? - spytał Tweed.

- Może wam powiedzieć, jak Marlborough dowodził w bitwie pod Ramillies oraz jak działa bomba wodorowa. Do spraw naukowych ma prawdziwy talent. A teraz chciałam wam coś pokazać.

Zdumieni się na widok części pokoju skrytej za przegrodą: białej kafelkowej posadzki, roboczych stołów z na wpół ukończonymi rzeźbami, wielkich mis gipsu i mnóstwa różnorodnych narzędzi. Z tyłu stały sztalugi z nieoprawionym portretem Romana Arbogasta, na którym wyglądał jak żywy. Obok leżała paleta z rozmazanymi farbami i wielki garniec ze stłoczonymi pędzlami o długich trzonkach.

- To twoja pracownia? - spytała Paula, gdy Marienetta wdziała umazany farbami fartuch.

- Tutaj naprawdę jestem w domu.

Podniosła młotek i uderzyła nim w kamienną rzeźbę mężczyzny w pozycji na wpół siedzącej. Odpadł duży fragment. Marienetta wzruszyła ramionami i odrzuciła młotek na metalowy blat stołu.

- Całkiem zniszczone - stwierdziła. - Muszę zacząć od początku.

Tweed podszedł do kominka, na którym stała niewielka makieta, przypominająca trochę wyglądem miniaturową rzeźbę. Uniósł ją ostrożnie i z uznaniem odwrócił się do Marienetty.

- Czy to pani dzieło?

- Ma pan artystyczne oko, panie Tweed. Niestety, to nie moje. Roman wypożyczył to dla mojej inspiracji. To oryginalna makieta Henry'ego Moore'a. Na aukcji kosztuje fortunę. Lubię tworzyć muzea.

Gdy Tweed ostrożnie odstawiał ją na kominek, Paula podeszła do sztalug z portretem Arbogasta.

- Jak widzę, również malujesz - powiedziała do Marienetty, która podążyła jej śladem.

- Coś tam mażę, co pomaga mi zapomnieć o problemach.

- Podobieństwo jest doskonałe. Świetnie je uchwyciłaś.

- Odwróć go. Po drugiej stronie jest inny obraz.

Paula ostrożnie chwyciła deskę i odwróciła ją, ukazując wszystkim odwrotną stronę portretu. Spojrzała i zaskoczona odsunęła się o krok.

Było to zupełnie inne przedstawienie Romana, przerażająca wizja stryja Marienetty. W otwartych ustach, których nie przesłaniały wykrzywione wargi, błyskały ostre zęby. Wielkie podgardle było skręcone w przeciwną stronę, a całość sprawiała wrażenie morderczego szału. Ciało było nabite, głowa nieproporcjonalna, a jedno okrutne oko położone poniżej od drugiego. Pauli wydawało się, że głowa zaraz wyskoczy z ram obrazu i wpije się zębami w jej twarz. Poczowała przyspieszone bicie serca. Obraz przerażał.

- Był w złym nastroju, gdy go malowałam - poinformowała Marienetta spokojnie i odwróciła płótno, wracając do oficjalnej wersji portretu.

- Musiał zjeść coś niestrawnego - stwierdził Newman, zaglądając Pauli przez ramię.

Marienetta zaśmiała się i długo nie mogła dojść do siebie. Wyciągnęła w końcu jedwabną chusteczkę, zakryła nią usta i odwróciła się do Newmana.

- Rob, podoba mi się twoje poczucie humoru.

Paula spojrzała do tyłu na Newmana. Tweed zachował idealny spokój. Miał najbardziej ponurą minę, jaką Paula kiedykolwiek u niego widziała.

Marienetta zjechała z nimi windą. Gdy wychodzili, zatrzymała się, by zamienić kilka słów ze strażnikiem. Tweed z Paulą ruszyli prosto do wyjścia, tylko Newman podszedł do recepcji, aby odebrać swój rewolwer. Ukazał się Broden, tym razem w wełnianej sportowej marynarce i sztruksowych spodniach wpuszczonych w sięgające do kolan buty. Wygląda jak łowczy, pomyślała Paula.

- Mam nadzieję, że przypadła państwu do gustu sesja z Kocim Okiem - warknął.

- Kocim Okiem? - spytała Paula.

- Tak nazywamy tutaj Marienette. Jasper już poszedł po pański samochód, panie Newman.

- Myślę, że nie uświadamiasz sobie, jak daleko niesie twój głos - powiedziała Marienetta, dołączając do nich i szeroko uśmiechając się do Brodena. - Czy teraz mógłbyś wyjść na zewnątrz i sprawdzić, czy podjazd jest wolny, aby pan Tweed z kompanią mogli odjechać?

Broden zacisnął wargi i odszedł. Po minucie przyzwał ich skinieniem. Jedno za drugim zaliczyli tę samą co poprzednio procedurę przejścia przez obrotowe drzwi. Broden był na chodniku, gdy na szczycie schodów Paula dotknęła ramienia Tweeda.

- Ta kobieta wciąż czeka po drugiej stronie ulicy.

- Kobieta? - Tweed błędził myślami daleko.

- Ta mała, w jasnozielonym płaszczu i futrzanej czapce.

- Jak już mówiłem, w Londynie spotkasz wszelkiej maści przyjezdnych.

- Która to? - spytał Broden. Zdażył już ponownie wbiec na schody. - O, już ją widzę. Stała tam, gdy przyjechaliście?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Paula szybko. - Może to ona.

- Jasper! - zawołał Broden do odźwiernego. - Sprawdź tę futrzaną czapę po drugiej stronie ulicy. Dlaczego włóczy się tutaj tak długo.

Ochroniarz zniknął wewnątrz budynku, a Tweed zszedł po stopniach do samochodu, gdzie usiadł na miejscu dla pasażera. Paula spoglądała na drugą stronę ulicy dopóty, dopóki Newman nie odjechał.

- Mam nadzieję, że Jasper nie zauważy jej aparatu - powiedziała.

- Aparatu? - spytał Tweed, odwracając się.

- Tak, miała w ręce niewielki aparat fotograficzny, podobny do mojego. Użyła go, gdy podjeżdżaliśmy, i teraz, gdy odjeżdżaliśmy.

- To nie przestępstwo - odparł Tweed. - Co myślisz o Arbogastach?

- Bardzo niezwykła rodzina. Wydaje mi się, że w biurze Romana wyczułam wiszącą w powietrzu nienawiść.

- Sophie - skomentował Newman - uważa, że ją lekceważą. Raczej mi się spodobała. Bystrość umysłu ukryta pod maską spokoju.

- Marienetta była dla niej miła.

- Czy nikt z was nie zauważył, że pominęli coś ważnego? - spytał Tweed. - Roman nawet słowem nie wspomniał o wizycie amerykańskiego wiceprezydenta. A jestem pewien, że się z nim spotkał. Z kim innym w tym budynku wiceprezydent chciałby rozmawiać? I co łączy Romana z Russellem Straubem?

- Ile amerykańskich głosów kontroluje Roman? - odpowiedział Newman. - A głosy to jedyna rzecz, jaką politycy się interesują.

- Być może - odparł Tweed.

Stali unieruchomieni w korku. Z przodu, jak okiem sięgnąć, widać było jedynie zbitą masę pojazdów stłoczonych zderzak w zderzak. Ulicę z obu stron otaczały ponure kamienne gmaszyska, a na chodnikach tłoczyli się piesi. Była pora lunchu. Kobiety i mężczyźni nawzajem się potracali, podążając swoją drogą. W drzwiach i przejściach stały dziewczyny, zajadając z otłuszczonych papierowych toreb tłuste fast foody.

- Nie widzę żadnego normalnego jedzenia - skrzywiła się Paula.

Zamknęła okno. Ciężkie chmury wisiały nisko nad City, a ich ciśnienie wtłoczyło w powietrze mieszaninę benzynowych i dieslowskich spalin.

- Londyn zamienia się w piekło - zauważyła.

- Skoro mówimy o piekle - wtrącił Newman - to co sądzicie o namalowanym przez Marienette portrecie? Pokazała wuja na podobieństwo ogra.

- Potwora - odparła Paula.

- Jak wielu malarzy - wyjaśnił Tweed - również ona pozostaje pod wpływem wielkich artystów. W malarstwie - Picassa, a w rzeźbie - Henry'ego Moore'a.

- Nawet najgorsze prace Picassa nie były tak brutalne jak portret Romana - skomentowała Paula.

Zbita masa samochodów zaczęła się toczyć po jezdni i wkrótce skręcili w Park Crescent. Na stopniach prowadzących do ich siedziby siedział mężczyzna. Newman jęknął:

- Przynajmniej jego mogłoby tu nie być. To Sam Snyder, główny reporter kryminalny „Daily Nation”. Powinien zmienić nazwisko na Snider, bo rzeczywiście jest strasznie złośliwy. Muszę przyznać, że w swojej robocie jest dobry, ale jednocześnie bezlitosny dla innych. Nie wpuszczajmy go do środka.

Tweed wysiadł pierwszy i gdy ruszył na schody, reporter wstał nagle i rzucił gwałtownie w jego stronę:

- Panie Tweed. Myślę, że zainteresuje pana, że w jutrzejszej gazecie ukaze się mój artykuł, który narobi sporo zamieszania. O tym pierwszym w stanie Maine. Morderstwie oczywiście. Właśnie wróciłem z Ameryki.

Słyszając to, Tweed się zatrzymał. Zamiast nacisnąć dzwonek, spojrzał na reportera.

- Jakim morderstwem?

- Pielęgniarka, któremu ucięto głowę w Pinedale, na południe od Portland. Głowa zniknęła. Tak samo jak Holgate'a.

- I chce pan ze mną o tym porozmawiać? Proszę na górę.

Nacisnął dzwonek.

Widząc to, Paula zerknęła na Newmana. Podniósł oczy do nieba, jakby chciał powiedzieć: „Niech to szlag trafi”. Szturchnął ją palcem w ramię i szepnął:

- Nie denerwuj się. Tweed zwykle wie, co robi...

W biurze Monica uderzeniami w klawisze znęcała się nad komputerem. Tweed wskazał gościowi fotel, a sam usiadł za biurkiem.

- Jestem Sam Snyder...

- Wiem. Obawiam się, że nie mam wiele czasu. Proszę mówić, ja będę słuchał.

- W swoim tekście wspominałem również, że niedaleko Pinedale zrujnowaną posiadłość ma wiceprezydent...

- Na pewno będzie tym zachwycony - skomentował Tweed. - Właśnie przyjechał do Londynu.

- Ja po prostu opisuję fakty. Myślałem, że to pana zainteresuje. Russell Straub przybył tu trzy dni temu. Teraz bezgłowe ciało Holgate'a zostało znalezione w pobliżu Bray.

- Czy łączy pan te fakty w swoim tekście?

Snyder uśmiechnął się. Był dziwną postacią z jastrzębią, jakby trupią twarzą i nosem, który przypominał Pauli dziób lodolamacza. Gdy siedział sztywno w fotelu, jego ciemne oczy pozostawały w bezruchu, a donośny głos wydawał komendy. Trudno było określić jego wiek. Miał może czterdzieści, a może i sześćdziesiąt lat. Gdy potem Paula spytała Newmana, ten stwierdził, że Snyder zawsze był poza wiekiem. Newman nie cierpiał jego arogancji, ale doceniał jego siłę przebicia.

- Czy łączę te fakty, panie Tweed? - Snyder ponownie uśmiechnął się w szczególny sposób. - Oczywiście, że nie. Ledwo o nich wspominam w różnych miejscach tekstu.

- Więc dlaczego poleciał pan do Ameryki?

- Kilka dni temu przeczytałem w „New York Timesie” długą relację. Było to jeszcze przed morderstwem Holgate'a. Uderzyło mnie, że patolog - lub ekspert medycyny sądowej, jak go tam nazywają - został sprowadzony aż z Bostonu. Dlaczego nie z pobliskiego Portland? Byłem tam ponad dobę. Właśnie wróciłem. A wczoraj dzwonił do mnie ktoś z FBI przy ambasadzie amerykańskiej. Dlatego zdecydowałem się opisać tę historię.

- A o co pytał?

- Nie podniosłem słuchawki. Patologiem z Bostonu był doktor Ramsey. Ma całkiem niezłą reputację.

- Co w tej sprawie wzbudziło pańskie podejrzenia? Dowiedział się pan czegoś więcej?

- W pobliżu Pinedale znajduje się dom opieki, prawdziwy dom wariatów. Hank Foley, ten pozbawiony głowy pielęgniarz, pracował tam, a szpital spłonął do cna kilka godzin po jego zamordowaniu. Na szczęście w środku nie było pacjentów. W tym domu opieki wielcy bogacze umieszczali swoich kuzynów, niepożądanych z powodu chorób psychicznych. Biznes prowadziło małżeństwo

Bryanów. Zniknęli i zdaje się, że nikt nie wie, co się z nimi stało.

- Intrygujące - skomentował Tweed.

- A teraz... Szanowny panie, byłem z panem szczerzy. Więc, co pan odkrył w Bray, gdzie wybrał się ostatniej nocy z nadinspektorem Buchananem?

- Zbiera pan dziwne plotki, panie Snyder.

Zadzwoił telefon. Odebrała Monica. Słuchała przez chwilę i gestem poprosiła Tweeda. Podnosząc słuchawkę, przesunął krzesło w pobliże ściany. Snyder wstał i ignorując Newmana, stanął w pobliżu biurka Pauli, gdzie zaczął studiować wiszącą obok rycinę. Przyglądała się jego ubraniu. Miał na sobie porządnie znoszoną marynarkę i także spodnie. Pod szyją zawiązał krawat z rysunkiem wesołych lisów. Był to raczej strój wieśniaka niż londyńskiego reportera.

- Bardzo mi się podoba. To reprodukcja Turnera. Czy to pani wybór? - uśmiechnął się ciepło, całkowicie zmieniając sposób bycia.

- Tak, ja to wybrałam.

- Ma pani doskonały smak. To Perugia, prawda? Myślę, że tak. Turner potrafił genialnie oddać atmosferę miejsca. Wznoszące się miasto-forteca sprawia wrażenie potęgi. Gratuluję pani.

- Dziękuję.

Tweeda zaskoczył gardłowy głos Romana Arbogasta:

- Mam nadzieję, że razem z dwojgiem przyjaciół zjawi się pan na urodzinowym przyjęciu Sophie. Będą też inni wybitni ludzie.

- Przyjdziemy z przyjemnością...

Głos z drugiej strony zamilkł. Roman nie należał do ludzi tracących czas na puste konwersacje. Gdy Tweed skończył krótką rozmowę, Snyder wrócił na fotel.

- Co pan sądzi o okropnym zabójstwie Holgate'a? - spytał.

- Jeszcze nie wyrobiłem sobie zdania.

- Jest pan twardy jak granit - zauważył reporter nieco arogancko. - Myślę, że lepiej już sobie pójdę. Otrzymałem niezwykle zaproszenie na urodzinowe przyjęcie Sophie, córki Arbogasta. Zapewne chce, abym je opisał.

Tweed zabawiał się piórem.

- Słyszałem pogłoski, że jednym z gości będzie Russell Straub - powiedział. - Sądziłem, że powinienem pana ostrzec.

- Gazeta z moim artykułem nie pojawi się wcześniej niż jutro rano.

- Wczesne wydanie będzie dostępne około północy - przypomniał Tweed. - Sądzę, że Straub nie rusza się nigdzie bez grupy doradców. Jeden z nich mógł usłyszeć o pańskim artykule i wcześniej postara się o gazetę.

- No cóż, skoro Straub rzeczywiście będzie tam gdzie ja...

- zamilkł na chwilę. - Zapewne wie pan, że w drodze powrotnej byliście śledzeni? Ludzie z samochodu mieli na czole wypisaną przynależność do Wydziału Specjalnego.

- Miło być pod opieką - odparł Tweed, starając się ukryć zaskoczenie.

- Dzieje się coś naprawdę zabawnego - rzekł Snyder, wstając. - W Maine też musiałem się przebijać przez znowę milczenia. Ludzie bardzo się denerwowali, gdy poruszałem ten temat. Życzę powodzenia panie Tweed. Będę z panem w kontakcie.

Snyder wstał i wyszedł, znajdując bez pomocy drogę powrotną. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Ciszę przerwała w końcu Paula.

- Nie odezwał się do niego ani słowem - zauważyła, zerknąwszy na Newmana.

- Bo nie miałem mu nic do powiedzenia. On również nie miał nic do mnie.

- Był naszym gościem. Grzeczne powitanie nie uczyniłoby żadnej szkody. Gdzie twoje maniery? Fakt, że go nie lubisz, nie ma nic do rzeczy. W krótkiej wymianie zdań ze mną był bardzo miły.

- Mam nadzieję, że sprawiło ci to przyjemność - mruknął Newman ironicznie.

- Jesteś nie do zniesienia - odcięła się Paula.

Zadzwoił telefon. Monica odebrała i spojrzała na Tweeda.

- Nadinspektor Buchanan do ciebie.

- Halo, Roy - odezwał się Tweed. - Jak leci?

- Jak najgorzej. Odebrano mi sprawę zabójstwa Holgate'a i nakazano, by nikt z mojej grupy nie ważył się tym zajmować. Zgadnij, skąd przyszedł rozkaz. Od samego komisarza. Powiedział, że to wyłącznie sprawa lokalnej policji w Berkshire. Był stanowczy i grubiański, jak gdyby dostał prikaz z góry. Dalej się tym zajmujesz?

- To tylko przekonało mnie, że powinienem. Co się dzieje, Roy?

- Z jakiegoś powodu otaczają Holgate'a kordonem. Nie mam pojęcia kto i dlaczego. Ale dzieje się to gdzieś wysoko. Ten ktoś potrafi spętać ręce komisarzowi, musi więc mieć odpowiednią władzę. Zawiadomię cię, jeżeli tylko czegoś się dowiem. Jak będziesz chciał się skontaktować ze mną, dzwoń do domu. Muszę wracać do roboty...

Tweed powtórzył pozostałym słowa Buchanana. Paula wpadła we wściekłość:

- Przecież Buchanan to najlepszy detektyw.

- I pewnie dlatego chcą go odsunąć. I dopóki pamiętam, nie życzę sobie żadnych kłótni między wami. Jasne?

- Przepraszam - powiedziała Paula.

- Ditto - dodał Newman. - Co myślisz o Snyderze? Oczywiście miał nadzieję, że wymkną ci się jakieś informacje, z których mógłby skorzystać. Dureń.

- Ale skąd wiedział o naszej wizycie w Bray? - niepokoiła się Paula.

- Ma wielu informatorów - wyjaśnił Newman. - Niektórych w policji. Do tego nieograniczony budżet. Zaproponował dwie setki funciaków i jeden z policjantów puścił parę. Świat się zmienił.

Tweed przeszedł do następnej sprawy.

- Paula, a ty co myślisz o Snyderze? Opinię Roba już znam.

- Myślę, że jest bardzo bystry - zaczęła - i chyba nigdy nie rezygnuje, jeżeli przypuszcza, że jest na tropie naprawdę wielkiej sprawy. Sądzę, że będzie kontynuował dochodzenie.

- Powiedział kilka rzeczy, które mnie zainteresowały - stwierdził Tweed w zamyśleniu, spoglądając przez okno. - W mojej głowie rodzi się niesamowity obraz.

- Którego zapewne nam nie wyjawisz - uzaliła się Paula. Wstała i wyjrzała przez okno. - Spod ACTIL-u jechało za nami brązowe volvo tylko z kierowcą. Stoi tu nadal.

- Prawdopodobnie Wydział Specjalny - zauważył Newman. - Czy w budynku jest Harry Butler?

- Tak - odparła Monica. - Mam go poprosić?

- Poproś, aby wyszedł i wytłumaczył kierowcy, że czas odjechać.

- Znając Harry'ego, nie chciałabym być w skórze tego faceta - skomentowała Paula.

Harry Butler mierzył jedynie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, ale ramiona miał szerokie i krzepką budowę. Ubrany był zawsze w lichą wiatrówkę, nędzne dzinsy i ciężkie

buciorzy i choć jego twarz rzadko wyrażała uczucia, żaden opryszek nie ośmielił się go tknąć.

Wyszedł z budynku tylnym wyjściem i cicho podszedł do zaparkowanego volvo. Przez tylne okno zauważył przykurczonego mężczyznę z lornetką wycelowaną w okna Tweeda.

- Dobrze, kolego - mruknął do siebie.

Obszedł samochód i stanął tak, aby zasłonić kierowcy widok. Zastukał w szybę. Skurczony facet odjął lornetkę od twarzy i świńskie oczka skierował na Butlera. Opuścił szybę, za którą Harry natychmiast chwycił muskularnymi rękami, aby intruz nie mógł jej z powrotem zasunąć. Wielką prawą dłoń zacisnął w pięść.

- Czego, do cholery, pchasz tu łapy? - warknął kierowca.

- Jaka przyjemna okolica - odparł Harry kordialnie. - Ale nie dla podglądaczy. Pewnie ślinisz się, szpiegując jakąś biedną dziewczynę. Wracaj na East End do dziury, z której wylazłeś. Spływaj.

Kierowca wcisnął guzik, usiłując zamknąć okno, ale potężne ramiona Harry'ego zatrzymały szybę w dole. Kierowca zrezygnował i spojrzał na przeciwnika.

- Zabieraj swoje brudne łapy z *mojego okna* - powiedział.

- Nie należę do cierpliwych - Butler otworzył pięść, pokazując pojemnik z dyszą wycelowaną w twarz kierowcy i kciukiem gotowym do naciśnięcia spustu. - Widzisz to? Gaz łożący. Nacisnę i oczko ci się załzawi, a właściwie oba. Ostatni facet, którego tym poczęstowałem, nie widział przez tydzień. Bardzo go bolało.

- To nielegalne - powiedział kierowca mniej agresywnie, uważnie śledząc palce Butlera.

Ten uśmiechnął się miło.

- No to będziesz świadczył przeciwko mnie, ale najpierw się pomęczysz. Bądź rozsądny. Kluczyk jest w stacyjce. Masz

go tylko przekręcić i odjechać stąd.

- Zapamiętam cię - warknął kierowca.

- Powodzenia. I miej nadzieję, że nie spotkamy się w ciemnej uliczce. A teraz jazda, chłopaczku...

Kierowca nagle szybko przekręcił kluczyk, zwolnił hamulec i wcisnął gaz, starając się przy okazji potrącić Butlera. Harry się tego spodziewał. Zawczasu odskoczył i stanął na chodniku.

Samochód wystartował jak rakieta i na drugim końcu Crescent otarł się o bok mercedesa, po czym oba samochody stanęły. Butler zobaczył, jak mężczyźni wygrażają sobie pięściami.

- Okropni są ci dzisiejsi kierowcy - mruknął do siebie.

- Brązowe volvo odjechało i stuknęło w inny samochód - powiedziała, Paula siadając za biurkiem.

- Tak - skwitował Newman. - Harry ma swoje sposoby. Przypadkiem zauważyłem, że jechało za nami spod ACTIL-u. Widziałem je w lusterku wstecznym, ale nie sądziłem, że warto o tym wspominać.

- Rob - Tweed zagadnął Newmana. - Gdy wychodziliśmy, Arbogast wspomniał, że jednym z gości dziś wieczorem ma być przyjaciel Sophie Black Jack Diamond. Słyszałem już to nazwisko, ale niewiele o nim wiem.

- To cała historia. Nie mogę powiedzieć, abym podzielał gust Sophie w wyborze męskich przyjaciół. Jest zawodowym kobieciarzem i hazardowym graczem w black jacka. Stąd jego przydomek. Zwykł grać w Templeton's, szemranym klubie w Mayfair. Jest zdolny. Wygrał wielkie sumy. Jednej nocy klub musiał posyłać do banku po pieniądze, bo wyczyścił kasę. Przyjechał opancerzonym samochodem i odebrał wygraną. Zarobił tyle, że przebił przetarg i kupił ten lokal. I wtedy od razu skończył z hazardem. Teraz zarządza klubem. Typ atlety. Diamond to jego imię.

- Nie przypuszczam, by Roman Arbogast go aprobował - zauważyła Paula. - A jak się nazywa?

- Arbogast. Jest kuzynem. Co do aprobaty, to nie sędzę, aby Roman miał jakiś wybór. Sophie wygląda na upartą, jeśli chodzi o jej zachcianki...

- Nigdy nie spotkałam tego Black Jacka Diamonda - powiedziała Paula w zamyśleniu.

- I nie pal się do tego - ostrzegł ją Newman. - Jest niebezpieczny. Typowy synek z bogatej rodziny, który myśli, że świat stoi przed nim otworem. Jego wuj Alfred, ojciec Romana, zajął się produkcją pocisków. Roman go potem wykupił, gdy tamten zapragnął korzystać z życia. Stąd A w skrócie ACTIL. Fabryka jest w Ameryce.

- Gdzie dokładnie? - spytał Tweed.

- W Bostonie.

- Panie i panowie, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, czcigodny Russell Straub.

Oczy wszystkich gości siedzących przy stołach w położonej na pierwszym piętrze przestronnej sali Tree Creeper's zwróciły się w stronę drzwi, które z jednej i drugiej strony obstawiło dwóch drabów w szarych garniturach, członków osobistej ochrony prezydenta. Russell Straub w wizytowej marynarce wkroczył rażącym krokiem z uniesionymi rękami, co wywołało burzę oklasków. Stał tak, nie opuszczając rąk, a oklaski trwały.

- Wyciąga z publiki każdą sekundę aplauzu - szepnął siedzący obok Pauli Newman.

- Sza! - napomniała go. - I nie tak się klaszcze.

Newman ze znużeniem lekko uderzał o siebie palcami. Straub stał nadal na szczycie schodów z szerokim uśmiechem na szczupłej twarzy. Nastąpiły kolejne oklaski.

- Przylepił sobie uśmiech do twarzy, więc to jeszcze potrwa - ponownie szepnął Newman.

- Jesteś niemożliwy - odparła Paula z uśmiechem.

Straub był wysoki, szczupły, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Miał błyszczące oczy, złośliwe usta i podbródek świadczący o uporze. Schodząc po stopniach, szeroko rozłożył ręce, jakby starał się objąć zatłoczoną salę.

- Zamierza nas wszystkich ucałować - skomentował Newman.

- Mów ciszej i zamknij się - odparowała Paula.

- Trudno zrobić jedno i drugie jednocześnie.

Straub w eskorcie podążył do stołu u szczytu sali, po drodze podając rękę gościom, którzy wówczas niemal wszyscy wstawali. Jedynym wyjątkiem był Roman Arbogast, który po prostu obrócił się na krześle i wymienił z nim uścisk

ręki. Straub pochylił się i coś do niego powiedział, a Arbogast skinął głową. Wreszcie Straub usiadł, mając Sophie po prawej ręce. Wręczył jej paczkę podaną przez ochronę - prezent zawinięty w gwiaździsty sztandar.

- Bardzo subtelnie - zauważył Newman.

- Trudno się nie zgodzić - dodał ktoś siedzący po lewej stronie Pauli.

Zdumiała się, gdy na karcie wizytowej leżącej przed tym wysokim przystojnym człowiekiem odczytała nazwisko: „Black Jack Diamond”.

- Powinna być Union Jack⁵ - ciągnął - ale czego można się spodziewać po polityku ignorancie.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołała siedząca naprzeciwko Marienetta. - Widzę w menu marylandzkiego kurczaka. Mam nadzieję, że po przebyciu tak długiej drogi jest nadal świeży - zachichotała ponownie wraz z Newmanem i Black Jackiem.

- Nie siedział w chłodni dłużej niż sześć miesięcy - stwierdził Black Jack. - Amerykanie są bardzo dumni ze swych wielkich lodówek. To tam składają polityków, którzy sobie na to zasłużyli. To ich wersja salonu Madame Tussaud.

Popijający wino Newman niemal się zakrztusił, słysząc komentarz Black Jacka. Paula była zakłopotana z powodu uwięzienia między dwoma wsiokami, jak ich określała na własny użytek. Marienetta zorientowała się w jej odczuciach i gdy mężczyzna z jej prawej strony odszedł na chwilę, skinęła na nią i klepnięciem wskazała puste miejsce obok siebie.

Spożyli już dwa dania i goście przeszli do drugiego pomieszczenia przeznaczonego do tańca. Orkiestra grała szybkiego fokstrota. Paula wstała, by przyłączyć się do Marienetty, ale w tej samej chwili podniósł się też Black Jack i dotknął lekko jej ramienia.

⁵ Flaga Wielkiej Brytanii. Formalnie jej nazwa brzmi „Union Flag”, czyli „flaga unijna”, a nazwa „Union Jack” („proporzec unijny”) odnosi się do niej tylko w sytuacji, gdy jest wywieszona jako proporzec na okręcie wojennym. W praktyce Brytyjczycy częściej używają nieformalnego terminu.

- Proszę uczynić mi tę przyjemność i ze mną zatańczyć. To będzie niezwykle przeżycie zatańczyć z tak atrakcyjną i bystrą kobietą.

Paula zawahała się. Miała na sobie czarną suknię do kolan z odsłoniętymi ramionami. Niestety suknia Marienetty była kruczoczarna z pełnymi rękawami i wysokim kołnierzem. Uznała, że nie może odmówić, choć Black Jack pochłonał już wielką ilość wina. Gdy wkroczyli na parkiet, jedną ręką uchwycił jej obnażone ramię, a drugą objął kibić i przyciągnął do siebie.

Gdy sunęli po parkiecie, przyglądała mu się dokładnie. Do jego figury modela nie pasowała wyrazista twarz, gęste i długie włosy, kształtne czoło i dziwnie wielkie oraz sprawiające wrażenie głębi oczy. Miał grube wargi i przypuszczała, że potrafi być okrutny. Jego dłoń coraz zapalczywiej pieściła jej ramię. Uśmiechnęła się.

- Zapewne nie zauważyłeś, ale mam wrażliwą skórę, a uścisk twojej ręki staje się coraz silniejszy.

Natychmiast rozluźnił palce i przysunął twarz do jej twarzy.

- Będę pamiętał, by później być delikatnym jak owieczka.

- Później?

- Tu się robi coras nudniej - odpowiedział, lekko sepleniąc. - Jest tu tylne wyjście. Chodź, a długo będziesz pamiętać wieczór w moim mieszkanku na Eaton Square.

- Chyba nie. Podoba mi się tu.

- Zdradzę ci sekret. Dostałem dziesięć tysięcy funtów za dopiepszenie facetowi, który się nazywa Tweed. To twój boss. Tak? A ty jesteś jego ssekretarką?

- Można tak powiedzieć. Co to za dowcip o dopieprzeniu Tweedowi?

- Wchodzi w drogę kilku ważnym ludziom. Kiedy powiem mu parę słów, nie będzie mógł chodzić przez tsy

miesiące. Bądź dobrą dziewczynką i wskaż go, gdy wrócimy na balangę.

Paula wypła tylko jeden kieliszek wina i teraz trzęsa się wewnątrznie ze zdenerwowania. Jej umysł pracował na pełnych obrotach. Jak znaleźć wyjście z tej idiotycznej sytuacji? Czy mówił serio? Widziała, że jego dziwne oczy starają się wyczytać jej reakcję z jej oczu.

- Zrobię, co będę mogła - odrzekła.

Wkrótce wrócili do restauracji. Obejrzała się i spostrzegła, że Black Jacka zajęła rozmową młodziutka blondynka odziana bardziej do łóżka niż na przyjęcie. Pospieszyła na swoje miejsce przy stole i nikt poza Newmanem nie spostrzegł, jak zręcznie ukryła w dłoni i zgarnęła ze stołu kartę z jego nazwiskiem. Pochylił się w jej stronę.

- Coś się dzieje? - spytał spokojnie.

Wśród brzęku szklanek i głośniejszej paplaniny nikt chyba nie mógł ich usłyszeć. Pochyliła się do jego ucha.

- Black Jack powiedział mi, że dostał dziesięć tysięcy funtów za porządne pobicie Tweeda. Ale chyba nie potrafi go rozpoznać. Zamierzam wskazać mu ciebie.

- Dobrze. Zapanuję nad sytuacją.

Tweed siedział obok Romana Arbogasta. Popijał kawę, gdy stanęła obok niego i szepnęła:

- Gdy będziesz wychodził, pilnuj, by Newman był obok ciebie. To sprawa bezpieczeństwa.

Arbogast, który rozmawiał z kobietą siedzącą po jego lewej stronie, odwrócił się w stronę Pauli i przed nosem Tweeda wyciągnął łapsko w jej stronę. Podała mu rękę, którą serdecznie uściskał i z uśmiechem powiedział:

- Jeżeli kiedykolwiek znudzi się pani spędzanie czasu z tym Einsteinem, proszę umówić się ze mną. Spotykam tak

niewiele atrakcyjnych kobiet obdarzonych taką inteligencją jak pani.

- Mam nadzieję, że po spotkaniu ze mną nie zmieniłby pan tej pozytywnej opinii - odparła z uśmiechem i wycofała się szybko.

Wiceprezydent pochylił się przez stół, a jego zimne oczy spoczęły na Tweedzie. Wszyscy czekali na to, co powie.

- Pan Tweed, jak sądzę - zaczął Straub. - Czym się pan zajmuje?

- Skoro zna pan moje nazwisko... - Tweed zrobił pauzę i dokończył szorstko: - to oczywiście wie pan, co robię, więc jaki jest cel pańskiego pytania? - powiedział głośno, niemal z wściekłością.

Paula była zdumiona, gdyż rzadko słyszała, by mówił tak agresywnie. Na twarzy wiceprezydenta pojawił się przelotny grymas wściekłości, lecz polityk wziął w nim górę.

- Panie i panowie, mamy tu lwa, który jest gotów kąsać. Cóż, spotykałem takich ludzi przez całe życie i teraz ku swemu zmartwieniu trafiłem na kolejnego. - Podniósł kieliszek. - Chcę zaproponować kolejny toast na cześć pięknej Sophie w jej trzydzieste urodziny. Wszystkiego najlepszego, moja droga...

Paula wróciła do stołu i zajęła miejsce, na które wcześniej zaprosiła ją Marienetta. Bratanica Romana mówiła cicho, więc Paula bez obawy mogła prowadzić z nią pogawędkę.

- Twój szef musiał trafić w dziesiątkę. Wielokrotnie widziałam Strauba w telewizji i raczej nic go nie wytrącało z równowagi.

- Prosił się o to.

- Na pewno. Och, moja droga Sophie zamierza wygłosić mowę. Jest porządnie podpita, trzymaj za nią kciuki. Kilka dni temu wróciła ze Stanów i myślę, że jeszcze nie oprzytomniała.

- Także tam jeździsz?

- Od czasu do czasu. Sophie tam lata o wiele częściej. Mamy tam fabrykę, dlatego...

Sophie stała blisko wielkiego winobluszczu rosnącego w olbrzymiej donicy. Falistym ruchem ręki trzymającej częściowo opróżniony kieliszek zdawała się namaszczać słuchających. Szmer przeszedł po sali. Zaczęła mówić:

- Chcę wam wszystkim podziękować... Chcę wam podziękować. Chcę wam podziękować...

- Płyta się zacięła - szepnęła Marienetta.

- ... podziękować za najcudowniejsze przyjęcie urodzinowe, jakiego kiedykolwiek doś... doś...

- ... doświadczyłam - szepnął Tweed, pochylając się przez stół w jej stronę.

- ... kiedykolwiek doświadczyłam. - Uniosła kieliszek. - Trzykrotnie zdrowie Tweeda. A przede wszystkim jestem bardzo zaszczycona obecnością wiceprezydenta, to znaczy następnego po prezydencie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, który jest najbardziej dostojnym gościem, jakiego mogłam mieć nadzieję mieć. Później otworzę swoje prezenty, ale wszystkim wam dziękuję za taką wielką szczodrość. Wszystkich was błogosławię.

Gdy opadła na fotel, rozległy się gromkie, trwające dwie minuty oklaski. Marienetta pochyliła się jeszcze bliżej do Pauli, tak blisko, że Paula czuła zapach bardzo drogich perfum.

- Tweed ją ocalił. Dzięki niemu pociągnęła dalej. Powinien to zrobić Straub, który miał jej pomagać. Teraz się uśmiecha, skurczybyk.

- Masz bardzo dobrych słuch - skomentowała Paula. - Ja ledwie słyszałam, co Tweed jej powiedział.

- Ktoś mnie nazwał kiedyś specjalistką od słuchania, że niby usłyszę uderzenie piłeczki pingpongowej wrzuconej do

morza. To cecha rodzinna. Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę? Poczęstujesz się?

- Tak, proszę. To jedna z moich rzadkich przyjemności.

Gdy Marienetta wyciągnęła wysadzaną kamieniami zapalniczkę, Paula spytała:

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tego pytania dzisiejszego wieczoru, ale co Holgate mógł robić po zapadnięciu zmroku w tak odległym miejscu jak Bray?

- Nie, nie wezmę. Stryj rozważał to i nie doszedł do żadnego wniosku. Adam nie był zbyt popularny wśród personelu, ale ja uważam, że był czarujący.

- Ktoś mi powiedział, że macie wielki stary dom nad rzeką w pobliżu miejsca, gdzie to się zdarzyło.

- Opactwo Grange. Roman prawie tam nie jeździ. Kupił je na prywatne konferencje, ale potem przestało mu się podobać. Byłam tam tylko raz i też mi się nie podobało.

- Czy ktoś się nim opiekuje?

- Teraz nie. - Marienetta pokręciła głową. - Mieliśmy tam kilku zarządzających, ale odchodzili jeden po drugim. Teraz nie ma tam nikogo. Dom stoi pusty.

Więc kto był tam w noc morderstwa? - zastanawiała się Paula.

Straub wyszedł ze swą ochroną i przyjęcie powoli dobiegało końca. Paula już wcześniej zaczęła wałęsać się w pobliżu drzwi prowadzących do sali tańca. Gdy pojawił się Black Jack, ruszyła do przodu i wskazała na plecy Newmana.

Tweed, zajęty rozmową z Arbogastem, wychodził jako jeden z ostatnich, a Newman trzymał się blisko niego. Paula zauważyła Black Jacka wkładającego płaszcz i ruszającego za nimi. Noc była chłodna i zanosilo się na deszcz. Newman stanął samotnie, niedaleko miejsca, gdzie Tweed oczekiwał na pojawienie się taksówki.

Paula została obok wejścia. Black Jack zapalił papierosa. Był to idealny moment do przeprowadzenia ataku, lecz ku zdziwieniu Pauli dawny hazardzista poczekał, aż wyszła, i podszedł do niej.

- Chodź ze mną na drinka. Możemy pójść do Marino's, w bok od Piccadilly.

- Dziękuję, ale jestem zbyt zmęczona, by wybrać się gdziekolwiek poza domem.

- Może innego wieczoru? Jutro? Pojutrze? Daj się namówić. - Przytrzymał ją za ramię.

- Nie sądz, że ta dama jest tobą zainteresowana - rzekł Newman, podchodząc.

- Ach, to szanowny pan korespondent zagraniczny - zadrwił Black Jack. - Z prawdziwą przyjemnością spotkam się z tobą - zwrócił się ponownie do Pauli.

Podszedł Tweed.

- Ma na dzisiaj dosyć wszelkich spotkań. Więc dlaczego nie wybierze się pan sam do domu?

- Pomyślałem, że Paula chciałaby się dowiedzieć, co stało się z Adamem Holgate'em. Nie ma tego w „Daily Nation”, w długim artykule Sama Snydera. - Z kieszeni prochowca wyciągnął złożoną gazetę, rozpostarł ją i pokazał Tweedowi pierwszą stronę.

Od góry biegły wielkie litery tytułu: „DRUGIE CIAŁO BEZ GŁOWY ZNALEZIONO W BRAY. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych z wizytą w Londynie”. Black Jack zachowywał się serdecznie i nie wyglądało na to, by miał zamiar kogokolwiek atakować. Tweed wziął podaną przez niego gazetę i szybko przebiegł wzrokiem artykuł. Spojrzał na Black Jacka.

- Skąd pan wziął ten egzemplarz?

- Jeden z gości siedzący w tyle sali miał ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza. Powiedział mi, że w pobliżu

przed zamkniętym kioskiem leży paczka gazet.

- To numer jutrzejszy, lub raczej dzisiejszy, bo przecież jest już po północy.

- Powiedział pan, że wie coś o Holgacie. - Tweed spojrzał na niego. - Oczywiście żartuje pan.

- Nigdy w życiu nie byłem równie poważny. - I znowu zwrócił się do Pauli: - Oferta jest nadal aktualna. Jeżeli pójdziesz ze mną na drinka, powiem wszystko, co wiem. Coś ciekawego o tym, co stało się z biednym czortem. Był miły, ale uparty. Zadzwoń do ciebie, jeżeli dasz mi swój numer.

Za plecami Black Jacka Tweed skinął w stronę Pauli głową. Zawahała się, po czym podała mu wizytówkę. Była na niej fikcyjna przykrywkowa firma General & Cumbria Assurance Company z numerem drugiego telefonu Moniki, przeznaczonego do rozmów zewnętrznych.

- Niech będzie o siódmej pojutrze - zdecydowała. - W Marino's.

- Dryndnę - odpowiedział i odszedł wielkimi krokami w mżawkę.

Wsiedli razem do zatrzymanej przez Newmana taksówki. Tweed podał adres na Park Crescent i zamknął szklaną przegrodę, by kierowca nie mógł słyszeć ich rozmowy. Zauważył wyraz twarzy Pauli. Siedziała na składanym siedzeniu naprzeciw niego.

- Jaką rozgrywkę, u diabła, planujesz? - zaczęła. - Teraz Black Jack był w porządku i zachowywał dobre maniere, ale nie widziałeś go przedtem, gdy tańczyliśmy.

- Nie widziałem - przyznał Tweed ze spokojem.

- Po pijanemu zachowywał się jak zwierzę. A teraz chcesz, bym sama poszła z nim do baru na drinka. Jego gadanie, że coś wie o Holgacie, to prawdopodobnie bajka.

- Jestem skłonny przyznać ci rację - wtrącił Newman. - To zapewne największy łgarz w całym mieście. Poza tym

mówił jakieś głupoty o tym, że dostał od kogoś dziesięć tysięcy za solidne pobicie Tweeda. Powiedział to, aby przyciągnąć uwagę Pauli. Po wyjściu na zewnątrz był miły, że do rany przyłożył.

- Mogę? - spytał Tweed spokojnie. - Przyglądałem się mu, gdy mówił, że wie coś o Holgacie. Wydaje mi się, że wyczuwam, gdy ktoś kłamie. Nie sądzę, by on kłamał. Może mieć jakieś ważne informacje. To typ faceta, który potrafi sobie radzić. Paula, jeżeli ten pomysł ci nie odpowiada, to zrezygnujemy z niego i nie odbierzesz od niego telefonu.

Kierowca taksówki był świadom ich słownego starcia. Newman zobaczył we wstecznym lusterku, że wpatruje się w niego, ale gdy ich spojrzenia się spotkały, uciekł wzrokiem. Paula uspokoiła się i w zamyśleniu spojrzała na Tweeda.

- Mógłbym pójść z nią do Marino's - zasugerował Newman.

- Nie da się - odparła Paula. - Chce dziewczynę na drinka. Wtedy i tylko wtedy może coś powie.

- Oboje zastanówcie się nad tym - zaproponował Tweed. - Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że głupio podałem Park Crescent jako miejsce docelowe. Najpierw odwieziemy Paulę do domu na Fulham.

Pochylił się do przodu, by odsunąć przegrodę i zmienić dyspozycje dla kierowcy, kiedy zadzwonił telefon Pauli. Począł, dając jej czas na udzielenie odpowiedzi. Rozmowa była krótka. Odłożyła aparat i spojrzała na Tweeda.

- Podałeś właściwy adres. To była Monica. Prosiła, byśmy przyjechali do biura. Coś się zdarzyło, ale nie chciała mówić przez telefon.

Newman westchnął i uśmiechnął się krzywo.

- Wygląda mi to na następny kryzys. Czuję, że to będzie długa, bezsenna noc.

- Dzwonił profesor Saafeld - powiedziała Monica, gdy tylko Tweed z resztą weszli do biura. - Poprosił, abyś się z nim skontaktował niezależnie od pory dnia albo nocy.

- Połącz mnie z nim - odparł Tweed, gdy Paula odbierała jego płaszcz. - Tu Tweed - zaczął, usłyszawszy głęboki głos Saafeld'a.

- Wie pan, przypadkowo uczestniczyłem w konferencji patologów w Ameryce.

- Tak.

- Kupiłem tam „International Herald Tribune”, gdzie znalazłem długi artykuł o morderstwie w Pinedale...

- Wiem. Newman wspomniał mi o nim dziś rano. Przeczytałem.

- Więc zwrócił pan uwagę, że sekcję zwłok ofiary, niejakiego Hanka Foleya, przeprowadził jeden z najlepszych ekspertów aż z Bostonu, doktor Ramsey. Tak się składa, że się znamy. Wszystko to zdarzyło się przed kilkoma dniami. Zadzwoiłem do Ramseya i porównaliśmy notatki. W rezultacie przesłał mi kopie zdjęć i prześwietlenia rentgenowskie. Przyszły dziś wieczorem. W odpowiedzi przesłałem mu kopie fotografii zrobionych przeze mnie.

- Więc?

- Nie mogę się upierać, bo nie ja robiłem sekcję Foleya, ale przyjrzałem się zdjęciom przysłanym przez Ramseya i jestem prawie pewien, że do odcięcia jego głowy także użyto topora. Jedno potężne cięcie tuż pod podbródkiem i pod tym samym kątem.

- Więc jaki stąd wniosek? - naciskał Tweed.

- Ostre jak brzytwa ostrze miało dokładnie taką samą szczerbę i w tym samym miejscu co ostrze, którym odcięto głowę Holgate'a. Czy ma pan silne szkło powiększające?

- Tak. Bardzo podobne do pańskiego. W dziale jajogłowych na dole w przyziemiu.

- Czy chce pan, abym przysłał panu tamte zdjęcia?
- Tak, proszę. I dziękuję za pomoc...

Telefon zamilkł. Profesor Saafeld nie marnował czasu na czcze gadanie. Tweed odłożył słuchawkę i powtórzył otrzymane od niego informacje.

- Kolejny seryjny morderca? - zadrwił Newman. - Raz nad brzegiem Tamizy i raz tysiące mil stąd, po drugiej stronie Atlantyku? To wygląda cholernie nieprawdopodobnie.

- To nieprzypadkowy seryjny morderca - zaproponował Tweed. - Coraz bardziej wydaje mi się, że coś łączy te zabójstwa. Trzeba było uciszyć ofiary, gdyż poznały jakąś wielką tajemnicę.

Tego wieczoru Tweed wrócił do biura o siódmej. Oprócz Moniki czekali na niego także Paula z Newmanem. Na biurku ujrzał paczkę ze zdjęciami i wielkie urządzenie powiększające.

- Oparłam się chęci otwarcia koperty - powiedziała Paula.

- Mam nadzieję, że to nie ty przyniosłaś ten przyrząd z piwnicy. Waży chyba z tonę.

- Poprosiłam Freddiego. Wiesz, że jest silny jak słoń. Chce sam zobaczyć fotografie, co nie oznacza, że ma jakiś klucz do rozwiązania sprawy.

- Otwórz tę paczkę, bo widzę, że umierasz z ciekawości.

Usiadł za biurkiem, a ona zaczęła mocować się z pakunkiem.

Gdy wreszcie ukazało się kartonowe pudełko, podważyła wieczko. Zgodnie ze zwyczajem Saafeld'a fotografie były włożone w plastikowe koperty, aby je dodatkowo ochronić, a zwłaszcza zdjęcia rentgenowskie. Tweed wybrał najlepsze fotografie szyi Foleya i Holgate'a. Były nie tylko najlepsze, lecz także najbardziej przerażające. Potem poprosił Monicę, aby wezwała z przyziemia Freddiego.

Rychło się zjawił. Mocno zbudowany, mierzący ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, z surowym, zawsze takim samym wyrazem twarzy. Tweed podał mu dwie fotografie, jedną Foleya na lepszym papierze i drugą Holgate'a, zrobioną przez Saafeld'a.

- Freddie, to ściśle tajne. Żadnych plotek na ten temat tam na dole.

- Nigdy nic im nie mówię.

- Czy dasz radę ustawić tę płytę tak, abyśmy mogli obejrzeć je razem?

Freddie włożył wielką płytę w uchwyt, ostrożnie umieścił na niej fotografię i patrząc przez drugi obiektyw, dobrał położenie. Potem się cofnął.

- Co o tym myślisz? - spytał Tweed. - Oba kikuty są równo ucięte, ale przynajmniej na jednym widać wystrzępienie. Jakby użyte ostrze miało szczyrbę.

- Proponuję, panie Tweed, aby pan sam się temu przyjrzał. Tweed spojrział w obiektyw. Przez kilka minut dokładnie studiował obraz. Potem wyprostował się i odwrócił w stronę Pauli.

- Teraz twoja kolej.

- Boże! - wykrzyknęła od razu, lecz nadal wpatrywała się w obiektyw.

Choć w środku trzęsła się ze zdenerwowania, zmusiła się do dalszego oglądania zdjęć. Po wyprostowaniu się skinęła głową Tweedowi i Newman spojrział w obiektyw ze sceptycznym wyrazem twarzy.

- Freddie - spytał Tweed - jaka jest twoja opinia?

- Pasuje doskonale. Ten jegomość - wskazał na zdjęcie kikuta szyi Foleya - miał cieńszą szyję. Ale i w tym przypadku musiało to być ostrze topora. Ktokolwiek je wykonał, musiał mieć wielką siłę. Zwłaszcza aby wykonać tak równe cięcie.

Jak na Freddiego było to bardzo długie przemówienie. Tweed mu podziękował i Freddie wyszedł, a to, co widział i usłyszał, będzie zamknięte w jego głowie jak w najlepszym sejfie. Newman się wyprostował.

- Rzeczywiście widzę to, o co wam chodzi.

- Brawo dla ciebie - mruknęła Paula.

Przez następne pół godziny oglądali uważnie zdjęcia rentgenowskie przysłane z Bostonu. Paula przyniosła z przyziemia lampę pozwalającą na regulowanie natężenia światła. Fotografie potwierdziły istnienie szczyrby na toporze.

Gdy Paula ostrożnie je pakowała z powrotem do pudła, zadzwonił telefon.

- To znowu nadinspektor Buchanan - powiedziała Monica.

- W czym mogę ci pomóc, Roy?

- To raczej ja mogę ci pomóc. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, iż od definitywnego odsunięcia od sprawy podpowiadam ci czasami, co sam bym zrobił.

- Słucham.

- Rozmawiałem z wyjątkową kobietą, która już kiedyś pomogła mi znaleźć mordercę. Wyczuła, że to był ktoś, kogo w ogóle nie brałem pod uwagę, i miała rację. To pani Elena Brucan. Przeliteruję...

- Brzmi cudzoziemsko - skomentował Tweed po zapisaniu nazwiska.

- Pochodzi z Rumunii. Dość długo stała wczoraj przed budynkiem ACTIL-u i wyczuła, że dzieje się tam coś niedobrego.

- Jest spirytystką? - spytał Tweed bez entuzjazmu.

- Nie, nie jest. Nigdy w życiu nie uczestniczyła w seansie. Ma doskonałe wyczucie ludzi. Żadna strata spotkać się z nią. Czy mogę podać jej wasz adres, oczywiście używając General & Cumbria Assurance?

- Czy jest w Londynie?

- Tak. Wynajmuje mieszkanie niedaleko mnie. Czy odpowiada ci, powiedzmy, dzisiaj jedenasta?

- Tak, może być.

- Mam jeszcze kogoś, kogo wykorzystywałem nieoficjalnie, i mogę ci podesłać.

- Kto to? - spytał Tweed, starając się ukryć irytację.

- Doktor Abraham Seale, bardzo znany profiler⁶. Pomógł mi w innej sprawie. Odkrył barona narkotykowego, którego

⁶ Specjalista przygotowujący charakterystyki ogólne i psychologiczne przestępców.

uważałem za godnego szacunku maklera giełdowego. Odpowiada ci jutro o trzeciej po południu?

- Zgoda. Dzięki, Roy, za próby pomocy. Jesteś w domu?

- Tak. Gdybym dzwonił z Yardu, prawdopodobnie moja rozmowa byłaby monitorowana.

- Co? Wydaje mi się to niewiarygodne, biorąc pod uwagę to, kim jesteś.

- Dzieje się jeszcze więcej - odchrząknął Buchanan bez śladu wesołości. - Przyjdź do mnie do domu, to w drzwiach frontowych zobaczysz niewielkie zarysowania na moich obu zamkach. Wzbudziło to moją czujność, więc przed tym telefonem sprawdziłem aparat. Ktoś mi wmontował pluskwę nie większą od główki szpilki. Przykleił ją. Wyrzuciłem, nim do ciebie zadzwoniłem. Jestem pewien, że to przyjacielska wizyta Wydziału Specjalnego. Przeczesałem resztę domu, ale nic więcej nie znalazłem.

- Nie powinieneś poinformować komisarza?

- Co by to dało? Za jego zgodą mógłbym dotrzeć do ministra spraw wewnętrznych, a to bez wątpienia on rozciągnął wokół mnie sieć. Być może również wokół ciebie. Przykro mi, że tak późno przekazuję ci denerwujące wieści, a może tak wcześnie.

- Ponownie dziękuję, Roy. Wielkie dzięki za pomoc.

- Pilnuj się i śpij dobrze. Mam nadzieję...

Tweed odłożył słuchawkę i poinformował Paulę i Newmana o spotkaniach. Newmana diabli wzięli.

- O Boże! Tylko tego nam brakowało. Spirytystka i profiler. Przecież nie lubisz takich.

- Tak - odparł Tweed. - Dowiadujesz się, że morderca jest w wieku między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat, jest białym mężczyzną i wykonuje jakąś służebną pracę. Wszystko to prowadzi donikąd.

- Byłam raz na wykładzie doktora Abrahama Seale'a - odezwała się Paula. - Poszłam nastawiona bardzo sceptycznie, ale zrobił na mnie wrażenie. Choć jest nieco dziwny, ma bardzo bystry umysł i wyostrzone zmysły.

- Nie możemy czekać - rzucił Newman.

Tweed opowiedział im o tym, co Buchanan znalazł w domu. Paula spojrzała zdumiona. Newman ponownie wybuchnął:

- Zamieniają Brytanię w państwo policyjne. Ale to nie wina policji. Mój nos wyczuwa, że to sprawka Wydziału Specjalnego.

Na te słowa wszedł jak zwykle elegancki Marler. Chyba nikt tu nie sypia, pomyślał Tweed, a Marler jak zwykle oparł się o ścianę obok biurka Pauli i zapalił długiego papierosa.

- Pewnie masz rację, Rob - zauważył charakterystycznym dla sfer wyższych tonem Marler. - Włóczyłem się tu i tam i rozmawiałem z moimi informatorami. Nie chcieli mówić za żadne pieniądze. Niewykluczone, że przyjaciele z Wydziału Specjalnego znają moich ludzi, z wyjątkiem jednego. Zbirowi w szarym garniturze, który podszedł do niego, kazał się odpieprzyć. To Cockney oczywiście. To on przekazał mi nowinę, która rozeszła się pocztą pantoflową, że każdego, kto nie będzie trzymał gęby na kłódkę, zamkną za posiadanie narkotyków.

- To wszystko - zauważył Tweed - potwierdza moje podejrzenia, że w sprawę Holgate'a jest zamieszany ktoś bardzo wysoko postawiony, a przynajmniej jest nią zainteresowany. Mamy jutro wiele do zrobienia.

- A ja mam jeszcze umówionego na jutro drinka z Black Jackiem w Marino's - przypomniała Paula.

- Ale chyba nie w pojedynkę? - spytał Marler.

- Zupełnie sama.

- Pójdę z tobą - powiedział Marler. - To znaczy będę się dyskretnie przyglądał. Black Jack jest znany ze znęcania się psychicznego i fizycznego nad kobietami.

Tweed zauważył w spojrzeniu Pauli wyraźną dezaprobatę. Słusznie uważała, że jako starszy oficer potrafi zatroszczyć się o siebie. Nie chciała żadnej niańki.

- Dziękuję, Marler, za propozycję - powiedział Tweed - ale myślę, że Paula może pójść sama. Monica, wychodzisz z nami.

- Nie jestem zmęczona i mam jeszcze masę roboty.

- Robota poczeka tu na ciebie i szybciej sobie z nią poradzisz, jeżeli dobrze się wyśpisz. To rozkaz.

Paula wstała, podeszła do okna i odsunawszy zasłonę, spojrzała w noc. Zaciągnęła ją z powrotem i odwróciła się.

- Myślę, że powinniście wiedzieć, że teraz zza kierownicy dużego szarego forda patrzy tu jakiś facet przez lornetkę polową.

Newman podskoczył i klasnął.

- Zróbmy małe ćwiczenie i ruszmy go, nim wszyscy stąd wyjdziemy. Wy wyjdźcie tyłem, a ja przez frontowe drzwi.

We własnej sypialni Paula zapadła w głęboki sen. Ale dręczył ją kolejny koszmar. Roman Arbogast zbliżał się do niej z twarzą przypominającą ohydną maskę, jak na drugim obrazie Marienetty.

Odsuwała się od niego, ale wciąż stała w tym samym miejscu. Sięgnęła po browninga 32 do specjalnej kieszeni w torbie przewieszanej przez ramię i uświadomiła sobie, że broni tam nie ma. Gdy podnosił topór prawą ręką, obudziła się z krzykiem, cała zlaną potem. Sprawdziła czas. Była trzecia rano. Wstała.

- Do diabła z tym, brałam prysznic przed pójściem do łóżka, a teraz przydałby się drugi...

Tweed nie próbował usnąć. Oparty o poduszki, z ramionami za głową, analizował zdarzenia. Bez żadnego teoretyzowania. Tylko fakty. Czuł się, jakby wrócił do dawnej roli szefa Wydziału Zabójstw Scotland Yardu. Dwa odcięcia głów: Hanka Foleya w Maine i Adama Holgate'a w pobliżu Bray, zostały przeprowadzone tą samą bronią, prawdopodobnie toporem. Świadczą o tym dwie fotografie i zdjęcia rentgenowskie przysłane przez Saafeld'a. Logicznie można więc sądzić, że topora użyła ta sama osoba.

Arbogastowie byli dziwną rodziną. Roman wyglądał na statecznego, choć szorstkiego. Sophie chyba nie odziedziczyła jego spokoju. Ulegała zmiennym nastrojom. Czasami ponuro agresywna, kiedy indziej beztrosko żywiołowa, jak na przyjęciu urodzinowym.

Marienetta. Błyskotliwa, z łatwością formułowania myśli. Wysublimowany smak i szerokie zainteresowania: malarstwo, rzeźba, a do tego administrowanie olbrzymim ACTIL-em. Miał wrażenie, że Paula się z nią zaprzyjaźniła. Byłoby zabawne, gdyby to kobieta rozwiązała tę zagmatwaną tajemnicę.

Black Jack Diamond. Do jakiego wzorca można go dopasować? Pochodzi z bogatej rodziny, czarna owca. Ale wybił się. Niezrównoważony w sprawach dotyczących kobiet, tylko czy to ma jakieś znaczenie? Na razie ofiarami byli mężczyźni.

Czyżby przypadkowy seryjny morderca na wolności? Tweed odrzucił ten pomysł. Instynkt podpowiadał mu, że między zabójstwami istnieje związek, choć na pozór wyglądało to niewiarygodnie. Pielęgniarka w Maine i ekspert od spraw bezpieczeństwa w Londynie. Uczepił się myśli, że te sprawy się łączą.

Russell Straub. Wściekły wzrok, jakim poczęstował go przez stół podczas przyjęcia. Niebezpieczny człowiek, jeżeli

wejść mu w drogę. Oczywiście! Tweed usiadł na łóżku. Wiceprezydenta coś przestraszyło. A może ktoś? Ale co? Kto? Dlaczego?

Broden. Zbyt mało o nim wiedział. Broden większość przemyśleń zachowywał dla siebie. Kim był, nim zaczął pracować w ACTIL-u? Muszę to sprawdzić. Wielokrotnie w trakcie jego kariery to charaktery osób podpowiadały mu, kogo powinien śledzić. Czasami rezultaty były zdumiewające.

Sam Snyder. Trudny przypadek do rozgryzienia. Jako reporter szczywany lis. Ale kiedy oglądał obraz Turnera, traktował Paulę z wielką kurtuazją. Wówczas na jego twarzy jastrzębia pojawiły się błyski łagodności i uprzejmości, a głos mu wyraźnie zmiękł. W ciągu minuty zmienił osobowość. Mężczyźni i kobiety są tak skomplikowani, pomyślał Tweed.

Czy kogoś opuścił w swym przeglądzie postaci uwikłanych w ten ponury dramat? Nikogo więcej nie mógł sobie przypomnieć i zapadł w głęboki sen.

Gdy następnego ranka schodził na ulicę po śliskich stopniach, w drzwiach swego domu pojawiła się jego nowa sąsiadka, atrakcyjna i inteligentna wdowa pani Champion. Spojrzała w jego stronę i obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Czy nie szkoda, panie Tweed, że nigdy nie starcza nam czasu na spokojną pogawędkę? O sytuacji na świecie i różnych rzeczach mniej ważnych. Teraz ruszam do pracy.

- Tak, szkoda. Może któregoś wieczoru...

Przerwał, gdyż na ulicy pojawiła się pusta taksówka. Zatrzymał ją dla niej. Podziękowała kolejnym ciepłym uśmiechem, wsiadła i zamknęła drzwi. Patrzył za nią, jak odjeżdżała. Był już bliski zaproszenia jej gdzieś na obiad, gdy nadjechała kolejna taksówka. Zatrzymał ją, wsiadł i zamówił kurs na Park Crescent. Nagle przypomniał sobie o dwóch osobach, które mają go dzisiaj odwiedzić, i o swoich

wnioskach z wczoraj. Tak, pani Champion jest jedną z tych osób, które zapomniał wziąć pod uwagę.

- Mamy następne kłopoty - poinformował go Newman, gdy tylko wszedł do biura.

- Wielkie dzięki - powiedział Tweed, gdy Monica pomagała mu ściągnąć płaszcz. Usiadł za biurkiem i spojrzał na siedzącą na swoim miejscu Paulę. - O co chodzi? - spytał.

- Dzwonił profesor Saafeld. Ja odebrałam. Wściekał się. Przez całą noc za jego domem parkował samochód z jakimś facetem za kierownicą. Z rana dobijał się do niego, by spytać, co tam, u diabła, robi. Kiedy postraszył wezwaniem policji, kierowca niechętnie pokazał legitymację oficera Wydziału Specjalnego. Potem odjechał.

- Widać zaciskają się wokół nas wszystkich - odparł Tweed z wyrazem satysfakcji - ale wciąż przypadkowo się zdradzają. Jakaś wielka sprawa denerwuje rząd. Dobrze spałaś, Paulo?

Po krótkim wahaniu opowiedziała mu o koszmarach, które ją przebudziły. Stwierdziła, że problemem jest zbyt pobudzenie umysłu.

- To okropne malowidło Marienetty jest rzeczywiście straszne. Ale coś innego przyszło mi na myśl, gdy drugi raz brałam prysznic. Ten epizod, przemówienie Sophie...

- Była zalana - wtrącił Newman.

- Nie była - odparła Paula. - O to właśnie chodzi. Przez cały czas miałam na nią oko i widziałam, że poza wodą niemal nic nie piła.

- Daj spokój - zaprotestował Newman. - Piła kieliszek za kieliszkiem.

- Tak tylko wyglądało - upierała się Paula. - Ale gdy nikt przy stole na nią nie patrzył, niemal wszystkie drinki wylewała do donicy za sobą, jednej z tych z winobluszczem.

Nie jest głupia. Ale podczas przemówienia udawała wstawioną. Dlaczego?

- No powiedz.

- Choć przez całe przyjęcie gawędziła, jej zimne, szare oczy metodycznie omiatały salę, sprawdzając, kto jest obecny.

- Przedstawiasz nam całkiem odmienny obraz Sophie - powiedział Tweed w zamyśleniu. - Byłem w jej pobliżu i nie zauważyłem tego.

Zadzwonił telefon. Monica odebrała i zwróciła się do Tweeda:

- Pani Bručan czeka na dole na spotkanie z tobą.

- Miała przyjść o jedenastej.

- Jest jedenasta - powiedziała Paula. - Przyszedłeś dziś późno.

- Powiniennem się zorientować. Pani Champion, moja nowa sąsiadka, wychodziła w tym samym czasie. O wpół do jedenastej wychodzi do swej firmy projektowania mody.

- Tweed - powiedziała Paula, oglądając pióro, które obracała w palcach. - To ta raczej ładna wdowa, która machała do nas, gdy jedliśmy któregoś wieczoru razem? Powinieneś naprawdę ją gdzieś zaprosić.

- Pani Bručan jest pierwsza na dzisiejszej liście.

- Dama zdolna do przewidywania przyszłości - zauważył Newman szyderczo.

Do pokoju wszedł Marler w nowym szarym garniturze w drobną kratkę, świeżej koszuli i krawacie Chanel. Przeszedł przez pokój, by oprzeć się o ścianę w pobliżu biurka Pauli, i wyciągając papierosa, powiedział do Newmana:

- Jeżeli potrafi zobaczyć to, co się zdarzy, to może wytypuje mi numery na przyszłotygodniową loterię.

- Będzie to tylko strata czasu - stwierdził zde gustowany Newman.

- Poczekaście z oceną do spotkania z nią - poradził Tweed. - No dawaj ją tu, Monico.

Po wyjściu Moniki wszystkie oczy skierowały się ku drzwiom. Wszyscy byli ciekawi, co też za osoba się w nich ukaże.

Po wejściu Eleny Brucan Paula wstrzymała oddech. To ona wczoraj obserwowała siedzibę ACTIL-u. Niska, pod sześćdziesiątkę lub nieco starsza. Nadal była w jasnozielonym płaszczu i futrzanej czapie, ale Tweeda zaintrygowała przede wszystkim jej twarz. Spod ciemnych brwi spoglądały wielkie, uważne, niemal czarne oczy, poniżej których widniał sporych rozmiarów nos, szerokie usta i podbródek świadczący o silnym charakterze. Jej uśmiech był ciepły i promienny, a ruchy zwinne. Coś w jej wyglądzie stłumiło rozmowy i w pokoju zapadła cisza.

Tweed wstał, podobnie jak Newman, i przedstawił ją Pauli, którą zadziwiła siła jej uścisku dłoni.

- A to jest Marler.

Podeszła do niego.

- Pierwszy raz noszone - wskazała na ubranie.

- Rzeczywiście.

- Jest pan bardzo życzliwym człowiekiem.

Za jej plecami Newman spojrział na sufit ze szczerym niedowierzaniem. Natomiast Paula przyznała Elenie rację. Wiedziała, że Marler potajemnie pomaga wielu ludziom.

- A ten to gangster - powiedział Marler, wskazując na Newmana.

Newman miał na sobie dżinsy, rozpiętą pod szyją koszulę i marynarkę, którą narzucił tuż przed wejściem gościa. Elena podeszła do niego i wciąż się uśmiechając, podała mu rękę. Odwróciła się przez ramię w stronę Marlera i pokręciła głową.

- On potrafi radzić sobie z gangsterami. Jest okropny, ale ludzki i bardzo uczciwy. Zawierzyłabym mu własne życie.

- Proszę, niech pani usiądzie - powiedział Tweed, wymieniając z Eleną uścisk ręki. Był ciekaw, czy usłyszy od niej coś istotnego. - I proszę nie próbować analizować mojej osobowości. W obecności moich pracowników byłoby to dość kłopotliwe. Nadinspektor Buchanan twierdził, że może pani mieć dla nas jakieś informacje.

- Wielu w to nie wierzy, ale urodziłam się z darem oceniania ludzi. Dziękuję, moja droga - zwróciła się do Moniki, która podała jej kawę. - Wczoraj wczesnym rankiem, prawdopodobnie przed przybyciem kogokolwiek do budynku ACTIL-u, zobaczyłam pewne indywiduum otwierające drzwi i poczułam, że powinnam tam poczekać.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Byłam po prostu na porannej przechadzce. Przypuszczam, że zwróciłam uwagę na niezwykle kształt budynku.

Tweed doznał dziwnego uczucia. Elena siedziała na wprost niego, z błyszczącymi oczami, które nawet na chwilę nie odrywały się od jego spojrzenia. Miał wrażenie, że są zdolne zajrzeć do jego wnętrza. Wytrzymał jej wzrok i kontynuował uprzejme wypytywanie:

- Widziała pani przybycie personelu?

- Tak. Czasami grupowo, czasami pojedynczo. Na pewno przypominam sobie bardzo wysoką kobietę, bardzo elegancko ubraną i bardzo piękną, poruszającą się bardzo szybko i mocno wyprostowaną.

Marienetta, pomyślał Tweed.

- Ale wchodziło tam również wielu innych ludzi.

- Proszę wybaczyć - wtrąciła Paula - ale niektórym z nich robiła pani zdjęcia.

- Ma pani rację, panno Grey - przyznała Elena, odwracając się. - I przyniosłam je wszystkie.

- Łącznie ze zdjęciem wiceprezydenta Ameryki? - zasugerował Tweed.

- Tak. Zrobiłam mu kilka fotografii, gdy wchodził, i potem, gdy wychodził. Wszystkie odbitki mam w torbie. Przed wyjściem dam je panu. Gdy wyście tam byli, ten nieprzyjemny strażnik podszedł do mnie i kazał mi odejść. Nie wiedział o moim aparacie ukrytym w futrzanych rękawiczkach.

- Jak pani zareagowała? - spytał Tweed z uśmiechem.

- Odpowiedziałam, że to Wielka Brytania, gdzie każdy może stać na ulicy, jeśli nie popełnia przestępstwa. Więc o jakie przestępstwo ma zamiar mnie oskarżyć.

Ma odwagę, pomyślała Paula.

- To go zbiło z pantałyku - ciągnęła Elena - więc cofnęłam się do budynku, a ja pozostałam tam, gdzie byłam.

- Jeśli się nie mylę, przyjechała pani z Rumunii - wspomniał Tweed.

- Tak. Mieszkałam tam krótko pod dyktaturą tego wcielonego diabła Ceauseescu. Spotkałam go tuż przed objęciem władzy. Od razu mu się nie spodobałam, a on wzbudził we mnie niepokój. Gdy tylko został dyktatorem, przysłał do mnie tajną policję. Zobaczyłam, jak nadchodzą, i tylną klatką schodową uciekłam w płataninę ulic. Ukrywałam się u przyjaciół, a potem wyjechałam z Bukaresztu najpierw do Paryża, a potem tutaj.

- Czy Buchanan chciał, aby o tym mi pani opowiedziała?

- Nie. Obserwując tych wszystkich ludzi wewnątrz budynku ACTIL-u, bardzo silnie wyczułam tam szatańskie zło.

- Czy myśli pani o konkretnej osobie? - spytał Tweed mimochodem.

- Nie wiem. Mam kopie zdjęć, które panu zostawiam. Chcę się im dokładnie przyjrzeć. Wtedy w końcu się dowiem.
- Pochyliła się i zaczęła mówić z napięciem w głosie: - Wycucie wielkiego zła było tak silne, że moje ręce zaczęły się trząść. - Odwróciła się w stronę Pauli i uśmiech wrócił na jej usta. - Na szczęście w tym momencie nie używałam aparatu fotograficznego.

- Mówi pani z takim przekonaniem - stwierdziła Paula.

- Byłam całkowicie pewna - odparła bez wahania. - A teraz już zmarnowałam zbyt wiele waszego czasu - powiedziała i wyjęła z haftowanej torby wielką kopertę, którą położyła na biurku. - To są zdjęcia.

- Naprawdę nie sędzę, aby zmarnowała pani mój czas - zapewnił Tweed, gdy Elena wstała, szykując się do wyjścia. - Starannie przejrzymy je i może od czasu do czasu wybierze się pani ze mną na herbatę do Brown's.

- O, z przyjemnością. Dziękuję panu. Uwielbiam ich herbatę.

- Odprowadzę panią do drzwi frontowych.

- Jeszcze raz dziękuję. A w środku koperty jest moja wizytówka z adresem i numerem telefonu. Mieszkam niedaleko Roya Buchanana.

6

- Paula i Bob, jutro lecicie ze mną do Maine - oznajmił Tweed po odprowadzeniu pani Brucan.

- Do Maine? - nie mogła uwierzyć własnym uszom Paula.

Ta podróż spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Tweed już wcześniej wyruszał nagle, ale nigdy w tak dramatycznych okolicznościach.

- To okropne - powiedziała gwałtownie. - Dlaczego?

- Ostatniej nocy długo myślałem przed zaśnięciem. Zdecydowałem się z rana, zaraz po przebudzeniu. Dlaczego? Ano dlatego, aby zobaczyć, gdzie ten pielęgniarz Hank Foley został zamordowany. Chcę obejrzeć teren i dowiedzieć się czegoś o tym szpitalu psychiatrycznym. Gdy byłem w Yardzie, zawsze oglądałem wszystko osobiście. Ale muszę was ostrzec, że będzie to niełatwe, a nawet niebezpieczne.

- Dlaczego? - tym razem spytał Newman.

- Ponieważ lecimy w nieznane. Z domu zadzwoniłem do mojego starego przyjaciela Corda Dillona z CIA.

- Wciąż jest zastępcą dyrektora? - chciała się dowiedzieć Paula.

- Tak. On też ryzykuje. Lecimy na terytorium niczyje i bez żadnych uprawnień. Cord dał mi w Portland kontakt do tamtejszego szefa policji, ale jestem pewien, że są tam ludzie, którzy będą chcieli, abym nie wtykał nosa w te sprawy. Dlatego musimy ukrywać cel podróży.

- Czy lecimy do Portland? - spytał Newman.

- Nie. Nie możemy. Zadzwoniłem do Moniki, która jak zwykle była tu przed wami. Zaplanowała jedyną możliwą trasę i oddzwoniła do mnie. Lecimy United do Bostonu. Przybędziemy już po ciemku. Lot trwa mniej więcej sześć godzin. Z Bostonu możemy się przesiąść na lokalny samolot do Portland. Tam wypożyczymy samochód i pojedziemy nim

do Pinedale i z powrotem do Portland. Potem kolejnymi lokalnymi liniami wrócimy do Bostonu, tak aby złapać lot powrotny do domu. Wątpię, aby zajęło nam to więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Muszę się spakować - powiedziała Paula.

- Będzie zimno - ostrzegł Tweed. - Cord mówił o przymrozkach.

- Spodziewałam się tego. Cholera! Zapomniałam o dzisiejszym drinku z Black Jackiem Diamondem. Wszystko naraz. Tweed, usiądź wreszcie - zaproponowała Paula. - Od czasu rozstania z panią Brucan chodzisz tam i z powrotem.

- Bilety na waszą podróż są już w drodze - poinformowała Monica.

- I nie zapomnij, że dzisiaj o trzeciej masz spotkanie z doktorem Abrahamem Seale'em - przypomniała Paula, gdy Tweed usiadł za biurkiem.

- Wiem. A teraz, Rob, powiedz, co myślisz o Elenie.

Tweed spojrzał na Marlera wciąż podpierającego ścianę i przygotował się na wybuch Newmana. Marler mrugnął porozumiewawczo.

- Myślę, że to bardzo miła kobieta - zaczął Newman - ale wstrząsnęło mną to, co powiedziała. Pozostawiła tu za sobą dziwną atmosferę.

- Rzeczywiście - przyznał Marler. - Wydaje się, jakby wciąż tu była.

- Odczuwam to samo co Rob i Marler - zgodziła się Paula. - Dokładnie to samo.

- Więc obejrzymy zdjęcia, które nam zostawiła - zdecydował Tweed.

Otworzył kopertę i wysypał na biurko tak wiele zdjęć, że pokryły całą jego powierzchnię. Paula i Newman, uzbrojeni

jak Tweed w szkła powiększające, usiedli na krzesłach. Marler stanął za nimi.

- Bóg raczy wiedzieć, ile klisz zużyła - zauważył Tweed.

- Wyglądają interesująco - orzekła Paula, wybierając plik odbitek, gdy Tweed odsuwał inne na bok. Przesuwała szkło powiększające po tłumie osób wchodzących do „Obeliska”. Nagle zatrzymała się, pochyliła i szturchnęła Tweeda. - To ona. Marienetta. Biegnie po schodach gotowa rozprawić się z każdym, kto według niej nie wykonuje pracy doskonale. Broden stoi przed tymi diabelnymi drzwiami obrotowymi. Przypuszczam, że je odblokowali, bo kręcą się przez cały czas.

- Inaczej nikt by tam nie dotarł przed lunchem - stwierdził Tweed, pochylając się. - Nawet od tyłu wygląda na piękną kobietę.

- Mamy jeszcze wiele do przejrzenia - zauważyła Paula, biorąc kolejne zdjęcie. - Och, tutaj jest zbawca świata, Jego Dostojność Russell Straub. Nawet przyjeżdżając, odgrywa przedstawienie.

- A co to takiego? - spytał Tweed, przyglądając się kolejnemu zdjęciu.

Straub stał na szczycie schodów, twarzą do ulicy. Wzniósł ramiona, by wyrazić wdzięczność tłumowi zebranemu poniżej. Za nim stał mężczyzna, zapewne członek ochrony, szczupły, wyglądający energicznie i roześmiany od ucha do ucha. Paula wskazała na niego.

- Raczej mi się podoba. Ciekawe, kto to. Chyba z charakterem.

- Straubowi, póki żyw, nie zaufałym za grosz - skomentował Marler.

- Tak samo jak ja - zgodził się Newman, patrząc przez lupę, którą Paula odsunęła od zdjęcia na tyle, by każda osoba zarysowała się wyraźnie.

- To Sophie, nadąsana i posepna - poinformowała Paula, oglądając następną fotografię. - Spotykam się dziś z Marienettą o szóstej po południu albo trochę wcześniej.

- Jak to możliwe? - spytał Tweed. - Przecież o siódmej masz spotkanie z Black Jackiem.

- Z Brown's do Marino's jest tylko parę kroków. Załatwię jedno i drugie. Marienettą zaproponowała spotkanie w porze obiadowej.

- Wydaje mi się, że jakoś się dogadujecie - zauważył Tweed.

- Myślę, że dobrze się czuje w moim towarzystwie. Ponieważ Roman uważa dział bezpieczeństwa za kluczowy dla ACTIL-u, Marienettą, zanim stała się członkiem personelu, pracowała przez rok dla Medford's.

- Medford's? - Tweed był pod wrażeniem. - To najlepsza prywatna agencja wywiadowcza w Londynie. Są bardzo wybredni w doborze ludzi.

- Marienettą potrafi wygadać i wyczarować sobie drogę do każdej posady w tym mieście.

Znowu wrócili do zdjęć. Marler znalazł dla siebie szkło powiększające i przyłączył się do nich. Ciszę przerwał gwałtownie Tweed:

- Co to znaczy? Co on tu robi? Sam Snyder wchodzi do budynku.

- Niech zobaczę. - Newman przyjrzał się zdjęciu. - Tak, to on. Ciekaw jestem, z kim się tam spotkał. Wątpię, aby to był Roman Arbogast. On nigdy nie udziela wywiadów.

- A to coś jeszcze dziwniejszego - powiedział Tweed, rozkładając pięć odbitek. - Jest jedyną osobą, którą Elena sfotografowała pięciokrotnie. Na ulicy w chwili przybycia, u podnóża schodów, w ich połowie, tuż przed drzwiami i w trakcie wchodzenia do budynku. Snyder. Pięć razy. Dlaczego?

Doktor Abraham Seale spóźnił się na spotkanie i gdy Monica wprowadziła go do biura, nawet nie przeprosił. Pauli wydał się całkiem niepodobny do człowieka, którego wykładu kiedyś słuchała, i zniechęciła go od pierwszego wejrzenia.

Był w czarnym fraku, bardzo wysoki i chudy. Na szyi, poniżej wyraźnie zaznaczonego jabłka Adama, wystawał mu sztywny biały wiktoriański kołnierzyk. Podłużna twarz była pomarszczona, oczy zimne, włosy i brwi ciemne i gęste. W prawej ręce trzymał ciemną laskę ze srebrną rączką w kształcie węża.

Usiadł w fotelu na wprost Tweeda, wyprostowany jak maszt flagowy. Nie sposób było odgadnąć jego wieku. Głos miał wysoki, a sposób bycia - protekcyjny. Zaciskając obie silne dłonie na główce laski, omiótł szybkim spojrzeniem cały pokój i skierował wzrok na Tweeda.

- Jak przypuszczam pan Tweed? Jestem bardzo zajęty. Nie mam zbyt wiele czasu, ale Buchanan nalegał, bym się z panem spotkał.

- Tak.

- Jaka piękną ma pan laskę - powiedział Newman, wyciągając rękę.

Wprawdzie niechętnie, ale doktor Seale wyciągnął laskę przed siebie, cały czas trzymając na niej zaciśniętą dłoń. Gdy Newman sięgnął, by przyrzeć się rączce, wyszarpnął ją.

- To czyste srebro. Nie chciałbym, aby została usmarowana.

- Co może pan zrobić dla nas lub co my możemy zrobić dla pana? - spytał Tweed.

- Słuchajcie uważnie. Jak rozumiem, zajmujecie się morderstwem z Pinedale pielęgniarza Hanka Foleya oraz

podobnym zabójstwem Adama Holgate'a w Bray. W obu wypadkach najważniejszym elementem jest brak głowy.

- Głowa Foley'a mogła trafić do morza, a Holgate'a do Tamizy - wtrąciła Paula.

- Nonsens - warknął Seale. - Gdyby tak było, to w taki sam sposób pozbyto by się ciała, a to się nie zdarzyło. Następny znaczący czynnik to fakt, że mamy do czynienia z mordercą, który jest nienormalny. Powstaje pytanie o płeć. Całkiem nienormalny - powtórzył z emfazą.

- To znaczy, że będzie go łatwo namierzyć - zauważył Tweed.

- Wprost przeciwnie. Przez większość czasu może wyglądać całkowicie normalnie. Nie uświadamiamy sobie przecież, że na ogół wszyscy jesteśmy w pewnym sensie nienormalni. Robimy coś i myślimy: „Dlaczego ja to robię?”. To odcień nienormalności. Są różne stopnie. Ktoś, kto ucina innym głowy, doszedł do krańca. Ale nie spodziewajcie się, że nie można pójść na obiad z czymś takim bez uświadomienia sobie okropieństwa ukrytego pod powierzchnią.

- To niezbyt przyjemna myśl - skomentował Tweed.

- Jest to ktoś bardzo chytry i przebiegły. Ekspert od mieszania się z ludźmi całkiem normalnymi, niewiedzącymi, z kim mają do czynienia. Bundy, który w Stanach zgwałcił i zabił tak wiele dziewczyn, mógł to zrobić tylko dlatego, że zbliżając się do nich, wyglądał bardzo normalnie. Intrygujący jest sposób dokonania morderstwa - ciągnął Seale, jakby rozważając przygotowanie posiłku. - To doskonała i godna podziwu technika, świetne odcięcie głowy tuż pod podbródkiem, dzięki czemu sama głowa pozostaje nienaruszona. Skupcie na tym uwagę, a pewnego dnia go zidentyfikujecie. Albo nie.

- Może jeszcze jakieś sugestie? - spytał Tweed spod na wpół przymkniętych powiek, nie przerywając zabawiania się piórem.

- Sugestie! - oburzył się Seale. - Mój drogi panie, za każdym wypowiedzianym przeze mnie słowem stoją lata studiowania różnych przypadków. Musi pan nieco wysilić swój mózg i wyobrazić sobie, że jest pan tym czymś. W jaki sposób użyłby pan tej doskonałej techniki? - Odwrócił wzrok w stronę Pauli. - Czy zna pani Wychwood Library?

- Tak - odpowiedziała, patrząc mu prosto w jego ciemne oczy. - Ale jest tylko dla członków.

- Ja jestem członkiem - powiedział Tweed spokojnie.

- Więc - ciągnął Seale, nie spuszczając wzroku z Pauli - niech pani użyje jego karty i wypożyczy „Historię egzekucji” Jonathana Wyliego i przestudiuje ten tom. To pani pomoże zrozumieć to, zrozumieć, jak działa. Jest jeden czynnik, o którym nie wspomniałem. Zostawiam go pani do odkrycia.

- Byłoby dobrze, gdyby panna Grey wiedziała, czego ma w tej książce szukać - stwierdził Tweed.

- Nie byłoby dobrze - warknął Seale. - Musi sama znaleźć to, co powie jej doskonała książka Wyliego. A ten mężczyzna podpira ścianę nie bez celu - powiedział, wskazując na Marlera.

- A z jakiego powodu? - spytał Tweed, w najmniejszym stopniu niewyprowadzony z równowagi przez przerażającą arogancję gościa.

- To weteran przywykły do walki. Siedząc, byłby w niekorzystnej sytuacji w razie ataku. Stojąc, łatwiej by sobie poradził.

Seale wstał, stuknął laską i jeszcze raz obiegł pokój wzrokiem. Nie patrząc na Tweeda, ruszył w stronę drzwi.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. Spełniłem swoje zobowiązanie wobec Roya Buchanana. Do widzenia...

- To ci dopiero charakterek - powiedział Tweed rozbawiony, gdy zostali sami.

- Jak z prozy Karola Dickensa - zauważył Newman. - Czyż nie należy do tamtej epoki? Nadęty sztywniak.

- Ale powiedział coś bardzo ciekawego - odparł Tweed.

- Od tej chwili będę tego maniakalnego mordercę nazywała czymś - oznajmiła Paula. - Myślę, że słowo to pomoże nam w wyśledzeniu go.

- Dlaczego? - mruknął Newman sceptycznie.

- Ponieważ jest nieludzki, a wygląda jak człowiek. Seale to potwierdził. Nazywanie go czymś będzie nam przypominać o tym i musimy się mieć na baczności.

- Myślę, że Paula ma rację. To dobry pomysł - przyznał Tweed.

- W jednym się z nim zgadzam - wtrącił Marler. - Rzeczywiście opieram się o ścianę, by zabezpieczyć tyły. Bystry facet, że to zauważył.

- To dziwak - mruknął Newman. - Ciekawe, jak mu się żyje? Jego przedziwny strój był nowy i musiał kosztować sporo grosza.

- Pamiętam - powiedział Tweed - że Seale ma tury wykładów w Stanach. Jestem pewien, że ściąga niemało dolarów. Ubrany w ten sposób może liczyć na szalony sukces wśród amerykańskiej publiki.

- Wierzy w samoobronę. Jestem pewien, że laska, której nie pozwolił dotknąć, kryje w sobie zabójczą klingę.

- Klingę? - ponownie przerwał Marler. - Czy można by czymś takim gładko odciąć głowę?

- To jest myśl - zgodził się Tweed. - Seale to postać, jaką spotyka się raz w życiu.

- Nieprawda - powiedział Newman. - Był na przyjęciu Sophie w pełnym stroju wieczorowym. Siedział przy jednym ze stołów ustawionych z tyłu.

- Nie mylisz się? - spytała Paula.
- Sam Snyder też tam był - dodał Newman. - I też siedział mniej więcej w tamtym miejscu.
- Sam Snyder - powtórzył Tweed, spoglądając w okno. - Wciąż niepokoi mnie, dlaczego Elena sfotografowała go pięć razy.

Paula, uzbrojona w kartę biblioteczną Tweeda, szła szybkim krokiem Harley Street. Opóźnione przybycie Seale'a zepsuło jej cały plan działania. Rozglądała się za taksówką, ale jak zwykle nie można było żadnej znaleźć. Miała przed sobą długi spacer do Wychwood Library, położonej w pobliżu St James Square. Było zimno i przed wyjściem z Park Crescent włożyła płaszcz. Niebo było ołowianoszare. Cudowna angielska pogoda.

Uświadomiła sobie, że nawet spiesząc się, przygląda się mijanym ludziom. Wyglądają normalnie, myślała, ale czy naprawdę są normalni? Słowa i osobowość Seale'a zrobiły na niej silne wrażenie. Gdy wreszcie dotarła do Piccadilly z masą ludzi stłoczonych na chodnikach, wszyscy wydawali jej się nienormalni. Dość tego! - powiedziała sobie.

Pierwszy kontakt z recepcjonistką - kobietą w średnim wieku, wciąż poprawiającą spadające z nosa okulary - nie był obiecujący. Błada twarz bez uśmiechu spojrzała z powątpiewaniem na podaną przez Paulę kartę biblioteczną i podniosła wzrok.

- Pani jest kobietą - zaczęła - a to jest karta mężczyzny.

Cholera, jaka spostrzegawcza - wściekła się w duchu Paula.

Czy to się nigdy nie zmieni? Nie cierpiała takich kobiet w typie urzędniczek. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła legitymację General & Cumbria Assurance.

- Proszę zadzwonić i pan Tweed potwierdzi moją tożsamość. Jestem jego osobistą asystentką.

- Linia zajęta - poinformowała ją ponuraczka po wybraniu numeru. - Jeżeli zechce pani usiąść i poczekać, spróbuję się połączyć, kiedy będę mogła.

Paula uznała, że nie ma sensu tłumaczyć tej zaszuszonej szpocie, że się śpieszy. To by jeszcze spowolniło jej działanie. Usiadła na kanapie i spod odległej ściany śledziła recepcję. Teczke postawiła obok. Szkoda, że nie wzięłam żadnej książki dla zabicia czasu - pomyślała. Nie mam dziś szczęścia. Patrząc na zegarek, stwierdziła, że starczy jej czasu, by wpaść do delikatesów na jakąś przekąskę. Ale herbata w Brown's była najważniejsza. Na dotarcie do hotelu potrzebuje dużo czasu. Musiała być punktualna, gdyż Marienetta miała na tym punkcie kota. Potem mogło jej już zabraknąć czasu na drinka z Black Jackiem, ale tym się nie przejęła. Dlaczego miałyby zaprzętać sobie głowę spotkaniem z takim facetem?

Do holu wszedł siwy dżentelmen. Zatrzymał się przy biurku i wdał w długą rozmowę z recepcjonistką, więc nie zapowiadało się na szybki telefon do Tweeda. Ktoś z wychodzących stanął na schodach. Doktor Seale! Sztywny jak wojskowy służbista. Recepcjonistka przeprosiła siwego rozmówcę i zagadnęła:

- Mam nadzieję, że znalazł pan to, czego szukał, doktorze Seale.

Miło tu być królem, pomyślała Paula.

Seale nawet nie spojrzał w stronę recepcji. Skręcił szybko w prawo, skłonił się i usiadł obok Pauli. Była zdumiona. Położył rękę na jej dłoniach i z lekka uściśnął.

- Jak przyjemnie spotkać kogoś, kto nie tylko słucha tego, co mówię, lecz również działa szybko według moich sugestii.

- Dokładnie to robię. Czy pan wiele podróżuje?

- Bardzo dużo, moja droga. Właśnie ostatnio wróciłem ze Stanów.

- Z jakiej części?

- Z Nowej Anglii. Pogoda była marna. Sople lodu zwisały z rynien ich drewnianych domów. A wszyscy tam myślą, że wszystko robią lepiej od innych. Zdaje się, że nigdy

nie słyszeli o cegle. Ale to bardzo mili, przyjacielscy ludzie. - Wyraz jego szorstkiej twarzy ponownie złagodniał. Uśmiechnął się i spojrzał na nią.

Jaką dziwną mieszaniną jesteś, pomyślała. Normalność i nienormalność.

Życzył jej powodzenia i wstał, by odejść. Recepcjonistka znów była na nogach i znów coś do niego mówiła. Wyszedł bez słowa, nawet nie zerknąwszy w jej stronę.

Siwowłosy mężczyzna w końcu przestał gadać i podreptał na górę do biblioteki. Paula z ponurą miną podeszła do lady, gdy recepcjonistka podniosła słuchawkę. Tym razem połączyła się bez kłopotu. Ćwierkała głosem podstarzałej kobiety, domagając się podania rysopisu Pauli. Z drugiej strony rozległ się podniesiony głos Tweeda:

- Na Boga, kobieto, jestem członkiem. Proszę wpuścić pannę Grey...

Nim recepcjonistka zdążyła cokolwiek powiedzieć, Paula ruszyła schodami na górę, gdzie rozpoczęła żmudne wyszukiwanie „Historii egzekucji” Jonathana Wyliego. Wokół nie było widać nikogo z obsługi, kto mógłby jej pomóc. Zaczęła od wielkiego działu historii krajowej, niestety, nieuporządkowanego alfabetycznie. Bez powodzenia. Przez czysty przypadek trafiła na ten tom w dziale rolnictwa średniowiecznego. Ktoś odstawił go w nieodpowiednie miejsce.

Zbiegła po stopniach i z ulgą zobaczyła, że przy recepcji nie ma żadnych petentów. Położyła na blacie kartę i ceną pozycję.

- Bardzo się śpieszę - powiedziała przymilnie. Odpowiedziało jej puste spojrzenie.

- Wszystko bardzo skrupulatnie rejestrujemy. - Recepcjonistka otworzyła oprawną w skórę księgę i z wolna wiodąc piórem po kartach, tłumaczyła: - Wszystko musi być

zanotowane. Nazwisko i adres wypożyczającego, jego numer członkowski, data, tytuł, autor i numer książki.

Paula stała spokojnie, choć jej żołądkiem szarpał głód. Oddałaby wszystko za szklanekę wody. Pióro wolno jak wąż sunęło po papierze. Upłynęły niemal godziny, zanim wreszcie recepcjonistka podała Pauli wypożyczony tom.

- Rozumiem, że wie pani - rozpoczęła bezbarwnym głosem - że z książką należy obchodzić się ostrożnie. Widzi pani, to nasz jedyny...

- Widzi pani, że wsadziłam książkę do teczki - rzuciła Paula ostrym tonem.

Gdy wybiegła na zewnątrz, było już ciemno. Ruszyła w stronę Piccadilly, weszła do baru sandwiczowego i zamówiła dwa tosty i filiżankę herbaty. Musiała zostawić nieco miejsca na czekające ją obżarstwo w Brown's. Przed zatłuszczeniem rąk sięgnęła po księgę i szybko ją przejrzała. Karty wypełniał starożytny tekst oraz masa przerażających ilustracji, pokazujących, co robiono z ludźmi. Była również pokazana egzekucja Karola I. Gdy podano herbatę, wsunęła książkę z powrotem do teczki.

Po tym skromnym posiłku pospieszyła do Brown's, gdzie dotarła za piętnaście szósta. Ani śladu Marienetty. Była pierwsza.

Weszła szybko do toalety, by nieco poprawić wygląd, i wróciła do holu. Chwilę potem o 17.55 weszła Marienetta w eleganckim dwuczęściowym kostiumie, białej bluzce zapinanej na guziki aż pod szyję i eleganckich butach Ferragamo.

- Dlaczego nie współpracujemy w sprawie Holgate'a? - spytała Paulę w charakterystyczny dla niej bezpośredni sposób.

Siedziały w drugiej sali, gdzie można było po szóstej palić. Marienetta zaproponowała Pauli papierosa, a gdy ta odmówiła, zapaliła sama. W pobliżu nie było nikogo, więc mogły rozmawiać swobodnie.

- Być może dobrym pomysłem będzie wymiana niektórych informacji - odparła Paula ostrożnie.

- Dobrze, ja zacznę. Nie lubiłam go. Nie wierzyłam mu. Broden uważał go za skarb, bo Adam miał swoje metody radzenia sobie z ludźmi. Nawet tak brutalnymi jak Broden.

- Dlaczego mu nie dowierzałaś?

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli będę jednocześnie jeść i mówić? - spytała Marienetta, gdy ustawiono przed nimi czteropiętrową paterę. - Wiem, że to niezgodne z dobrym wychowaniem, ale nie jadłam od śniadania. Dlaczego? Dowiedziałam się, że Adam wtykał nos w sprawy działów, które w ogóle go nie dotyczyły. Raz przyłapałam go na fotografowaniu osobistych dokumentów. Gdy uświadomił sobie, że ktoś jest w pobliżu, wsunął aparat do kieszeni, a gdy go o to spytałam, stał się agresywny. Taką miał taktykę. Przysiągł, że to była papierośnica. A palił fajkę. Nie przeciągałam indagacji, bo akurat wszedł Broden, ale nakazałam straży przeszukanie go przy wyjściu. To się czasami zdarza. Był za inteligentny, by mieć aparat przy sobie. Być może ukrył go w jakiejś szufladzie. Ale jestem cholernie pewna, że miał przy sobie kliszę - w skarpetkach lub gdzie indziej.

- Więc sądzisz, że szpiegował?

Marienetta uśmiechnęła się olśniewająco.

- Mam nadzieję, że nie dla was.

- Na pewno nie. Gdy pracował dla nas, Tweed zesłał go do wydziału komunikacji w budynku położonym dalej na Crescent - powiedziała, uznając, że też powinna coś wniesć do

rozmowy. - Howard, nasz dyrektor, zwolnił go pod nieobecność Tweeda.

Marienetta uśmiechnęła się ponownie.

- Howard nigdy nie przeskoczy Tweeda. Spotkałam go na jakimś przyjęciu. Miły człowiek, ale nie ma więcej niż jedną dziesiątą zdolności Tweeda.

- Jest bardzo dobry w uspokajaniu rządowych dostojników i dobrze zadowolony w Whitehall.

- Ale to nadal zaledwie jedna dziesiąta zdolności Tweeda. Istniejemy, a nawet prosperujemy pomimo naszego nieudolnego rządu. Rozmawiałam kiedyś o Laosie z jednym z naszych dyplomatów z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie miał pojęcia, gdzie Laos leży. - Marienetta mówiła bardzo szybko, chichocząc co chwila.

- Jak myślisz, dlaczego Holgate włóczył się w pobliżu letniej rezydencji Romana w Bray? - spytała Paula.

- Nie mam zielonego pojęcia. Roman uznał, że popełnił błąd, kupując tę starą kupę cegieł w celu zabawiania zagranicznych biznesmenów. Budynek stoi pusty. Mówiłam mu, że powinien go sprzedać, biorąc za niego, ile się da. Obiecał, że tak zrobi. Ma się tym zająć w odpowiednim czasie, gdy będzie mniej zajęty. Co wykazała sekcja Holgate'a?

- Nie mam pojęcia. Pułkownik Crow nie chciał nas poinformować.

- Pułkownik Crow. Ta nadęta świnia. Płaszczy się przed każdym, kto może coś dla niego zrobić. Raz go spotkałam. Wygłaszał komplementy na temat mojego stroju. Akurat miałam na sobie jakąś starą szmatę. Czy Tweed nadal prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania Holgate'a? - spytała szybko.

To wzbudziło czujność Pauli.

- Ma teraz na głowie wiele innych ważnych spraw - odparła. Marienetta uśmiechnęła się ironicznie.

- Wiem teraz, dlaczego jesteś kluczowym członkiem grupy. Swój zawsze znajdzie swego.

- Gdzie mieszkał Holgate?

- W jakiejs norze w Pimlico. Od czasu, jak ją przejął, jej wartość bardzo wzrosła. Był z niej bardzo dumny i chwalił się przede mną. Adam kochał pieniądze. Zauważyłam to, gdy robiłam z nim wywiad przed zatrudnieniem w ochronie ACTIL-u. Broden zignorował moje wątpliwości, a przecież chodziło o zatrudnienie w jego dziale.

- Na przyjęciu mówiłaś, że co jakiś czas latasz do Ameryki. Kiedy tam byłaś ostatni raz?

- Kilka tygodni temu - odparła Marienetta mało precyzyjnie.

- Sophie podobno też tam lata. Kiedy ona ostatnio tam była?

- Kilka tygodni temu. Nie byliśmy razem. Sophie sądziłaby, że chcę ją mieć na oku.

- A gdzie spędziłaś ten czas?

- W Bostonie.

Gdy Marienetta dzwoniła po taksówkę, Paula pożegnała się i pospieszyła do Marino's. Musiała porządnie lecieć, aby zdążyć na dziewiętnastą na spotkanie z Black Jackiem. Zaczynały ją boleć nogi.

Skreśliła w prowadzącą do Piccadilly marnie oświetloną ulicę i zatrzymała się na chwilę po minięciu malutkiej przecznicy, aby wygładzić zakiet pod płaszczem. Spojrzała przed siebie na własny cień i nagle uświadomiła sobie pojawienie się drugiego, rzucanego przez kogoś wysokiego, stojącego spokojnie, w kapeluszu.

Kapelusz był z szerokim rondem, zapewne hiszpański. Zamarła. Ulica była opustoszała. Nagle przypomniała sobie, że słyszała samochód zatrzymujący się przy krawężniku tuż obok wylotu bocznej ulicy. Cień zapewne został zaskoczony, gdy nagle zatrzymała się w celu uładzenia odzieży. Wyglądało to groźnie. Jego złowieszczy zarys pozostawał w bezruchu, jakby do niej przyklejony. Był tuż-tuż za nią. Ze strachu zaschło jej w gardle.

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. W lewej ręce miała teczkę, a przez prawe ramię przerzuconą torebkę. Gwałtownym ruchem włożyła rękę do torebki i zacisnęła dłoń na spoczywającym w kieszeni browningu. Lewą ręką oparła teczkę o ścianę i obróciła się z bronią zaciśniętą w obu dłoniach.

Cień pierzchnął i zniknął w wąskim przejściu. Tylko w ten sposób mógł ukryć się tak szybko. „Nie wyglądaj zza rogu”, usłyszała w głowie ostrzegający głos Sarge'a, który szkolił ją w ośrodku w Surrey.

Z palcem spoczywającym lekko na spuście wyskoczyła do przodu i spojrzała w głąb przejścia. Nic. Właściwie tego się spodziewała. Nieco dalej ulica skręcała, kryjąc wszystko przed jej wzrokiem. Nie zamierzała iść w tę stronę.

Wróciła, podniosła teczkę i szybko wyszła na główną ulicę. Tuż za rogiem stał zaparkowany wspaniały MG. Całkiem nowy. Widząc, że spóźni się na umówione spotkanie, z palcem na spuście browninga ukrytego pod płaszczem cofnęła się do bocznej uliczki i szybko minęła mroczne przejście. Do diabła! Nie spojrzała na numer rejestracyjny czerwonego MG. Teraz było już na to za późno.

Gdy wchodziła do Marino's, browning spoczywał już w torebce. Oddała szatniarce jedynie płaszcz, a teczkę zabrała ze sobą, gdyż po kłopotach w bibliotece zdecydowała się nie wypuszczać jej z ręki, choćby się waliło i paliło.

Marino's było kwadratową salą z długim barem wzdłuż ściany po lewej stronie. Jedynym gościem był Black Jack, siedzący z drinkiem przy stoliku obok lady. Grudzień i coraz większe chłody powstrzymywały ludzi przed wychodzeniem z domu. Black Jack stanął w przejściu z rozłożonymi ramionami, gotów ją uścisnąć. Ominęła go z uśmiechem, sadowiąc się na ławce na wprost niego. Ponownie rozłożył ręce, demonstrując niezadowolenie z jej sztywnej postawy, i usiadł przed nią twarzą w twarz.

- Obawiałem się, że nie przyjdiesz - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Coś mnie zatrzymało, więc miałeś okazję do wypicia kilku drinków.

Podniósł na wpół opróżnioną szklaneczkę. Zapewne szkocka, pomyślała.

- To mój pierwszy drink. Co dla ciebie?

- Proszę Chardonnay.

Barman usłyszał jej słowa i bez zwłoki postawił przed nią kieliszek. Podniosła go i stuknęli się. Rozluźnij się, powiedziała do siebie. Masz z nim rozmawiać. Może mieć jakieś wartościowe informacje i jest całkiem trzeźwy.

- Prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa świętej pamięci Adama Holgate'a - stwierdził na początek.

- Dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Z powodu twojej reputacji. Nigdy nie odpuszczasz, tak samo jak Tweed.

- Dopiero co zaczęliśmy - odpowiedziała unikiem.

- Wybacz na moment - powiedział, spoglądając w stronę drzwi.

Wybiegł, ale ponieważ zostawił drzwi otwarte, mogła zobaczyć, co działo się na zewnątrz. Widziała, jak schwycił Nathana Morgana za kołnierz karakułowego płaszcza i pchnął silnie na ścianę.

- Nathan, co tu, do cholery, robisz? Szpiegujesz mnie?
- Puszczaj - zachrypiął Morgan. - Aresztuję cię...
- Puszczę w prasie z wielkimi nagłówkami: „Gestapo działa w Brytanii”! - krzyknął Jack. - Paryż uwielbia takie rzeczy. Więc zjeżdżaj stąd. I to zaraz! Niech tu więcej nie oglądam twojej wstrętnej mordy...

Paula się odwróciła. Przez firanki widziała Morgana poprawiającego kołnierz i odchodzącego chwiejnym krokiem. Black Jack wrócił na miejsce całkowicie spokojny.

- Wydział Specjalny jest potężny - ostrzegła go.
- Zagraniczna prasa też. Amerykanie wzięliby to na tapetę. Twój Rob Newman mógłby oświecić Whitehall. Na czym stanęliśmy?

- Zamierzałeś powiedzieć mi coś ważnego o Adamie Holgacie.

- Dostawał skądś masę pieniędzy. Znacznie więcej, niż wynosiła jego pensja w ACTIL-u.

- Skąd to wiesz? - spytała.

- Przychodził do Templeton's, mojego domu gry w Mayfair. Potrafił naraz kupić żetony za pięćset funtów lub więcej i grać. Dużo grać. Nieco wygrał, potem wiele tracił. Był uzależniony od hazardu. Kilka nocy później wracał z większą gotówką, kupował żetony i znów grał, i znów dużo tracił. Ale jego źródło funduszy musiało wyschnąć. Pewnej nocy poprosił mnie o pożyczkę. Odmówiłem. Wyglądał ponuro, ale powiedział, że skądś dostanie pieniądze. To było w noc przed utratą głowy. Wybacz, proszę, ten raczej niestosowny zwrot.

- Rozumiem. - Paula wolno sączyła drinka. - Masz jakiś pomysł, skąd mógł mieć pieniądze?

- Nie mam pojęcia - odparł i przesłał jej szeroki uśmiech zdolny roztopić serce większości kobiet. - Wydaje mi się, że

mógł kogoś szantażować. I może dlatego właśnie tak skończył.

- Lubieś go?

- Nie. Potrafił być paskudny. Gdy przegrywał, stawał się ordynarny. Musiałem go opieprzać i ostrzegać, że jeżeli to się powtórzy, nie będzie wpuszczany do klubu.

- Możesz mi jeszcze coś o nim powiedzieć? - wypytywała.

- Nie. - Ponownie uśmiechnął się szeroko. - Gdy wypijemy drinka, przyjdzie czas, by się nieco odprężyć. Zjedz ze mną obiad w Santorini's. Mają tam taras wychodzący na Tamizę i wspaniałą kuchnię.

- Nie mogę. Mam następne spotkanie - skłamała. Uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy, jakby starty szmatą. Skończył drinka i rozejrzał się wokół. Przypuszczała, że zastanawia się, co powinien teraz zrobić.

- Odwiozę cię na Park Crescent - zdecydował, wstając. - Mój samochód czeka na zewnątrz.

- To bardzo miło z twojej strony - odpowiedziała, szybko rozważając sytuację. - Samochód na zewnątrz?

Po wyjściu skręcili w lewo i minęli uliczkę, w której poprzednio zniknął cień. Gdy po chwili znaleźli się na głównej ulicy, Black Jack poprowadził ją w stronę czerwonego MG z mandatem za wycieraczką. Gdy otwierał drzwi, zatrzymała taksówkę jadącą ulicą.

- Dzięki za drinka! - krzyknęła. - Zmieniłam zdanie. Taksówką dojadę szybciej.

- Kobiety - odezwał się szyderczym tonem - zmieniają zdanie tak szybko jak kula bilardowa kierunek ruchu.

Miasto było niemal puste i taksówka jechała szybko. Paula pogrążyła się w rozmyślaniach. Niejasno zapamiętała inne samochody zaparkowane dalej na ulicy. Każdy mógł być tym, który słyszała. Czy to Diamond był cieniem? Czy mógł

przeskoczyć na drugą stronę uliczki, ukryć się w następnej, a potem szybko dostać się ukradkiem do Marino's? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Do tego Nathan Morgan. Czy był wystarczająco wysoki, by rzucić tak długi cień, jaki widziała? Nie była tego pewna.

Wielki boeing United Airlines znajdował się już daleko nad Atlantykiem. Lecący pierwszą klasą Tweed, Paula i Newman rozsiedli się wygodnie, a ponieważ samolot był na wpół pusty, mogli rozmawiać bez obaw, że zostaną podsłuchani.

Znając niechęć Tweeda do latania, Paula jeszcze w hali lotniska namówiła go na łyknięcie tabletki dramaminy. Na zewnątrz było ciemno, więc przez okno wyglądała rzadko. Była to odpowiednia chwila do opowiedzenia wydarzeń z ostatniego dnia.

- Znalazłam tę książkę poleconą przez doktora Seale'a. Mam ją ze sobą. Zabawne, nie zgadniecie, kto zszedł ze schodów, gdy czekałam całą wieczność w holu biblioteki. Doktor Abraham Seale we własnej osobie. Pogawędził ze mną przez chwilę, był bardzo miły.

- To niemożliwe - wtrącił Newman siedzący za Tweedem. Zajmowali trzy wygodne, połączone ze sobą fotele.

- Podczas spotkania - ciągnęła Paula - Marienetta zaproponowała współpracę w sprawie Holgate'a. Jak wiecie, jest wyszkolonym detektywem.

- Nie można o tym zapominać - ostrzegł Tweed.

- Jest bardzo inteligentna - zauważył Newman.

- Nadal uważam, że trzeba na nią bardzo uważać. A co z Black Jackiem Diamondem?

Opowiedziała szczegółowo całe spotkanie. Tweed zdenerwował się, gdy wspomniała o cieniu.

- Dopóki zajmujemy się tą sprawą, musisz być bardzo ostrożna. Wszyscy musimy uważać. Zabójca jest bezlitosny i przebiegły.

- Sprawą? - spytała Paula. - Można by pomyśleć, że wróciłeś do Yardu.

- W każdym razie w sposobie myślenia. Zaskakujące, że wszystkie doświadczenia wracają jak fala. Mogę pracować bez DNA i całej tej reszty. Jeżeli potrafisz słuchać ludzi, powiedzą ci wszystko, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Powodem jest egotyzm. Być może już spotkaliśmy mordercę.

- Masz podejrzanego? - sondowała Paula.

- Nie. Na to jest jeszcze za wcześnie.

Wiatr wiejący od tyłu pozwolił im wylądować przed czasem, ale i tak musieli się śpieszyć, by zdążyć na samolot, którym mieli dotrzeć na północ, do Portland. Tweed ostrzegł ich wcześniej, by wszelkie rozmowy zostawili jemu. Paula zastanawiała się, czy rozsądnie było podróżować pod prawdziwymi nazwiskami. Tweed jednak wyjaśnił, że to bardzo niebezpieczna podróż i jeżeli ich tajna wyprawa do Pinedale wyjdzie na jaw, lepiej będzie, jeżeli pojedą z prawdziwymi paszportami.

Gdy lokalny samolot wystartował z Bostonu, Paula spojrzała przez okno. Miasto pod nimi lśniło feerią świateł, a na Charles River można było zauważyć dzioby i rufy statków. Reszta rzeki niczym wielki czarny wąż wiała się w terenie.

Lot do Portland zajął im mniej niż godzinę. Im bardziej oddalali się na północ, tym więcej widzieli plantacji wiecznie zielonych roślin, które teraz wydawały się Pauli prawie czarne. Obniżali lot, mając po prawej linię wybrzeża zaznaczoną smugą białej piany. Kilka kutrów rybackich zmierzało do portu.

- Z kim się kontaktujemy? - spytała.

- Cord Dillon, mój przyjaciel z CIA, kazał mi zaraz po wyjściu z lotniska dzwonić do szefa policji Andersena. No i proszę. Jesteśmy na miejscu.

Andersen wyprowadził ich z głównego budynku w ciemną noc. Narzucił na siebie wytarte stare futro. Paula zrozumiała dlaczego. Już w Bostonie powietrze było ostre, a mróz kasał twarze, w Portland było jeszcze gorzej.

Nikt nic nie słyszał o samochodzie wynajętym przez Monicę. Andersen stwierdził, że teraz to nieważne, bo do Pinedale zawiezie ich auto policyjne z kierowcą, ale z powrotem muszą załatwić sobie własny transport.

- Wybraliście sobie złą porę roku na odwiedzinę tutaj - skomentował. - A do tego, jak zapowiadają, znad Atlantyku nadchodzi wielki sztorm.

- Tu w mieście wszystko wygląda spokojnie - zauważyła Paula.

- Ludziska szykują się na sztorm. Zabijają drzwi i okna deskami.

Andersen był rzeczowym olbrzymem. Nie tracąc czasu, od razu zapakował ich do samochodu z gotowym do jazdy kierowcą. W pobliżu było pustawo i zauważyli zaledwie kilka osób śpieszących gdzieś i dobrze opatulonych.

Samochód był starym poobijanym fordem. Na przodzie dachu widać było przezroczyłą obudowę z zapalonymi światłami: czerwonym i niebieskim. Obok pod ostrym kątem sterczała pamiętająca lepsze czasy antena. Andersen dokonał szybkiej prezentacji.

- Kierowcą jest Sam. Zawiezie was na miejsce. To tyle.

- Dziękujemy inspektorze - powiedział Tweed.

- Sam będzie musiał szybko wracać. Zajmujemy się tu właśnie wielkim włamaniem. Potrzebujemy go, aby dostać się im do dupy. O, przepraszam panią - dodał, spojrzawszy na Paulę.

Tweed usiadł obok kierowcy, a Paula z Newmanem z tyłu. Ruszyli. Wkrótce zostawili Portland za sobą i Sam wcisnął mocniej pedał gazu. Światła reflektorów błyskały na

asfalcie rozciągniętym na otwartej przestrzeni. Paula rozglądała się podniecona. To była przygoda. Podczas odprawy celnej nie odzywali się słowem, zostawiając rozmowy Tweedowi. „W interesach czy dla przyjemności?” - spytał urzędnik obojętnym tonem. „W interesach” - odpowiedział Tweed. „Zawód?”. „Doradca do spraw bezpieczeństwa”. I to wszystko. Jaki olbrzymi kontrast z Nowym Jorkiem, gdzie trzeba ścierpieć godzinę czekania w kilometrowym ogonku, z którego pasażerowie z wolna są wypuszczani na wolność.

Asfalt rozpościerał się jak okiem sięgnąć, a Sam, zgarbiony za kierownicą, nie odzywał się do Tweeda, nawet nie zerknął w jego stronę. Wjechali do lasu. Drogę otaczały ściany jodeł tak wysokich, że Paula nie mogła dostrzec ich wierzchołków. Wrażenie przygody zniknęło, ustępując miejsca poczuciu klaustrofobii. Droga wspinała się teraz na pagórki i do przekroczenia wierzchołka nie było wiadomo, co kryje się po drugiej stronie. Byli sami. Od czasu do czasu w jodłowej ścianie pojawiały się przerwy, a rzut oka w ich stronę odkrywał drogi leśne niknące za pierwszym zakretem. Paulę ciekawiło, czy ktokolwiek mieszkał w tej dziczy. Wtem minęli wielką lukę w ścianie lasu i w dali zobaczyli czerwoną stodołę połyskującą w świetle księżyca. Musiała być niedawno malowana, więc ktoś tu mieszkał.

Pogoda się zmieniała. Znad morza napływała masa ciemnych chmur. Sam bez słowa zerknął na niebo. Przypominał Pauli wiewiórkę w policyjnej czapce z daszkiem nasuniętym na czoło. Chciała spytać, jak daleko jeszcze, ale przypomniawszy sobie prośbę Tweeda i nie otworzyła ust.

Las jodłowy zaczął rzednąć i Sam zwolnił. Nagle zjechali z głównej drogi na trakt wykładany granitowymi ciosami. Przestrzeń się otwarła. Na niewielkim wzgórzu sadowił się piętrowy dom domagający się malowania. Wzdłuż

frontu biegł ganek z balustradą, w której brakowało kilka tralek. Część gontów spadła, a szyby u szczytu schodów wiodących na górę były mocno pomazane.

- Ktoś niezbyt o to dba - mruknęła Paula do siebie.

Samochód zatrzymał się kilka metrów od rozklekotanych schodów. Sam nagle stał się gadatliwy.

- Zastępca Parrish jest w środku - powiedział z charakterystycznym akcentem. - Wątpię, aby był chętny do współpracy. Morze jest tam, za posterunkiem policji. Słyszycie ten wiatr?

Paula uświadomiła sobie dziwne poświsty. Spojrzała na kraj lasu i zobaczyła olbrzymie drzewa falujące na wietrze. Widok był niepokojący.

- Zbliża się sztorm - wyjaśnił Sam. - Niedawno zdarzyło się tutaj cholerne morderstwo. Zabójca odciął facetowi głowę, a ciało wrzucił do oceanu. Głowy do tej pory nie znaleziono. - Wydał zabawny dźwięk, który mógł uchodzić za chichot. - Po co mu ta głowa? Może do kolekcji? No to muszę wracać. Andersen jest w porządku, ale to ostry gość. - Poczekał, aż wysiądą, i wychylił głowę przez okno. - Jed, pomocnik Parrisha, może was odwieźć z powrotem do Portland.

To napawa nadzieją, pomyślała Paula, przetykając wdzierające się do płuc zimne powietrze. Wiatr wzmagął się niebezpiecznie, a Sam patrzył na nich, jak idą w stronę schodów. Paulę ciekawiło, na co czeka. Nagle ryknął silnikiem i w szalonym pędzie zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Odłamki posypały się dokoła i zrozumiała, że czekał właśnie na to, żeby odeszli na bezpieczną odległość. Z mieszanymi uczuciami patrzyła na znikające w mroku czerwone światła samochodu wyjeżdżającego na drogę szybkiego ruchu. Opanowało ją przygnębiające poczucie osamotnienia.

- No to do dzieła - powiedział z energią Tweed. - Balustrada się kiwa - ostrzegł, wchodząc na stopnie.

Dotarł po chwili do wielkich drzwi i przekręcił klamkę, po czym zniknął w środku.

Znalazł się w wielkim pokoju z drewnianą podłogą. Pod przeciwległą ścianą, za antycznym biurkiem, w przestronnym wiklinowym fotelu siedział mężczyzna. Obute nogi położył na starym blacie. Jego wielką głowę pokrywały zmierzwiłe brązowe włosy, których pasma przykleiły się do czoła. Znad mięsistego nosa i ostro zarysowanych ust i szczęk spoglądały na nich świńskie oczka. Tłusty brzuch zwisał znad skórzanego paska, a z podwiniętych rękawów umazanej czerwonym błotem kraciastej koszuli wystawały mięsiste jak szynki ręce. Pełne policzki były czerwone jak zachodzące słońce. Tweed odgadł, że źródłem tego koloru jest trzymana w prawej ręce butelka piwa. Mężczyzna przysunął butelkę do ust i przełknął kilkakrotnie.

- Zastępca Parrish? - spytał Tweed, gdy Paula i Newman właśnie weszli za nim do środka.

Dotarła do nich fala gorąca zabarwiona odorem piwa. Parrish stuknął pustą butelką w blat biurka i obrócił się tak, że mogli dojrzeć pas z kaburą i tkwiący w niej rewolwer. Pauli zrobiło się słabo po tym nagłym przejściu od lodowatego zimna do duchoty wnętrza. Zdjęła rękawiczkę i wbiła paznokcie w dłoń. Ból pomógł zachować świadomość.

- No fakt, Parrish to ja. Jedyne prawo tutaj. Jedyne prawo, jakie tu działa. A ty to Tweed?

- Tak - odparł Tweed i przedstawił swoich towarzyszy. Parrish całkiem zignorował Newmana i z pożądaniem wlepił oczy w Paulę. Gdy Tweed postąpił krok naprzód, odezwał się ponownie:

- Po drodze walnij jakąś kłodę do kominka. Trzeba ogrzać dziewczynie nogi, chociaż to ona mnie rozgrzewa.

- Dorzucę do ognia - odezwał się inny głos.

Tweed podniósł dwa pieńki, by umieścić je w huczących płomieniach paleniska, choć spełniał w ten sposób tylko widzimisię Parrisha i nic ponadto.

Paula uśmiechnęła się do znacznie młodszego mężczyzny, który zaoferował pomoc. Jego szara kraciasta koszula i niebieskie dzinsy były nieskazitelnie czyste. Wyglądał na silnego, miał płową czuprynę, ładne rysy i miły uśmiech. Parrish czknał i warknął na niego:

- Ona nie dla ciebie. Musiałbyś najpierw załatwić Tweeda i tego draba, który przywłókł się za nim.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Parrish - powiedziała Paula lekko zirytowana - chciałabym usiąść, nim przywyknę do tego gorąca.

- Oczywiście! - Parrish przyciągnął z kąta trzy wiklinowe krzesła i ustawił je naprzeciw biurka. Machnął dłonią z grubymi palcami i brudem za paznokciami, zapraszając w ten sposób do zajęcia miejsc. - Jed! - zawołał. - Zapominamy o dobrych manierach! - Położył rękę na ramieniu Pauli i pochylił się nad nią tak nisko, że zawarła bliższą znajomość z buchającymi od niego oparami piwa. - Teraz ci wygodnie?

Zacisnęła dłoń na jego ręce, usuwając ją ze swego ramienia. Był zdumiony jej siłą. Siedzący obok Tweed miał już tego dosyć. Pochylił się w stronę zastępcy, który tymczasem wrócił na krzesło.

- Czy był pan tutaj, gdy znaleziono ciało Hanka Foleya?

- Można powiedzieć, że nadzorowałem tę operację.

- Jak go znaleziono? Zakładam, że ma pan te informacje, bo morderstwo nastąpiło na pańskim terenie. Potrzebuję danych.

- Jeżeli tak, to może powinieneś przyjemnie pogadać z Jedem. Potem. On znalazł ciało. Ale chyba nie znalazł głowy.

Co, Jed? A może żeś zgubił, kiedy tym z Portland pomagałeś wyciongać linom tego trupa z wody?

- Wie pan doskonale, że nie - odpowiedział Jed, bliski wybuchu. - I nie jest to wcale śmieszne.

- To bierz ich za drzwi i pokaż im, gdzie znalazłeś pana bezgłowego.

- Czy prowadzi pan śledztwo w sprawie tej zbrodni? - spytał Tweed. - Jeżeli tak, to jak daleko się pan posunął? Potrzebuję szczegółów.

- Na to trzeba czasu - mamrotał Parrish, gdy Paula omiatała wzrokiem pomieszczenie, zauważając kontrast między biurkiem Jeda ze starą maszyną do pisania i starannie ułożonymi plikami raportów a bałaganem otaczającym Parrisha. Na jego biurku papiery walały się po całym blacie, wielokrotnie poznaczone plamami po butelkach piwa. Chwiejne, chylące się ku ziemi sterty papierów podpierały ściany.

Tweed wstał. Doszedł do wniosku, że rozmowa z Parrishem do niczego nie prowadzi. Nic nie zrobił w sprawie zabójstwa Foleya.

- Chciałbym, aby Jed od razu zaprowadził nas w miejsce, gdzie znaleziono ciało. Nie mamy wiele czasu.

- Mogę was tam zawieźć - powiedział Jed, wstając i zapinając suwak wiatrówki. - To pięć minut stąd.

- Zatem chodźmy - rzekł Tweed.

Ruszyli szybko za wychodzącym Jedem, a Parrish potknął się, gdy wstawał i usiłował postąpić kilka kroków ich śladem. Jed zaprowadził ich na tył domu. Mroźne powietrze dźgało ich twarze niczym ostrze noża. Parrish stał w otwartych drzwiach i krzyczał w ich stronę:

- No to macie jeszcze dużo do przejechania z powrotem do Portland!

Zawrócił do środka, trzymając w ręce już następną butelkę piwa. Zaśmiał się głośno, czkając i niemal się dławiąc.

- Mam samochód z tyłu za domem - powiedział Jed. -
Jeżeli chcecie się czegokolwiek dowiedzieć, pytajcie teraz.

Po wyjściu za róg poczuli uderzenie sztormowego wiatru. Jed szybko cofnął się i objął Paulę ramieniem.

- Wiatr omal cię nie zwiął. Przywykniesz do tego.

Jed zaprowadził ich do swego poobijanego chryslera, włączył na pełną moc dmuchawę i wysiadł. Tweed zajął miejsce obok kierowcy, a Paula z Newmanem usiedli z tyłu. Samochód nagrzewał się. Przed zatrzaśnięciem drzwi Jed jeszcze krzyknął:

- Tylko zabiorę coś z domu i zaraz wracam!

Paula obserwowała go, jak biegł do tylnych drzwi, otworzył je i sięgnął po coś. Wrócił z walizką, którą wrzucił do bagażnika, zanim usiadł za kierownicą.

- Wybierasz się gdzieś? - spytała.

- Zgadłaś!

Samochód ruszył, kierując się na autostradę.

- To wszystkie moje rzeczy. Mam już Parrisha powyżej uszu. Andersen po cichu zaoferował mi w Portland ciekawszą robotę i do tego lepiej płatną. A przede wszystkim będę pracował pod nim, a z niego porządny facet.

Gdy dotarli do autostrady, skręcił w lewo, w kierunku odległego Bostonu. Odwrócił się do Pauli i wyszczerzył zęby.

- Wreszcie polubię swoją robotę. A przy okazji zawiozę was z powrotem do Portland, ale dopiero wtedy, gdy obejrzyście wszystko, co chcecie.

- Parrish wie o tym? - spytała Paula.

- Nie ma pojęcia. Zadzwońię do niego z Portland i przekażę mu tę dobrą wiadomość.

Gdy pędzili asfaltem, krajobraz się zmieniał. Po obu stronach pojawiły się otwarte przestrzenie zaoranych pól ze zmarzniętymi grudami ziemi. Dalej było więcej drzew, ale las był przerzedzony. Jed pogwizdywał pod nosem.

- Gdzie jest Pinedale? - spytał Tweed.

- Właśnie tu.

Chwała Bogu, pomyślała Paula. Dość daleko od nich i siebie nawzajem stały mizerne domy ze światłami przenikającymi przez zaciągnięte zasłony. Przyszło jej na myśl, że ludzie mieszkają tu od urodzenia do śmierci, a londyńczycy wyjeżdżający na tanie wycieczki do Włoch i na Karaiby nie mają pojęcia, jak wygląda reszta świata.

- Czy widzisz tam daleko ten spalony budynek na skraju drogi? - spytał Jed Tweeda.

- Tak.

- To szpital psychiatryczny, dom opieki, jak go nazywają, gdzie ludzie parkowali swoich niechcianych krewnych, co dostali świra. Niektórzy pacjenci przychodzili tu tylko na kurację. Trzeba było mieć kupę forsy, aby się tu dostać. Dyskrecja była absolutna.

Nagle zjechał z autostrady na drogę pnącą się pod górę. Gdy skręcił gwałtownie w stronę ruin, Paula usłyszała jakieś dudnienie. Sztormowe podmuchy waliły w przednią szybę. Tweed spojrział na Jeda.

- Jak daleko od szpitala znalazłeś zwłoki Foley'a?

- Trudno tu mówić o jakiejś odległości. Ślady wskazywały na to, że ciało przeciągnięto ze szpitala na wybrzeże. Były smugi krwi. Teraz już nic z nich nie zostało. Przyszły deszcze i nikt mi nie uwierzył.

- Jak znalazłeś ciało?

- Patrolowałem skraj wybrzeża, by sprawdzić, czy jakiś statek nie rozbił się o skały. To była sztormowa noc. Sprowadziłem wtedy straż przybrzeżną z Portland. Parrish oczywiście nie ruszył d... Przepraszam, madame, za wyrażenie.

- To słowo nie jest mi obce - zapewniła. - Co to za dudnienie?

- Wielkie fale rozbijają się o klify. Już jesteśmy na miejscu - oświadczył i wyłączył silnik. - Poczekajcie chwilę.

Po wyjściu uważajcie na siebie. Klify spadają stromo w dół. Wiatr dmie od oceanu, to dla nas dobrze, ale poryw może was uderzyć jak kula w kręgle. Faceci dadzą sobie radę, ale - tu zwrócił się do Pauli - ty chyba musisz wesprzeć się na moim ramieniu.

- Z przyjemnością skorzystam z opieki - odparła, chwytając jego spojrzenie we wstecznym lusterku.

Zgodnie z radą Jeda wysiedli z prawej strony samochodu, przeciwnej do oceanu. Przed wyjściem Paula zapięła się pod szyję.

Wiatr uderzył w nich jak ruchoma ściana. Pochylili głowy, a Jed silnie przylgnął do Pauli. Nagle znaleźli się nad urwiskiem. Monstrualne fale toczyły się po powierzchni, jakby zdecydowały się zmieść Amerykę. W dole uderzały o klify, wznosząc bryzgi piany, które odczuli aż na swoich twarzach. Hałas był okropny. Nie puszczając Pauli, Jed wskazał w dół i wrzasnął do Tweeda:

- Ciało było wepchnięte w tę wielką szczelinę!!!

- Czy wtedy, gdy je odkryłeś, sztorm był większy niż teraz?!!! - krzyknął Tweed.

- Nie! Ten jest największy w tym roku!

Tweed ocenił, że największe fale załamują się o sześć metrów poniżej szczeliny. Zatem w jaki sposób ciało wrzucone do wody mogło się w niej zaklinować? Wykrzyczał swoje spostrzeżenie do Jeda.

- Nigdy o tym nie pomyślałem! - odpowiedział Amerykanin, spoglądając w dół.

- Chciałabym przeczesać teren! - krzyknęła Paula, wskazując na porośnięte krzewami zbocze prowadzące do zniszczonego szpitala. - Dam sobie sama radę, ale dzięki za dotychczasową opiekę.

Oswobodziła się i z wielkiej torby wyciągnęła potężną latarkę. Zapaliła ją. Noc była okropna, nic tylko wycie wiatru i

łomot morza walącego o skały. W wysokich butach powoli, z namysłem schodziła do szpitala. Starła się wyobrazić sobie trasę, jaką by wybrała, gdyby przyszło jej przeciągnąć ciało do klifu. Wątpiła, by już wtedy budynek był spalony.

To, czego szukała, znalazła blisko ruin. Wokół rosła wysoka trawa, którą w jednym miejscu powyrywano pełnymi garściami. Na ziemi zobaczyła podłużny odcisk.

- Co to takiego? - spytał Tweed, idąc jej śladem. Stali w zagłębieniu osłoniętym od wiatru.

- Miejsce, gdzie umieszczono pień egzekucyjny. Tutaj odcięto Foleyowi głowę.

- Zachowaj tę opinię dla siebie.

- To informacja, a nie opinia.

Wyjęła mały aparat fotograficzny robiący doskonale zdjęcia bez lampy błyskowej. Pięciokrotnie nacisnęła spust migawki i wsunęła aparat z powrotem do torby, jeszcze przed nadejściem Newmana i Jeda.

- Jed - zapytał Tweed amerykańskiego pomocnika - czy starczy nam czasu na obejrzenie domu opieki, a raczej tego, co z niego pozostało?

- Na pewno. W drodze powrotnej wcisnę gaz do dechy. Zawiozę was wprost na lotnisko. No to wracamy do samochodu. Mamy niedaleko.

Podjazd trwał krótko. Gdy tylko Jed zaparkował przy zgliszczach, Paula wyskoczyła z samochodu i pchnęła kutą z żelaza bramę. Wolno zbliżała się do ruin. Ceglane ściany wciąż jeszcze sterczały. A więc Abraham Seale mylił się, twierdząc, że Amerykanie nie znają cegieł. Czy był tutaj? A właściwie dlaczego to mnie interesuje?

- Gdzie mogłabym to schować? - spytała głośno.

- Co schować? - spytał Tweed.

Nie odpowiedziała. Wyobrażała sobie, że jest podpalaczem. Za budynkiem rozciągał się gęsto porośnięty

wiecznie zielonymi krzewami teren. Ręką w rękawiczce podniosła długi nadwęglony kij i zaczęła macać nim dokoła krzewów. Tweed również znalazł coś do przeczesywania zarośli. W przeciwieństwie do Pauli wszedł między krzaki i zaczął machać kijem daleko przed sobą. Usłyszał szczęk. Trafił na jakiś metal. Pochylił się. Jedną ręką trzymał kij w miejscu trafienia, a drugą przesunął po nim ku ziemi. Gdy się wyprostował, trzymał w ręce duży czerwony pojemnik.

- Zapewne tego szukamy? - powiedział, odwracając się w stronę Jeda. - Czy możesz powiedzieć, co to jest? - Potrząsnął pojemnikiem. - Pusty. Wiesz, co mogło być w środku?

- Benzyna - odparł Jed. - Łatwopalna.

- A co by było - ciągnął Tweed - gdyby całą zawartość rozlać na podłodze piwnicy i podpalić?

- Piekło. Szpital miał piwnicę z nisko położonymi oknami. Trzymano tam archiwa.

- Jakiego rodzaju?

- Szczegółowe informacje o pacjentach, którzy tu mieszkali teraz i kiedyś.

Paula ostrożnie podeszła pod ścianę i wyjrzała zza niej. Jed miał rację. Zobaczyła rozległą piwnicę z niewielkimi łukowato sklepionymi oknami, które pozwalały każdemu zajrzeć do środka.

- Szukałam czegoś takiego - skomentowała. - Komuś bardzo zależało na zniszczeniu tych akt.

Piwnicę po kolana wypełniały spalone szczątki. Zdjęła rękawiczkę i pokazała Jedowi kawałek papieru zwinięty na brzegach.

- Masz pomysł, co to?

- Kawałek dołu z karty pacjenta - odpowiedział, przyglądając się skrawkowi w świetle latarki. - Mogę rozpoznać podpis Bryana. Millie, tutejsza sprzątaczką, pokazała mi kiedyś w tajemnicy jeden z tych zapisów.

- Co tam notowano i kim jest Bryan?

- Pofne podsumowanie problemów pacjenta: dlaczego go przyjęto, jak leczono, nazwisko - Jed spoglądał na niebo, starając się przypomnieć sobie zawartość dokumentu - adres, płeć, wiek... - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - I kto płacił te olbrzymie rachunki. A Bryan, raczej doktor Bryan, to facet, który prowadził ten szpital wraz z żoną i personelem. Po pożarze Bryanowie zniknęli. Nie mogliśmy ustalić, gdzie się podzieli, więc daliśmy spokój poszukiwaniom.

- Czy były ofiary? Pacjenci? Personel? - spytała Paula.

- Nie. Na kilka dni przed pożarem pacjentów gdzieś odesłano, a cały personel miał dzień wolny. Rozproszyli się teraz po całym kraju. Jeden, jeśli się nie mylę, pojechał do Ohio.

- Dziwny zbieg okoliczności - zauważył Tweed.

- Były plotki, że Bryanowie zamienili wszystko w kupę gruzów i zniknęli. Zamierzali to sprzedać, ale po pożarze... - Jed machnął ręką w geście rezygnacji.

- Czy w Pinedale nie pozostał żaden członek personelu? - naciskał Tweed.

- Jest Millie. Mieszka nieco dalej, przy autostradzie. Samochodem dwie minuty stąd.

- Czy mamy czas na spotkanie z nią? Chciałbym jej zadać kilka pytań.

- Na pewno. Tłusciucha Parrisha chyba szlag trafi. Orzekł, że sprawa jest zamknięta. Może dostał w łapę? Jedźmy.

Minęli ruiny szpitala i podjechali nieco autostradą. Pojawilo się więcej drzew, a teren stał się pagórkowaty. Łagodne zbocza wznosiły się w stronę lasu.

Jed zatrzymał się przed drewnianym piętrowym domem. Kilka okiennic zwisało pod dziwnymi kątami, jakby

utrzymywały je na ścianie tylko górne zawiasy. Nie było ganku, a do drzwi prowadziła jedynie drewniana poręcz z wyrwą. Przez okna przebłyskiwało światło.

- Millie jest w domu - stwierdził Jed. - Zresztą powinna być. Od czasu morderstwa nie wychodzi po zmroku. Lepiej dam jej znać, że tu jestem. - Dwukrotnie zapukał głośno w drzwi, a potem krzyknął: - Millie! To ja, Jed! Jed!

Czekali na zimnicy, a Paula przyglądała się dziczy dokoła. Po raz kolejny zdziwiła się, jak ludzie mogą spędzić w takim miejscu całe życie. Usłyszeli otwieranie zamków i brzęk łańcucha. Gdy drzwi uchyliły się nieco, Jed przemówił ponownie i wysunął głowę do przodu. Drzwi się otworzyły.

Weszli wprost do pokoju dziennego, z arktycznego zimna w powalające gorąco płynące z trzaskającego pieca. Millie zajęła się zamykaniem zamków. Paula zauważyła dubeltówkę leżącą na kredensie. Gospodyni wołała nie ryzykować. Była małą, starannie uczesaną szatynką dobrze po trzydziestce. Miała na sobie nieskazitelnie biały strój, jakby pielęgniarzki, i z ciekawością spoglądała na gości.

- Przyjechali z Anglii - wyjaśnił Jed - i Andersen przysłał ich tu z Portland.

Tweed był mu wdzięczny za taką prezentację. To dodawało im powagi. Pod ścianą stał olbrzymi, wyglądający na nowy i wyłączony telewizor. Na stole widać było komplet eleganckich szklanek z rżniętego szkła i cztery butelki drogiej szkockiej. Gospodyni miała ostre rysy, lecz łagodne oczy. Paula zauważyła, że na taniutkich meblach nie ma ani odrobiny kurzu. Poprosiła, by usiedli na solidnych drewnianych krzesłach, a sama wybrała antyczny fotel przy stole ze szklanką popijanej małymi łykami whisky.

- Twoim znajomym można zaufać - powiedziała do Jeda.
- Przyjrzałam się im dokładnie.

- Zauważyłem to - powiedział Newman z uśmiechem.

- Mamy mało czasu - zaczął Tweed spokojnie. - Musimy wracać do Portland. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Hanka Foleya.

- Dzięki Bogu, że ktoś się tym zajął. Chcieli to wszystko zatuszować. Czuję się winna. Zapłacili mi za milczenie. - Wskazała na telewizor. - Przyjechał razem z butelkami whisky. Normalnie nie piję, ale to przynosi ulgę po tym wszystkim.

- Doskonale rozumiem - wtrąciła Paula z uśmiechem. - Kiedy jestem roztrzęsiona, wypijam kieliszek wina.

- Kim oni są? - spytał Tweed. - Od kogo dostała pani te prezenty?

- Łapówki - burknęła. - Nie mam pojęcia, skąd to przyjechało. Przywieźli ciężarówką bez słowa informacji. Dobrze się kryją.

- Czy pracując w domu opieki, zauważyła pani coś dziwnego?

- Mieli od sześciu do dziesięciu pacjentów. Na więcej nie było miejsca. Liczę razem z pokojem więziennym.

- Pokojem więziennym? - zainteresował się Tweed.

- Tym, do którego miał wstęp tylko doktor Bryan. Ciężkie drzwi z dwoma zamkami i specjalne okna z dodatkowymi sztabami. Trzymali tam pana Mannikasa. Nigdy go nie widziałam. Nawet jedzenie nosił mu Bryan. Powiedział nam, że pacjent jest niebezpieczny. Raz zajrzałam do środka, gdy pokój był pusty. Był umeblowany jak w najlepszym hotelu w Bostonie. - Nagle Millie stała się rozmowna.

Paula pomyślała, że od dawna chciała się przed kimś wygadać.

- Ktokolwiek płacił za niego, musiał mieć fortunę. Ten pacjent wyjechał ostatni w noc pożaru. Inni pojechali kilka dni wcześniej.

- Skąd pani wie, że nazywał się Mannix? - spytał Tweed.

- Takie nazwisko było wypisane na drzwiach jego pokoju. Widziałam go tylko z tyłu, kiedy wsiadał do limuzyny. Wszystko to dziwne. Był wysoki, miał na sobie czarny płaszcz i taki śmieszny kapelusz z szerokim rondem. Nie mogłam zobaczyć twarzy.

- A ten kapelusz... - wtrąciła Paula, ukrywając podniecenie -...wyglądał na hiszpański? Przepraszam, zapewne nie wie pani, o czym mówię.

- Wiem - odpowiedziała Millie. - Rzadko jeżdżę do Portland, ale raz widziałam tam mężczyznę w takim samym. Zapytałam Jeda, kto to był. Powiedział, że Hiszpan.

- To prawda - potwierdził Jed. - Zachowywał się podejrzanie, więc go sprawdziłem. Okazało się, że to turysta. Nazywał się Rodriguez. Był w porządku. Nie taki jak ten, którego Millie widziała w szpitalu. Ten był niski i gruby.

Paula wróciła myślami do nocy w Londynie i drugiego cienia, który pojawił się znikąd; cienia w hiszpańskim kapeluszu z szerokim rondem.

- Jak mówiłam - kontynuowała Millie - pan Mannix wyjechał ostatni. Byłam na dole w piwnicy, gdzie przechowywaliśmy historie pacjentów. Hank Foley był w jej dalszej części, tej za drzwiami zamykanymi na klucz. Dokładnie tam, gdzie nie powinien być. Nie wiedział, że go widziałam. Nie wiem też, skąd miał klucz, ale on zawsze węszył. Stałam przy frontowym oknie, wciśnięta w niszę. Hank wyciągał papiery pacjentów. To musiały być historie jednego albo kilku. Raz tam sprzątałam i zauważyłam daty. Nowe były w szafie najbliżej drzwi, tam gdzie stał Hank.

- Co się potem stało? - wypytywał Tweed, a Millie dalej popijała whisky.

Mówiła bez bełkotania, jakby całkiem trzeźwa.

- Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak pan Mannix wsiada do limuzyny, która odjechała w kierunku Bostonu. Ale

to nie był koniec. Za minutę lub dwie samochód wrócił i tylne drzwi się otworzyły. Nie spodobało mi się to. Wyszłam po cichu z piwnicy tylnymi drzwiami i poszłam do domu.

- Czy wtedy nie zobaczyła pani twarzy Manniksa? - wypytywał Tweed.

- Nie czekałam na to. Bałam się. Miało się zdarzyć coś niezwykłego. Czułam to w kościach. Kilka godzin później zobaczyłam płomienie.

- Gdzie był doktor Bryan, gdy to wszystko się działo?

- Wyjechał z żoną do Bostonu ze dwie godziny wcześniej. To znaczy dwie godziny przed tą sytuacją w piwnicy.

- Zostawiając panią i Foleya, abyście posprząтали? Musieli wyjeżdżać w wielkim pośpiechu. Czy to nie dziwne, że tak niebezpiecznego pacjenta jak Mannix zostawili samego?

- Nie podobało mi się to. - Millie wyglądała na przestraszoną. - To było dziwne.

Jed przerwał rozmowę:

- Jeżeli mamy zdążyć na czas do Portland, to musimy już jechać - napomniał gości.

Podziękowali Millie za pomoc. Miała wyraźnie nadzieję, że zostaną dłużej. Na zewnątrz znowu uderzyło ich arktyczne powietrze. W drodze do samochodu Jed odezwał się do Tweeda:

- Powinienem wam wcześniej o czymś powiedzieć. Kiedy wróciłem na posterunek po swój bagaż, słyszałem, jak Parrish telefonował. Dzwonił do Waszyngtonu. Słyszałem, jak przeklinał operatora. „Trzy albo cztery godziny na połączenie? Ty pieprzony błaznie”. Rzucił słuchawkę, a ja wyszedłem, zamykając cichutko drzwi. Dzwonił do brata, tego, co mu się bardziej poszczęściło niż jemu. Pracuje w Departamencie Sprawiedliwości.

Paula zerknęła na Tweeda. Miał ponurą minę. Zanim wsiedli do samochodu, wskazała na wielką rezydencję na wzgórzu po drugiej stronie autostrady, utrzymaną w pseudostylu Tudorów, ze szczytem pociętym belkowaniem. Prowadził do niej długi podjazd. Wszystkie okna były ciemne.

- Do kogo należy ta posiadłość? - spytała.

- Do takiego, co go nie lubię. Takiego, co uważa się za Boga Wszechmogącego. Do wiceprezydenta Russella Strauba.

Boeing United Airlines unosił ich nocą coraz dalej na wschód i właśnie zbliżał się do środka Atlantyku.

W drodze powrotnej Jed prowadził jak szatan i dowiózł ich na lotnisko na tyle wcześnie, że zdążyli na lokalny lot do Bostonu. W Bostonie musieli się trochę pośpieszyć, aby załapać się na lot transatlantycki. Teraz znów siedzieli wygodnie w pierwszej klasie, zajmując trzy sąsiednie fotele: Paula przy oknie, Tweed pośrodku i Newman od przejścia. Nikt nic nie mówił. Ponury nastrój Tweeda zmuszał pozostałych do zachowania milczenia.

Paula była odprężona i szczęśliwa, że mieli to już za sobą. Lubiła Amerykę, ale zima w Maine źle na nią działała, zwłaszcza w terenie, poza Portland. Po odwiedzinach w miejscu zdarzenia przebieg zbrodni był dla niej jasny. Spojrzała na Tweeda. Miał zamknięte oczy, ale wiedziała, że nie śpi. Z całej jego postaci emanował ponury nastrój. Coś było nie tak. Ale co?

Kilka minut później zbliżył się do nich drugi pilot, co od razu wzbudziło czujność Tweeda.

- Czy pan Tweed?

- Tak, to ja. W czym mogę pomóc? - Jego nastrój zmienił się momentalnie i z uśmiechem pełnym serdeczności spojrzał na pochylającego się nad nim pilota.

- Mamy problem, proszę pana.

- Proszę mówić.

- Otrzymaliśmy niejasny komunikat z Waszyngtonu, chyba z Departamentu Sprawiedliwości. W powietrzu wystąpiła silna interferencja i nie odczytaliśmy wszystkiego. Chyba żądają, aby sprawdzić, czy jest pan na pokładzie, i jeżeli tak, aby zawrócić samolot do Bostonu.

- I nie jesteście pewni, co robić?

- Szczerze mówiąc, tak. Mamy ciężki ładunek. Klasa ekonomiczna jest wypełniona. Za dwadzieścia minut przekroczymy połowę drogi do Heathrow. Kapitanowi to zawracanie wcale się nie podoba.

- Może pomoże, jeśli powiem, że byłem w Stanach z misją. - Tweed wyciągnął legitymację SIS i wręczył ją pilotowi. - A poza tym - ciągnął - przed opuszczeniem Brytanii rozmawiałem z Russellem Straubem.

- Z wiceprezydentem? Ach tak.

- Sugeruję, aby kapitan, jeżeli jest niechętnie nastawiony do pomysłu zawracania, odczekał pół godziny z wysłaniem odpowiedzi i poinformował, że otrzymany komunikat był zniekształcony, niemożliwy do zrozumienia.

- Myślę, że kapitanowi ten pomysł się spodoba. Zanim otrzymamy odpowiedź, będziemy niedaleko Heathrow. Wtedy nie będzie już można zawrócić. Dziękuję panu. Wspomnę kapitanowi o wiceprezydencie.

- Bardzo sprytnie to załatwiłeś - powiedział Newman po odejściu pilota.

- Wspomnienie o rozmowie z Russellem Straubem też było świetnym pomysłem - skomentowała Paula.

- Chociaż nie była to raczej rozmowa, tylko szybka wymiana słów - zauważył Tweed. - Ale nikt nie będzie mi mógł zarzucić kłamstwa.

Trzy kwadranse później Newman szturchnął Tweeda, który znów zdawał się zasypiać. Jego oczy otworzyły się natychmiast.

- Jesteśmy już dobrze za połową drogi i pilot nie zawrócił. Podziałało.

- Jed powiedział nam, że słyszał, jak tłścioch Parrish dzwonił do brata w Departamencie Sprawiedliwości - powiedziała Paula. - Jestem pewna, że powiedział mu o naszej wyprawie.

- Na pewno - zgodził się Tweed. - Znow się zdradzili. Tylko dlaczego tak ich to denerwuje? Dlaczego tak grube ryby są zainteresowane zamordowaniem Hanka Foleya? Dlaczego ludzie mający tak wielką władzę denerwują się zabójstwem zwykłego pielęgniarza? Już słyszę ten natłok rozmów na linii Waszyngton ambasada w Londynie. Russell Straub pewnie tam się zatrzymał, przy Grosvenor Square.

- A do tego - przypomniała Paula - ma wielką rezydencję w pobliżu szpitala.

- Wątpię, aby był bezpośrednio zamieszany w spalenie, ale ta bliskość może mieć znaczenie.

- Zapomniałam o czymś - dodała Paula. - Gdy Jed wpychał mnie do samolotu na lotnisku w Portland, spytałam go, czy wie, gdzie się zaczął pożar. Powiedział, że ekspert ze straży pożarnej mówił, że w piwnicy.

- Gdzie trzymano historie pacjentów - wtrącił się Newman.

- A co myślicie o dziwnej opowieści Millie? - naciskała Paula.

Tweed wezwał stewarda, który wcześniej podał im doskonały obiad. Mężczyzna zjawił się biegiem.

- Czy mógłby pan przynieść mi kartkę papieru, abym mógł napisać komunikat do przesłania przez radio? - poprosił Tweed.

Prośba została spełniona natychmiast. Tweed zaczął pisać starannie drukowanymi literami. Gdy skończył, złożył kartkę i ponownie wezwał stewarda. Wręczył mu tekst wraz z hojnym napiwkami.

- Czy może pan wysłać tę pilną wiadomość na londyński adres, który zapisałem w środku?

- Oczywiście, proszę pana. I bardzo panu dziękuję.

- Co tam napisałeś? - dopytywała się Paula.

- Chcę uniknąć spotkania z wrogim komitetem powitalnym, jaki może na nas czekać na Heathrow.

- Państwo pierwsi opuszczają samolot - poinformował Tweeda steward.

Olbrzymia maszyna wylądowała perfekcyjnie. Steward poprowadził ich do wyjścia i pozostali pasażerowie spojrzeli na nich ze zdziwieniem, a czasem oburzeniem. Gdy tylko zeszli na płytę lotniska, wyszedł im naprzeciw tyczkowaty starszy inspektor Buchanan. Za nim stał Jim Corcoran, szef bezpieczeństwa i przyjaciel Tweeda.

- Dostałem wiadomość od ciebie - powiedział Buchanan zwięźle, gdy szli stromym podjazdem. - Czeka tam na ciebie kilku nieprzyjemnych jegomościów. Tutaj kontrola paszportów.

Urzędnik zaledwie zerknął w paszporty, zaakceptował je i szybko zwrócił. Trzymając Tweeda za ramię, Buchanan kontynuował:

- Nudnych celników ominiemy. Czy podróż była owocna? Dobrze. Jeśli chcesz wiedzieć, to mamy tutaj stan oblężenia. Howard odpiera armię biurokratów. W ciągu kilku następnych dni ma mieć spotkanie z premierem.

- Biurokratów mam potąd - warknął Tweed. - Jeżeli jakiś stanie mi na drodze, to zmiążdżę jak bydłę.

Paula była nieco zdumiona. Tweed rzadko wpadał we wściekłość, a przy tej sprawie zdarzyło mu się to po raz kolejny. Mocniej zacisnęła dłoń na torbie z książką z Wychwood Library w środku. Przeszli dość złożoną i dziwną trasą przez opustoszałe korytarze i nagle wyszli wprost w zimną mżawkę.

- Tu jest mój samochód - powiedział Buchanan. - Wskakujcie szybko.

Newman i Paula usiedli z tyłu, a Tweed obok Buchanana, który miał kierować. Właśnie ruszał, gdy na drogę wyskoczył mężczyzna z podniesionymi rękami. Nathan Morgan w ciemnym płaszczu. Buchanan był zmuszony stanąć.

- Pogadam z nim! - krzyknął Newman, nim Buchanan zdołał wykonać jakikolwiek ruch. - Ty mógłbyś mieć kłopot z powodu starcia z władzą. Nathan, jak miło cię widzieć...

Newman jeszcze mówił, gdy całym ciężarem stanął na prawej stopie Morgana. Nathan zawył z bólu i się pochylił. Próbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobywał się jedynie zdławiony okrzyk. Z samochodu zaparkowanego niedaleko wyskoczył jakiś mężczyzna i biegł szybko w ich stronę.

- Ty jesteś z nim? - spytał ostro Newman.

- Co się stało? - odpowiedział pytaniem mężczyzna. - Tak, jestem jednym z ludzi pana Morgana.

- Zderzył się ze mną, gdy szedłem. Pomóż mu wrócić na lotnisko i znajdź miejsce, gdzie będzie mógł usiąść. Zabieraj go, tamujecie ruch.

Gdy pomocnik otoczył Morgana ramieniem, pomagając poważnie kulejącemu szefowi ruszyć w kierunku hali głównej, Newman już siedział w samochodzie.

Przebili się w końcu przez ruch uliczny i zbliżali do Park Crescent, gdy Paula uświadomiła sobie, że zatęskniła za tajemniczą atmosferą lasów Maine. Zapomniała, jakim piekłem staje się Londyn, gdy stłoczeni pod parasolami ludzie przepychają się w ciemności.

Buchanan zaparkował przy krawężniku, ale wymówił się od złożenia wizyty na górze, twierdząc, że na biurku czeka na niego dwudniowa robota. Tweed podziękował za szybką reakcję na jego wiadomość z nad Atlantyku.

- Zawsze możesz na mnie liczyć... - krzyknął Buchanan i odjechał.

W biurze na pierwszym piętrze Tweed zastał nie tylko Monicę, lecz także dyrektora Howarda. Siedział w fotelu w swej zwykłej pozie, z nogą przewieszoną przez poręcz, i palił cygaro. Było to jego nowe przyzwyczajenie. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, pełną, okrągłą twarz i wielkie nalane ciało stałego gościa doskonałych restauracji. Miał na sobie szyty na miarę szary garnitur, krawat od Hermesa i ręcznie szyte buty. Gdy wstał i uściśnął Paulę, od razu wyczuła zapach płynu po goleniu zupełnie nie w jej guście. Ton jego głosu i manieri z wyższych sfer sprawiały, że uważała go za sztywniaka. Ale w sytuacjach kryzysowych zaskakiwał ją pełnym poparciem dla działań Tweeda.

- Odpierałem gości i trzymałem ich z dala od pola bitwy - poinformował Tweeda, który tymczasem zdjął płaszcz i usiadł za biurkiem.

- Jakiego rodzaju gości? - spytał Tweed.

- Idiotów z Wydziału Specjalnego i ministra spraw wewnętrznych.

- Nie podlegamy mu - zauważył Tweed.

- Powiedziałem mu to w sposób bardziej dyplomatyczny. Poświęciłem na to sporo czasu, wiedząc, jaki jest niecierpliwy. Przetrzymałem go na linii przez dziesięć minut, pomrukując co chwila. Mówiłem to samo na tuzin sposobów. W końcu rzucił słuchawkę i rozmowa skończona.

- Dobrze. Nie lubię go. Mały i podstępny.

- A jak wasza wyprawa do Pinedale?

Krótko, lecz dokładnie Tweed przedstawił, czego doświadczyli w Maine. Cytował słowa Parrisha, Jeda i Millie. W miarę jak historia się rozwijała, Howard stawał się coraz bardziej ponury.

- Dziwne, że dom wiceprezydenta leży tak blisko miejsca zbrodni... - Nie skończył jednak, gdyż zadzwonił telefon.

Monica poinformowała o pilnym połączeniu na jego linii. Szybko wyszedł.

Paula usiadła na wprost Tweeda i spojrzała na niego.

- Teraz może ty odpowiesz na moje pytanie?

- Które? Zadałaś ich tak wiele - odparł Tweed z uśmiechem.

- To, które zadałam podczas lotu powrotnego. Co myślisz o słowach Millie?

- Przekazała nam bezcenne informacje. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że widzisz, jak tajemniczy pacjent pan Mannix wraca limuzyną do szpitala psychiatrycznego. Na szczęście Millie wymknęła się tylnymi drzwiami, bo mogłaby również stracić głowę. To coś, jak sugerowałaś nazywać zabójcę, wraca i zaskakuje Hanka Foleya przetrząsającego szafę z historiami pacjentów, a może nawet z jego (znaczy, tego czegoś) kartą w ręce. Ma przy sobie topór i obuchem uderza Foleya w tył głowy. Przeciągając ciało po zboczu, zostawia znalezione przez Jeda ślady krwi. Tam, gdzie trafiłaś, na to obłe wgłębienie, układa Foleya na plecach z szyją na pniu. Potem jednym zamachem topora odcina głowę, przeciąga bezgłowy korpus na skraj klifu i zrzuca do szczeliny. Zauważyłem, że z obu tych miejsc nie widać ani domu, ani drogi, więc kierowca limuzyny niczego nie zauważył. W drodze powrotnej zabiera głowę i wrzuca ją do jakiegoś pojemnika, po czym wsiada do samochodu i odjeżdża.

- Głowa mogła trafić do morza - zasugerował Newman.

- Mogła, ale chyba tak się nie stało. A przynajmniej tak wynika z mojego toku rozumowania.

- To okropne - powiedziała Paula, otwierając oczy. - Zobaczyłam to wszystko, co opisałeś.

- W Maine - ciągnął Tweed - ciało zostało wrzucone dokładnie do szczeliny, gdzie mogło być znalezione. W Bray korpus Holgate'a leżał w płytkim strumieniu, gdzie też mógł

być odkryty. W obu przypadkach modus operandi był taki sam.

Przez kilka minut w biurze panowało ponure milczenie. Monica przestała pisać na maszynie i siedziała ze spopielała twarzą.

- To nadal nie ma sensu - zaprotestowała w końcu Paula.

- Według profesora Saafeld'a w obu morderstwach użyto tego samego topora. Nikt nie ośmieliłby się przewieźć go samolotem, nie przeszedłby z nim przecież przez ochronę.

- Jest jeden sposób dokonania tego - orzekł Tweed. Poprosił Monicę, aby spróbowała połączyć go z Romanem Arbogastem.

- Tu Tweed - powiedział, usłyszawszy gardłowy głos w słuchawce. - Ciekaw jestem, czy ktoś ostatnio rozmawiał z panem o sprawie Holgate'a.

- Poleciałem Brodenowi zajmować się udzielaniem takich odpowiedzi. Czy chce pan z nim rozmawiać?

- Nie, dziękuję. Przepraszam, że niepokoiłem.

- Ja za to chciałbym się z panem spotkać i porozmawiać. Proszę zadzwonić, gdy będzie pan mógł. - Arbogast odłożył słuchawkę i rozmowa została przerwana.

Tweed odetchnął z ulgą.

- W jednej chwili zmienił mój punkt widzenia. Źle podchodziłem do sprawy. Monico, połącz mnie z Jimem Corcoranem...

- Jim, czy znasz sposób, w jaki Roman Arbogast mógłby przelecieć nad Atlantykiem całkiem prywatnie?

- Oczywiście, że tak. Trzyma tutaj w wydzielonym miejscu olbrzymiego gulfstreama. Jego pasażerowie są przed odlotem zobowiązani jedynie do okazania paszportów. Bez żadnej kontroli celnej. Potem odlatują.

- To całkiem niezwykle uprawnienia.

- Mówiąc między nami, jest tego przyczyna. Arbogast wyłożył wielkie sumy na budowę piątego pasa startowego. Więc my też mu pomagamy.

- Mówiłeś o pasażerach. Jakieś nazwiska? Jak wiesz, prowadzę śledztwo w sprawie szczególnie ponurego morderstwa. Roy prawdopodobnie opowiedział ci o tym.

- Tak, mówił. Nazwiska? Muszę poszukać w pamięci. Sophie, córka Romana. Marienetta, jego bratanica. Black Jack Diamond, hazardzista. Doktor Abraham Seale. Och i Sam Snyder, reporter kryminalny.

- Masz zdumiewającą pamięć. A daty? Może pamiętasz, kiedy lecieli?

- Przykro mi. Sprawdzam tylko nazwiska i tylko je zapamiętuję. Zawsze przynoszą mi notatkę podpisaną „Roman A.”.

- Czy to są ostatnie loty?

- Bardzo niedawne. W ciągu ostatnich dwóch lub trzech tygodni. Dlatego jeszcze pamiętam. Gulfstream często lata.

- Dokąd?

- Zawsze do Bostonu.

- Halo - powiedział Tweed, podnosząc telefon. - Tweed, prawda? Poznają pański głos.

Marienetta. Rozpoznał jej sposób mówienia.

- Tak, Marienetto, to ja. Czy ma pani jakiś problem?

- Jeden wyjątkowy. Czy mogłabym prosić pana o szybki przyjazd tutaj? Do sali gimnastycznej Charlie's Physical. To w podziemiach na King Street, Covent Garden. Gdy stanie pan twarzą do Strandu, będzie po prawej stronie. Wojna się rozpoczyna.

- Już wyjeżdżam. Czy przyjechać z Paulą i może z Newmanem?

- Zabieraj swoją kawalerię!

- Jadę...

Wkładając płaszcz, poprosił Paulę i Newmana, by z nim pojechali. Newman powiózł ich bocznymi ulicami, a potem już znacznie wolniej King Street. Paula dostrzegła salę gimnastyczną.

- Dwa budynki dalej! - krzyknęła. - Ta biała tablica nad oknami suterenu. Właśnie jakiś samochód odjeżdża. Możesz zająć jego miejsce.

Newman został, by wrzucić kilka monet do parkometru, a Paula z Tweedem na przedzie ruszyli w dół po metalowych stopniach. Za drzwiami zobaczyli wielką, świetnie wyposażoną salę gimnastyczną. Marienetta w trykocie stała z założonymi rękami obok Sophie, która jak szalona pedałowiała na rowerku. W pewnym oddaleniu Black Jack Diamond podnosił ciężary i spoglądał na obie kobiety.

- Jak widzę, panuje pokój - powiedział Tweed przyjaźnie.

- Do cholery, nie! - wrzasnęła Sophie.

Przestała pedałować, podbiegła i podniosła sztangę. Zatrzymała się na moment, ciężko oddychając. Była również

w trykocie i Tweed zauważył, że jest tego samego wzrostu co Marienetta, lecz cięższej budowy. Wrzeszczała, spoglądając ze złością na Marienette.

- Zawsze robisz to samo, pieprzona złodziejko. - Spojrzała na Tweeda. - Black Jack i ja zamierzamy się pobrać. Marienetta się o tym dowiedziała i zaczęła wyczyniać z nim swoje sztuczki. Myślę, że robiła to samo z moimi poprzednimi chłopakami. - Jej głos nabrzmiał wściekłością. - Teraz już się jej nie uda ujść kary. Zabiję ją... - wysyczała i ruszyła w jej stronę, podnosząc sztangę do zadania ciosu.

Black Jack natychmiast znalazł się za nią. Jedną ręką objął jej smukłą kibić, a drugą schwycił sztangę. Miotła się, lecz trzymał ją mocno przy sobie. Trwało to może pół minuty, zanim uległa. Gdy odebrał jej sztangę, usiadła na podłodze. Uwolniona z uchwytu Black Jacka nagle podskoczyła z krzykiem i konwulsyjnie wykrzywioną twarzą.

- Nikt nie może mieć mężczyzny, tylko ty!? Wszystkich mi odbierasz! Ty cholerna, pieprzona dziwko!

Marienette poniosło. Ruszyła powoli przed siebie. Prawą ręką zamachnęła się jak batem i wymierzyła Sophie silny policzek. Ta zachwiała się. Tweed skoczył ze zręcznością, która Paulę nieraz zdumiewała. Jedną ręką objął klatkę piersiową Marienetty, a drugą Sophie.

- Skończcie z tymi głupotami - odezwał się ostrym tonem - bo wezwę policję. Roman zachwyci się nagłówkami w gazetach i zdjęciami.

Siła jego głosu i waga argumentów rozładowały sytuację, a Paula zauważyła, że Marienetta była zupełnie spokojna. Na szczęście w sali gimnastycznej nie było nikogo więcej. Sophie się cofnęła, odwróciła i krzyknęła:

- Jack, ubieraj się! Ja w mig będę gotowa i chodźmy stąd, z tego diabelnego miejsca...

- Czy możecie na mnie poczekać? - zwróciła się spokojnie Marienetta do Pauli i Tweeda. - Ubiorę się bardzo szybko.

- Proszę zająć się sobą i nie śpieszyć się. Poczekamy - odparł uspokajająco Tweed.

- Dobrze to rozegrałeś - powiedziała Paula, gdy zostali we trójkę w pustej sali. - Czy widzieliście twarz Sophie? Była w niej mordercza furia.

- Tak - skomentował Newman. - Rzeczywiście groziła śmiercią.

- Odniosłam wrażenie, że Marienetta chce porozmawiać z tobą - powiedziała Paula do Tweeda. - Jeżeli będziecie sami we dwójkę, może będzie mówiła szczerzej.

- Być może masz rację - zgodził się Tweed.

- A więc Bob i ja jesteśmy spóźnieni na umówione spotkanie. Zobaczymy się w biurze...

Zaledwie minutę później zjawiała się Marienetta. Podeszła do Tweeda w eleganckim szarym kostiumie. Zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że nie wygoniłam pańskich przyjaciół.

- Śpieszyli się na inne spotkanie. Przesyłają pani serdeczne pozdrowienia. Gdzie pójdziemy?

- Zachowali się taktownie - uśmiechnęła się. - Bo spotkanie to fikcja, prawda? Jest tu kawałek dalej kawiarnia...

Był to elegancki lokal z marmurowymi stolikami, wygodnymi skórzanymi fotelami i sufitem udekorowanym jak żywym malowidłem lasu. Ten obraz przypomniawszy Tweedowi atmosferę okolic Pinedale. Do czasu przyniesienia kawy Marienetta była spokojna i milcząca. Tweed zrozumiał, że czeka na odejście kelnerki. Jedynym gościem w sali oprócz nich była elegancko ubrana starsza pani siedząca przy znacznie oddalonym stoliku.

- Niezła kawa - zauważył Tweed.

- Dziękuję, że tak szybko zareagował pan na mój telefon
- zaczęła Marienetta. - Sądzę, że jest pan jedyną osobą, która może ją uspokoić. I zrobił to pan bardzo zręcznie. Zdarzają się jej ataki nieopanowanego szału. Lekarz przepisał jej valium, ale oczywiście zapomina o jego przyjmowaniu.

- Od jak dawna cierpi na te wybuchy? - spytał Tweed.

- Od wczesnego dzieciństwa. Zwykle udaje mi się ją ułagodzić, ale czasami, jak widać, wybucha jak wulkan wściekłości. I denerwuje mnie ten szalony pomysł małżeństwa z Jackiem. Stryj jest wściekły, ale ona ma trzydzieści lat, o pięć mniej ode mnie, więc nie może jej zabronić.

- Czy zawsze była o panią zazdrosna? - zaciekawiał się Tweed. - Zwykle to najmłodszy są oczkiem w głowie.

- Wiem. - Zamilkła na chwilę, by napić się kawy. - Wyjaśnienie tego jest krępujące. Stryj Roman po prostu szybko odkrył, że znacznie góruje nad nią intelektualnie. Cytuję jego opinię, więc proszę nie myśleć, że przemawia przeze mnie zarozumiałość. A co do Black Jacka, jest gotowa porzucić go w każdej chwili, jak zrobiła z dwoma innymi, którzy poprzednio zaproponowali jej małżeństwo. Gdy tylko z jakiegoś powodu się z nią nie zgodzili, dała im kopniaka.

- Czy nie mówiła pani, że jest zatrudniona w ACTIL-u w dziale uzbrojenia? - przypomniał. - W materiałach wybuchowych. Czy to dobry pomysł?

- Właśnie miałam panu opowiedzieć o jej drugiej stronie. W dziedzinie badań jest doskonała. Broden dokładnie przygląda się jej działaniu, więc nie jest pozostawiona sama sobie.

- Nie mogę sobie wyobrazić, aby go polubiła. Jest gburowaty.

- Dziwne, ale między nimi jakoś nieźle się układa. Pomyślałam nawet, by wezwać tam Brodena, ale dla niego

najlepszym rozwiązaniem byłoby danie pięścią w szczękę Black Jackowi.

- Diamond może sam zadbać o siebie.

- Pomyślałam o tym, ale doszłam do wniosku, że lepiej zadzwonić do kogoś, kto rozwiąże sprawę spokojnie. I miałam rację. - Uśmiechnęła się. Był to zachwycający uśmiech bez śladu zalotności. - Może któregoś dnia wybierzemy się gdzieś razem na obiad? Podobają mi się dojrzały mężczyźni. Młodszy są dziś w stylu macho, a w sprawach kobiet myślą tylko o jednym.

- Świat toczy się tym torem prawdopodobnie od epoki kamiennej. Tak, warto byłoby się wybrać razem na obiad, jak tylko uporam się ze stosem bieżących spraw.

- Proszę zapomnieć o tym stosie - kusila. - Wydaje mi się, że pracuje pan nad siły. Taki wieczór wypoczynku to świetny pomysł. Do diabła z Park Crescent.

- Ani słowa - ostrzegł nagle Tweed.

W drzwiach ukazała się znajoma postać z wyrazem samozadowolenia na jastrzębiej twarzy. Sam Snyder skierował się w ich stronę.

Jego twarz wydawała się jeszcze bardziej koścista, a nos jeszcze większy, niż Tweed zapamiętał ze spotkania w Park Crescent. Zachowywał się bardziej agresywnie, a ciemne oczy sprawiały wrażenie jeszcze przenikliwszych. Bez zaproszenia dosiadł się do nich. Pojawiła się kelnerka.

- Wezmę to samo co oni - powiedział obcesowo.

- Z jakiej dziury pan wylazł? - warknął Tweed.

- Nie przedstawił mnie pan swojej ptaszynie - powiedział Snyder z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Już się spotkaliśmy - odparła Marienetta lodowatym tonem, starając się usunąć wyimaginowaną plamkę z ubrania i nie patrząc w jego stronę.

- Może zechce pan zważyć na swój język i maniery? - zaproponował Tweed ponuro.

- Dziura, z jakiej wylazłem, to Charlie's Physical, sala gimnastyczna po drugiej stronie ulicy. Ale nie mogliście mnie raczej zobaczyć. Siedziałem na galerii.

- Dobrze poza zasięgiem wzroku - powiedział Tweed pogardliwie.

- I byłem świadkiem niezłego przedstawienia. Droga Sophie zaatakowała Marienette. - Wyciągnął notatnik. - „Zabiję ją”, zdaje się, że dokładnie takich słów użyła. Przyda się w kolumnie plotek i na jakiś nowy tytułowy artykuł - ciągnął, odkładając notes. - Coś świetnego na kolumnę, jak myślicie?

Kątem oka Tweed zauważył narastające napięcie Marienetty. Czuł, że miała ochotę wymierzyć porządny policzek tej roześmianej gębie. Ale opanowała się i spojrzała na sufit. Tweed pochylił się, zbliżając na kilka centymetrów do drapieżnego nosa.

- Zamierzam ci coś obiecać, Sam - wyszeptał spokojnie, ale dobitnie. - Wiesz, że Rob Newman pomógł ci kiedyś, choć niechętnie, gdy na jeden z tematów rząd nałożył D-notice⁷. Pokazał ci, jak napisać artykuł, by uniknąć zakazu. Jeżeli wydrukujesz cokolwiek w kolumnie plotek, Newman stanie się twoim wrogiem, śmiertelnym wrogiem. Starasz się teraz wyrobić sobie markę w Nowym Jorku. Newman napisze dla „New York Timesa” satyryczny kawałek na twój temat i staniesz się pośmiewiskiem całego miasta. Będą tam o tobie krążyły dowcipy. Będziesz skończony w Stanach.

Jastrzębia twarz przybrała nowy wyraz. Snyder uniósł filiżankę kawy, ale ręka drżała mu tak, że nie zdołał nic wypić.

⁷ Oficjalne skierowane do wydawcy prasy żądanie niepublikowania informacji na dany temat ze względów bezpieczeństwa narodowego.

- Widzę, że wzięliście to poważnie i pomyśleliście, że naprawdę to wydrukuję - wyjąkał w końcu. - To nieprawda. Przepraszam za uwagę o ptaszynie. To było nieestosowne. Nieuzasadnione. Chyba lepiej zapłacę za kawę i pójdę.

- Ja zapłacę za kawę - powiedział Tweed, a ton jego głosu był równie surowy jak wyraz twarzy.

Snyder wstał i nie był pewny, w jaki sposób odejść. Zdecydował, że będzie najlepiej zrobić to bez słowa. Pilnując się, by nie spojrzeć na Marienette, wyszedł na ulicę.

- Nie wiedziałam, że potrafi pan być tak ostry - skomentowała sytuację Marienetta, gdy pozostali sami. - Pański głos, choć spokojny, brzmiał jak na Sądzie Ostatecznym. Potrafi pan bronić kobiety. Jestem panu wdzięczna.

- Nie trzeba.

Zadzwoił telefon komórkowy Marienetty. Odpowiadała rzeczowo, słuchała, a potem znów coś powiedziała i skończyła.

- To Roman. Chciałby się spotkać z panem jak najszybciej w biurze.

- Czy powiedział dlaczego?

- Tak, właśnie chciałam to powiedzieć. Mówił o kryzysie.

- Staję się ekspertem od takich sytuacji. Ten moment jest równie dobry na spotkanie z nim jak każdy inny, jeżeli tylko dla niego będzie odpowiedni.

- Jestem pewna, że tak. Miał bardzo ponury głos, choć nie tak ponury jak pan przed chwilą. Powiedział także, że byłoby dobrze, gdyby przyjechał pan z Paulą.

- Naprawdę? Nie używamy telefonów komórkowych w Park Crescent. Czy może pani wyświadczyć mi przysługę, zadzwonić do Pauli i wytłumaczyć jej, co się dzieje?

Gdy Marienetta poszła zatelefonować, Tweed zapłacił rachunek i rozejrzał się. Jego umysł pracował na pełnych

obrotach. Black Jack Diamond, Sophie i Snyder. Nie potrafił uchwycić wzoru, do którego to wszystko pasowało. Czyim tropem Snyder trafił do sali gimnastycznej, gdzie miłośnie ćwierkały ptaszyny? I tło tych drobnych zdarzeń stanowiły ponure morderstwa Foleya i Holgate'a.

- Paula powiedziała, że już startuje do ACTIL-u jak rakieta. Rob Newman upierał się jej towarzyszyć, ale powiedziałam, że będzie musiał czekać w holu. Jest pan gotów do wyjścia? Wydaje się, że myślami był pan wiele mil stąd.

- Ciekawi mnie, gdzie jest teraz Russell Straub i co szykuje. Ma pani rację, lepiej ruszajmy.

Stracili nieco czasu, łapiąc taksówkę, a potem podróż do City była pełzaniem w niekończącym się korku. Tweed zamknął okna, by nie wdychać spalin, które unosiły się nad nimi w postaci fioletowego obłoku. Gdy w końcu dotarli do budynku ACTIL-u, Paula już czekała na nich na schodach przed wejściem. Pomachała im nieco szyderczo.

- Co was zatrzymało?

- Gdzie Newman? - chciał się dowiedzieć Tweed.

- Oddał samochód do zaparkowania i teraz siedzi w tamtej kawiarni. Może lepiej już chodźmy?

- Paula - odpowiedziała Marienetta złośliwie - któregoś dnia zabiorę cię w dwugodzinną przejażdżkę po centrum Londynu. Wtedy dowiesz się, czego doświadczyliśmy.

- Marienetto - burknął Roman Arbogast, widząc ją wchodzącą do gabinetu za Paulą i Tweedem - możesz zostać i posłuchać.

- Jeżeli nie chcesz, abym została, wystarczy, że powiesz - odparła uprzejmie.

Stała wyprostowana z rękami na biodrach. Roman spojrzął na nią i machnięciem ręki zaprosił, by usiadła, jakby zgadzając się na coś nieuniknionego.

Jest w marnym nastroju, pomyślała Paula, siadając wraz z Tweedem w fotelach przed biurkiem. Roman wstał i z zapalonym cygarem w dłoni zaczął kroczyć tam i z powrotem, czym przypominał Pauli Tweeda, ale krok Tweeda był bardziej stanowczy.

- Marienetta chyba powiedziała wam - zaczął gniewnie - że moja głupia córka Sophie straciła głowę...

- Mam nadzieję, że nie tak jak Holgate - wtrąciła Marienetta. - Och, bardzo przepraszam, to była uwaga w złym guście. Naprawdę przepraszam.

- Może - zaproponował Roman zwodniczo miękkim tonem - mogłabyś się wysilić i trzymać buzię na kłódkę? Sophie jest zdecydowana wyjść za tego szubrawca Black Jacka Diamonda - zwrócił się tym razem do Pauli i Tweeda. - Wiem, czego on chce. Części akcji ACTIL-u trzymany przez prywatną firmę. Ale nie dam mu się nabić w butelkę.

- Jak pan to zrobi? - Tweed głośno wyraził ciekawość. - Sophie jest bardzo uparta.

- Jest również chytra, jak wszyscy moi krewni. Bawi teraz w Londynie bardzo przystojny Amerykanin George Barrymore. Multimilioner. Sophie raczej mu się podoba. Zamierzam zaaranżować ich spotkanie. Jeżeli ktoś ją poinformuje wcześniej, jak jest bogaty, zaraz pocieknie jej ślinka na myśl o złapaniu go w sieci, a Black Jacka wyrzuci w diabły jak nadgniłe jabłko.

- Czy nie sądzi pan - zasugerował Tweed ostrożnie - że Black Jack rozgrywa partię tak, aby zapłacił mu pan za zerwanie z Sophie? Może to rodzaj szantażu?

- Oczywiście, że tak - zagrzmiął Roman, a jego twarz wykrzywił dziki grymas.

Paula była zdumiona. Przypominał teraz przerażający portret Marienetty.

- Ale nie zna mnie! - ryknął. - Ucieknę się do każdego sposobu, aby mu przeszkodzić. Każdego sposobu, jaki jest dostępny na tej ziemi.

- Uspokój się, stryju - powiedziała spokojnie Marienetta.
- Spokój był zawsze twoją siłą.

Jej słowa i spojrzenie przyniosły zdumiewający efekt. Twarz Arbogasta zaczęła się przeistaczać, a wyraz twarzy złagodniał. Normalny i nienormalny - wstrząśnięta Paula przypomniawszy sobie słowa doktora Seale'a.

Roman opadł na krzesło. Gdy spojrział na Tweeda, jego prawe oko drgało. Uniósł tłustą rękę i powiedział miękko:

- W rzeczywistości poprosiłem was tutaj, aby spytać, czy nadal prowadzicie śledztwo w sprawie tych morderstw.

- Morderstw? - spytał Tweed.

- Powinienem powiedzieć morderstwa, morderstwa Holgate'a.

- Czy mogę spytać o powód pytania?

- Tak. Dziś z samego rana, zaraz po moim przybyciu, Nathan Morgan, szef Wydziału Specjalnego, starał się wymusić spotkanie ze mną. Broden musiał go powstrzymać siłą. Został niemal wyrzucony z budynku.

- Rozumiem. - Tweed zamilkł na chwilę. - Prowadzę wiele spraw, a ta również pozostaje w kręgu mojego zainteresowania.

- Ma pan podejrzanego? - zapytał Roman, dziwnie przekręcając głowę na prawo i zaciskając dłonie na biurku.

- Nie, nie mam. Jest jeszcze za wcześnie na rozpoznanie wszystkich osób zaangażowanych w sprawę.

- Czy poinformuje mnie pan, gdy skupi uwagę na konkretnej osobie?

- Zrobię wszystko, co będę mógł - powiedział Tweed, wstając. - Jest pan bardzo zajęтым człowiekiem, a już poświęcił nam panu tyle czasu. Pozostańmy w kontakcie...

Marienetta towarzyszyła im do windy. Nacisnęła guzik, użyła karty chipowej i odwróciła się do Tweeda.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko, zostawię was tutaj. Muszę wrócić i sprawdzić, czy rzeczywiście się uspokoił. Sophie tak strasznie go denerwuje. I bardzo panu dziękuję za pomoc w tych kilku sprawach...

Gdy wyszli z budynku, Newman wynurzył się z kawiarni i stanął na krawędzi chodnika w oczekiwaniu na samochód. W połowie schodów zobaczyli dziwną figurę pochyloną nad blatem podtrzymującym arkusz pokryty skomplikowanym diagramem. Doktor Abraham Seale podniósł wzrok. Nadal miał na sobie strój z epoki Dickensa.

- Dzień dobry, panie Tweed. Szedłem, by spytać o coś pana Arbogasta, ale zdecydowałem, że byłoby to nierozsądne. Przygotowuję drzewo genealogiczne jego rodziny. W wolnym czasie studiuję genealogię. Nazwisko Arbogast brzmiało kiedyś Arbogastini. Bardzo intrygujące.

- Włosi?

- Dokładnie. - Zwinął wykres i wraz z podkładką włożył pod ramię. - To trochę niebezpieczne miejsce na takie działania. Uciekam stąd. Do widzenia, Paulo...

- Arbogastowie są dziwną rodziną - skomentowała Paula.

- Ciekawe, dlaczego sądzi, że tutaj jest niebezpiecznie - zadumał się Tweed.

- Jestem jakaś roztrzęsiona - powiedziała Paula. - To do mnie niepodobne.

Po krótkim lunchu wrócili do biura na Park Crescent. Paula z Tweedem pozostali sami, jeśli nie liczyć Moniki piszącej na komputerze. Newman z Marlerem wyszli postraszyć kilku informatorów, z których Marler miał nadzieję wydobyć nieco informacji na temat Holgate'a.

- Roztrzęsiona? - powtórzył Tweed. - Nie dziwi mnie to. Zawsze w sprawach dotyczących ludzi byłaś nadwrażliwa. A byliśmy dzisiaj świadkami pełnego napięcia dramatu w sali gimnastycznej i drugiego, w gabinecie Arbogasta.

- Nie sądzę, aby któreś z tych zdarzeń było przyczyną. Nieważne. - Lekceważąco machnęła ręką, starając się uspokoić.

Przed Tweedem, podobnie jak przed Paulą, piętrzyły się na biurku stosy dokumentów wymagających decyzji. Papierkowej roboty mieli na jakieś dwa dni. Tweed westchnął i zasiadł do pracy. Uświadomił sobie, że powrót do roli detektywa wciągnął go na dobre.

- Połowa tych agentów za granicą przysyła dane tylko po to, by uzasadnić swoje istnienie - zrzędził. - To dlatego Howard zrzuca to wszystko na nas, a sam woli spędzać czas w klubie na pogawędkach z mandarynami z Whitehall.

- Gdybyśmy tak nagle musieli odejść - stwierdziła Paula - Howard przejąłby to wszystko i wreszcie wziął się do roboty.

- Przestań marudzić... - Tweed zamilkł w połowie zdania, gdyż Monica odebrała telefon. Pogroził jej palcem. - Nie ma mnie. Nie przejmuj się, jeżeli to z pałacu.

- Jesteś pewien? - naciskała Monica. - To pani Elena Brucan. Czeka na dole. Jest chyba trochę zdenerwowana.

- Musisz ją przyjąć - szturchnęła go Paula. - To taka przyjemna kobieta.

Tweed, który potrafił czytać bardzo szybko, uporał się już z sześcioma plikami dokumentów z pierwszego stosu. Spojrzał na Paulę bez śladu gniewu.

- Czasami zastanawiam się, kto rządzi w tym wydziale. Dobrze, zobaczę się z nią, ale potem nie chcę już nikogo widzieć...

Paula otworzyła drzwi, zapraszając gościa. Elena Brucan znów miała na sobie jasnozielony płaszcz i zieloną futrzaną czapę. Podała Pauli rękę, uścisnęła ją ciepło i weszła. Tweed wstał z za biurka i z uśmiechem poprowadził ją do fotela. Rumunka ponownie spojrzała na Paulę.

- To właśnie z pani powodu tu przyszedłam.

Monica wstała, by przygotować dla niej kawę. A to, mruknął Tweed do siebie, przedłuży tylko nasze spotkanie. Ale usiadł, uśmiechając się do gościa.

- A więc co możemy dla pani zrobić?

- Ponownie byłam przed budynkiem ACTIL-u dziś rano, gdy państwo wychodzili. Złapałam taksówkę, by za wami pojechać, lecz zatrzymaliście się na lunchu, więc poczekałam, a potem złapałam następną taksówkę. Mam nadzieję, że nie gniewacie się na mnie za to.

- Oczywiście, że nie. Jestem pewny, że miała pani ku temu powody. Budynek ACTIL-u zdaje się panią fascynować.

- Tam są wszyscy, którzy mają cokolwiek wspólnego z zamordowaniem Holgate'a i prawdopodobnie z tym drugim zabójstwem w Maine. To pewnie dlatego tam pofrunęliście.

Tweed był całkowicie skonsternowany. Spojrzał na Paulę, która właśnie siadała za biurkiem. Uśmiechnęła się szeroko. Miał ochotę ją zdzielić. Zwrócił wzrok na połyskujące oczy Eleny. Znów wydały mu się hipnotyczne.

Począł, aż Monica poda kawę, co pozwoliło mu zebrać myśli.

- Zdumiewające jest to, że nikt z nas, łącznie ze mną, nie zauważył pani ani tego ranka przed ACTIL-em, ani wcześniej na Heathrow. A przecież trudno by było panią przeoczyć.

- Dziękuję za komplement.

Paula wyczuła, że Elena się zaczerwieniła i aby zyskać na czasie, popiła nieco kawy.

- Opowiem wam nieco o moich dawniejszych przygodach. Rumuński dyktator Ceaușescu nie cierpiał mnie i nasłał na mnie tajną policję, bardzo brutalnych ludzi, którzy mieli mnie aresztować. Wtedy nauczyłam się stawać niewidzialną. Tak się zdarza w sprawach życia i śmierci. Na Heathrow, stojąc w tłumie, usłyszałam, jak pytał pan w recepcji o lot do Bostonu. Ponadto jestem zapaloną czytelniczką gazet, również amerykańskich. Opisywały szczegółowo morderstwo w Maine, tak podobne do zabójstwa biednego Holgate'a. To było naprawdę proste.

Proste? - pomyślał Tweed. Gdybym spotkał tę kobietę przed laty w Yardzie, zatrudniłbym ją, jest niesamowita. Paula przeglądała dokumenty, nadal uśmiechając się do siebie.

- Zaraz po wejściu powiedziała pani coś o Pauli - przypomniał Tweed gościowi.

- Panno Grey, grozi pani niebezpieczeństwo. Wielkie niebezpieczeństwo. Proponuję, by ochraniano panią, gdziekolwiek się pani ruszy.

Tweed ponownie spojrzał na Paulę. Przestała się uśmiechać. Pomysł ten wyraźnie jej się nie podobał.

- Czy może pani wyrazić się dokładniej? - poprosił Tweed. - Kto jej grozi?

- Przykro mi. Nie mam pojęcia, skąd pochodzi zagrożenie. Ale istnieje.

- Będę o tym pamiętać i bardzo dziękuję - zamilkł na chwilę. - Przystudiowaliśmy zdjęcia, które była pani uprzejma nam zostawić. Dlaczego tylko Sama Snydera sfotografowała pani aż pięć razy?

- Mój aparat - uśmiechnęła się do niego promiennie i szeroko. - Byłam przekonana, że nie działa, jak należy, więc fotografowałam wielokrotnie tego samego człowieka.

To pierwsze łgarstwo, pomyślał Tweed. Coś ukrywała. Chociaż być może nie była jeszcze pewna swych przypuszczeń. Wzięła do ręki swą haftowaną torbę i wstała.

- Widzę, ile pracy czeka na pana na biurku. Mam nadzieję, że nie zmarnowałam zbyt wiele pańskiego czasu.

- Jak już powiedziałem, nie zmarnowała pani ani chwili.

- Czy jeszcze kiedyś spotka się pan ze mną? Ma pan mój adres i numer telefonu.

- Na pewno - zakończył ciepło Tweed. Rzeczywiście tak sądził.

Elena podziękowała Monice za kawę, zapewniając, że była najlepsza, jaką kiedykolwiek piła. Paula odprowadziła ją aż do drzwi frontowych.

- Znowu to samo - skomentowała Monica. - Wyszła, a jej obecność jest nadal wyczuwalna.

- To bardzo dziwne. Jest naprawdę niezwykłą kobietą.

Paula wróciła z Newmanem i Marlerem. Marler zajął swe miejsce pod ścianą i zapalił długiego papierosa, a Newman zasiadł w fotelu.

- Jak poszło? - spytał Tweed. - Obaj wyglądacie na wyczerpanych.

- Przepyaliśmy sporo kapusiów - odrzekł Marler. - Ja pilnowałem z daleka, gdy on gadał z jednym ze swoich, i zamienialiśmy się rolami w wypadku moich informatorów.

- Z jakim rezultatem? - spytał Tweed niecierpliwie.

- Nic. Zero. Żadnych wieści - odparł Marler ponuro. - Odbijaliśmy się od muru milczenia. Szło jak po grudzie. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jeden rzucił uwagę, że Wydział Specjalny nader aktywnie rozsiewał w podziemiu informację, że każdy, kto coś wygada, odpowie za narkotyki i zostanie oskarżony o posiadanie heroiny.

- I ci cholerni durnie starają się trzymać od tego z dala - skomentował Tweed. - Musi to być jakiś wielki sekret, skoro rząd jest aż tak zaniepokojony, że działa w ten sposób. Przekopywanie się przez te śmieci Howarda zajmie mi jeszcze jakieś dwa dni. Potem zdecyduję, co począć, by dotrzeć do sedna sprawy. Mam nadzieję, że gdy zasiądę do tej strasznej roboty, żaden gość mnie już od niej nie oderwie.

Tweed i Paula także wzięli się do roboty i w ciągu dwóch dni uporali się ze wszystkim. Choć trafił im się jeszcze jeden gość.

Na wieczorne spotkanie następnego dnia oprócz Newmana, Pauli i Marlera Tweed zaprosił jeszcze dwóch kluczowych członków swojego zespołu. Wszedł Harry Butler, a za nim Pete Nield. Choć kontrast między nimi był uderzający, często współpracowali, wierząc sobie całkowicie w sytuacjach jeżących włosy na głowie.

Mierzący sto pięćdziesiąt centymetrów Harry Butler był krzepkiej budowy i agresywnej natury, nieco po trzydziestce, z okrągłą głową, która przypominała kulę armatnią i stawała się śmiertelną bronią, jeżeli trafił nią oponenta. Miał na sobie liche dzinsy i wiatrówkę, której dobre dni dawno minęły. Na East Endzie często uważano go za swego. Pete Nield, choć w podobnym wieku, był jego przeciwieństwem. Przystojny, z wąsikami, w szykownym niebieskim garniturze i takiej koszuli z białoniebieskim krawatem. Choć wyglądał zawsze elegancko i cieszył się powodzeniem u kobiet, szykownością

nie dorównywał Marlerowi. Wysoki na sto siedemdziesiąt centymetrów, szczupłej budowy, mógł wyglądać na łatwy kąsek, co kilkakrotnie zachęciło zbirów do ataku. Za każdym razem jednak bandzior kończył boleśnie rozciągnięty na ziemi.

- Najpierw o strategii - zaczął Tweed. - Błędzimy we mgle... - Nie skończył, bo w tym momencie zadzwonił telefon.

Zaklął pod nosem.

Monica zadała strażnikowi z dołu kilka pytań, po czym spojrzała na Tweeda.

- Amerykanin Ed Danvers czeka na dole na spotkanie z tobą. Nie chce powiedzieć, w jakiej sprawie. Twierdzi, że to ściśle tajne.

- Poślij go do diabła.

- Powiedział także, że jest z FBI. Pokazał George'owi odznakę.

Tweed usiadł. Rozważał w milczeniu kolejny zwrot akcji, a Paula niemal słyszała trybiki w jego głowie pracujące na najwyższych obrotach. Spojrzał po wszystkich zgromadzonych w pokoju.

- Zostańcie wszyscy tu, gdzie jesteście. Czy ten facet z FBI jest sam? - spytał Monicę.

Skinęła głową.

- Bardzo dziwne. Niemal zawsze pracują parami. Poproś go na górę.

Paula spojrzała na drzwi. Spodziewała się ujrzeć mężczyznę w szarym garniturze, uniformie, zamiast tego wszedł wysoki osobnik w piaskowym garniturze z gęstą, starannie uczesaną czupryną. Trochę po trzydziestce i nawet przystojny, pomyślała. Miał ładnie sklepione czoło i szare oczy pod płowymi brwiami, mocny nos i silne usta okraszone łagodnym uśmiechem.

- Proszę siadać, panie Danvers - powitał go Tweed neutralnym tonem.

- Cześć wszystkim - gość uśmiechnął się do każdego.

Monica odebrała od niego płaszcz przeciwdeszczowy, który trzymał przewieszony przez ramię. Ciągłe łagodnie się uśmiechając, usiadł w fotelu i spojrzał na siedzącego za biurkiem Tweeda.

- Pan Tweed, jak przypuszczam?

- Słusznie pan przypuszcza. Pan wprost ze Stanów?

- Nie, proszę pana. Należę do oddziału FBI stacjonującego w naszej ambasadzie. Jestem tu już od sześciu miesięcy.

- Pomyślałem, że należy pan do świty wiceprezydenta.

- Pokazałem mu wasze wyjątkowe miasto, lecz nic poza tym.

- Dlaczego tylko tyle?

- Dwa dni temu pan Straub odleciał do Europy.

- A dokąd dokładnie? - spytał szybko Tweed.

- Nie mam pojęcia. Nie powiedział. A ja nie spytałem.

- Oczywiście, że nie - stwierdził Tweed cynicznie.

- Naprawdę nie mam pojęcia, dokąd poleciał. - Danvers pochylił się do przodu, mówiąc z emfazą. W głosie Tweeda wyczuł nutę sceptycyzmu. - Jest panem samego siebie.

- Więc o Europie nic pan nie wie? - kontynuował obcesowo Tweed.

- Wprost przeciwnie, proszę pana. Wiele podróżowałem po Starym Kontynencie.

- W takim razie powinien zabrać pana ze sobą. Wątpię, aby był tam kiedykolwiek przedtem.

- Nie był.

- Zdziwiające. Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć?

- To sprawa raczej poufna. - Rozejrzał się po zatłoczonym pokoju.

- Każda z osób w tym pokoju pracuje ze mną od dawna. Są godnymi zaufania, najwyższego zaufania, profesjonalistami. Jeżeli ma pan coś do powiedzenia, proszę mówić teraz albo będę zmuszony wyprosić pana.

- Mówią, że jest pan trudnym człowiekiem...

- Kto mówi?

- Ludzie w ambasadzie. Tylko jedna osoba wie, że przyszedłem tu na spotkanie z panem.

- Kto?

- Ambasador.

Tweed spojrział na niego, a on kontynuował.

- Czy możemy nieco opanować emocje? - Danvers znów pochylił się do przodu. - Ambasador jest bardzo zainteresowany pańską podstępą misją w Maine.

- Podstępą? Co, u diabła, ma pan na myśli? Pojechałem do Maine pod własnym nazwiskiem. To słowo jest niemal obraźliwe.

- Przykro mi. Naprawdę. To określenie ambasadora. Ja bym go nigdy nie użył. Naprawdę mi przykro.

Danvers z wyglądu spodobał się Pauli i poczuła do niego pewną sympatię. Tweed pozostawał bezlitosny i strzelał pytaniami jak z karabinu. Ale rzeczywiście dobór słów nie był najszcześliwszy.

- Tę sprawę mamy za sobą - podjął Tweed przyjaznym tonem. - Jakich wiadomości od pana spodziewa się ambasador?

- Że nie będzie się pan zajmować śledztwem w sprawie zabójstwa pielęgniarza Hanka Foleya, zamordowanego brutalnie w Pinedale.

- Dlaczego miałbym się tym zajmować? - uśmiechnął się Tweed. - Czy Pinedale leży w Maine? Dlaczego ambasador

przypuszcza, że ja, siedząc tu, w Londynie, prowadzę śledztwo w sprawie zdarzenia, które nastąpiło ponad trzy tysiące kilometrów stąd?

- To sprawa wyobraźni. - Danvers spojrział na Paulę i uśmiechnął się. - A kto, jeśli nie ambasador, ma węszyć wśród brytyjskich instytucji? - zauważył, znów patrząc na Tweeda.

- Czy Russell Straub zabrał na kontynent swoją ochronę? - spytał Tweed niby przypadkowo.

- Nie - odparł Danvers i zamilkł na chwilę. - Dobrze, skoro rozpoczął pan ten temat, to powiem, że wybrał się tam sam pomimo protestów ludzi z naszego działu bezpieczeństwa. Pojechał przeczesać kontynent, aby poznać kluczowe osobistości.

- Czy to początek kampanii prezydenckiej?

- Niektórzy sądzą, że tak. Dziękuję panu za poświęcenie mi czasu. Myślę, że pora na mnie.

- Paulo! - zawołał Tweed. - Czy możesz odprowadzić naszego gościa do drzwi wejściowych?

Marler zerknął na Newmana, który tak się roześmiał, że musiał wyciągnąć chusteczkę.

- Podziel się z nami dowcipem - zaproponował Tweed.

- Zauważyliście, że nasz amerykański gość spodobał się Pauli, a ona także nie była mu obojętna? Wykorzystaj to, może Danvers w końcu dostarczy nam wartościowych informacji o tym, co dzieje się w ambasadzie.

Paula wróciła, nim Tweed zdołał odpowiedzieć. Zamknęła drzwi i stanęła przed biurkiem z rękami założonymi na piersiach. Jej wyraz twarzy nie był przyjazny.

- Ed Danvers poprosił mnie, abym od czasu do czasu wypila z nim drinka.

- Tak... - Tweed spoglądał na plik papierów leżących na biurku. - Ma dobre maniery, przyjemną osobowość i da się lubić.

- Jestem przynęta - rzuciła ostrym tonem.
- Mam nadzieję, że wyciągniesz z niego, co właściwie dzieje się w ich ambasadzie.
- Jesteś przebiegłym starym lisem - powiedziała wściekła.
- Nie podoba mi się słowo „starym” - odparł Tweed miękko.
- Mam rację. Do cholery! Powiedz mi wprost, czy mam rację. Podniósł wzrok i spojrzał na nią.
- Trafiłaś w sedno - powiedział poważnie. - Jeżeli nie masz ochoty, nie musisz spotykać się z Danversem na żadnym drinku, ale jego wizyta wiele nam powiedziała. Ambasador zwykle nie węszy wśród brytyjskich instytucji, a więc mu to zlecono. Ale kto? Nie wątpię, że pomysł przysłania tu Danversa wyszedł od wiceprezydenta, który przed wyjazdem do Europy wywarł presję na ambasadorze. Ale dlaczego Russell Straub wybrał się na kontynent samotnie? Nie w celach reprezentacyjnych. Gdyby tak było, zabrałby ze sobą całą straż przyboczną.
- Przepraszam za wybuch - powiedziała Paula, siadając za biurkiem. - Ale od dwóch dni jestem roztrzęsiona. To głupie i mam nadzieję, że odkryję przyczynę.
- Nie przejmuj się - odparł Tweed łagodnie. - Mieliśmy ostatnio masę nieprzyjemnych spotkań. - Westchnął, gdy telefon ponownie zadzwonił.

Monica odebrała i pilnie wezwała Tweeda do podniesienia słuchawki.

- Starszy inspektor Arthur Beck z Federalnej Policji Szwajcarskiej chce z tobą rozmawiać. Głos miał bardzo poważny. Myślę, że coś się stało.

W Montreux zostało znalezione trzecie ciało bez głowy - poinformował Tweed. Przedtem przez kilka minut rozmawiał przez telefon ze swoim starym przyjacielem Arthurem Beckiem. Zadał przy tym przypadkowe pytanie, którego Paula nie mogła nijak dopasować do reszty rozmowy. Teraz była nie mniej zdumiona od pozostałych. Wszyscy w biurze zachowali milczenie. Ciszę przerwała Paula:

- W Szwajcarii. Najpierw w Maine, potem w Bray, a teraz w Szwajcarii. Niezwykła rozpiętość geograficzna. Czyje to ciało?

- Jeszcze nie zostało zidentyfikowane. Beck mówił w pośpiechu i przekazał jedynie fragmentaryczny obraz zdarzenia. Jak zrozumiałem, ciało zostało znalezione na skraju jeziora. Wspomniał coś o pick-boat.

- A może o *pic-bot*? - zasugerowała mówiąca płynnie po francusku Paula.

- Tak, tak to brzmiało.

- Kiedyś widziałam to w Montreux. To taka wielka barka bez pokładu. Ma strome, sięgające dna burty. Dwaj mężczyźni używali jej do wyławiania śmieci, jakie spływały do jeziora, gałęzi, liści i różnego rodzaju odpadów. Wyławiali je i wciągali na barkę za pomocą specjalnych narzędzi przypominających wielkie grabie.

- A więc seryjny morderca działa na różnych kontynentach - skomentował Newman.

- Jestem pewien - powiedział Tweed ponuro - że nie jest to zwykły seryjny morderca. Coś łączy ofiary. Ale dopóki ciało nie zostanie zidentyfikowane, nie wiemy, czy ma cokolwiek wspólnego z tymi z Maine i Bray. Beck chce, abyśmy przylecieli dzisiaj. - Tweed spojrzał na Monicę. - Czy

mogłabyś załatwić lot do Genewy na dziś wieczór? Beck obiecał, że wyjedzie po nas limuzyna.

- Tak, mogę. - Monica знаła rozkłady lotów na pamięć. - Ale muszę się pośpieszyć, a wy się pakujcie. Ile osób?

- Wszyscy tu obecni. Pełna grupa. Podróżujemy pod prawdziwymi nazwiskami. - Rozejrzył się po biurze. - Może być zimno, więc weźcie coś ciepłego.

- Może być mróz - powiedziała Paula. - W tym roku zima wcześniej się zaczęła. Śnieg już leży na szczytach. Rzeczywiście bardzo wcześniej.

- Moja walizka jest spakowana, gotowa na takie nagłe przypadki - Tweed wskazał w przepastny róg szafy. - A jak twoja, Paulo?

- Też gotowa. W tej samej szafie. A to twoja, prawda, Rob?

- Tylko ja muszę wpaść do domu - wtrącił Marler. - Ciekawe, na jak długo jedziemy.

Odczekał, aż Monica skończy rozmowę z dziewczyną z Heathrow. Rzucała słowa jak karabin maszynowy i w końcu, zwracając się do Tweeda, uniosła kciuk ku górze.

- Macie zarezerwowane miejsca na wieczorny lot. Wszyscy. Skoro Beck ma wam załatwić dalszy transport, może powinnam do niego zadzwonić i podać informacje o locie?

- To następna sprawa do załatwienia - powiedział Tweed, podchodząc do jej biurka, aby podać numer Becka. - Ile mamy czasu?

- Za trzy godziny macie tu być gotowi do drogi. Zamówię taksówki. Jazda samochodami i parkowanie na Heathrow zajęłoby wam sporo czasu.

- Trzy godziny? - powtórzył Marler. - Wychodzę.

Wiele osób wyruszyło do domu po ciepłą odzież. Tweed miał wyskoczyć do Howarda, aby poinformować go, jak

wygląda sytuacja, i zniknął. Tylko Paula i Newman zostali w biurze z Monicą, która już dzwoniła do Becka. Paula nagle uświadomiła sobie, że jej rozstrój nerwowy minął. Perspektywa działania oczyściła ją. Otworzyła kluczem szufladę, wyjęła z niej „Historię egzekucji” Wyliego i delikatnie włożyła do teczek. Lektura do snu, pomyślała. Chyba jednak nie - zreflektowała się od razu.

- Boże! - zawołała. - Muszę zadzwonić do Marienetty.

- Po co? - spytał Newman.

- Miałyśmy się umówić na obiad. Muszę jej powiedzieć, że nie będzie mnie przez jakiś czas.

Newman wzruszył ramionami. Gdy dzwoniła, zajął się czytaniem „Herald Tribune”. Nie było tam ani słowa o morderstwie Foleya. Tweed wrócił, gdy Paula odkładała telefon.

- Dziwne.

- Co takiego? - spytał, kierując się do szafy, by sprawdzić walizkę.

- Zadzwoniłam do Marienetty, a jej sekretarka powiedziała mi, że wyjechała za granicę kilka dni temu. Tak samo Sophie. Sekretarka twierdziła, że nigdy nie podróżują razem, i naciskana przeze mnie zasugerowała, abym porozmawiała z panem Arbogastem. Potem powiedziała mi, że pana Arbogasta też nie ma w kraju. Wszyscy wyjechali niezależnie od siebie.

- Co - zauważył Tweed - nastąpiło w czasie odpłynięcia Strauba w stronę dala. Zbieg okoliczności? Niepokoi mnie to.

- Może lepiej zadzwoń do pani Brucan i uprzedź ją, że znikasz na kilka dni - zaproponowała Paula. - Może ją to uchroni przed zbędną podróżą, gdyż - jak mi się zdaje - nie będzie umiała trzymać się od tego z daleka.

- Chyba tak zrobię.

Tweed odszukał jej numer w notesie. Podniósł słuchawkę, zadzwonił i czekał. Myśląc, że się pomylił, spróbował ponownie. Czekał przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę.

- Nikt nie odbiera. Słysząc tylko dzwonek. Wszyscy gdzieś poznikali. To epidemia nieobecności. Howard jest poinformowany i przejmie sprawy na czas mojej nieobecności. Był zaskoczony nowymi informacjami. Powiedziałem mu, że to może być każdy.

- Każdy? - spytała Paula.

- Tym trzecim bezgłowym ciałem znalezionym w Montreux może być każdy.

- Daj Boże, aby to nie był żaden nasz znajomy.

Lot do Genewy trwał nieco ponad godzinę. Tym razem ich miejsca były bliżej pilota. Butler z Nioldem siedzieli kilka rzędów za nimi, a samotny Marler zajął miejsce z tyłu. Lubił mieć oko na wszystkich w kabinie.

Gdy się ściemniło, Paula poszperała w teczce i wyciągnęła wypożyczoną księgę. Kilka miejsc było zaznaczonych paskami papieru. Spojrzała na Newmana.

- To naprawdę przerażające. Mam nadzieję, że masz mocny żołądek.

- To mi zapewnia dobry humor - odpowiedział, podnosząc szklaneczkę whisky. - Jestem gotów na najgorsze.

- Egzekucje wykonywano bardzo metodycznie - zaczęła.
- Oto faza pierwsza: skazanego ze związanymi rękami przymocowują na szczycie szafotu.

Tweed zerknął na ilustrację, jak przypuszczał, nakreśloną węglem. Na platformie czekał kat, wielki i brutalny, z głową schowaną w wełnianym kapturze z otworami na oczy. Groźny i surowy. W prawej ręce trzymał topór z długim drzewcem. Ofiara leżała na plecach z szyją ułożoną na wyprofilowanym bloku. Kat wznosił topór nad jej głową.

Na następnej rycinie opuszczał go. Ostrze przecinało szyję, a głowa staczała się na wielką workową płachtę. Czarna krew tryskała na wszystkie strony z postrzępionego kikuta szyi.

- Dobrze, że to nie w kolorze - skomentował Newman.

Kat kilkakrotnie unosił odciętą głowę za włosy, pokazując tłumowi zgromadzonemu poniżej, a potem rzucał na płachtę. Owijał nią głowę i rzucał w dół, na stojący obok wóz.

- Teraz coś istotnego - powiedziała Paula.

- Na pewno istotnego dla biednego czorta, któremu odcięto głowę - zauważył Newman.

Paula szturchnęła go porządnie w żebra.

- Nie wygłupiaj się. To naprawdę bardzo ważne.

- Co takiego? - spytał Tweed.

Cofnęła kartę, pokazując stronę, na której przed katem oczekującym z uniesionym toporem leżała płachta rozciągnięta za kłocem.

- Ta płachta - powiedziała z naciskiem. - Nie znaleziono głów Foleya ani Holgate'a. Myślę, że taka sama leżała za prowizorycznym pniem egzekucyjnym. To na nią potoczyły się głowy. Można ją było potem wsadzić do jakiegoś pojemnika i gdzieś wywieźć.

- Wezmę drugą szkocką - oznajmił Newman, wzywając stewarda.

Paula zamknęła książkę i nie otwierała jej, dopóki drink nie został podany i steward nie odszedł.

- A jaki pojemnik nadałby się do przechowywania ludzkiej głowy? - spytał Newman.

- Myślę, że Paula ma rację - orzekł Tweed. - Powinniśmy o tym wcześniej pomyśleć. Widziałem kiedyś ludzką głowę po sekcji przechowywaną w formalinie. Siedziała w wielkim laboratoryjnym słoju ze szklanym wiekiem. Tylko do czego można by taki laboratoryjny słoć wsadzić, aby go gdzieś wywieźć?

- Do jednej z takich waliz na kółkach, z jakimi ludzie teraz podróżują - powiedziała.

- Z takiej głowy musiała wylecieć masa krwi - zauważył Newman.

- Dlatego to coś musiało trzymać ją za włosy, dopóki nie zaczęły spadać już tylko pojedyncze krople.

- Naprawdę powinniśmy o tym wcześniej pomyśleć - zawyrokował ponownie Tweed. - W Pinedale należało szukać dalej. Musiało tam być jakieś miejsce przesiąknięte krwią. W Bray też.

- Masz jeszcze jakieś delacje? - dopytywał się Newman.

- Przy gilotynie stosowano ten sam system. - Odwróciła kolejną zaznaczoną stronę. - Widzicie tam, za pniem egzekucyjnym, płachtę czekającą na głowę skazańca?

- Spójrzcie na kikut szyi - powiedział Newman. - A teraz wróć do poprzedniego przykładu.

Szybko odnalazła stronę. Newman spojrzął na odrażającą rycinę.

- Widzicie? Kikut też jest poszarpany. A głowy Foleya i Holgate'a zostały odcięte równiutko pod podbródkiem. Bez żadnych wystrzępień.

- Widać trening na czymś bezwładnym - doszedł do wniosku Tweed. - Może manekinie.

- Nie jestem pewna, czy aby na pewno był to manekin - wątpiła Paula.

- Więc co? - spytał Tweed.

- Nie wiem. Pomyślę o tym. Lądujemy.

Owinęła książkę i ostrożnie włożyła z powrotem do teczki. Potem, aby odetchnąć od tych strasznych studiów, wyjrzała przez okno.

Noc była bezchmurna. Samolot zniżał lot, a ona przyglądała się górcom Jury wznoszącym się za rozległym bladoniebieskim rozlewiskiem Jeziora Genewskiego, zwanego też Lemańskim. Na szczytach leżał śnieg, a sceneria była wspaniała. Samolot skręcił nad jezioro, którego wielka nieruchoma tafla połyskiwała w świetle księżyca. Podczas lądowania koła delikatnie uderzyły w asfalt.

Po wejściu do hali głównej genewskiego lotniska Cointrin Tweed i Paula z zadowoleniem zauważyli oczekującego na nich starszego inspektora policji federalnej Arthura Becka. Kilku umundurowanych policjantów tworzyło przy nim ochronny krąg. Beck podbiegł do nich, uściskał Paulę i ręce Tweeda i Newmana, po czym poprowadził do dwóch czekających samochodów.

Był wysoki, około czterdziestki, szczupły, z siwiejącymi włosami i przystrzyżonymi wąsami. Głowę miał wąską, ładnie sklepione czoło, rzymski nos oraz usta i szczękę wskazujące na zdecydowany charakter. Tweed uważał swego przyjaciela za najbardziej energicznego i efektywnego policjanta na kontynencie.

Beck chwycił walizkę Pauli, torbę zaś uparła się nieść sama. Było lodowato zimno, ale przy takiej pogodzie Tweed czuł się wspaniale. Bardzo szybko razem z Paulą usadowił się w luksusowej limuzynie za kierowcą i dwoma siedzącymi obok niego policjantami. Newman i Marler siedzieli za nimi, a Nield i Butler podróżowali drugim samochodem. Gdy po opuszczeniu lotniska skierowali się na wschód, Beck powiedział:

- Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści. Po ściągnięciu was tutaj...

- Straciłeś ciało?

- Jestem pewien, że tylko czasowo. Leżało wzdłuż pic-bota, gdy nagle zerwał się sztorm od strony jeziora i zmył je gdzieś dalej. Nie ma czym się przejmować. Sztorm powinien się skończyć wieczorem i wtedy ciało znów wypłynie na powierzchnię.

- Czy mieliście czas je rozpoznać?

- Tylko tyle, by zauważyć, że nie ma głowy. Było szczelnie zamknięte w pokrowcu na zwłoki, a pokrowiec miał zasunięty zamek błyskawiczny. Jeden z członków załogi

otworzył go i zajrzał do środka. Od tego, co zobaczył, zrobiło mu się niedobrze. Dureń puścił pokrowiec i pozwolił mu zniknąć.

- Musiał to być nieprzyjemny widok - stwierdziła Paula spokojnie.

- Drugi z załogi był bardziej odporny. Zdażył zrobić jedno zdjęcie polaroidem, a potem wychylić się i zasunąć zamek błyskawiczny, nim pokrowiec z ciałem został zmyty do jeziora. Mam je. - Spojrzał niepewnie na Paulę.

Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi.

- Nie przejmuj się - uspokoiła go. - Widziałam bezgłowe ciała z Maine i Bray. Nie zemdleję - powiedziała z uśmiechem.

- Więc proszę, zobaczcie.

Ze skórzanej teczki wyciągnął kolorową odbitkę w przezroczystej kopercie, którą podał Pauli. Newman zajrzał jej przez ramię. Beck zaś zamknął szklaną przegrodę odcinającą kierowcę od pasażerów, by tamci funkcjonariusze nie mogli usłyszeć ani słowa.

- Dobrze zrobione zdjęcie z rzutem w dół na kikut szyi - skomentował Newman.

Paula przyglądała się fotografii dokładnie w świetle górnej lampy zapalanej przez Becka. Obracała ją powoli raz w jedną, raz w drugą stronę, szukając czegoś, co pozwoliłoby na zidentyfikowanie zwłok. Zadanie było beznadziejne. Widziała jedynie szarpiącą nerwy masę zaschniętej krwi.

- Nie mogę nawet dojrzeć, czy jest to równe cięcie, czy szyja jest poszarpana, a to ważne.

- Dlaczego? - spytał Beck.

Tweed opowiedział mu o tym, co odkryli, o równym cięciu ostrza i o miejscu i kształcie odkrytej na nim szczyrby.

- Powiem o tym doktorowi Zeitzlerowi. To patolog, którego posłałem z Zurychu do Montreux. Wy tłumaczyłem

mu, aby pozostał tam, dopóki ciało nie dostanie się w nasze ręce.

- Dlaczego akurat doktora Zeitzlera? - zaciekawiała się Paula. - Ja bym pomyślała o ściągnięciu patologa z bliższego Berna.

- Ach - zaśmiał się Beck. - Upieram się, aby wszędzie, gdzie działam, korzystano jedynie z najlepszych specjalistów. Na razie najlepszym patologiem w Szwajcarii jest Zeitzler. Bardzo wyniosły, ale wie, co mówi. Tak samo jak on spędzicie noc w Le Montreux Palace. Ty i Paula dostaniecie apartamenty.

- Jesteś bardzo szczodry - stwierdziła Paula. - Pamiętam ten hotel. Jest najlepszy w mieście.

- Dla Newmana zarezerwowałem miejsce na poddaszu - wtrącił mimochodem.

- Wielkie dzięki - warknął Newman z tyłu.

- To tylko żart - powiedział Beck płynną angielszczyzną.

- Czeka na ciebie bardzo przyjemny pokój...

W czasie ich rozmowy limuzyna pokonała autostradą znaczną część trasy do Montreux położonego na dalekim końcu największego jeziora Szwajcarii. Paula wyglądała przez okno i z przyjemnością patrzyła na ośnieżone wierzchołki i faliste grzbiety Jury. W świetle księżyca zobaczyła biegnące w stronę autostrady równe linie winnic mających latem przynieść plony. Tu i ówdzie widać było regularne prostokąty niewielkich kamiennych wiosek. W każdej wznosiła się cebulasta kopuła jakiegoś kościółka. Tak tu szwajcarsko. Tak spokojnie.

Spojrzała na drugą stronę przez okno, od którego oddzielali ją Tweed i Beck, gdzie - jak wiedziała - rozpościerała się tafla jeziora. W oddali widać było francuski brzeg z ponurymi turniami w tle. Ściany deszczu złożone jakby ze zbitych igieł sunęły w ich stronę.

- Wkrótce miniemy Ouchy, gdzie droga zbliża się do jeziora - powiedział. - W tym końcu Jeziora Lemańskiego sztorm narasta, ale według prognozy pogody przeminie wczesnym rankiem. Mamy nadzieję, że wtedy ciało wróci do nas.

Paulę zaczął morzyć sen. Przesunęła się tak, by głowę złożyć na oparciu. Było bardzo wygodnie. Limuzyna z cichym pomrukiem sunęła doskonałą autostradą. Szybko usnęła.

Obudził ją Tweed, delikatnie potrząsając za ramię. Zamrugła i usiadła wyprostowana, świadoma dwóch rzeczy. Limuzyna zwalniała, by się zatrzymać, a ona prawą rękę wciąż zaciskała na trzymanej na kolanach teczce z cenną księgą w środku.

- Dotarliśmy do Montreux - powiedział Tweed, gdy samochód się zatrzymał.

Spojrzała za okno. Nad nią wznosił się żółto-złoty olbrzymi hotel, który zdawał się od zawsze rozciągać wzdłuż Grand-Rue. Wiele pokoi miało balkony, ale z powodu deszczu nikt nie korzystał z nich tego wieczoru. Zgrabnie ubrani służący z wielkimi parasolami otworzyli drzwi samochodu. Tweed i Paula skuleni pod parasolami pośpieszyli za Beckiem i resztą grupy do środka.

Gdy w recepcji okazywali paszporty, Beck nieco się odsunął. Pracownik hotelu zanotował szczegóły i powitał ich ciepło.

- Sądzę, że o tej porze roku nie macie kompletu - zauważył Tweed.

- Nie, proszę pana. Ale niewiele brakowało, a spotkaliby się państwo z innym dostojnym gościem, który tu bawił.

- Z kim?

- Z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

- To nie ma znaczenia - odpowiedział Tweed recepcjoniście. - Rozmawiałem z Russellem Straubem w Londynie zaledwie tydzień temu.

Paula omal nie parsknęła śmiechem. Tweed straszliwie przesadzał, interpretując w ten sposób krótką wymianę zdań z wiceprezydentem na przyjęciu urodzinowym Sophie.

- Naprawdę, proszę pana - recepcjonista był wyraźnie pod wrażeniem. - Odjechał stąd mniej więcej godzinę temu. Po zapadnięciu zmroku.

- Zapewne pociągiem?

- Ależ nie, proszę pana. Wielkim fordem, którego sam prowadził.

- Przypuszczam, że do Berna - odparł Tweed, wymieniając pierwsze miasto, jakie mu przyszło do głowy.

- Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie pojechał. Wiele przebywał poza hotelem i nie ujawniał żadnych informacji.

- Chodźmy lepiej do naszych pokoi. Czy jeszcze można zjeść obiad?

- Tak, oczywiście.

Paulę poprowadzono do jej apartamentu, a Tweeda w towarzystwie Becka w inną stronę. Jego apartament był przestronny, z balkonem zwróconym w stronę jeziora. Po zapłaceniu bagażowym Tweed zwrócił się do Becka:

- Czy z balkonu możemy zobaczyć, gdzie znaleziono ciało?

Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, by nieco zmoknąć. Choć, jak widzę, opuścili markizy. - Wyszli na zewnątrz i Beck wskazał miejsce. - Ledwie można je dojrzeć zza drzew. To tam w dole obok *quai*⁸.

⁸ Nabrzeże.

- A więc teraz możemy mieć jedynie nadzieję - stwierdził Tweed, wracając do środka.

- Wysłałem łódź patrolową z wielkim czerpakiem. Może coś znajdą. Teraz zostawię cię samego. - Wziął hotelowy notes i zapisał numer. - W nocy będę pod tym telefonem. To kwatera główna policji w pobliżu *quai*.

Tweed umył się szybko i ruszył na poszukiwanie apartamentu Pauli. Po drodze natknął się na robiącego to samo Newmana. Hotel był olbrzymi, lecz w końcu trafili do jej pokoju. Tweed zapukał.

- Kto tam? - spytała Paula ostrożnie.

- Tweed.

Otworzyła zamek i wpuściła ich do apartamentu tych samych rozmiarów co Tweeda. Przebrała się już do obiadu w ciemnoniebieską suknię bez rękawów z wysokim kołnierzem. Tweed przeszedł dookoła i wyjrzał przez okno.

- Doskonale izolowany - powiedział.

- Też tak pomyślałam - zgodziła się Paula. - Gdyby któryś z was mnie potrzebował, niech zastuka czterokrotnie i po krótkiej przerwie jeszcze raz. Jeżeli nie odpowiem, powtórzcie kod. Po obiedzie zamierzam się porządnie wyspać, ale teraz jestem strasznie głodna...

Gdy dochodzili do drzwi restauracji, Tweed zatrzymał się na chwilę i poinformował kelnera, że chciałby się nieco rozejrzeć. Paula powiodła za nim wzrokiem, a Newman niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Paula wstrzymała oddech.

- O Boże! Nie wierzę.

- Co takiego? - spytał Newman.

- Spójrz tam, na ten stół na wpół ukryty pod oknem. Marienetta z Sophie i Black Jack Diamond. Co tu, do diabła, robią?

- Może podejść do nich i porozmawiaj? - zasugerował Tweed. - Rob i ja weźmiemy stolik gdzieś tu z dala. Proponuję, abyś ucięła sobie pogawędkę z Marienettą. Dobrze się rozumiałyście.

Paula ruszyła między stolikami. Była zaledwie w połowie drogi, gdy zauważyła ją Marienettą ubrana w suknię z odkrytymi ramionami. Zerwała się z krzesła i uściśnęła ją, gdy tylko Paula dotarła do ich stołu.

- Wreszcie będę miała kogoś inteligentnego do rozmowy. Tak miło cię widzieć.

- Co, u diabła, robisz w tej części świata?! - wykrzyknął Black Jack, odchylając się swobodnie na krześle.

- Mogę wam zadać to samo pytanie - stwierdziła Paula.

- Śledzi nas - zauważyła Sophie nieprzyjemnym tonem.

- Nie miałam zielonego pojęcia, że jesteście w Szwajcarii - odparła Paula uprzejmie.

- Właśnie skończyli kolejną kłótnię - powiedziała Marienetta, ujmując Paulę za ramię. - Chodźmy do baru. Mam ochotę na *cointreau*.

A ja bym coś zjadła, pomyślała Paula, ale pozwoliła wyprowadzić się do baru i poprosiła o mały kieliszek Chardonnay. Marienetta zamówiła *cointreau*, chwając strój Pauli.

- Co tu robisz? - spytała Paula.

- Stryj buduje fabrykę plastików w Vevey, nad jeziorem, w stronę Ouchy. Budowa jest zaawansowana i przyjechał bez zapowiedzi sprawdzić postępy. Chciał, abym przyjechała z nim, gdyż wie, że lepiej znam się na sprawach administracyjnych.

- Roman jest tutaj?

- Był. Odjechał samochodem kilka godzin temu. Sam prowadził. Nie pytaj dokąd. Jest taki tajemniczy. Wczesne doświadczenia biznesowe zrodziły w nim manię trzymania

wszystkiego w sekrecie. Przed obiadem widziałam samochody policyjne śpieszące nad brzeg jeziora.

- Coś się stało? - zacięła się Paula.

- Nie mam pojęcia. Przed wyjazdem z Londynu Roman poznał Sophie z amerykańskim milionerem, aby odciągnąć ją od Black Jacka. Tamten zabrał ją taksówką na lunch. Gdy dojechali do restauracji, Amerykanin uświadomił sobie, że nie ma angielskich pieniędzy, i chciał pożyczyć od Sophie na taksówkę. To na nią podziałało jak smagnięcie batem. Pozbyła się go i kazała zawieźć się z powrotem do ACTIL-u.

- Nie trzeba wiele, aby ją zdenerwować, prawda?

- Tak, jeżeli jest w złym nastroju. Dowiedziała się, że się tu wybieramy, i postanowiła przylecieć na własną rękę, oczywiście z Black Jackiem.

- Dlaczego?

- Aby odpłacić stryjowi pięknym za nadobne. Najmniejszy drobiazg może wyzwolić w niej złość. Stryj wściekł się, gdy zobaczył tu Black Jacka, i nie usiadł z nim do stołu.

- Kiedy tu przyjechaliście? - spytała Paula mimochodem, żując precle, co pomagało oszukać głód.

- A ja, czy mogę spytać, co ty tu robisz z tym okropnym Tweedem i gruboskórnym Robertem Newmanem?

- Utknęliśmy na dobre w tych okropnych morderstwach. Znaleziono trzecią ofiarę, jeszcze jedno ciało bez głowy pływające w jeziorze. Nadal gdzieś tam jest.

- O Boże. To tłumaczy te samochody policyjne - stwierdziła Marienetta i zaraz zamilkła. - Czyje to ciało?

- Nie wiemy. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale jestem głodna, jakbym nie jadła od tygodni.

- O Boże. Powinnaś powiedzieć wcześniej. Wracajmy do stołu, biedactwo.

Dziwne, pomyślała Paula, idąc w stronę stołu, że w ciągu dwóch dni zjechali tu wszyscy. Rodzina Arbogastów i wiceprezydent. Tweed na pewno nie uwierzy, że to przypadek. Zwłaszcza, że popełniono kolejne morderstwo.

Gdy Paula ochoczo zajadała makaron, Sophie zabawiała ją rozmową, tak rozważną i przesyconą znajomością rzeczy, jakby była zupełnie inną osobą. Paula miała okazję poznać Sophie naukowca.

- Mamy tam dalej przy drodze fabrykę plastików, które wymyśliłam. Opracowałam i opatentowałam nową technikę produkcji plastiku. Może przynieść ojcu kolejną fortunę.

- Powiedz coś o tym - poprosiła Paula pełnymi ustami.

- Jest to plastik znacznie mocniejszy i bardziej giętki od istniejących. Prace teoretyczne zajęły mi całe miesiące, ale teraz jest już wytwarzany...

- Pozwól Pauli spokojnie zjeść - przerwała jej Marienetta.
- Umiera z głodu.

- A więc - ciągnęła Sophie, ignorując uwagę - można go rozgrzać i dłońmi zwiąć w dowolny kształt. Wiele linii lotniczych zawarło kontrakty. Elastyczność może być wykorzystywana w obróbce ręcznej lub maszynowej. Zwykle odlewanie pozwala na nadanie mu dowolnego kształtu, który po schłodzeniu zyskuje wytrzymałość kamienia. Studiowałam chemię i fizykę na Durham University i oba wydziały skończyłam z pierwszą lokatą.

- Naprawdę? - Paula przestała jeść i spojrzała w jej rozentuzjasmowane oczy. Była pod wrażeniem. Dotychczas nie była świadoma, że dziewczyna miała niezwykle umysł. - Twój ojciec musi podziwiać te osiągnięcia.

- Och, zapewne tak - powiedziała Sophie, ale jej oblicze pociemniało. - Jedzie do Vevey z Marienettą i załatwiają wszystkie sprawy finansowe. Marienetta przylatuje tu i nie mówiąc mi słowa, organizuje administrację. Wymyśliłam całe to cholerne przedsięwzięcie i nie jestem nawet jego dyrektorem.

- Tak - wtrącił z szyderczym uśmiechem Black Jack - ale jesteś przecież naukowcem. Bilans to dla twojego ograniczonego intelektu jakieś hieroglify.

- Paula - zapytała Sophie spokojnie, biorąc do ręki widelec - czy mogę spróbować twojego makaronu?

- Proszę bardzo - zachęciła ją Paula. - Dla mnie i tak jest to za duża porcja.

Sophie nabrała pełny widelec, po czym obróciła się nagle i zrzuciła jego zawartość na kolana Black Jacka.

- To trochę niechlujny sposób jedzenia - skomentował złośliwie ktoś z sali.

Sam Snyder wychynął znikąd.

Reporter o jastrzębiej twarzy stanął obok Diamonda i machnięciem ręki pozdrowił innych biesiadników. Miał na sobie wizytową marynarkę i wyglądał zupełnie inaczej niż w kawiarni na dalekiej londyńskiej King Street.

- Dobry wieczór paniom.

Black Jack wstał, potykając się o krzesło. Spojrzał na Snydera z wściekłością. Zacisnął lewą pięść i warknął:

- Zamierzam posłać cię do szpitala, mały, parszywy kundlu.

A więc tak się rzeczy mają, mruknęła Paula do siebie.

Black Jack zamierza porządnie rąbnąć reportera. Jego lewa pięść cofnęła się, aby zyskać rozmach. Uderzył, ale Snyder wykonał tak szybki ruch, że Paula ledwie spostrzegła, co się stało. Wykręcone lewe ramię Black Jacka znalazło się w żelaznym uścisku, a ciało wygięło się z bólu. Paulę zdumiała siła Snydera.

- Auuu! - zawył Black Jack. - Złamiesz mi rękę.

- Sam sobie złamiesz, jeżeli będziesz się ruszać. Stój spokojnie albo to ty znajdziesz się w szpitalu.

Przez chwilę obaj mężczyźni przypominali figury z wosku. Pozostali goście siedzący przy stole przyglądali się scenie. Paulę uderzył ponury wygląd twarzy reportera. Widać było, że Snyder jest naprawdę zdolny zrealizować swą groźbę.

- I co stary, będziesz teraz grzeczny? - spytał. - Jeżeli tak, to cię puszcze. Musisz się nieco oczyścić.

- Puszczaj - zachrypiał Jack. - Pójdę do łazienki.

Snyder zwolnił uścisk, a Jack wstał powoli i zaciskając prawą rękę na lewej, zaczął się oddalać. Wtem stanął i odwrócił się do siedzących przy stole.

- Do zobaczenia - powiedział, usiłując nadrabiać miną.

Odsunął na bok kelnera, który śpieszył z serwetą, by mu pomóc, i zniknął.

- Przepraszam za to zdarzenie - powiedział Snyder. - Skoro krzesło się zwolniło, przysiądę się, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

Nie czekając na odpowiedź, usiadł, a po chwili kelner postawił przed nim czysty kieliszek. Marienetta naląła mu czerwonego wina, oparła podbródek na dłoniach i spojrzała na niego.

- Co pana sprowadza do Montreux? - spytała Paula.

- Śledziłem Sophie i Black Jacka. Siedziałem z tyłu w samolocie, którym przylecieli do Genewy. Potem wynająłem taksówkę i jechałem za ich samochodem. To proste.

- Ale nie odpowiedział pan na moje pytanie - naciskała Paula.

- Sprowadziło mnie tu morderstwo. - Snyder spróbował wina i spojrzał na Marienette. - Dziękuję, jest doskonałe. Bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Morderstwo? - spytała zdumiona Paula. - Nie mógł pan słyszeć o żadnym morderstwie w Montreux. Gdy wsiadał pan do nocnego samolotu na Heathrow, jeszcze się nie wydarzyło.

- Prawda. Nie wydarzyło się. Mówiłem o zamordowaniu Adama Holgate'a w Bray. Arbogastowie mają tam posiadłość. Opactwo Grange. Teraz są tutaj, a w jeziorze pływa kolejne ciało. Więc moje przeczucie było słuszne.

- Nie podobają mi się twoje wnioski - powiedziała Marienetta chłodnym tonem.

- Żadne wnioski, Marienetto. - Snyder uśmiechnął się do niej tak ciepło i przyjaźnie, że Paula była zaskoczona. Zobaczyła inną twarz reportera. - Nie wyciągam żadnych wniosków - ciągnął. - Ale myślę, że ktoś z kręgu Arbogastów może dysponować ważnymi informacjami, nawet sobie tego nie uświadamiając.

Potrafi być uprzejmy, pomyślała Paula. Przebiegle dobiera słowa.

- Co to za, jak twierdzisz, ważne informacje? - spytała Marienetta nadal chłodnym tonem.

- Cóż, w Londynie pan Roman Arbogast zgodził się mnie przyjąć w „Obelisku”. Potem zobaczyłem ciebie i od razu spotkanie przestało być możliwe. Tak jakby coś ważnego było do ukrycia. Skończyło się na tym, że wezwłaś Brodena, aby mnie wyrzucił. Czy pani wie - teraz Snyder zwrócił się do Pauli - że Broden jest tutaj? Siedzi przy barze i przygląda się nam w lustrze.

- Nie, nie wiedziałam - odparła Paula. - Ale to sprawa Arbogastów.

- Paulo. - Marienetta pochyliła się w jej stronę. - Broden pełni tu funkcję ochrony osobistej stryja. Przyleciał do Szwajcarii razem z nim.

- Ale ktoś powiedział mi, że kilka godzin temu Roman wyjechał z hotelu samochodem sam.

- Masz rację. Usłyszał o znalezionym w jeziorze ciele i zostawił Brodena, by się nami opiekował. Mną i Sophie. Był tym przejęty.

- A więc Broden jest tu od dwóch dni - zauważyła Paula.
 - No tak.
 - Jest jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć - powiedział Snyder, patrząc na Marienette. - Co dokładnie robił Holgate w ACTIL-u i czy rzeczywiście wszędzie wścibiał nos?
 - Spróbuj to sam ustalić - ton Marienetty mógł zmrozić krew w żyłach.
 - Mogę ci powiedzieć - wtrąciła się Sophie zdenerwowana pozostawieniem jej na uboczu. - Adam nigdy nie przestawał węszyć. Zawsze wyczekiwał, aż Broden gdzieś zniknie...
 - Sophie - ostrzegła Marienetta.
- Błąd, pomyślała Paula o jej reakcji, w ten sposób jedynie podburzy Sophie. I tak się stało:
- Myślę, że Adam dorobił duplikaty kluczy do szaf z tajnymi dokumentami. Zapewne nauczył się tego, gdy pracował dla was - powiedziała, spoglądając na Paulę. - Raz przyłapałam go na fotografowaniu dokumentów. Nie wiem jakich.
 - Intrygujące - skomentował Snyder.
 - Myślę, że pora przejść do salonu na kawę - zaproponowała Marienetta, wstając. - Kelnerzy mogą już sprzątnąć ze stołu. Panie Snyder, niech pan zabierze butelkę ze sobą. Słyszałam, że reporterzy mają słabość do alkoholu, który stymuluje ich nieokiełznaną wyobraźnię...

Paula podeszła do Tweeda i Newmana pijących kawę na uboczu. Opowiedziała im wszystko, co usłyszała, cytując dialogi z pamięci. W ślad za Marienettą i Sophie również Snyder wyszedł z sali restauracyjnej. Tweed, co mu się rzadko zdarzało, zapalił papierosa i odchyliwszy się na krześle, słuchał Pauli.

- To wszystko - zakończyła. - Sporo nowych informacji.

- Warto było zasugerować ci, byś się do nich przyłączyła
- stwierdził Tweed w zamyśleniu. - Ta uwaga o Holgacie fotografującym dokumenty może być znacząca.

- Broden obserwuje nas w lustrze - zauważył Newman. -
Coś z tymi Arbogastami nie jest w porządku. Ciekawe, że
Sophie jest o wiele bardziej otwarta, niż można się było
spodziewać.

- Ta fabryka plastików może mieć kluczowe znaczenie -
zauważył Tweed.

- W jakim sensie? - spytała Paula.

- Czas się ruszyć - usłyszała zamiast odpowiedzi. - Paulo,
pomóż mi zastosować pewien trik z recepcjonistą. Odwróć
jego uwagę, gdy zagadnę go o coś.

- Coś wymyślę.

Gdy weszli do holu, recepcjonista stał za ladą. Pod drzwiami
wejściowe podjechał samochód i zaczęli z niego wysiadać
nowi goście. Tweed pośpieszył do lady.

- Przepraszam pana - zaczął - ale przypuszczam, że
meldując się, wpisałem zły adres. Pozwoli pan, że skoryguję.

Recepcjonista otworzył księgę i podsunął ją Tweedowi w
chwili, gdy nowi goście zaczęli wchodzić. Paula poprosiła
recepcjonistę o rozkład jazdy pociągów. Podał go jej, po czym
zajął się przybyłymi. Tweed przejrzał całą stronę z góry na
dół, wziął pióro i ciągnąc nim po starym zapisie, powiekił
poprzedni adres. Później podszedł do Newmana gawędzącego
z Paulą i powiedział cicho:

- Bob z Surrey nauczył cię otwierać drzwi. Widziałeś
drzwi do własnego pokoju. Czy mógłbyś otworzyć te na
górze?

- Sądzę, że dałbym radę. Dlaczego?

- W księdze meldunkowej hotelu sprawdziłem, kto
przyjechał dwa dni temu. Pan Mannix. Pamiętasz pacjenta ze

szpitala psychiatrycznego w Pinedale? Tajemniczy mężczyzna przetrzymywany w pokoju więziennym.

- Czy może to być ten sam? - zaciekała się Paula.

Korytarz na trzecim piętrze był opustoszały. Po krótkiej chwili Newman uporał się z zamkiem za pomocą przyrządu, który od czasu szkolenia zawsze nosił przy sobie. Przed otwarciem zamka trzykrotnie nacisnął dzwonek. Nie było żadnego odzewu.

- Myślę, że Rob powinien pozostać na zewnątrz - szepnęła Paula. - Ostrzeże nas, gdyby nadchodziła pokojówka. Trzykrotne naciśnięcie dzwonka będzie oznaczało niebezpieczeństwo.

- Słyszałem - powiedział Newman. - Zostanę na straży. Wchodźcie.

Pierwszy wszedł Tweed, a Paula za nim. Gdyby ktoś był w pokoju, zamierzał powiedzieć: „Drzwi były otwarte. Znam pana

Manniksa i pomyślałem, że to on”. Ale nie trzeba było. Tweed zaczął sprawdzać salon, a Paula zajęła się sypialnią. Łóżko było zasłane, a na poduszce leżały dwie czekoladki w papierkach. Zaczęła otwierać szafy - wisiała w nich męska odzież. Gdy otworzyła kolejną, cicho krzyknęła. W jednej chwili Tweed znalazł się obok niej.

- Co się stało?

- Spójrz tutaj. Długi czarny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Dokładnie tak był odziany cień, który nocą zobaczyłam za sobą na ulicy obok Piccadilly.

- Pan Mannix jest wysoki, a jego ubrania wyglądają na nowe. Ma chyba masę pieniędzy. Sprawdziłem łazienkę i znalazłem szczotkę do włosów, ale nie było na niej ani jednego włosa. I jest tu coś bardzo dziwnego. W salonie stoją dwie puste, zupełnie nowe walizy.

- Wynośmy się stąd. Zobaczyliśmy, co było do zobaczenia, i przyprawia to o gęsią skórę...

Gdy wyszli, Newman zatrzasnął drzwi, a Paula powiedziała:

- Stąd niedaleko do mojego apartamentu. Poczekaјcie chwilę. Chcę szybko coś sprawdzić.

Po chwili wróciła biegiem i stwierdziła spokojnie:

- Jest tak, jak przypuszczałam. Moje łóżko jeszcze nie zostało posłane. Myślę, że Mannix tej nocy nie spał u siebie.

- Zamieńmy parę słów z recepcjonistą...

Gdy znaleźli się w holu, Tweed podszedł do lady. Właśnie obowiązki przejmował nocny recepcjonista. Tweed spojrział na niego i wytłumaczył swój problem:

- Zatrzymał się tu mój przyjaciel, pan Mannix. Chciałbym pójść z nim do baru, ale chyba go teraz nie ma.

- Tak, proszę pana. Nie ma go. Rozmawialiśmy o tym. Nikt go nie widział od dwóch dni, czyli od czasu, gdy się do nas wprowadził. Nawet w restauracji go nie widziano.

- Może to inny Mannix. Czy mógłby go pan opisać?

- Gdy wynajmował pokój, byliśmy bardzo zajęci. - Recepcjonista zmarszczył brwi. - Zdaje się, że był wysoki, w długim płaszczu. Miał niezwykły kapelusz. Z bardzo szerokim rondem, nisko opuszczonym. Miał także wielkie ciemne okulary.

- Mniejsza o to - powiedział Tweed, jakby sprawa nie była istotna. - Nabokow, autor „Lolity”, mieszkał tu przez piętnaście lat, ostatnich piętnaście lat swojego życia.

- Szesnaście - poprawił go recepcjonista.

- Było to zapewne jeszcze nie za twoich czasów - mruknął złośliwie Newman, gdy pracownik hotelu się oddalił.

- Nie spodobało mu się to - szepnęła Paula. - Facet nawet o dzień nie przekroczył trzydziestki, a Nabokow zmarł w siedemdziesiątym siódmym.

- Wiem. Może powinniśmy pójść do łóżek?

- Ja padam z nóg - powiedziała Paula. - Jeżeli nic się nie zdarzy, obudźcie mnie jutro umówionym kodem: cztery pukania, przerwa i jeszcze jedno puknięcie.

A gdy szli przez hol, pomyślała:

Może ciało z jeziora jest tajemniczym panem Mannixem?

Zmusiła się do wzięcia prysznicu i wsunęła do łóżka. W ciągu kilku minut usnęła. Była przekonana, że natychmiast zapadnie w głęboki sen, ale nagle nawiedził ją koszmar.

Przeszukiwała porośnięty trawą teren w pobliżu Pinedale. Było bardzo cicho, a obłoki mgły napływały w jej stronę. Szukała miejsca, gdzie głowę Foleya trzymano za włosy, skrawka ziemi przesiąkniętego krwią. Szpital psychiatryczny nadal istniał, lecz jego kształt rozmywał się we mgle. Gdzie byli Tweed i Newman? Nie miała pojęcia.

Usłyszała ciężkie kroki zbliżające się w jej stronę. Zanurzyła prawą dłoń w torbie. Wtem wstrząsnął nią spazm strachu, gdyż przypomniała sobie, że do Maine nie zabrali broni. Nie miała swego browninga 32. Rozejrzała się za jakąś ciężką gałęzią mogącą posłużyć do obrony. Nic. Obróciła się w stronę zbliżających się kroków.

Ciemna postać poruszała się we mgle. Coś wysokiego, w długim czarnym płaszczu, w kapeluszu z szerokim opuszczonym rondem przesłaniającym twarz tak, że w jej miejscu można było zobaczyć jedynie białą rozmazaną plamę. Próbowwała biec, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa, jakby były odlane z ołowiu.

Postać przysuwała się bliżej, a czarny płaszcz kołysał się w rytm kroków. Wtem obraz wyostrzył się i strach chwycił ją za gardło. Nadal nie było wiatru, lecz kapelusz postaci został zwiany i odsłonił głowę. Chciała krzyczeć, lecz nie mogła wydobyć z siebie dźwięku. Kapelusz odsłonił przerażającą, wykrzywioną grymasem nienawiści twarz z jednym

mrugającym okiem. Twarz Romana Arbogasta z portretu Marienetty.

W prawej ręce trzymał topór z długim drzewcem. Podniósł go i podszedł bardzo blisko. Stopy jej wrosły w ziemię. Wzniósł topór obuchem do przodu, jakby przed obcięciem głowy zamierzał zmiażdżyć jej czaszkę. Krzyknęła. Ktoś gdzieś się dobijał. Obudziła się pokryta potem. Na wpół przytomna odrzuciła pościel i w piżamie pokuśtykała do drzwi. Drżącymi palcami otworzyła zamek. Na zewnątrz stał Tweed w szlafroku.

- Krzyczałaś - zaczął. - Co się stało? Wszystko w porządku?

- Ze mną tak. Dręczył mnie koszmar. Myślę, że to wszystko przez wizytę w pokoju Mannixa.

- Jesteś pewna, że już wszystko dobrze? Wypij sporo wody.

- Dobrze. Skąd się tu wzięłaś?

- Dostałem wiadomość od Becka. Mają ciało. Łódź patrolowa wyłowiła je czerpakiem. Trzymają je przy boku picbota. Tak to nazwałaś?

- Twój francuski jest doskonały. Potrzeba mi kilku minut.

- Tak samo jak mnie.

Piżama była wilgotna od potu. Szybko wzięła następny prysznic, który rozbudził ją i przywrócił czujność. Była już gotowa, gdy na wpół ubrany Tweed wrócił z Newmanem. Wpuściła ich, naciągnęła spodnie i kurtkę. Spojrzała na zegarek. Była siódma. Na zewnątrz było jeszcze ciemno i bardzo zimno.

Newman spytał, czy już się otrząsnęła z koszmaru.

- Całkowicie. Opowiem wam o tym później. Jestem gotowa.

- Weź latarkę - poradził Tweed.

- I aparat fotograficzny - dodała.

Przy wyjściu z hotelu nie zobaczyli nikogo. Newman szybko włożył płaszcz, zrobił rozpoznanie i wrócił do środka. Poprowadził. Chłodne poranne powietrze ziębiło ich twarze, gdy po przekroczeniu Grand-Rue schodzili po stromych schodach na promenadę nad jeziorem. Na jednej kondygnacji Paula ujrzała jesienne liście przyklejone do kamiennej ściany. Niektóre były pomarańczowe, inne - krwistoczerwone. W hotelu panował spokój, ale gdy dotarli do policyjnej taśmy, atmosfera się zmieniła.

Na promenadzie tłoczyła się spora grupa mężczyzn i kobiet w szlafrokach z narzuconymi na nie chustami i ubraniami zewnętrznymi. Nad nimi połyskiwały potężne światła umieszczone nad kamerami telewizyjnymi. Poczta pantoflowa spowodowała wyrojenie się mediów.

Trzej policjanci zagrodzili im drogę, kręcąc głowami i spychając w tłum rękami w rękawiczkach. Ukazał się Beck.

- Przepuście tych ludzi - rozkazał po francusku.

Tłum gapiów był milczący. Paula słyszała szelest małych fal uderzających o brzeg. Sztorm minął. Tweed zauważył, że Beck był świetnie zorganizowany.

Dalej na quai stała wielka ciężarówka z dźwigiem zwróconym w stronę brzegu. Dźwig opuścił nosze. Paula pamiętała tę dziwną łódź, pic-bota, niby długą barkę z pochyłymi burtami i szerokim płaskim dnem. Po jednej stronie siedziało dwóch członków załogi. Palili papierosy. Ich narzędzia leżały na dnie - grabie na długiej żerdzi używane do przyciągania odpadów i czerpak do ich wyławiania i wrzucania na pokład.

- Myśleli, że mogą pomóc - wytłumaczył Beck. - Jak widzicie, nie mogą.

Wielkie nosze zawisły tuż nad powierzchnią jeziora. Dwaj nurkowie zaczęli ładować na nie połyskującą torbę ze

zwłokami.

- Nie ruszajcie tego - krzyknął ktoś po francusku piskliwym głosem. - Nie naruszcie torby! Powoli! Róbcie to tak, jakby był żywy. Słyszycie?!

Rozkazy wydawał niski, pulchny mężczyzna w zapiętym pod szyję płaszczu przeciwdeszczowym. Nie mógł ustać w miejscu. Chodząc tam i z powrotem, ani na chwilę nie odwracał wzroku od ładunku.

- To doktor Zeitzler, patolog z Zurychu - wyjaśnił Beck. - Jest bardzo uparty i chce, aby do czasu przeprowadzenia sekcji nic nie zostało naruszone. Oczywiście ma rację.

Gumowany pokrowiec na zwłoki został już umieszczony na noszach. Dźwig odwrócił się od jeziora w stronę promenady. Wolno opuścił ładunek przy krawężniku w pobliżu ambulansu.

- Może to ktoś, kogo znamy - powiedziała Paula spokojnie. - Jeżeli masz ochotę na szybką identyfikację...

- No to chodźcie we trójkę ze mną - powiedział Beck, chwytając Paulę za ramię. - Doktorze Zeitzler - rozkazującym tonem odezwał się po angielsku - mamy tu kogoś, kto być może zidentyfikuje ciało, a ja, aby pchnąć śledztwo do przodu, muszę dokonać identyfikacji jak najszybciej.

- Jestem gotowy do otwarcia pokrowca jedynie na kilka centymetrów - odpowiedział Zeitzler po angielsku. - Chociaż zapewne nic z tej identyfikacji nie wyjdzie, skoro ciało jest pozbawione głowy.

- Niech pan nie będzie taki pewny - burknęła Paula.

Patolog włożył lateksowe rękawiczki i obszedł pokrowiec dookoła. Potem z ponurą miną pochylił się, ostrożnie złapał za suwak i lekko odciągnął, czyniąc kilkucentymetrowy otwór.

Na ciężarówce nagle zapłonął silny reflektor telewizyjny i oświetlił całą scenę. Beck złożył dłonie i krzyknął rozkazująco po francusku.

- Wyłącz, do cholery, to światło albo ja ciebie wyłączę!

Światło nie zgasło. Beck szepnął kilka poleceń policjantowi trzymającemu karabin. Ten uniósł broń, starannie wymierzył i wypalił. Światło zgasło. Usłyszeli słaby brzęk tłuczonego szkła.

- Oni tu nie żartują - skomentował to zdarzenie Tweed, zwracając się do Pauli. - Chciałbym mieć taką policję w Brytanii. Przestępczość od razu by spadła.

Paula przygotowała się na najgorsze. Ciało nie miało głowy. Wtem zobaczyła kikut szyi sterczący ze staromodnego kołnierzyka. Z trudem złapała oddech. Chwyciła się ręką za gardło, jakby to miało jej pomóc w mówieniu.

- To doktor Abraham Seale, znany kryminolog. Spotkaliśmy się w Londynie.

- Muszę pilnie zadzwonić po bezpiecznej linii - powiedział Tweed.

- Chodź ze mną na posterunek - zaproponował Beck. - Też muszę tam iść, a to tylko krótki spacer.

Ambulans z ciałem doktora Abrahama Seale'a odjechał do Zurychu. Doktor Zeitzler towarzyszył zwłokom, wyraźnie zaniepokojony, czy nikt ich nie ruszy do czasu przeprowadzenia sekcji.

Beck prowadził, a za nim szli Tweed, Paula i Newman. Z wielu rosnących tu drzew kapą woda. Paula zapamiętała Montreux jako oazę bujnej zieleni i spokoju. Teraz było inaczej. Podczas pospiesznego wchodzenia na pagórek Tweed opowiedział Beckowi wszystko, co wiedział o doktorze Seale'u. Na posterunku Beck oddał im do dyspozycji oddzielny pokój z bezpieczną linią telefoniczną. Tweed usiadł i wybrał numer Park Crescent.

- Monico, będę mówił szybko. Jesteśmy w Montreux. Wiem, że twoim ulubionym hobby jest badanie drzew genealogicznych...

- Tak, to prawda. Wiele czasu poświęcam na badanie korzeni własnej rodziny, które sięgają niemal w każdy zakątek świata. Dowiedziałam się, że pochodzimy od powszechnie znanego pirata, prawej ręki sir Henry'ego Morgana. Porzuciłam tę linię, obawiając się, do czego może mnie doprowadzić.

- Rodzina Arbogastów. Chciałbym, abyś, jeżeli możesz, sprawdziła ich drzewo genealogiczne.

- Dobrze. Zachowałam wszystkie przydatne do tego kontakty.

- Dzięki Bogu. Myślę, że to bardzo istotne. Arbogastowie wywodzą się z Włoch. Tyle mogę ci powiedzieć. Nosili tam

nazwisko Arbogastini. Czy mam przeliterować?

- Nie, zrozumiałam. Mam jeden kontakt w Rzymie. Jest ekspertką od dokumentacji. Od niej zacznę.

- Czy znasz kogoś w Stanach? Na pewno znasz. Podobno jeden z członków rodziny wyemigrował do Ameryki. Mogło to być kilka pokoleń temu. Zdaje się, że nazywał się Vincenzo, co mogło zostać zmienione na Vincent. Ile czasu ci to zajmie? Tydzień? Rozumiem. Kiedy będzie gotowe, przyślij mi kurierem. Będę cię informował o zmianach miejsca...

Paula siedziała obok i przysłuchiwała się. Była zafascynowana zmianą w postawie Tweeda. Był pełen pozytywnego napięcia.

- Miałeś bardzo zdeterminowany głos, niemal podniecony - skomentowała, gdy skończył rozmowę.

- Teraz możemy sobie zrobić porządną przerwę i odetchnąć. Czy pamiętasz, że ostatni raz widzieliśmy Seale'a na stopniach siedziby ACTIL-u? Pracował nad drzewem genealogicznym. Wspomniał, że to może być niebezpieczne. Dlaczego? Na co on trafił? Cokolwiek to było, doprowadziło go do gwałtownej śmierci.

Wszedł Beck, sztywny i rzeczowy.

- Wyśledziłem, gdzie zatrzymał się Seale. Udało mi się za drugim podejściem. Zacząłem od Montreux Palace. Nie trafiłem. Następny był Eurotel, wielki i nowoczesny, sterczy nad brzegiem jeziora nieco dalej przy Grand-Rue. Przyjechał dwa dni temu i masę czasu spędzał poza hotelem.

- I ten też - zamyśliła się Paula. - Wszyscy zjawili się tutaj dwa dni temu. To musi mieć znaczenie.

- Posłałem ludzi do Eurotelu - ciągnął Beck. - Przeszukają jego pokój i przyniosą jego rzeczy. Może coś znajdziemy.

- Albo i nie, Arthurze - powiedział Tweed, wstając. - Dziękuję bardzo za udostępnienie telefonu. Chyba teraz

wrócimy do hotelu. Jestem pewien, że Paula nie może się doczekać śniadania.

- Tak samo jak ja - dodał Newman. - Śniadania, kawy i trochę wody.

- Jadę do Zurychu - oznajmił Beck. - Zeitzler powinien na jutro przygotować sprawozdanie z sekcji. A co wy zamierzacie?

- Przyjadę, jeśli będę mógł. Ten raport będzie bardzo ważny. Czy mogę ponownie skorzystać z telefonu? Chcę zadzwonić do profesora Saafeld'a, patologa, który robił sekcję Holgate'a. Ma filmy i zdjęcia. Otrzymał także od znajomego patologa filmy i zdjęcia znalezionego w Maine ciała Foleya. Jeżeli podasz mi swój adres w Zurychu, zostaną ci tam przesłane kurierem...

Gdy wychodzili, Beck ruszył za nimi.

- Jeszcze jedno, zanim wyjadę. Możecie spotkać dwóch ludzi w białych okryciach dokonujących oględzin promenady. Zeitzler zostawił ich tam w nadziei, że trafią na ślady krwi i miejsce dokonania egzekucji. To moja wizytówka na wypadek, gdybyście chcieli ich o coś zapytać. Napisałem notkę na odwrocie.

- Czy wytrzymasz bez jedzenia jeszcze trochę? - spytał Tweed Paulę. - Dowiedzielibyśmy się, co ci „biali” znaleźli. Jeżeli w ogóle na coś trafili.

- Skoro muszę.

Gdy schodzili ku promenadzie, wstawało poranne rozmazane we mgle słońce. Gładka szara powierzchnia jeziora nikła w oddali pod francuskim brzegiem. Tłum już się rozszedł i na promenadę wrócił spokój. Po obejrzeniu wizytówki Becka wartownik uniósł taśmę i ich przepuścił.

Jak tu pięknie i tragicznie, pomyślała Paula. Wzdłuż promenady rosły drzewa i krzewy; słychać było delikatny chlupot wód jeziora odbijających się od nabrzeża. Było jak w

raju, do którego wtargnęło piekło. Odnaleźli ubranych na biało mężczyzn, którzy potężnymi latarkami oświetlali promenadę, zatrzymując się co chwila i skrupulatnie badając teren. Tweed pokazał im wizytówkę Becka i spytał po francusku:

- Czy znaleźliście krew?

- Tylko przy pic-bocie. Wsadzenie ciała do gumowanego pokrowca wymagało nie lada siły.

- Tak jak odcięcie głowy - dodał Newman.

- Tak sądzisz? - mruknęła umierająca z głodu Paula.

Rzuciła okiem na jezioro oświetlone różowawą poświatą słońca prześwitującego przez mgły. Było jak we śnie, jak na promieniującym kolorami obrazie Moneta. Wtem przypomniała sobie swój sen i koszmar, jakiego doświadczyła. Dlatego po wejściu do holu doznała szoku, gdy zobaczyli przed sobą wysoką postać w eleganckim czarnym garniturze - Roman Arbogast czekał na nich z założonymi do tyłu rękami.

- Myślałem, że pan wyjechał z Montreux - powiedział Tweed.

- Bo to prawda - skrzywił się w jak najbardziej przyjaznym uśmiechu Arbogast. - Pojechałem obejrzeć fabrykę plastików w Vevey - powiedział, rozglądając się wokół. - Sophie by się to nie spodobało. Myśli, że to jej wytwórnia. Dowiedziałem się, że ma tam pokój, bez okien, ale z dwoma zamkami na potężnych drzwiach. Tylko ona może tam wchodzić. Ma swoje dziwactwa.

Może po śniadaniu zechcą nam państwo towarzyszyć w spektakularnej wycieczce?

- Dokąd?

- Pociągiem na szczyt Rochers de Naye. Ponad dwa tysiące metrów w górę. Jest stamtąd fantastyczny widok na jezioro.

- Chętnie się wybierzemy - zdecydował Tweed. -
Dziękujemy za zaproszenie.

Tweed doszedł do wniosku, że wycieczka powinna oderwać myśli Pauli od przykrych doświadczeń.

W restauracji Paula, Tweed i Newman zaprosili do towarzystwa Marlera, Butlera i Nielda, którzy pozostawali do tej pory poza głównym nurtem zdarzeń. Paula po zjedzeniu dwóch jajek na bekonie, czterech croissantów i wypiciu trzech kaw nabrała znów ochoty do życia i stała się czujna i gotowa na wszystko. Tweed zauważył, że na twarz wróciły jej kolory i żywo rozmawiała z Marlerem, Butlerem i Nioldem.

- Choć pozostawieni w cieniu - powiedział Marler, przeciągając słowa - dowiedzieliśmy się o zdarzeniach na quai, ale widzę, że to temat w obecnej chwili zakazany - dodał, zauważywszy zmarszczone brwi Tweeda. - Myszkowaliśmy nieco wokół Montreux. Czy wiecie, że wiceprezydent znów się pojawił?

- Nie. - Tweed był zaskoczony i zaniepokojony. - Skąd o tym wiesz i gdzie on się podziewał?

- Umiem obserwować, a poza tym bardzo wcześnie wstaję - odparł Marler z uśmiechem. - Przyjechał sam, mercedesem, i wślizgnął się do hotelu jeszcze dobrze przed świtem. Ruszył prosto do swego apartamentu gdzieś w pałacowym skrzydle. Dźwigał ciężką walizę.

- Znaczy, że gdzieś wyjeżdżał.

- Czy można sobie wyobrazić inną przyczynę, dla której mógłby taszczyć tę walizę?

- Podczas kampanii jest wszędzie. Ale na co dzień porusza się w strefie cienia. Normalny i nienormalny.

Po usłyszeniu ostatnich słów Paula szybko podniosła wzrok, a Tweed odwzajemnił jej spojrzenie i uśmiechnął się ciepło. Zerknął na wielki stół Arbogastów. Roman uśmiechał się szeroko i do niezwykle wyczulonych uszu Tweeda dotarły

słowa gratulacji dla Sophie za jej wielkie osiągnięcie w Vevey. Arbogast taktownie nie wspomniał przy tym o tajemniczym zamkniętym pokoju. Sophie wyprostowała się, skromnie ukrywając zadowolenie. Siedząca obok Marienetta ucałowała ją. Black Jack przypiął się do swego wielkiego śniadania, jakby było najważniejszą rzeczą na świecie. Co dla niego niezwykle, nie odezwał się słowem. Tweed pomyślał, że wygląda na zmęczonego, jakby miał za sobą wyczerpującą noc.

Powiedział pozostałym o zaproszeniu na wycieczkę pociągiem na Rochers de Naye i dodał, że chce, aby wszyscy pojechali. Newman zmarszczył brwi. Ciekawiło go, po co Tweed zabiera ich wszystkich na górę.

Paula przerwała żarty z Pete'em Nieldem, gdy do stołu podszedł atletycznie zbudowany mężczyzna. Zdumiała się. Był to Ed Danvers, przedstawiciel FBI w ambasadzie amerykańskiej w Londynie, który odwiedził ich na Park Crescent.

- Czy nie przeszkadzam? - spytał uprzejmie. - Jeżeli tak, to zniknę jak duch.

- Oczywiście, że nie - odparła Paula. - Obok mnie jest wolne miejsce. Kelner nas podsłuchał i już niesie krzesło.

Danvers usiadł między Paulą i Tweedem. Ubrany w sportową marynarkę i dżinsy uśmiechnął się lekko. Wyglądał zdrowo, ale na jego twarzy widać było desperację. Poprosił o kawę i nieco upił.

- Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałam się tu ujrzeć - zauważyła Paula.

- Szybko poszło. Po naszej rozmowie otrzymałem rozkaz towarzyszenia wiceprezydentowi, gdziekolwiek się uda - wytłumaczył bardzo spokojnie. - Dwa dni temu przylecieliśmy do Genewy. Limuzyna przywiozła nas tutaj. Straub poszedł na górę do swego apartamentu i kazał mi zostać i zająć się sobą.

Gdy zaprotestowałem, zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Nie widziałem go aż do dzisiejszego ranka. Dwa dni szukałem go po okolicach Montreux. Nigdzie go nie było. Sprawdziłem w recepcji. Klucz do jego pokoju cały czas wisiał na miejscu, więc w hotelu też go nie było. Aż tu nagle wrócił dziś rano. Dlaczego wam o tym mówię? Ponieważ pański kumpel, panie Tweed, Cord Dillon, jest także moim kumplem i wystawił wam obojgu wspaniałą opinię. Mogę więc wam zawierzyć, gdy mam powody do ponarzekań.

- Dlaczego Straub zachowuje się w ten sposób? - spytał Tweed miękko.

- Do diabła, nie wiem. Gada, że to była tajna misja dyplomatyczna. Wymknął się, lub udaje, że się wymknął, do Paryża. Ale dlaczego od razu tam nie poleciał? Mnie nie pytajcie. Ja jestem tylko chłopcem na posyłki, który miał dwa dni wolnego.

- Po śniadaniu jedziemy na Rochers de Naye - powiedziała Paula.

- Tak samo jak Straub. Pewnie zaprosił go Roman Arbogast. Nie mam pojęcia. Chciałbym już być z powrotem na Grosvenor Square.

- Arbogast macha do nas ręką - powiedział Tweed. - Myślę, że wycieczka się rozpoczyna.

- No cóż, na szczycie góry nic nie powinno się zdarzyć - stwierdził Danvers.

Limuzyny zamówione przez Romana zajęły znaczną część podjazdu do stacji, choć z powodzeniem mogli tam przejść piechotą. Stacja wyjazdowa na Rochers de Naye leżała po drugiej stronie głównego dworca kolejowego i była od niego oddzielona. Pociąg wzbudził zdumienie. Bardzo nowoczesny i opływowy jak pocisk, wyglądał na zabawkę skopiowaną z francuskiego TGV. Wiozący zakupy miejscowi

tłoczyli się w pierwszym wagonie, pozostawiając drugi pusty dla gości Arbogastów.

Było mnóstwo miejsca. Tweed i Newman zajęli tylne siedzenia. Paula usiadła naprzeciw za przejściem. Newman szturchnął Tweeda i wskazał na jedno z dalszych miejsc. Russell Straub wychynął znikąd z torbą, którą umieścił obok siebie. To zmusiło Danversa do zajęcia miejsca za nim. Gdy drzwi zamknęły się automatycznie i pociąg ruszył, Paula szepnęła do Tweeda:

- Black Jack musiał się wykończyć w ostatnią noc. Już usnął.

- Pewnie włóczył się od baru do baru lub coś takiego - odparł Tweed.

- Ciekawa jestem, jak i dlaczego doktor Seale dotarł do Montreux.

- Być może nigdy się tego nie dowiemy.

- Dlaczego drzewo genealogiczne Arbogastów może być tak ważne? Wygląda na to, że bardzo cię interesuje.

- Mam po prostu przeczucie.

Pociąg zaczął się wspinać i Montreux zbladło za nimi w oddali. Paula po rozmowie z Tweedem wróciła na miejsce. Widok za oknami stawał się coraz bardziej interesujący. Małe szwajcarskie wioski rozciągały się tuż za peronami, przy których zatrzymywał się pociąg. Z pierwszego wagonu wysiadały kobiety z zakupami zrobionymi w Montreux. Pauli podobała się schludność domów i pnącza porastające ściany. Początkowo stawali dość często, ale wkrótce tor zaczął się ostro wspinać, a wioski i gęsto rozsiane stacyjki pozostały za nimi. Teren stał się skalisty, mniej urodzajny, a pociąg wspinał się i wspinał, zmieniając kierunek pod coraz większym kątem. Przez okna Paula widziała szyny wijące się niczym dwa stalowe węże skręcające na boki nieskończonym

ciągami zakrętów niemal o 180 stopni. Zdawało się jej, że wjeżdżają na dach świata. Tweed pochylił się do Newmana.

- To wyraźny rozkaz - powiedział głosem tylko nieco głośniejszym od szeptu. - Kiedy dotrzemy na szczyt, nie zostawiaj Pauli nawet na sekundę. Cokolwiek się zdarzy.

- Rozumiem.

- Rob - spytała Paula z drugiej strony przejścia między fotelami - czy nie sprawi ci różnicy, jeżeli zamienimy się miejscami? Jestem nieco samolubna, ale teraz z twojej strony jest o wiele piękniejszy widok.

- Proszę bardzo...

Tweed oddał jej swoje miejsce przy oknie. Kiedy wciąż się wznosząc, pokonali kolejny ostry zakręt, ujrzeli przed sobą olbrzymią groźną skałę.

- To najwyższy szczyt Rochers de Naye - powiedział. - Na wierzchołek nie można się dostać. Tylko doświadczony alpinista mógłby się o to pokusić.

- To zupełnie inny świat - powiedziała.

- Ciekawi mnie, po co Roman zorganizował tę wycieczkę. To nie w jego stylu.

Nie powiedział nic więcej i Paula zajęła się oglądaniem spowijających szczyt gęstych obłoków, wśród których zniknął on całkowicie. Na przodzie wagonu Black Jack przebudził się, przeczesał palcami ciemne, gęste włosy i przeciągnął się, jakby przygotowując do dużego fizycznego wysiłku. Siedzący za nim samotnie Roman wyprostował się. Ostatnia stacja była zamknięta.

- W tej mgle będzie zimno - zauważył Tweed.

Zdjął nieprzemakalny płaszcz i owinał nim ramiona Pauli niczym peleryną.

- W tym będzie ci ciepło - powiedział.

Wstał, nim zdążyła zaprotestować. W tym czasie Arbogast rozglądał się wokół, mrugając prawym okiem.

Tweed wiedział już, że oznaczało ono wewnętrzne napięcie. Dlaczego? Co go denerwowało? A może na coś się przygotowywał?

Pociąg wjechał na końcową stację, drzwi otworzyły się automatycznie i pasażerowie wysypali się na niewielki peron. Tweed usiłował zobaczyć, gdzie kto poszedł, lecz było to beznadziejne. Paula wsunęła długie włosy pod czapkę baseballową z daszkiem. Gdy stanęła na peronie, Newman wziął ją za ramię.

- Potrzeba mi towarzystwa - powiedział. - Nie lubię wysokości. Chodźmy razem.

- Nie wiedziałam, że masz lęk wysokości.

- Jesteśmy przecież na dwóch tysiącach metrów.

Tweed szedł samotnie po skalistym zboczu prowadzącym do krawędzi. Miejskami widział drogę przed sobą na kilka metrów. Gdyby napłynęła mgła, musiałby zdać się na instynkt. Reszta towarzystwa zniknęła, gdy on guzdrał się pod górę. W gęstej mgle poruszał się powoli, przyspieszając w chwilach przejaśnień. Raz czy dwa razy stanął i słuchał. Wokół panowała kompletna, niemal złowieszcza cisza. Był przekonany, że zna drogę do krawędzi. Gdy przed laty był tutaj w słoneczny dzień, stanął nad przepaścią i teraz był zdecydowany powtórzyć to doświadczenie. Zdjął ciężkie palto, które krępowało mu ruchy, i narzucił na ramiona niczym pelerynę.

Niepewny miejsca poruszał się powoli. Mgła przed nim nagle się rozrzedziła. Zatrzymał się i zobaczył, że do krawędzi brakuje mu jeszcze kilkanaście metrów. Poniżej słońce pobłyskiwało w jeziorze, a fantastyczna panorama przypominała widok z samolotu. Podeszedł na dwa metry do brzegu i tak jak niegdyś spojrzął w dół, w olbrzymią przepaść. Zobaczył czeluść spadającą pionowo w dół, w dół i w dół.

Nagle mgła wokół zgęstniała, zamazując widok. Spowity jej obłokiem nie mógł nic zobaczyć. Zaczął tracić poczucie kierunku. Nakazał sobie stać cierpliwie w bezruchu w oczekiwaniu na następne przejaśnienie. Nagle poczuł z tyłu, dokładnie na środku pleców, dotknięcie zwiniętej pięści, ustawionej tak, by jednym pchnięciem posłać go w głąbie. Miał tysięczną część sekundy na reakcję. Obrócił się w lewo, odsuwając od urwiska, i lewą pięścią z całej siły wymierzył cios. Uderzenie trafiło w mgłę, nie tknąwszy niczego twardego. Wracił powoli w dół zbocza, oddalając się od wieczności. Mgła przerzedzała się i jasny prześwit odkrył przed nim stację u podnóża zbocza. Dłonie miał lepkie, ale nie od mgły.

Mgła rozpraszająca się i Tweed, mozolnie schodząc z boczem, obserwował miejsca pobytu pozostałych. Na prawo od niego człapał powoli Roman Arbogast. Po lewej w oddali zbiegał miarowym krokiem Black Jack. Nieco bliżej Marienetta szła wraz z Sophie. Zobaczył, jak zacisnęła dłoń na ręce Sophie, ale ta wyrwała się i ruszyła szybko z podniesioną głową i brązowymi włosami związanymi w koński ogon. Na jej twarzy malowały się frustracja i gniew.

Nizej Newman szedł obok Pauli, wypełniając ściśle jego polecenie. Tweed nabrał powietrza i zerknął na swoje palto narzucone na ramiona jak peleryna. Było bardzo podobne do płaszcza przeciwdeszczowego, który dał Pauli. O Boże, pomyślał. Na skraju przepaści to nie ja byłem celem. Rozmazany we mgle kształt moich pleców mógł przypominać Paulę. To był zamach na nią. Czy powiedzieć jej o tym? Ostatnio tyle przeszła. Jeden horror w Bray, drugi w Maine, a potem na nabrzeżu rozpoznanie zwłok doktora Seale'a. Do tego te jej koszmary. Najpierw porozmawiam z Newmanem.

Potem ujrzał kogoś, kogo na pewno nie spodziewał się tu spotkać. Ze zbocza schodził Sam Snyder. Nie zauważył go w pociągu, ale mógł jechać wagonem z miejscowymi.

Gdy znalazł się już niedaleko peronu, na jednym końcu pociągu zobaczył Pete'a Nielda, a na drugim - Harry'ego Butlera. Zostali tam, aby zapobiec ewentualnemu sabotażowi. Mało co uchodziło ich uwagi.

- Nie wiedziałem, Sam, że bierze pan udział w tej imprezie - powiedział, dogoniwszy Snydera.

- Ja jestem wszędzie. - Jego jastrzębia twarz wykrzywiła się w szczególnym uśmiechu. - To moja praca. Zrobiłem kilka dobrych zdjęć z góry na tę budzącą strach przepaść - klepnął

aparatus przewieszony przez ramię. - I jedno wcześniej warte paczki banknotów, jeżeli zostanie opublikowane.

- Jakie?

- Doskonałe zdjęcie profesora Seale'a w pokrowcu i bez głowy. Chwilę wcześniej, nim policjant strzelił w reflektor. Naprawdę piękne.

- Czarujące.

- W drodze na dół zajmujemy pierwszy wagon! - krzyknął Arbogast gardłowym głosem. - Wystarczająco dużo to kosztowało, więc niech kobiety jadące po zakupy wsiadają do tylnego wagonu.

- W takim razie - powiedziała Paula, gdy Tweed do nich dołączył - ja zajmuję miejsce na przodzie. Straub może być sobie wiceprezydentem, ale nie może zawsze mieć najlepszego widoku.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, wskoczyła do środka. W tym momencie z góry zszedł Russell Straub. Na peronie z rękami na biodrach stał niezadowolony Ed Danvers. Tweed i Newman usłyszeli jego narzekanie.

- Do diabła, w tej mgle straciłem pana z oczu. Nigdzie nie było pana widać.

- Ed - Straub pokazał swój służbowy uśmiech dla gawiedzi - lepiej przypomnę ci, że chłopiec okrętowy nie siedzi szyprowi dzień i noc na ogonie. Ktoś zajął moje miejsce.

- Niech pan zajmie inne - warknął wyraźnie zirytowany Danvers.

Gdy wszyscy wsiedli, pociąg ruszył w dół. Paula z przyjemnością przyglądała się zza pleców utrzymującego stałą prędkość motorniczego spiralnie idącej w dal linii torów. Tweed zaciągnął Newmana w miejsce, gdzie ani za sobą, ani przed sobą nie mieli nikogo. Spokojnie opowiedział mu o tym,

co się zdarzyło i o podobieństwie stroju swego i Pauli. Gdy skończył, Newman orzekł:

- Powiedz jej o tym.

- Nie jestem pewien...

- Powiedz jej. Stała się bardzo twarda i nieustępliwa. Twoim obowiązkiem jest ją ostrzec.

- Nie jestem pewien, ale jeżeli tak uważasz.

- Naprawdę tak sędzę.

Gdy Tweed i Newman wysiedli z limuzyny przed Le Montreux Palace, ktoś chwycił Tweeda za ramię i odciągnął w głąb promenady, z dala od gęstniejącego już tłumu. Był to szef policji Arthur Beck.

- Słyszałem, gdzie się wybrałeś, i czekałem na twój powrót. Przeszukaliśmy pokój Abrahama Seale'a w Eurotelu. W walizce znaleźliśmy ten plik kart z notatnika. Jak widzisz, wszystkie mają perforację od góry.

Tweed rozpoznał papier, jakiego używał Seale, gdy spotkali go na schodach siedziby ACTIL-u i zatrzymali się, by zamienić z nim kilka słów. Opowiedział o tym Beckowi i powtórzył słowa Seale'a: „To trochę niebezpieczne miejsce na takie działania”. Dodał, że Seale uważał genealogię i tworzenie drzew genealogicznych za swoje hobby. Beck podał mu do przejrzania plik notatek. Tweed starannie obejrzał pierwszy arkusz.

Choć ranek był zimny, słońce już mocno świeciło.

- Widzę tu skomplikowany diagram złożony z linii prostych - zastanowił się. - Seale chyba ciężko się napracował, kreśląc drzewo genealogiczne rodziny Arbogastów, ale ktoś oderwał górę arkusza, gdzie zapewne były zapisane imiona. Widać postrzępiony brzeg. Szkoda, że nie możemy odczytać tych imion.

- Też to zauważyłem - zgodził się Beck. - Rodzina Arbogastów. Więc wygląda na to, że to ktoś z nich jest w to zamieszany. Zwłoki Seale'a powinny już wkrótce dotrzeć do Zurychu. Seale najpierw użył słowa „niebezpieczne”, a potem stracił głowę.

- Tak - odparł Tweed, zwracając plik papierów. - I pewnie zaciekaw cię, że Black Jack Diamond jest kuzynem Arbogastów.

Tweed wszedł do hotelu i skierował się wprost do apartamentu Pauli. Gdy zapukał, otworzył mu Newman, który zrobił do niego perskie oko. Jak widać, bardzo poważnie wziął sobie do serca rozkaz pilnowania Pauli.

- Idę teraz własną drogą - powiedział i wyszedł.

Paula stała przed lustrem, szczotkując włosy. Uśmiechnęła się do Tweeda szeroko, odłożyła szczotkę i odwróciła się. Gestem zaprosiła, by usiadł, lecz najpierw musiał zdjąć palto.

- Muszę ci opowiedzieć o czymś, co zdarzyło się na górze Rochers de Naye.

- A co takiego? - spytała, siadając na krześle z twardym oparciem.

Opowiedział jej wszystko, zaczynając od tego, jak szukał krawędzi urwiska. Gdy skończył, wstała, marszcząc brwi. Jej reakcja całkiem go rozbroiła.

- Ty cholerny idioto! - rzuciła się na niego. - Żeby podejmować takie ryzyko i stawać na skraju przepaści! Dlaczego? Tylko dlatego, że zrobiłeś to przed laty? To idiotyczne powtarzanie przedstawienia. Znam twoją teorię, że to mogło mnie spotkać. Ale na Boga, po tym, co spotkało Foleya i Holgate'a, a teraz Seale'a, śmierć i ciebie mogła dosięgnąć. Niewiele brakowało, a kupa twoich potrzaskanych

kości leżałaby tam na dole, dwa tysiące metrów niżej. Jak mogłeś?

Waliła w jego piersi zaciśniętymi dłońmi. Potem wybuchnęła płaczem, którego nie potrafiła pohamować. Objął ją. Złożyła mu głowę na piersiach, łkając z głębi serca. Gładził jej włosy i przemawiał miękko. Otoczyła jego szyję ramionami. Gdy wyciągnął wielką chusteczkę, nagle się opanowała. Wzięła ją bez słowa i zaczęła przecierać oczy i twarz.

Potem cofnęła się i przejrzała się w wiszącym na ścianie lustrze. Ponownie przetarła twarz chustką. Zmusiła się do uśmiechu. Nalał jej szklanek wody z karafki. Sporo wypila. Gdy ponownie napełnił szklanek, usiadła. Uśmiechnęła się znów, tym razem bardziej naturalnie.

- Usiądź, proszę - powiedziała. - Stoisz tu jak na warcie. Wrócę za chwilę.

Wyszła do łazienki przemyć twarz. Tweed usiadł. Przejął się tym, że ją zdenerwował. Czuł się winny. To nie był dobry pomysł, ale przecież musiał jej o tym opowiedzieć, aby ją ostrzec. Gdy wróciła, była w bluzce i spódnicy.

- W spodniach jest tu za gorąco - wyjaśniła. - Mogę przykręcić ogrzewanie, ale nieco potrwa, nim poczujemy skutek. - Podeszła do barku, wyjęła koniakówkę i nalała do niej brandy. - Wyglądasz nie najlepiej. Napij się - podała kieliszek Tweedowi. - To przywróci ci chęć do życia.

Sama usiadła obok w fotelu. Pociągnął pierwszy łyk, potem następny. Miała rację. Zawsze miała rację. Poczul się lepiej. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał już zwyczajnie, spokojnie.

- Przepraszam, że mi nerwy puściły. Nigdy przedtem mi się to nie przytrafiło. W każdym razie nie tak jak dzisiaj. Już doszłam do siebie. Miałeś rację, informując mnie o tym.

Miałeś absolutnie rację. Jestem ci bardzo wdzięczna. Zawsze możemy sobie ufać.

- Tak, to prawda. - Miał nadzieję, że jego głos zabrzmiał normalnie. - Porozmawiajmy o czymś innym. Beck złapał mnie, gdy wysiadałem z samochodu. Jedzie teraz do Zurychu.

Opowiedział jej, co Beck znalazł w Eurotelu. Skrzyżowała zgrabne nogi, oparła na nich łokieć i - z jednym palcem na policzku - kiwała głową, gdy szczegółowo relacjonował jej rozmowę z szefem policji.

- Może w komisariacie w Zurychu będzie już wiadomość od Moniki.

- Myślę, że wszyscy powinniśmy pojechać tam pociągiem.

- To chyba najlepsze, co możemy zrobić.

- Przypomnij mi - poprosił - które ze znanych nam osób podróżowały do Ameryki. Trochę informacji na ten temat już mamy.

Odprężył się już na tyle, by dalsza rozmowa mogła przebiegać normalnie. Uświadomił sobie, jak bardzo lubi Paulę. Zdumiało go, że jego uczucie wydawało się odwzajemnione.

- Mówię bez żadnego określonego porządku. Marienetta wielokrotnie - wyliczała na palcach. - Sophie lata jeszcze częściej. Roman też tam był. Jak sądzę, latają gulfstreamem utrzymanym na Heathrow. Black Jack wyskakuje tam czasem, pewnie gdy przyjdzie mu na to ochota. Możesz go sobie wyobrazić szalejącego w Nowym Jorku lub Bostonie. Wiemy, że Sam Snyder też tam bywa. Biedny Abraham Seale miał tam wiele tur wykładów. Najczęściej jest tam oczywiście Russell Straub. Teraz od kilku dni jest tutaj. Właściwie nikt nie wie po co.

- Do tego często unika swego ochroniarza Eda Danversa. Ciekawe dlaczego?

- Nie mam pojęcia - powiedziała, marszcząc brwi. - Czy Danvers był w Stanach w czasie, który nas interesuje?

- Nie mam pojęcia.

- A czy wiesz, że Broden też był na górze?

- Jesteś pewna?

- Tak. Jechał zwykłym wagonem w futrze, futrzanej czapie i ciemnych okularach. Zszedł jako ostatni. Zauważyłam go, gdy wyłonił się z mgły, i rozpoznałam po sposobie chodzenia. Język ciała. Co za straszne określenie.

- Czy znajdował się gdzieś w pobliżu Romana?

- Nie. Zszedł znacznie później, gdy Arbogast od dawna był już na stacji. Więc nie działał jako jego ochroniarz. Tak samo jak Danvers nikogo tam nie chronił. Czy to do czegoś prowadzi?

- Oczekuję na jakiś sygnał, może obserwację, która kogoś wskaże. Tutaj wciąż się czegoś dowiadujemy.

- Dobrze, ale mam nadzieję, że nie będzie już więcej morderstw.

- Nie liczyłbym na to.

Zurych, siła napędowa Szwajcarii. Wkrótce będą lądować. W Montreux Tweed zmienił zdanie i zrezygnował z podróży pociągiem, która wymagałaby przesiadki z jednego ekspresu na inny. Przeglądając rozkład lotów, stwierdził, że jeżeli wrócą do Genewy hotelowymi limuzynami, wystarczy im czasu na lunch na lotnisku Cointrin i złapanie samolotu wewnętrznych linii Swissair do Zurychu. Marler siedział obok niego, a Paula z Newmanem za nimi. W czasie lotu Paula klepnęła Tweeda w ramię.

- Spójrz przez okno. Wydaje mi się, że widzę Rochers de Naye.

- To niemożliwe - odparł Tweed, ale wyjrzał, jak go poprosiła.

Na południu tło stanowiło majestatyczne pasmo Alp Berneńskich, najwyższych gór w Europie. Ich górne partie pokrywał śnieg. Rozpoznał Jungfrau i wskazał ją Pauli. Śnieg połyskiwał w słońcu i Paula pomyślała, że to jeden z najbardziej zachwycających widoków, jakie miała okazję podziwiać.

- Rochers de Naye - tłumaczył Tweed przez ramię - leży na południowym stoku tego masywu i jest za niska, byśmy ją mogli stąd zobaczyć.

- Dzięki Bogu nie było na niej śniegu - powiedziała Paula, myśląc o wyprawie Tweeda nad krawędź.

Powoli tracili wysokość. Samolot przed lądowaniem przechylił się w lewo, odsłaniając szeroki widok na lotnisko Kloten. Tweed pochylił się w stronę Marlera i spojrzał. Paula chwyciła go za ramię i spytała po cichu:

- Co to takiego?

- Ta samotna plama na uboczu lotniska? To wielki gulfstream. Może to samolot Arbogastów. A jeżeli tak, to co

on tu robi?

- Czy Beck już tu dotarł? - zaciekała się.

- Na pewno - odparł Marler. - Przyleciał helikopterem. Kiedy byliście na górze, obejrzałem coś ciekawego - zdjęcie zrobione przez kumpla Newmana, Sama Snydera.

- To żaden mój kumpel - warknął z tyłu Newman.

- Nie wiesz, jak z nim postępować - odparł Marler. - Ze mną nie próbuje swoich sztuczek.

- Co to za zdjęcie? - spytała Paula.

Marler wyciągnął z kieszeni płaszcz sztywną kopertę i podał do tyłu. Paula otworzyła ją i wyciągnęła ze środka drugą celofanową kopertę ze zdjęciem. Spojrzała zdumiona.

- Gdzie to zostało zrobione? Wygląda na quai w Montreux.

- Bo tak jest. Pokaż Tweedowi.

Tweed wziął fotografię i zdumiał się nie mniej od Pauli. Przyglądał się kobiecie uśmiechającej się ponuro, jakby z satysfakcją. Było to zdjęcie Eleny Brucan.

Była w tym samym jasnozielonym płaszczu i futrzanej czapie co podczas odwiedzin u Tweeda na Park Crescent. Tweed przypomniał sobie, że Marler był wtedy w pokoju.

- Jak myślisz, dlaczego Snyder ją sfotografował? - zapytał. - Wygląda na to, że była w tłumie na miejscu znalezienia ciała Abrahama Seale'a.

- To prawda - potwierdził Marler. - Snydera uderzył jej niezwykle wygląd. Pomyślał, że będzie to niezłe zdjęcie. Przedstawił się, a ona powiedziała, że nazywa się Elena Brucan. Dodała, że śledzi mordercę. Pomyślał, że jest szurnięta. Wróciliście wszyscy do Montreux Palace, a ja zamykałem pochod. Gdy już poszliście do swoich pokoi, zobaczyłem kogoś wchodzącego do hotelu przede mną. Była

to Elena Brucan. Poznałem ją, choć wtedy jeszcze nie widziałem zdjęcia.

- Zatrzymała się w tym hotelu? - spytał Tweed.

- Nie.

- Marler - odezwała się niecierpliwie Paula - mówisz znacznie więcej niż zwykle. Czuję, że coś jeszcze się stało. Powiedz wreszcie.

- Cierpliwości, moja droga. Poniosła mnie ciekawość i wślizgnąłem się do holu, niby to obejrzeć jakiś folder. Recepcjonista trzymał dwa bilety lotnicze. Kazał komuś z obsługi zanieść bilety z Genewy do Zurychu do pokoju panny Sophie Arbogast, a gdyby jej nie było, do pokoju pana Diamonda. Zaznaczył, że to bardzo pilne.

- A więc polecili razem do Zurychu, tak jak razem przylecieli tutaj - powiedział Tweed w zamyśleniu.

- To nie wszystko - ciągnął Marler. - Gdy to się działo, Elena Brucan udawała, że przygląda się malowidłu na ścianie, a tak naprawdę podsłuchiwała. Gdy facet z biletami lotniczymi odszedł, odwróciła się i zobaczyła mnie. Ponieważ mnie rozpoznała, przywitałem się i zaproponowałem wspólny spacer. Ucieszyła się, powiedziała, że wraca do hotelu. Zatrzymała się w Eurotelu.

- Tam, gdzie mieszkał Abraham Seale - przypomniał Tweed.

- Czy ma to jakiś związek? - zastanawiała się Paula.

- Czas pokaże.

- Jeszcze nie skończyłem - wycedził Marler. - W holu zaproponowałem jej kawę. Wskazała mi, gdzie mam iść, a sama nieco zabałaganiła koło recepcji. Stałem przy przejściu i słyszałem, jak poprosiła obsługę o zarezerwowanie dla niej biletu na następny lot z Genewy do Zurychu. Potem, zostawiając mnie, pospieszyła do swojego pokoju.

- Żeby szybko się spakować i zdążyć na czas do Genewy
- powiedziała Paula.

- Na pewno tak - zgodził się Marler.

- Mamy sporo do przemyślenia - zastanowił się Tweed. -
„Śledziła mordercę”. Dokładnie tak powiedziała Snyderowi.

- Więc - orzekł Newman - wygląda na to, że to albo
Sophie, albo Black Jack.

- Może tak, może nie - odparł Tweed. - Być może
śledziła klan Arbogastów.

Samolot dotknął ziemi, lądując wyjątkowo łagodnie. Gdy
czekali na światłach, Butler i siedzący daleko z tyłu Nield
podeszli do przejścia. Tweed spojrział na nich i powiedział
szepem:

- Najpierw taksówkami pojedziemy z lotniska do Becka.
Potem do Baur au Lac, gdzie przed wyjazdem z Montreux
zamówiłem pokoje dla wszystkich.

Paula uwielbiała Zurych. Wyjrzała przez okno, gdy
mostem nad dzielącą miasto rzeką Limmat wjeżdżali do jego
najstarszej części. Wielkie, niebieskie, nowoczesne
jednopoziomowe tramwaje toczyły się po szynach,
przyspieszając, gdzie było to możliwe.

Nield i Butler woleli pozostać przed wielkim kamiennym
budynkiem kwatery głównej policji. Reszta ruszyła do środka.
Beck oczekiwał ich w swym zwykłym biurze z widokiem na
rzekę i potężne budynki uniwersyteckie na drugim brzegu.

- Witajcie - powiedział z ciepłym uśmiechem i ponownie
uścisnął Paulę. - Jesteś moją ulubioną Angielką. Anno -
zwrócił się do dziewczyny w mundurze - proszę o kawę dla
wszystkich. Ze śmietanką dla Roberta Newmana.

- Nielda i Butlera zostawiłem na zewnątrz - zauważył
Tweed.

- Nimi też się potem zajmę - odpowiedziała Anna, uśmiechając się uwodzicielsko do Tweeda.

- Chyba się jej spodobałeś - powiedział Beck, gdy Anna wyszła. - A teraz do roboty. Siadajcie, proszę. Saafeld szybko zareagował. Poczta kurierska od niego przyszła dziś rano. - Wręczył Tweedowi grubą kopertę. - Zaadresowana do ciebie. Wydaje mi się, że w środku są klisze i zdjęcia.

Gdy Tweed ostrożnie zaczął otwierać dobrze zabezpieczony pakunek, Beck, siadając, uderzył w stół wierzchem dłoni. Mebel był nowy. Duży i podłużny, pokryty szklaną taflą z zawiasem w środku.

- Kosztował fortunę - powiedział. - Można unieść połowę blatu i przykryć nią drugą połowę i w ten sposób umieścić materiały pod szkłem. Księgowego w Bernie niemal szlag trafił, gdy dostał rachunek. Teraz muszę na niego uważać.

Tweed, zanim sięgnął do koperty, wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki i włożył je. Saafeld oprócz klisz i zdjęć Holgate'a przesłał także materiały, jakie otrzymał od patologa z Bostonu, czyli klisze i fotografie Hanka Foleya. Beck dołożył fotografie i zdjęcia rentgenowskie z sekcji wykonanej przez doktora Zeitzlera.

Także Marler włożył rękawiczki i wyciągnął z kieszeni lupę jubilerską owiniętą w aksamit. Beck spojrzał z aprobatą.

- O! Prawdziwy fachowiec!

Marler szybko wybrał klisze i zdjęcia sztych trzech zamordowanych. Dociskając lupę do oka, starannie oglądał jedno po drugim. W końcu chrząknął i wyprostował się.

- To ten sam morderca - oznajmił. - Na wszystkich trzech fotografiach jest wyraźnie widoczna taka sama szczyrba po ostrzu. Polujemy na seryjnego mordercę.

- Ale jestem pewny, że nieprzypadkowego - stwierdził Tweed. - Coś łączy wszystkie trzy ofiary.

- Czy coś może sięgać od Maine przez Londyn aż do Szwajcarii? - spytał Beck.

- Tak - powtórzył Tweed z takim samym przekonaniem. - Musimy po prostu znaleźć tę łączącą nić. Jest gdzieś tu zagrzebana.

Do hotelu Baur au Lac zostali odwiezieni dwoma nieoznakowanymi samochodami policyjnymi z kierowcami po cywilnemu. W pierwszym aucie Paula z Tweedem siedzieli obok siebie w tylnym przedziale, a Marler zajął miejsce na ławeczce. Drugim samochodem pojechali Newman i Butler z Nioldem.

Paula patrzyła zafascynowana, gdyż większość trasy wiodła Bahnhofstrasse, najszynniejszą i najbogatszą ulicą świata, na której bankom i drogim sklepom towarzyszyła legenda jezdni brukowanej złotem. W rzeczywistości pod Bahnhofstrasse znajdowały się skarbcze, w których banki trzymały złoto. Na chodnikach widziała szykowne, eleganckie kobiety.

- Teraz wiemy, że ten sam morderca zabił Foleya w Maine, Holgate'a w Bray i Seale'a w Montreux - rozważała na głos. - To przerażające.

- Bardzo - zgodził się Tweed.

- Dlaczego wybrałaś Baur au Lac?

- Ponieważ ten typ hotelu wybierze ktoś z Arbogastów, jeśli przyjedzie do Zurychu. Nie mówiąc o innych uczestnikach tego ponurego dramatu, jak Black Jack.

- To też Arbogast - przypomniała. - Kuzyn.

Przed sobą widzieli odblaski światła na tafli Jeziora Zuryskiego. Przejeżdżali ze Szwajcarii francuskojęzycznej do wielkiego obszaru na północy, gdzie mówiono po niemiecku. Samochód skręcił z Bahnhofstrasse w prawo, przeciął kolejną ulicę i podjechał pod wejście do super luksusowego Baur au Lac. Wysiedli, pozostawiając oddanie walizek nieskazitelnie

ubranym bagażowym kierowcy. Mieli przed sobą przestronny hol hotelowy. Nim skręcili w prawo do recepcji, Paula szturchnęła Tweeda.

- Miałaś rację - powiedziała.

Na wprost nich siedział Roman Arbogast i popijał drinka. Zauważył ich od razu.

- Wygląda na to, że dobrze wybraliśmy miejsce startowe - zgodził się Tweed.

Gdy kończył te słowa, od strony windy pojawiła się Marienetta. Miała na sobie zielony kostium, złote włosy opadały swobodnie. Wysoka, elegancka, podeszła do nich z ciepłym uśmiechem. Wygląda jak bogini, pomyślała Paula.

- Witajcie w Zurychu - powitała ich.

Lekko uścisnęła ramię Tweeda, który ucałował ją w oba policzki, wyczuwając przy tym lekki zapach perfum. Potem odwróciła się do Pauli, aby ją też ucałować.

- Tak mnie nudzą ludzie tutaj. Dzięki niebiosom, że was tu przysłały. Paulo, chodź ze mną do foyer na herbatę. Żadnej odmowy nie przyjmuję do wiadomości.

- Pozwól, że się najpierw odświeżę. Pójdę do pokoju i wkrótce dołączę do ciebie.

- Zajmę jakiś spokojny stolik.

- Czas zaczyna przyśpieszać - skomentował Tweed, gdy podchodzili do recepcji. - Zawsze mam takie wrażenie, gdy nadchodzi kolejny etap.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Gdy Tweed dokonywał rejestracji, młody mężczyzna za ladą rozpoczął pogawędkę:

- Mamy drugiego honorowego gościa, panie Tweed. To Russell Straub, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych.

- Czyżby? Kiedy przyjechał?

- W porze lunchu. To naprawdę zabawne. Jest z ochroniarzem, panem Danversem, i zakazał mu towarzyszenia

sobie. Przez całe popołudnie sam gdzieś wędrował.

- Czy długo pan tu pracuje? - spytał Tweed z uśmiechem.

- To niesłychane, aby personel był tak niedyskretny i udzielał informacji o innych gościach.

- Nie, proszę pana. Jestem tu tylko czasowo. Odchodzę w ciągu tygodnia. Otrzymałem posadę w hotelu w Genewie.

Pauli i Tweedowi spodobały się ich pokoje z widokiem na podjazd z zaparkowanym rolls-royce'em. Tweed akurat otwierał walizkę, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił policyjny kierowca, który ich tu przywiózł.

- Bardzo przepraszam, że pana niepokoję. Mój pracodawca, z którym rozmawiał pan ostatnio, chce pana pilnie zobaczyć. Mam nadzieję, że nie sprawi to panu kłopotu. Przyjadę po pana, gdy będzie pan gotowy.

- Może pan już podjechać.

Kierowca był bardzo dyskretny. Nie wymienił żadnego nazwiska. Tweed wiedział, że skoro Beck chce go ponownie tak szybko zobaczyć, sprawa musi być ważna. Zastukał do drzwi Pauli. Otworzyła owinięta ręcznikiem.

- Beck chce się ze mną znów zobaczyć. Nie mam pojęcia po co. Tak czy inaczej, zostawiam cię w towarzystwie Marienetty.

Gdy odszedł, Paula szybko się umyła i wyciągnęła z walizki drobiazgi. Gdy wkładała niebieski kostium, zastanawiała się, dlaczego Beck chciał tak szybko spotkać się ponownie z Tweedem. Wyglądało to na sytuację wyjątkową.

Gdy zeszła do pustawego foyer, Roman Arbogast wstał zza stolika i gdzieś odszedł. W znacznej odległości od Marienetty siedziała samotnie Sophie i popijała herbatę. Dziwne, pomyślała Paula.

- Zamówiłam dla ciebie herbatę - powiedziała Marienetta, zwracając się w jej stronę. - Naprawdę podoba mi się ten kostium.

- Twój też wygląda doskonale. Bardzo stylowo.

- Och, moja droga! - zachichotała Marienetta. - Zamieniamy się w towarzystwo wzajemnej adoracji. To może być dobra okazja do porównania notatek. Zgodziłyśmy się współpracować.

- Dobry pomysł.

Do foyer wszedł Russell Straub. Miał na sobie elegancki garnitur w herbacianym kolorze, do tego cynamonowy krawat, doskonale dopasowany do sztywno wykrochmalonej białej koszuli. Wiceprezydent potrafił się gustownie ubrać. Ruszył stanowczym krokiem, mierząc tak, by przejść obok ich stolika, patrząc przed siebie.

- Cześć, kuzynie - zawołała do niego Marienetta.

Zamarł na kilka sekund. Spojrzał na Marienettę, a jego wzrok przepęłniała wściekłość. Tak samo patrzył na Tweeda podczas ich krótkiej konfrontacji na urodzinach Sophie w Londynie. Potem bez słowa ruszył przed siebie i zniknął.

- Co ja takiego powiedziałam? - spytała Marienetta Paulę.

- Przecież Brytyjczycy naprawdę nazywają Amerykanów kuzynami. Mój przyjaciel z Ministerstwa Spraw Zagranicznych często używa tego zwrotu.

- Myślę, że ulega zmiennym nastrojom - odpowiedziała Paula.

- Dziwak. Na przyjęciu urodzinowym Sophie gawędziłam z nim przy drinkach. Musiał mieć nieudane popołudnie. A teraz te okropne morderstwa. Czy doszłaś już do jakichś wniosków w sprawie tożsamości zabójcy?

- Najpierw ty. Skupiam się na jedzeniu. Wyglodniałam, ale mogę słuchać.

- Dobrze, więc najpierw mamy tego dziwnego reportera Sama Snydera. Pamiętam, jak przyszedł na pierwsze spotkanie z Romanem. Pokazał mu swój artykuł, w którym opisał

ACTIL jako globalnego giganta. Romanowi to zupełnie nie odpowiadało. zaproponował Snyderowi korzystanie z naszego gulfstreama w podróżach do Stanów, gdy będzie to możliwe, ale pod warunkiem stonowania artykułu. Nigdy się nie ukazał. Roman jest sprytny - zachichotała Marienetta.

- A więc Snyder korzystał z gulfstreama w podróżach do Stanów i z powrotem?

- Tak. To była bajeczna oferta. Jeżeli cokolwiek zdarzyło się w Ameryce, był tam pierwszy, wyprzedzając konkurencję. Intryguje mnie, dlaczego jest reporterem kryminalnym.

- Wiem, co masz na myśli. Nawiasem mówiąc, dlaczego Sophie pije herbatę samotnie tak daleko od ciebie?

- Unika mnie - odparła Marienetta z krzywym uśmiechem. - Posprzeczałyśmy się, a właściwie to ona się posprzeczała. Od czasu do czasu, zwykle, gdy nie idzie mi rzeźbienie, wybieram się na obiad z Black Jackiem. Nie dowierzam mu, ale jest pełen życia. Staram się, aby Sophie o tym nie wiedziała. Ale gdy się dowie, wpada we wściekłość. Mogłaby mnie wtedy zabić.

- Mówisz teoretycznie?

Marienetta na moment zamilkła.

- Oczywiście, że tak - powiedziała po chwili. - Miewa złe nastroje. Czasem decyduje się na ślub z Jackiem, a potem dzięki Bogu go porzuca. To poplątany związek. Ale to dygresja. Ciekawił mnie również Abraham Seale. To bardzo dziwna postać, ale teraz biedak sam stał się ofiarą śmiertelnego ostrza. Więc niezbyt daleko się posunęłam. A jak ty? - Jej kocie oczy spoczęły na Pauli. Czyżby spodziewała się, że jej rozmówczyni miała więcej szczęścia?

- Wiele myślę o początku tego wszystkiego w Maine. Kiedy po raz pierwszy spotkałaś Russella Strauba?

- W Nowym Jorku. Na przyjęciu. Przyczepił się do mnie i chciał, abym poleciała z nim do Kalifornii. Odmówiłam.

- Czy Straub jest żonaty? Powinnam wiedzieć, ale nie wiem.

- Był, ale żona się z nim rozwiodła. Wszystko odbyło się spokojnie.

- Dlaczego się na to zdecydowała?

- Powiedziała mi, że miała już dość Potomacu przepływającego przez jej salon. To znaczy polityki. Nazwała go fanatykiem zdolnym do wszystkiego, by zostać prezydentem. Co może się zdarzyć. Stoją za nim kluczowe postaci i grupy nacisku.

- Fanatykiem? - zastanowiła się Paula.

- Takiego słowa użyła jego żona.

Rozmawiały, gdy Paula zobaczyła w holu Tweeda. Podziękowała Marienecie za herbatę i umówiła się z nią na później. Poszła po kurtkę, którą zostawiła w szatni, sądząc, że po herbacie Marienetta może zaproponować przechadzkę. Przystanęła na chwilę i zobaczyła Romana wdziwiającego ciężkie czarne palto i wychodzącego z hotelu.

Szybko się ubrała i wyszła na zewnątrz. Było już ciemno, ale zdążyła zobaczyć, jak Arbogast skręca w lewo w Bahnhofstrasse. Niósł dużą dyplomatkę, ciężką z wyglądu.

Dotarłszy do Bahnhofstrasse, zobaczyła jego masywną sylwetkę śpieszącą główną ulicą. Szła za nim, świadoma tego, że poza nimi trudno tu było kogoś spotkać. Była wdzięczna, że silne uliczne lampy stały w pewnych odległościach od siebie. Usłyszała za sobą szybkie kroki. Obejrzała się i zobaczyła doganiającego ją Newmana.

- Co tu, u diabła, robisz? Wychodzisz tak sobie samotnie pospacerować po nocy?

- Śledzę kogoś. Mamy przed sobą Romana Arbogasta. Proszę, nie mów o tym Tweedowi.

- Zastanowię się.

Nagle Roman zniknął. Skreślił za róg pierwszej ulicy po lewej stronie. Gdzie, u diabła, zmierza o tej porze, w nocy? Newman chwycił ją za ramię i obrócił wokół własnej osi.

- Wracaj do hotelu. Bez dyskusji.

W hotelu dał jej spokój, dopiero gdy wsiadła do windy. Pośpieszyła do swojego pokoju, zdjęła kurtkę, powiesiła ją w szafie i poszła do apartamentu Tweeda. Zastukała do drzwi. Otworzył z ponurą miną.

- Co się stało? - spytała, siadając na krześle.

- Beck wezwał mnie, bo dzwoniła Monica i chciała rozmawiać ze mną na bezpiecznej linii.

- Dlaczego dzwoniła?

- Jestem pewien, że nie spała co najmniej przez dobę. Obdzwoniła cały świat, aby zbudować drzewo genealogiczne rodziny Arbogastów. Jeszcze nie skompletowała wszystkich danych, ale i tak podała mi bardzo ważne informacje.

- Mogę skorzystać z tego wielkiego notesu? Chcę robić notatki. Już jestem gotowa.

- Arbogastowie wywodzą się z Włoch. Ich prawdziwe nazwisko to Arbogastini. Trzy pokolenia wstecz było dwóch braci: Benito i Vincenzo. Urodzili się w Rzymie. Gdy dorośli, przenieśli się do

Mediolanu. Zapewne niezbyt im się tam powodziło i Benito wyjechał do Londynu, a Vincenzo do Nowego Jorku. Mieli dzieci. Vincenzo zmienił nazwisko na Arbogast, aby uniknąć kojarzenia z mafią. Stał się kluczową postacią kontrolowanej przez Bossa Crumpa maszyny politycznej demokratów w Memphis, w Tennessee. Dowiedziałem się o nim, czytając historię Ameryki.

- Zbliżamy się już do obecnej generacji - powiedziała.

- Tak. Vincenzo również zmienił imię na Vincent. Tu wchodziła w grę polityka. Jego najstarszy syn ponownie zmienił nazwisko na Straub, aby w żaden sposób nie mogło

być kojarzone z mafią. Zmienił też imię na Russell. Wychował się w silnie upolitycznionej atmosferze.

- A więc w Ameryce dotarliśmy do teraźniejszości?

- Jak wiesz, Russell Straub zatrzymał się w tym hotelu. Ale Vincent miał więcej dzieci. Imion jeszcze nie znamy. Tymczasem Benito w Londynie stał się Alfredem Arbogastem. Więc dotarliśmy do drugiego pokolenia. Jego najstarszy syn to Roman. Przypuszczam, że nie chciano zupełnie odcinać się od włoskich korzeni. Ta gałąź rodziny nigdy nie zajmowała się polityką. W handlu przechodzili z branży do branży. To Roman wpadł na pomysł zbudowania globalnego imperium ACTIL-u. Poszczyło mu się. Ma córkę Sophie. Obaj w Stanach i tutaj mieli braci, którzy założyli rodziny. Na razie nic o nich nie wiemy. - Tweed wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. - Zaczyna mi świtać w głowie pewna teoria. Na razie zbyt mglista, by na niej bazować. Jeżeli się skonkretyzuje, powiem ci o niej. Ale jednego jestem teraz pewien. Te przerażające morderstwa są związane z władzą. Powtarzam, z władzą...

- Nie wiem, czy wszystko pojęłam - powiedziała Paula, patrząc na notatki.

- Uprościmy to, idąc wstecz. Dziś mamy starsze pokolenie reprezentowane przez Romana Arbogasta. Roman ma córkę Sophie. Ma także bratanicę Marienette, która musi być córką brata, który także przyjechał do Brytanii. Jeszcze go nie wyśledziliśmy.

- Teraz następstwo staje się jasne.

- W Stanach Russell, syn Vincenta, zmienił nazwisko na Straub. Jego ojciec był w Memphis trybem w machinie politycznej Bossa Crumpa. Dlatego Russell został politykiem i ostatecznie wiceprezydentem.

- Z widokiem na bliską prezydenturę, gdy obecny lokator Białego Domu odejdzie na emeryturę. Obecny prezydent popiera dążenia Russella do sukcesji.

- Uchwyciłaś sedno sprawy. Podejrzewam, że to znaczący czynnik w tych trzech okropnych morderstwach. Dlatego tak wielką wagę przykładam do problemu władzy. Jestem pewien, że Russell Straub posunie się do wszystkiego, by tylko nic nie zablokowało jego ambicji.

- Zmuszasz mnie do zastanowienia - powiedziała Paula.

- Taki jest mój cel. Chcę, abyś sobie uświadomiła, że stawką w naszym śledztwie jest przyszłe bezpieczeństwo świata.

- A więc będziemy mieli przeciw sobie potężne siły - stwierdziła.

- Tak. To tłumaczy interwencję Nathana Morgana i Wydziału Specjalnego. Robią wszystko, by zatrzymać dochodzenie. Jestem pewien, że to prezydent poprosił premiera o tę grzeczność. A premier dba o utrzymanie dobrych układów z Waszyngtonem. Stąd nacisk, jakiego doświadczamy. Nie wolno mi odkryć wielkiej tajemnicy.

- Czy sądzisz, że premier ją zna?

- Myślę, że jeszcze nie. Nie sądzę także, aby znał ją prezydent.

- A więc - powiedziała - wydaje ci się dziwne, że Russell Straub wciąż się tu pojawia?

- Bardzo dziwne.

- Nie opowiedziałam ci jeszcze o mojej ostatniej rozmowie z Marienettą.

Tweed, który do tej pory cały czas wędrował po pokoju, usiadł na wprost Pauli, czujny i gotów do skupienia myśli.

- Och, nim zacznę... Uderzyło mnie, że wszystkie dotychczasowe ofiary to mężczyźni, co być może ma jakieś znaczenie.

- Zastanawiałem się nad tym. No ale czego dowiedziałaś się od Marienetty?

- Rozmawiałyśmy... - zaczęła, ale zaraz zamilkła, gdyż ktoś nagle zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi.

Tweed skoczył na równe nogi, uchylił drzwi zablokowane łańcuchem, po czym otworzył je całkowicie. Do apartamentu wszedł Beck.

- Zdarzyło się następne morderstwo. Niedaleko hotelu.

Tweed i Paula, prowadzeni przez Becka, wyszli w zimną noc. I od razu skręcili w lewo, w ulicę idącą równolegle do Bahnhofstrasse. Dwaj detektywi po cywilnemu eskortowali swego szefa, zachowując dystans.

- Czy zidentyfikowaliście ofiarę? - spytała Paula spokojnie.

- Jeszcze nie. Czekam na przybycie doktora Zeitzlera. Upierał się, aby niczego nie dotykać, dopóki nie dokona szybkich oględzin. Oczywiście ma rację. To jego samochód...

Skręcili znów w lewo i Paula zorientowała się, że idą przedłużeniem ulicy, w której nie tak dawno, a jakby wieki temu, zniknął jej z oczu Roman Arbogast.

- Na końcu tej ulicy płynie rzeka Sihl - wyjaśnił Beck. - To odgałęzienie Limmatu wpadające niedaleko stąd do jeziora.

Ulica była wąskim, ciemnym tunelem, gdzieś oświetlonym przez przypadkową latarnię. Gdy docierali do jej końca, Paula zobaczyła blask bijący z policyjnych reflektorów rozstawionych na trójnogach i policyjne samochody. Ulicę zamykała policyjna taśma.

- Czy Roman Arbogast ma tu gdzieś biuro? - spytała.

- Tutaj.

Beck wskazał na budynek po przeciwnej stronie ulicy, który właśnie mieli minąć. Na drugim piętrze za zamkniętą okiennicą paliło się światło.

- To jego kwatery główna, skąd kieruje swoimi fabrykami w Szwajcarii i kilku krajach ościennych. Zatrudnia tu wielu ludzi.

- A teraz zbliżamy się do tej niewielkiej rzeczki Sihl? - dopytywała się.

- Za moment ją zobaczysz. Właściciele łodzi cumują je tu na zimę. Niektóre są bardzo drogie. - Nagle zatrzymał się i odwrócił do Pauli i Tweeda. - To naprawdę przerażające. Jestem pewien, że Paula nie powinna na to patrzeć. Nie wątpię w jej odwagę, ale jest to porażająco okropne.

- Widziałam gorsze rzeczy - mruknęła z uporem.

Beck uniósł obie dłonie w geście kapitulacji.

Gdy doszli do rogu, zobaczyli wąską rzeczkę Sihl ukrytą w niemal nieprzeniknionej czerni. Tylko jedno miejsce było oświetlone przez policyjne reflektory. Nagle pojawił się doktor Zeitzler. Widząc Paulę, wziął ją za ramię i odezwał się po angielsku, ale nie, jak kiedyś, szorstko, tylko tonem uprzejmym i sympatycznym:

- Fräulein Grey, bardzo proszę nie czynić następnego kroku. To eskalacja, mam nadzieję, że używam właściwego słowa, horroru.

- Doceniam pańską delikatność, doktorze Zeitzler, ale już przedtem widziałam ciała pozbawione głów. Proszę mnie przepuścić.

Zeitzler spojrzał na Becka, który wykonał gest oznaczający: „Zrobiłem, co było w mojej mocy”.

Paula ruszyła za róg. Łodzie pokryte brezentowymi plandekami chroniącymi przed zimowymi warunkami stały zacumowane w pewnej odległości od siebie. Policjant ucinający sobie pogawędkę zamilkł na jej widok. Okropna cisza oplotła biegnącą wzdłuż rzeczki promenadę. Jedną z łodzi, z której ściągnięto ochronny brezent, oświetlał reflektor. Na rufie widać było siedzenie osłonięte daszkiem, teraz zajęte. Siedziała na nim kobieta. Jej zielona futrzana czapa była przechylona. Oczy miała otwarte. Paula zamarła, nie mogąc oderwać od niej oczu.

- O Boże, nie! - krzyknęła, zakrywając usta dłonią. Wyprostowała się i nabrała powietrza. - O mój Boże, nie -

powtórzyła.

Osobą siedzącą tak spokojnie była Elena Brucan. Była wprawdzie nienaturalnie nieruchoma, ale wyglądała normalnie, jakby odpoczywała. Zrzuciwszy z ramienia rękę Zeitzlera, Paula powoli ruszyła wąskim przejściem. Tweed szedł obok niej, a za nią Newman, który pośpieszył z hotelu.

- Przynajmniej to coś nie pozbawiło jej głowy - powiedziała opanowanym głosem.

Mówiąc to, podeszła bliżej do łodzi. Za nią szedł Zeitzler, spoglądający na Becka z alarmującym wyrazem twarzy. Szef policji wykonał gest rezygnacji. Teraz nie było sposobu zatrzymania jej. Musiała to zobaczyć.

Pierwszą rzeczą, jaka wywołała zdumienie i złe przeczucie Pauli, była wielka brązowa kałuża ciągnąca się wzdłuż prawego boku łodzi. Na jej środku był czysty podłużny obszar takiego kształtu jak odcisk na trawie w pobliżu szpitala psychiatrycznego w Pinedale. Miejsce po pniu egzekucyjnym. Podeszła bliżej do nieruchomej postaci Eleny Brucan wspartej na zagłówku siedziska. Kilka centymetrów poniżej podbródka brązowawa obręcz zakrzepłej krwi opasywała szyję.

- Odcięto jej głowę - rzekła Paula matowym głosem. - Dlatego czapa sterczy pod złym kątem.

- A potem - powiedział Tweed - podniesiono ją za włosy z miejsca, gdzie upadła, i nasadzono na ściętą szyję.

- To ohydne! - krzyknęła. - Zamierzam to coś odszukać, a gdy znajdę, zabić...

Trzęsła się, gdy Tweed, ściskając jej ramię, odprowadził ją do hotelu. Razem z Newmanem uważał, że o drzenie przyprawił ją szok spowodowany widokiem ciała. Byli w błędzie. Trzęsła się z wściekłości.

- To była taka miła kobieta - powiedziała w końcu, gdy zbliżali się do hotelu. Jej głos przepełniony był smutkiem. - Nie skrzywdziłaby nikogo. Dlaczego?

- Prawdopodobnie powiedziała coś niewłaściwej osobie - odparł Tweed. - I to zrozumiało, że je podejrzewa.

- Czy możemy się tu na chwilę zatrzymać? - spytała Paula.

Poczekali, aż kilka razy zaczerpnęła lodowatego powietrza głęboko do płuc. Uspokoila się, odwróciła do Tweeda i powiedziała:

- Już doszłam do siebie. Zapanowałam nad wściekłością. Nie wspominajmy o tym, jeżeli kogokolwiek spotkamy.

Gdy wchodzili do hotelu, natknęli się na wychodzącą z windy Marienette. Spojrzała na Paulę i z zatroskaną miną ruszyła w jej stronę.

- Strasznie zbladłaś. Czy wszystko z tobą w porządku?

- Nic mi nie jest. Potknęłam się, wracając ze spaceru, wyłożyłam się na całą długość i straciłam dech w piersiach.

- Lepiej idź na górę i się połóż.

Paula spojrzała w głąb foyer. Z krzesła stojącego w pobliżu wejścia wpatrywała się w nią ubrana w palto Sophie. Miała bardzo szczególny wyraz twarzy, dziwny uśmiech, jakby osiągnęła coś, co jej sprawiło przyjemność.

- Marnie się czujesz, Paulo! - krzyknęła.

- Ciekawi mnie, dlaczego wyglądasz na tak uradowaną.

- Czasem nachodzi ją taki humor - wtrąciła Marienetta.

- Marienetta myśli, że jest taka mądra - szydziła Sophie.

- Dość tego - odparowała Marienetta.

- Myśli, że jest królową ACTIL-u - drwiła dalej Sophie, wstając. - Powinna zostać aktorką - kontynuowała. - Próbowwała raz na prowincji, ale producent wyrzucił ją na zbity łeb i powiedział, by sobie poszukała pracy jako maszynistka.

Marienetta obróciła się, spokojnie podeszła do Sophie i prawą ręką wymierzyła jej z wściekłością policzek tak silny, że Sophie zachwiała się, ale nie upadła.

- Niemal zmiotła jej głowę z ramion - szepnął Newman. - Przepraszam, dopiero teraz sobie uświadomiłem, co powiedziałem. Chodźmy na górę. Nie musimy się temu przyglądać.

Ale w tej chwili do hotelu wszedł Black Jack z wielką skórzaną torbą w ręce. Paula pomyślała, że jest pijany, gdyż szczyrzył zęby w uśmiechu i pogodnie wykrzykiwał na cały głos:

- Zabieram pierwszą windę! Diabelnie przemarzłem na zewnątrz. Gorący prysznic to mój następny punkt programu. Na pewno nie macie nic przeciwko temu.

Newman nigdy nie widział go w tak radosnym nastroju. Była to radość człowieka, który czegoś dokonał. Zablokował Black Jackowi drogę. Był bliski dokopania mu.

- Ta winda jest zamówiona dla nas i nie ma w niej miejsca dla ciebie. Tutaj jest wystarczająco ciepło.

- No stary, nie podoba mi się twój ton.

- Twój nigdy mi nie odpowiadał.

Tweed poprowadził Paulę do windy i poczekał, nie zamykając drzwi. Newman i Black Jack stali twarzą w twarz. Black Jack wycofał się. Zawołał do Marienetty wciąż stojącej w pobliżu Sophie.

- Myślę, że żadna z was nie ma nic wspólnego z tym zbirem. To tylko lichy dziennikarzyna.

- Ja raczej go lubię - powiedziała Sophie.

Nie usłyszeli dalszego ciągu jej wypowiedzi, gdyż drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę.

- Mały kieliszek brandy dla ciebie, Paulo - powiedział Newman, gdy znaleźli się w apartamencie Tweeda.

- Żadnej brandy - zaproponował Tweed. - Szklanek wody. Potem może jeszcze jedną.

- Tak, poproszę.

Paula zrzuciła kurtkę i padła na fotel. Wypiła duszkiem podaną przez Tweeda szklanek wody i poprosiła o następną. Usiadła w fotelu, jakby miała skoczyć - zsunęła kolana, a ręce położyła na podłokietnikach. Przez kilka minut patrzyła przed siebie bez słowa. Tweed położył palec na ustach, ostrzegając Newmana, aby się nie odzywał. Wypiła trzy szklanki wody, nim się odezwała.

- Na dole zdarzyło się kilka rzeczy, do których warto wrócić... Sophie i Marienetta skoczyły sobie do gardła.

- Sophie się o to prosiła - skomentował siedzący na wprost niej Newman.

- Potem to dziwne przybycie Black Jacka, tak podnieconego, że starał się uciec przed nami.

- Rodzina Arbogastów w działaniu - skomentował Tweed. - Z wyjątkiem Romana.

- Widziałam, jak Roman wychodził z hotelu dobrze ponad pół godziny temu. Rob też to widział. Myślę, że jest teraz w kwaterze głównej firmy w pobliżu Sihl, gdzie to się zdarzyło. Na drugim piętrze w jednym oknie paliło się światło - zmarszczyła brwi - co nie znaczy, że ktoś był w pokoju. Każdy mógł przecież włączyć tam światło i wyjść.

- Jestem nieco skołowany - powiedział Tweed.

- To może przebywać w tym hotelu - ciągnęła, błędząc gdzieś myślami. - To coś popełniło tak odrażające okrucieństwo, jest pozbawione wszelkiej godności. Dlaczego jednak nie zabrało głowy jak w pozostałych przypadkach?

Rozległo się pukanie do drzwi. Newman otworzył i do środka wszedł Beck. Tak ponurego Tweed go jeszcze nigdy nie widział. Paula podniosła na niego wzrok.

- Dlaczego tym razem ten potwór pozostawił głowę?

- Myślę... - Beck zrobił pauzę, by przyjrzeć się Pauli, i zdumiało go jej normalne zachowanie. - Zastanawiałem się nad tym - zaczął ponownie - i sądzę, że znaczenie tu miało miejsce popełnienia zbrodni. Ktokolwiek jej dokonał, bał się ryzyka związanego z transportem głowy. W Montreux nikt się nie pokazał na miejscu zbrodni przez kilka godzin, była noc. Przypuszczam, że zdarzenia w Bray i Pinedale nastąpiły w równie odosobnionym miejscu.

- To prawda - potwierdził Tweed.

- Teraz ten piekielnik zapewne będzie się starał uciec przed odpowiedzialnością w Szwajcarii - stwierdził Beck ponuro. - Dwoje Europejczyków pozbawionych głów w ciągu kilku dni.

Prasa oszaleje. Okropieństwo tych zabójstw zasieje panikę. Zeitzler będzie pracował przez noc nad tą drugą sekcją. Rano będzie miał wyniki. Mamy do porównania dane z dwóch morderstw popełnionych za granicą, klisze i zdjęcia. Dam ci znać, Tweed, a teraz muszę się śpieszyć.

Gdy wychodził, do apartamentu wślizgnął się Marler. Tweed spojrział na niego, gdy ten zdejmował płaszcz przeciwdeszczowy.

- Myszkowałeś po okolicy?

- I coś to dało. - Marler stanął pod ścianą i zapalił papierosa. - Czy ktoś z was wiedział, że Sam Snyder jest w Zurychu?

- Nie, nie wiedzieliśmy - odparł Tweed.

- Dziwne, że zjawia się zawsze tam, gdzie popełniane są te ohydne morderstwa - zauważyła Paula spokojnie.

- Snyder - ciągnął Marler - zatrzymał się dalej, na Bahnhofstrasse, w Baur en Ville. Wszedłem tam do baru, do którego prowadzą drzwi wprost z ulicy, i zobaczyłem go popijającego drinka.

- Czy spytałeś, co tu robi? - dociekał Newman. - Co tego czorta tu przyniosło?

- Nie tymi słowy - odparł Marler, przeciągając zgłoski. - Zamknął się jak ślimak w skorupie. Wypiłem z nim drinka. Ściga rodzinę Arbogastów. Śledził wyjazd Sophie i Black Jacka do Zurychu i wślizgnął się do tego samego samolotu, co znaczy, że tropi ich od Heathrow.

- Ucieszyłby się - zaczęła Paula - gdyby udało mu się zrobić zdjęcie biednej Eleny Brucan tam, na łodzi. - W jej głosie wyczuwało się gniew.

- Jak Snyder był ubrany, gdy spotkałeś go w barze? - spytał Tweed.

- Miał na sobie podbitą futrem kurtkę, jakby właśnie wszedł z dworu. Pod stołem trzymał torbę na aparat fotograficzny.

- Więc może robił zdjęcia? - miał nadzieję Tweed. - Mógł nadejść z innej strony bulwarem wzdłuż Sihl. Z Baur en Ville miał blisko.

- Jeżeli ten skórzany futerał rzeczywiście służył do przenoszenia aparatu fotograficznego - zauważyła Paula.

- A teraz - powiedział Tweed żywo zainteresowany zmianą tematu - jeżeli Rob zechcesz nalać, Paula może już wypić kieliszek brandy i opowiedzieć mi o swojej rozmowie z Marienettą.

Dzięki doskonałej pamięci Paula potrafiła powtórzyć rozmowę słowo w słowo - co powiedziała ona, co powiedziała Marienetta.

Nie zapomniała nawet o krótkim spięciu Marienetty w holu z wiceprezydentem Russellem Straubem. Tweed słuchał, nie spuszczać z niej oczu i zapamiętując każdy szczegół. Wypiła łyk brandy i wyprostowała rękę.

- To wszystko. Myślę, że niczego nie pominęłam.

- I Straub wściekł się, gdy nazwała go kuzynem? -
upewniał się Tweed.

- Wyglądało na to, że mógłby ją zamordować.

- A Marienetta, cytując jego byłą żonę, nazwała go
fanatykiem? Czy dokładnie tak powiedziała?

- Tak. Dwukrotnie to potwierdziła.

- Daje nam to ciekawy obraz Russella Strauba.

- Mógłbym ci powiedzieć to samo - stwierdził Newman
lekceważąco. - Żaden polityk wsparty masą pieniędzy i
partyjną machiną nie zamierza być zbyt grymaśny i nie
przebiera w metodach, które mogą go wynieść na prezydencki
fotel.

- Intryguje mnie raczej słowo „fanatyk” - stwierdził
Marler.

- Jest jeszcze topór - powiedziała Paula z wahaniem. -
Mordercza broń. Za mało o nim myśleliśmy. Jeżeli - a
wygląda to na pewne - ten sam został użyty po drugiej stronie
Atlantyku w Maine, to w jaki sposób go tutaj przywieziono?

- Mógł przewędrować z Europy do Stanów w walizce,
owinięty włóknem szklanym - zasugerował Newman. -
Walizki jadą w przedziale bagażowym.

- Więc jak go przetransportowano z powrotem w celu
popętnienia trzech następnych odrażających mordów? -
chciała się dowiedzieć Paula. - Celnicy na Heathrow mogą
każdemu nakazać otwarcie walizki. Zabójca nigdy nie
poważyłby się na takie ryzyko.

- Więc nie znam odpowiedzi - przyznał Newman.

- Paulo, sporządź listę osób, które na pewno podróżowały
do Ameryki - zażądał Tweed.

- A więc jeszcze raz: Marienetta, Sophie, Roman
Arbogast, Black Jack Diamond...

- A po co on tam latał? - naciskał Tweed.

- Jak słyszeliśmy, aby się zabawić, robiąc turę po klubach i - jak sądzę - dziewczynach. To w jego stylu.

- I kto jeszcze z tych, których znamy?

- Sam Snyder, który na podstawie umowy z Romanem korzysta z gulfstreama, jeżeli jest dostępny. Wyczerpałam listę nazwisk.

- Zapomniałaś o kimś, ponieważ jest to zbyt oczywiste - wtrącił Marler. - O wiceprezydencie Russellu Straubie. Ten człowiek może pojechać wszędzie bez sprawdzania.

- Jest jeszcze ktoś - dodał Newman. - Szef ochrony ACTIL-u Broden. Jest w tym hotelu i zapewne pilnuje Romana. Ze swoimi uprawnieniami mógł pojechać, gdzie chciał.

Tweed siedział na krześle z twardym oparciem. Pochylił się w przód z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Nagle uświadomili sobie, że nie odzywał się od pewnego czasu. Patrzył w przestrzeń. Teraz przemówił w zamyśleniu:

- Mogę tę listę zawęzić. Zaczynam uświadamiać sobie sporą wyrwę w naszym obrazie sytuacji. Paulo, jak się czujesz?

- Normalnie - odpowiedziała natychmiast - jak zwykły mawiać biedny Abraham Seale. Jestem gotowa na wszystko.

- Więc sprawdź, czy Sophie nadal siedzi w foyer? Chciałbym, abyś z nią porozmawiała na osobności. Zakładam, że nie ma tam Marienetty, a większość ludzi będzie teraz na obiedzie. My zjemy potem, po twojej rozmowie. To ważne.

Paula znalazła Sophie siedzącą samotnie w pustym foyer. Jej palto leżało na krześle obok. Kelner właśnie podał jej szklaneczkę szkockiej. To już nie pierwsza, pomyślała Paula, podchodząc do niej.

- Witaj, Sophie, czy mogę się przysiąść na drinka?

- Jeszcze jedna podwójna szkocka! - krzyknęła Sophie, nim kelner zdołał się pokazać. - Siadaj, Paula. Mam wrażenie, że mnie unikasz lub zapominasz o mnie.

- To całkowicie moja wina - odpowiedziała Paula, siadając na krześle naprzeciw niej.

Szybko przyjrzała się jedynej córce Romana. Sophie wyglądała świetnie. Nie olśniewająco w stylu Marienetty, lecz łagodniej, bardziej naturalnie. Rysy miała regularne, a szare oczy szczerze spoglądały na Paulę. Nos był nieco zadarty, ale ładnie skrojony, a podbródek wskazywał na zdecydowany charakter. Brązowe włosy wiązała w koński ogon, pasujący do typu jej urody. Miała na sobie niebieską suknię wieczorową z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Gdy kelner przyniósł drugiego drinka, stuknęły się szklaneczkami. Sophie roześmiała się i rozejrzała dookoła, aby się upewnić, czy są same, po czym przysunęła swoje krzesło bliżej Pauli.

- Jestem pewna, że twoje wyobrażenie o mnie ukształtowała Marienetta. Niezbyt dobrze się między nami układa. Może z mojej winy. Nachodzą mnie okresy zmęczenia, a potem jestem pełna energii i wydaje mi się, że mogłabym przewrócić świat do góry nogami. Zawsze taka byłam. Kiedyś zwabili mnie do psychiatry. Myślałam, że to zwykły lekarz. Powiedział, że jestem pobudzona. Śmieszne słowo, ale kazał się tym nie przejmować. To sprawa temperamentu.

- Kto zwabił cię do gabinetu?

- Marienetta. Myślała, że moje nastroje są niebezpieczne. Słyszałam, jak to mówiła ojcu. Wydawało mi się, że była niezadowolona, gdy psychiatra powiedział, że jestem tylko pobudzona.

- Czy ta konsultacja odbyła się w Londynie?

- Nie, w Stanach.

- Ale gdzie? Musiało to cię zdenerwować.

- W Bostonie - znowu napiła się szkockiej, ale bez żadnego widocznego efektu. - Ojciec ma tam fabrykę materiałów wybuchowych, więc jeżdżę tam od czasu do czasu. Wtedy Marienetta w ostatniej chwili wskoczyła do samolotu. To wydało mi się podejrzane. - Zachichotała jak uczennica.

Ta niespodziewana zmiana osobowości zdumiała Paulę. Wcześniej zachowywała się dojrzałe i bardzo racjonalnie.

- To szkocka - wyjaśniła Sophie normalnym tonem. - Ukazuje mi śmieszny aspekt życia. Marienetta wskakująca w ostatniej chwili do samolotu wydała mi się śmieszna. Potem zaczęła opowiadać o lekarzu, który nie był lekarzem.

- Byłaś jeszcze gdzieś w Stanach? - spytała Paula od niechcienia.

- W Nowym Jorku. Pojechałam tam z Black Jackiem. Jest w nim coś dziwnego. Rozmawiamy o moich nastrojach, ale powinnaś zobaczyć jego.

- Jak wygląda, gdy go najdzie zły humor? - zaciekawiała się Paula.

- Szaleje. Przestaje się przejmować otoczeniem. Raz w klubie w Nowym Jorku wskoczył na stół i zaczął tańczyć. Jakaś atrakcyjna kobieta zatrzymała się, by na niego popatrzeć, a on wciągnął ją na górę, a potem zsunął jedno z jej ramiączek od sukni. Chwycił ją mocno, czym najpierw ją zdenerwował, ale potem jej się spodobało. Zaczął śpiewać na cały głos: „America the Beautiful”. Ma dobry głos. Mogliby go wyrzucić, ale inni przyłączyli się do śpiewu. Przyłączył się też menedżer klubu. Jack ma taką niezwykłą osobowość.

- Wygląda na to, że tak. - Paula spojrzała na zegarek. - Przyjemnie nam się rozmawia, ale muszę się przebrać do obiadu.

Wychodząc z foyer, odwróciła się. Sophie chichotała nad pustą szklanką i kiwała na kelnera, by ją napełnił.

Bar Vigliano's mieści się przy jednej z ulic odchodzących od Bahnhofstrasse, niedaleko od Baur au Lac, w Altstadt, czyli Starym Mieście, i składa się z kilku oddzielnych pomieszczeń. Ma kamienne ściany i kolebkowe sklepienia. Budka telefoniczna jest przy wejściu na wprost baru.

Zadzwoniono z niej późnym wieczorem. Odebrał Luigi Morati, osobnik, z którym nikt nie miałby ochoty pójść na drinka. Podnosząc słuchawkę, spytał ostrożnie:

- Si?

- Czy mówię z Luigim Moratim?

Głos brzmiał dziwnie. Trudno było powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Luigi pojął natychmiast, że rozmówca używa urządzenia zniekształcającego.

- Może tak - odpowiedział po angielsku. - Co takiego?

- Około stu tysięcy dolarów do wzięcia.

To go zaciekawiło, ale nadal był ostrożny. Musiał być, jeżeli chciał w tej branży przeżyć.

- Kto ci powiedział o mnie?

- Nie mogę powiedzieć. Interesuje cię to czy nie?

Głos stał się ostry, niecierpliwy, jakby rozmówca był gotów rzucić słuchawkę. Luigi wziął głęboki wdech.

- Co mam zrobić za te sto tysięcy?

- Zabić kogoś. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

- Mów dokładniej. Jak wygląda, gdzie go znaleźć...

- Zamknij się. To kobieta. Nazywa się Paula Grey. Zatrzymała się w Baur au Lac. Wpycham kopertę za telefon w barze Vigliano's. Za ile tu dotrzesz?

- Za pięć minut.

- W kopercie jest jej zdjęcie i cała kasa w używanych banknotach. Jeżeli weźmiesz pieniądze i nie wykonasz zadania, będziesz trupem.

- Nie strasz mnie. Można na mnie polegać. Bez reputacji nie ma dla mnie życia. Już idę.

Było już późno i Zurych cichł, gdy Broden w czapce i zapiętym pod szyję palcie przemierzał Bahnhofstrasse. Nie wyróżniał się niczym. Czapka kryła wystrzyżoną głowę, a kołnierz zakrywał dolną część twarzy. Niósł walizkę.

Skręcił z Bahnhofstrasse w ulicę prowadzącą do siedziby ACTIL-u. Na jej końcu mógł zobaczyć taśmę zamykającą wylot i światła policyjnych wozów. Wyjął klucz i przekręcił w zamku. Nie zapalając światła, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Wspiął się po schodach i podszedł do zamkniętych drzwi gabinetu Romana, za którymi paliło się światło. Zapukał. Nie było odpowiedzi. Delikatnie nacisnął klamkę. Arbogast siedział za biurkiem na wprost okna zasłoniętego okiennicami i medytował nad plikiem papierów.

- To ja - powiedział Broden cicho.

- Dlaczego, u diabła, nie pukasz? - spytał Roman karcącym tonem i spojrzał na swego szefa ochrony, a prawe oko zadrgało mu kilkakrotnie, co oznaczało zdenerwowanie.

Broden zdjął czapkę i palto. Na zewnątrz było jak na Syberii, a w pokoju ciepło.

- Pukałem. Ale pan nie usłyszał. Coś nie tak?

- Tak, zginęły pieniądze. Sprawdziłem dwukrotnie. To Dorf. Wylej go z rana.

- Możemy go oskarżyć...

- Nie chcę, aby wokół nas węszyła policja. Co masz w tej walizce?

- Ciepłejsze ubrania. Trafiłem na sklep tuż przed zamknięciem. Nie wiem, czy pan słyszał. Zdarzyło się następne morderstwo.

- Co?!

Roman obrócił się na krześle. Oko znów zaczęło drgać. Broden oczekiwał, że coś powie, ale pracodawca bez słowa wsunął plik papierów do wielkiej teczki, wstał, włożył ciężkie palto i zabrał z biurka aktówkę.

Gdy wychodzili z budynku, nawet nie zerknął w prawo, gdzie taśma policyjna zamykała ulicę. Z pękatą teczką w ręce skreślił w lewo i ruszył z pochyloną głową. Brodena to nie zdziwiło. Wiedział, że wybitny umysł jego szefa zawsze skupia uwagę na budowaniu ACTIL-u i usuwaniu z drogi wszystkiego, co mogłoby zakłócać ekspansję firmy. Lub wszystkich.

Już w pobliżu Baur au Lac Roman spojrzał na Brodena, a jego oko znów drgało.

- To byłoby już czwarte morderstwo - stwierdził. - Ktoś, kogo znamy?

- Tak.

Po doskonałym obiedzie Tweed, Newman i Paula weszli do holu i zastali tam czekającego na nich Marlera. Był w płaszczu, a w ręce trzymał walizkę. Pokreślił głową. Nie chciał rozmawiać w miejscu publicznym. Zaczął mówić dopiero w apartamencie Tweeda, gdy drzwi zostały zamknięte na klucz. Położył walizkę na półce na bagaże i otworzył ją.

- Odwiedziłem znajomego w Zurychu. Wydałem sporo pieniędzy. To dla ciebie - powiedział i wręczył Pauli automatycznego browninga 32 i kilka magazynków.

Natychmiast sprawdziła, czy broń nie jest naładowana, i wsunęła magazynek na miejsce. Potem umieściła browninga w torbce przewieszanej przez ramię.

- Dziękuję, bez tego czułam się naga.

Teraz Marler wyciągnął rewolwer Smith & Wesson 38 i wręczył go Newmanowi. Potem dodał torbę z amunicją. Następnie wyjął automatycznego walthera 7,65 mm dla

Tweeda. Tweed zwykle odmawiał noszenia broni, lecz tym razem przyjął ją bez protestu. Wiedział, że przy spotkaniu z tym, co morduje, będzie musiał to zastrzelić. Po wszystkich tych zbrodniach wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

Marler wyciągnął kolejnego walthera. Gdy trzymał go w ręce, Newman wpuścił do środka Butlera i Nielda. Nield podszedł do Marlera z wyciągniętą ręką.

- Dawaj.

- Przykro mi. Mój dostawca miał tylko cztery sztuki broni ręcznej. Musiałem go usilnie namawiać, aby sprzedał te, które dałem Pauli, Tweedowi i Bobowi. W Zurychu były dwa morderstwa i obawiał się, że może to sprowokować policję do złożenia mu wizyty.

- Nie ma sprawy - powiedział Butler. - Gdziekolwiek się człowiek znajdzie, zawsze trafi na coś, czego można użyć jako broni.

- Gdzie byliście przez ten czas? - spytał Tweed Butlera.

- Przeczesywaliśmy Zurych - odparł Nield. - To skomplikowane miasto. W razie niebezpieczeństwa musimy je znać jak własną kieszeń. Ja obejrzałem Altstadt po drugiej stronie Limmatu, a Harry po tej.

- Na motorowerze - powiedział Harry. - Kupiłem używaną yamahe. Ciągnie jak czort. Załóżcie mi opaskę na oczy i zostawcie gdzieś po tej stronie Limmatu. Kiedy ją zdejmiecie, będę wiedział, gdzie jestem.

Newman spojrział na zegarek.

- Robi się późno. Czas do łóżka. Nie wiadomo, co przyniesie jutro.

- Racja. Wychodźcie.

Paula poczekała, aż pokój się opróżni. Podeszła do Tweeda i szepnęła. Wychodzący na końcu Newman odwrócił się od drzwi i spojrział na Paulę.

- Do zobaczenia z rana.

- Chcę z tobą o czymś porozmawiać - powiedziała, gdy została z Tweedem sam na sam.

Zadzwoił telefon. Tweed podniósł słuchawkę. To była Monica. Wiedząc, że połączenie przechodzi przez centralę hotelu, mówiła w sposób zakodowany. Tweed słuchał, podziękował, a potem spojrzął na Paulę i odłożył słuchawkę.

- To Monica. Wyśledziła dwóch braci, którzy wyemigrowali z Włoch mniej więcej wtedy, gdy Roman wyjechał do Londynu, a Vincenzo (Vincent) do Stanów. Silvio pojechał do Londynu i ożenił się, a Mario do Stanów, gdzie też znalazł sobie żonę. To znaczy, że pewnie jest więcej linii bocznych rodu w Brytanii i w Stanach. Jeszcze nie znamy żadnych imion.

- To pierwszy krok do przodu - powiedziała Paula i zamilkła. Przyjrzała się badawczo Tweedowi. - Wyglądasz na zdenerwowanego, a raczej rzadko ci się to zdarza.

- Cóż, przeszliśmy od A do B, a potem do C. Ale naszym ruchom towarzyszą kolejne morderstwa. W głowie zaczyna mi się układać już pewien obraz, ale nadal nie mogę dopasować twarzy do mordercy.

- To frustrujące - powiedziała ze zrozumieniem. - Wiesz, że potrafię nieźle wyczuwać ludzkie nastroje ukryte pod oficjalną maską. Dziś, nieco wcześniej, weszłam z Newmanem do księgarni. W witrynie stała książka Abrahama Seale'a „Normalny i nienormalny”. Urywki, które przeczytałam, były fascynujące. Chcę, abyś pozwolił mi chodzić samodzielnie i rozmawiać z ludźmi, nie wyłączając Sama Snydera. Bez Newmana w ogonie. Wiem, że mnie chroni i jestem wdzięczna, ale staje mi na drodze. Proszę.

- Cóż...

- I mam teraz browninga - naciskała.

- Może masz rację. Niech będzie.

- Dzięki.

Przed wyjściem ucałowała go w oba policzki. Gdy Tweed został sam, natychmiast zadzwonił do Nielda.

- Pete, Paula chce powęszyć jutro z rana bez Newmana w ogonie. Czy możesz - ostrożnie formułował prośbę - dyskretnie ją obserwować? Tak, żeby nie zauważyła? Będiesz to musiał zrobić inteligentnie.

- Nie ma sprawy. Będę człowiekiem widmo.

W kamiennych ścianach swego mieszkania na starówce, po drugiej stronie Limmatu, Luigi Morati oliwił swojego śmiercionośnego glocka. Wcześniej odebrał kopertę, którą tajemniczy rozmówca zostawił w kabinie telefonicznej w Vigliano's. Znalazł w niej zdjęcie Pauli Grey i sto tysięcy dolarów w używanych banknotach. Po sprawdzeniu broni przyjrzał się fotografii, którą na czas pracy przyspilił do stołu. Przystojna babka. W innych okolicznościach nie miałyby nic przeciwko zawarciu z nią bliższej znajomości.

Obejrzał swą twarz w lustrze. Tłuste czarne włosy, zimne oczy, zakrzywiony nos, złamany dawno temu w bójce, która dla przeciwnika skończyła się roztrzaskaniem czaszki o ścianę. Finito.

Zastanawiał się nad użyciem tłumika, ale odrzucił ten pomysł. Tłumik mógł przytknąć pistolet. Zatem życiową kwestią była droga ucieczki. Myślenia przede wszystkim o tym uczył go dawno temu w Rzymie pewien doświadczony płatny zabójca.

Rozwiązanie przyszło mu do głowy, gdy z pełną czułości ostrożnością składał pistolet. Jego motocykl stał zabezpieczony łańcuchem w bocznej uliczce niedaleko wejścia do jego domu. Bardzo go bawiło, że mieszkał w pobliżu kwatery policji po drugiej stronie rzeki.

Usatysfakcjonowany wyglądem glocka wstał i bez załadowania wymierzył do fotografii. Pociągnął za spust.

Niewysoki, lecz żylasty i silny, mógł zabić jednym ciosem ręki. Jeżeli Paula Grey wyjdzie jutro z Baur au Lac, będzie trupem. Jeszcze nigdy nie zawiódł.

Bez ostrzeżenia temperatura następnego dnia spadła do minus dwunastu stopni Celsjusza. Paula wyszła z hotelu w skórzanym okryciu i zaraz skręciła w lewo, w Bahnhofstrasse. Zdecydowała już, co będzie jej pierwszym celem.

Pracownik służb miejskich zamiatał ulicę. Jego palce wystające z rękawic zsiniały na mrozie. Jakiś mężczyzna i kobieta śpieszyli do pracy porządnie opatuleni. Mróz pokrywał okna sklepowe. Nieco dalej parkował radiowóz z dwoma policjantami w środku.

Luigi Morati, stojący w raczej zaniedbanym parku na wprost wejścia do Baur au Lac, natychmiast rozpoznał Paulę i zaklął. Radiowóz czynił akcję na razie niemożliwą. Zaczął więc popychać motocykl ulicą.

Pete Nield, który wcześniej zrobił zakupy, stał po drugiej stronie ulicy. Miał na sobie płaszcz, którego Paula jeszcze nie widziała, i nowy kapelusz. Nigdy dotychczas nie nosił kapelusza. Ukryty w prowadzącej do sklepu niszy, patrzył, jak mija go najpierw samochód policyjny, a potem pchający swój pojazd motocyklista w zgrabnym skórzanym stroju i kasku.

Słońce świeciło wspaniale, nie grzejąc. Paula uświadomiła sobie, że musi zwracać uwagę na chodnik, na którym trafiały się płyty lodu. Nie niepokoiło jej to. Była w podbitych gumą kozakach. Minął ją niebieski tramwaj, dudniąc jak czołg prący do ataku.

Przebiegała Bahnhofstrasse tuż przed Parade-platz, miejscem, gdzie tramwaje zmieniają kierunek. Kilka z nich stało jeden za drugim, czekając, aż wszyscy pasażerowie wsiądą i wysiądą. Szwajcarzy wcześniej jechali do pracy i Zurych budził się do życia.

Wejście do baru Baur en Ville było oddzielone od hotelowego holu. Do wysokich, otwierających się

automatycznie szklanych drzwi wiodły półokrągłe stopnie. Gdy Paula znalazła się w środku, przekonała się, że szczęście jej dopisuje.

Jak miała nadzieję, Sam Sny der siedział samotnie przy stole na dolnym poziomie i jadł śniadanie. Zamachał do niej widelcem, drugą ręką czyniąc zapraszający gest. Ponieważ skoncentrowała się na nim, nie zauważyła mężczyzny, który w płaszczu z wielbłądziej wełny i szwajcarskim kapeluszu minął ją z wolna i po schodach wszedł na górny poziom baru. Nield włożył przyciemnione okulary i usiadł przy stole z tyłu. Miał stąd dobry widok na siedzącą w dole Paulę.

- Co za przyjemna niespodzianka - przywitał ją reporter, rozjaśniając jastrzębią twarz ciepłym uśmiechem. - Naprawdę lubię jeść w towarzystwie.

Natychmiast pojawił się kelner.

- Wpadłam na kawę, aby się nieco rozgrzać - powiedziała Paula po złożeniu zamówienia, jakby się usprawiedliwiając.

- Lubię zimno. Ale nie oczekuję, aby wszyscy mieli te same upodobania.

- Sam, kto to zrobił? - zaatakowała go pytaniem bez ostrzeżenia. Kończąc omlet, uniknął szybkiej odpowiedzi. Niemal słyszała szcęk trybów pracujących w jego głowie.

- Kto zrobił co? - spytał w końcu.

- Odpuść sobie. Starasz się ustalić mordercę Foleya w Pinedale, a potem Holgate'a w Bray. Byłeś w Montreux, gdy popełniono tam kolejne zabójstwo. Tutaj zginęła Elena Brucan.

- Miła kobieta.

- Znałeś ją?

- Często zagadywała ludzi. Miała ku temu odpowiednią osobowość. Wyśledziła mnie na quai w Montreux, kiedy robiłem zdjęcia martwego doktora Seale'a, i spytała, czy go znałem.

- A znałeś?

- Nie.

Paula wyczuła, że zawahał się z odpowiedzią. Wypił nieco kawy i wbił swój świdrujący wzrok w jej twarz. Nie lubił takich pytań. Usta wykrzywił mu szydery uśmiech. Minał czas przyjaźni. Naciskała.

- Zrobiłeś jakieś dobre zdjęcia Bruca?

- Kto ci kazał mnie przepytować? Tweed? Newman? - Odchylił się na krześle, otwarcie szacując ją teraz wrogim wzrokiem.

Dowiedziała się już wszystkiego, co mogła z niego wyciągnąć. Jego sugestia zdenerwowała ją. Postawiła filiżankę.

- Nikt mi nie kazał, jak byłeś uprzejmy się wyrazić. Przyszłam sama. Nie jestem czyjąś kukiełką. Wbij to sobie do swej tępej głowy.

- Proszę, dama z temperamentem. Lubię to. A może pójdziemy do mojego pokoju? Moglibyśmy kontynuować rozmowę w ciszy i spokoju - zaśmiał się, ale grymas na twarzy pozostał. Na egzaminie z panowania nad sobą nie zdobyłby najwyższej oceny.

Paula gestem przywołała kelnera i zapłaciła za siebie.

- Dajesz mi kosza? Kobiety raczej tego nie robią. Popatrzyła na niego uważnie, więc nie spostrzegła mężczyzny w płaszczu z wielbłądziej wełny, który, schodząc z górnego poziomu, powłóczył nogami, jakby chodzenie sprawiało mu trudność. Nield minął drzwi i postawił kołnierz.

- Być może nie jesteś za bardzo wybredny - odparowała Paula i uśmieszek zniknął z twarzy Snydera.

Pochylił się w jej stronę. Jego prawa dłoń zaciskała się i rozluźniała, a oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Normalny i nienormalny. Ten ostatni był niepokojący. Wynoś

się stąd, powiedziała do siebie w duchu. Nie zmarnowałaś czasu.

Gdy wstała, chwycił ją za prawe ramię. Uścisk był zaskakująco silny. Jastrzębią twarz zbliżył do jej twarzy.

- Jeżeli nie zdejmiesz ze mnie ręki - ostrzegła spokojnie - zawołam szefa sali.

- Jeżeli cię uraziłem, przepraszam.

Jego wyraz twarzy był normalny, a uśmiech wydawał się prawdziwy. Usiadł, aby ją o tym zapewnić.

- Udowodnię ci, że nie jestem twoim wrogiem. Chcę cię ostrzec. Pocztą pantoflową dotarło do mnie, że jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Zapłacono za twoją głowę.

- Naprawdę? Komu?

- Zawodowcowi pierwszej klasy. Nieznanej tożsamości.

- Wydaje się to mało prawdopodobne.

Ruszyła w stronę automatycznych drzwi, które się przed nią otworzyły. Ostrożnie zeszła po oblodzonych stopniach. Teraz była już bezpieczna.

Luigi Morati zajął stanowisko na środku Parade-platz. Był ukryty między niekończącymi się ciągami tramwajów, które wciąż przyjeżdżały i odjeżdżały. Oparty o motocykl palił papierosa. Rzucił go, gdy zobaczył Paulę schodzącą po stopniach. Ruszył w jej stronę z ręką w torbie z glockiem. Jeden szybki strzał z tej odległości i robota wykonana.

Samochód policyjny, który przedtem parkował dalej na Bahnhofstrasse, teraz powoli przetoczył się w stronę Parade-platz i zaparkował przy krawężniku. Luigi zaklął. Na pewno go nie namierzyli.

Raz, gdy wszyscy policjanci pospieżyli na alarm, włamał się do komisariatu w Bernie. Niezbyt wiele czasu zajęło mu odszukanie swych danych. Był zarejestrowany jako

Bull. Zapewne był to skrót od Bullet⁹. Rozbawiło go to. W bazie nie było żadnych informacji o nim - ani nazwiska, ani opisu, ani narodowości. Tylko lista zabójstw przypisywanych Bullowi. Trzy prawdziwe i pięć, z którymi nie miał nic wspólnego.

Zaczął popychać motocykl z powrotem wzdłuż Bahnhofstrasse, w kierunku obranym przez Paulę. Dookoła było spokojnie.

Bardzo niska temperatura nawet przyzwyczajonych do zimy Szwajcarów powstrzymywała przed wychodzeniem na ulicę. Klientki eleganckich sklepów pozostały w domach. Pracownicy siedzieli w swych biurach. Była to dla Luigiego idealna sytuacja. Ale źle poszło.

Paula poczuła, że jest śledzona. Nie zauważyła nic podejrzanego, ale zawsze wierzyła swemu instynktowi. Szła w kierunku siedziby ACTIL-u, miała nadzieję, że zastanie tam Arbogasta.

Zatrzymała się przy krawężniku i spojrzała w prawo, a potem w lewo.

W złej kolejności, idiotko! - pomyślała. Przecież jesteś na kontynencie.

Przeszła przez pustą ulicę i zaczęła wracać drogą, którą tu dotarła. Luigi miał czas na zawrócenie motocykla w stronę Parade-platz. Nie zauważyła go.

Ostrożniejszy Harry Butler pozostał na miejscu. Siedział na motocyklu ukryty między tramwajami, które w większości przejeżdżały puste. Cierpliwie czekał na decyzję Pauli. Pete Nield zaś zdenerwował się, widząc, jak na skraju krawężnika spojrzała najpierw nie w tę stronę. Ukrył się w wejściu do wielkiego sklepu i gdy go mijala, przyglądał się towarom wystawionym na sprzedaż.

⁹ Kula, pocisk.

Paula w prawej ręce zanurzonej w torbie trzymała browninga, ale nie zauważyła nic niepokojącego. Naprzeciw Parade-platz skręciła w prawo, jakby postanowiła wrócić do baru. Przeszła jednak obok niego i skręciła w ulicę, przy której stał kościół dziwnego trójkątnego kształtu. Minęła go i wiedziała, że tu zaczyna się Altstadt z jego plataniną wąskich uliczek.

Luigi uśmiechnął się pod nosem. Wspaniałe miejsce na zabójstwo. Przy tej pogodzie nikogo tam nie będzie. Przejechał na drugą stronę ulicy. Za wcześnie, by przyśpieszyć. Paula maszerowała szybko i odświeżona mroźnym powietrzem wyszła na otwartą przestrzeń. Za sobą usłyszała zapuszczenie silnika. Szybko się odwróciła. Coś ją zaniepokoiło w zachowaniu motocyklisty. Luigi już wyciągnął glocka z torby i ukrył za pasem. Wielka ciężarówka jadąca z prawej strony zbliżała się, przecinając jej drogę.

Kierowca, zobaczywszy atrakcyjną dziewczynę, zatrzymał się, zdjął czapkę i pomachał w jej stronę. Uśmiechnęła się do niego i lekko pokiwała ręką, przygotowując się do przecięcia otwartej przestrzeni. Ciężarówka ruszyła, całkowicie blokując drogę.

Luigi zaklął. To byłoby doskonałe miejsce. Za mostem po drugiej stronie rzeki znajdowało się jego mieszkanie. Czekał niecierpliwie z nadzieją, że zdąży zauważyć, w jakim kierunku pójdzie jego cel. Był tak zajęty obserwacją Pauli, że ledwo usłyszał motocykl nadjeżdżający z tyłu. Harry był podejrzliwy. Pete Nield pojawił się na wąskim chodniku i wskazał motocyklistę przed nim.

Gdy ciężarówka minęła otwartą przestrzeń i skierowała się na most, Luigi zobaczył, jak Paula znika w Schlüssel-Gasse, brukowanej uliczce prowadzącej do serca Starego Miasta. Doskonale! Dobrze znał ten teren. Szła prosto w śmiertelną pułapkę.

Paula знаła Schlüssel-Gasse z poprzedniej wycieczki do Zurychu. Od tego miejsca zaczynał się bruk. Była zadowolona, że włożyła buty podbite gumą. Była już w głębi wąskiej uliczki, gdy usłyszała pędzący motocykl. Przed nią uliczka stawała się stromym stokiem z Vetliner Keller na szczycie, jedną z najlepszych restauracji w mieście, gdzie - jak zapowiedział Tweed - mieli pójść wieczorem. Odwróciła się i zobaczyła, że szalony motocyklista trzyma kierownicę tylko jedną ręką, a w drugiej coś ściska. Pistolet! Rzuciła się szczupakiem w wejście do niewielkiego sklepu. Kula świsnęła obok. Trzymała już browninga obiema rękami.

Zabójca na motocyklu przemknął z rykiem silnika, a za nim jak piorun pognał Harry. Paula nie miała szans na użycie broni. Motocykl Luigiego mignął jak rakieta, a teraz, trzęsąc się jak szalony, z dużą prędkością wspinał na szczyt ulicy. Gdy wjechał na górę, starał się odwrócić i wymierzyć z glocka do ścigającego, ale nie mógł tego dokonać, nie tracąc kontroli nad maszyną. Harry był za blisko i dystans zmniejszał się z sekundy na sekundę.

Luigi zaczął rajd dookoła placu zamkniętego starymi domami - najstarszy był z roku 1673 - i z kościołem na przeciwległym krańcu. Wyglądało to na starcie gladiatorów. Obie maszyny krążyły po bruku, chwiejąc się i podskakując. Gdy Harry był bardzo blisko, Luigi zmienił kierunek jazdy. Stał przy ścianie, obrócił motocykl i stojąc na wprost Harry'ego, wycelował z glocka. To był błąd. Motocykl Harry'ego runął na niego, waląc w przednie koło. Maszyna zabójcy uderzyła o ścianę, lecz Luigi zwinnie zeskoczył, unikając zmiżdżenia przez własny motocykl. Przelazł przez mur i zniknął.

Pojawiła się Paula z browningiem w dłoni. Harry leżał na bruku. Wiedziała, że to on. Rozpoznała jego skuloną postać, gdy mijał sklep, w którym się ukryła. Po wspinaczce stromą

ulicą brakowało jej tchu, ale zmusiła się, by podbiec do leżącego na brzuchu kolegi. W tej samej chwili pojawił się Nield.

Z rany na czole Harry'ego ciekła krew. Pochyliła się nad nim i wyciągnęła z torby zestaw pierwszej pomocy, z którym się nigdy nie rozstawała. Harry otworzył oczy i przemówił:

- Prze... przelazł przez mur. Złapcie go...

Paula, wiedząc, że Nield nie ma broni, podała mu opatrunki, a sama rzuciła się w stronę muru, uważając, by nie wystawić głowy. Zabójca mógł na to czekać. Gdy wyjrzała, zaskoczył ją spadek po drugiej stronie. Jeszcze bardziej zaś zadziwił ją brak ciała. Zobaczyła tylko pustą uliczkę, więc wróciła szybko do Harry'ego.

- Myślę, że jest po prostu oszołomiony - powiedział Pete. Zakleił już ranę i ścierał ślady krwi z twarzy Harry'ego, który reagował na to powolnym mruganiem. Paula bała się, że odniósł poważne rany. Delikatnie pochyliła się nad nim.

- Jak się czujesz, Harry? Porządnie się potłukłeś...

- Pomóż mi wstać.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - ostrzegła. - Przynajmniej do czasu zbadania przez lekarza.

- Nie cierpię lekarzy...

Oparł się rękami o ziemię i zaczął się podnosić. Gdy ciągle z uporem starał się podźwignąć, Paula schwyciła go za jedno ramię, a Pete za drugie. Zrobił krok naprzód, potem drugi i wyswobodził się z ich uścisków. Pochodził trochę, wymachując rękami, zginając łokcie i - po ściągnięciu motocyklowych rękawic - prostując palce.

- W porządku. Czy potrafiłabyś go rozpoznać? Widziałaś go za murem?

- Nie. Uciekł. Nie poznałabym go przy następnym spotkaniu.

- Ani ja.

Uniósł motocykl, usiadł na siodełku i włączył rozrusznik. Silnik normalnie zapalił. Wyłączył go, odwrócił się i uśmiechnął. Kolory wróciły na jego krągłe oblicze. Podeszedł do maszyny zabójcy i ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ta świnia już na tym nie pojeździ. Strzelał do ciebie, Paulo, prawda? Skurczybyk.

Z satysfakcją popatrzył na motocykl rozbity na murze. Kierownica była dziwnie skrzyżowana, przednie koło oderwane, siodełko leżało na ziemi. Nim zdążyli go powstrzymać, zdjął motocykl z nóg i zaczął sprowadzać w dół stoku.

- Dziwne, że nikt nie wyszedł zobaczyć, co się stało - powiedziała Paula, rozglądając się po pustym placu. - Widziałam tylko odchylane firanki.

- Szwajcarzy trzymają się z daleka od wszelkich niebezpieczeństw - odparł Pete. - Rozsądni ludzie.

- Napiłbym się drinka - zauważył Harry.

- Najpierw wody - powiedział Pete rozkazująco. - Potem może być piwo. Możemy wejść do tego baru, gdzie po raz pierwszy trafiłem na Snydera.

- Najpierw piwo - upierał się Harry - potem woda dla was.

Paula i Pete byli gotowi podtrzymać Harry'ego, ale on zdecydowanie dobrze sobie radził. Nie zapytała, co robili w tym miejscu. Cichaczem skrzyżowała w boczną uliczkę i ruszyła na spotkanie z kolejnym „klientem”. Romanem Arbogastem.

Wykonując jedno ze zleceń, Luigi musiał się spuścić z mieszkania ofiary po linie przymocowanej do okna na piątym piętrze. Później wciąż rozwijał tę umiejętność. Miał dzięki temu bardzo silne i giętne nogi, które dobrze mu posłużyły przy pokonaniu muru.

Po dłuższej wędrówce okreśną trasą wrócił do mieszkania nad Limmatem. Choć był pewien, że podczas próby zabicia Pauli nikt nie mógł mu się przyjrzeć z powodu kasku, i tak dokonał radykalnej zmiany swego wyglądu.

Najpierw zmienił kolor włosów na czarny, a potem otworzył szafę. Jej zawartość bardzo by zdziwiła te kilka osób, które go znały we Włoszech. Zmienił bieliznę na jedwabną, gdyż dawała mu poczucie przynależności do klasy. Włożył kosztowną białą koszulę, czarny garnitur, czarne skarpetki i czarne buty. Całość świetnie dopełniał drogi, lecz nierzucający się w oczy szary krawat.

Wybrał okulary ze złotą oprawką, ale zwykłymi szklami, i cofnął się, by ocenić efekt w lustrze. Był teraz szwajcarskim bankierem Aldo Moldano. Mógł wejść do Baur au Lac, nie sprawiając wrażenia, że jest nie na miejscu.

Aby dopełnić transformacji, wziął do ręki aktówkę noszoną przez wszystkich bankierów. Do środka włożył glocka. Brakowało mu tylko drogiej limuzyny, ale w obecnym przebraniu mógł ją sobie bez trudu wynająć.

Przez chwilę Paula czuła trwogę, gdy po skręceniu w boczną ulicę prowadzącą do siedziby ACTIL-u ujrzała na końcu taśmę policyjną. Wciąż ją przerażały morderstwa Foleya, Holgate'a i Seale'a, ale brutalne zabójstwo Eleny Brucan i bezduszne ułożenie jej odciętej głowy między

ramionami wyprowadziło ją z równowagi i wywołało w niej furie, nad którą na szczęście potrafiła zapanować.

Przed wejściem do budynku przystanąła na chwilę. Ciężkie drzwi były niedomknięte. Prawą rękę wsunęła do torby przewieszanej przez ramię i zacisnęła dłoń na kolbie browninga. Potem bezgłośnie pchnęła drzwi. Zawiasy były dobrze naoliwione. W środku zaraz za progiem leżała gumowa mata. Ostrożnie ją przekroczyła, stając na kamiennej posadzce. Było ciemnawo.

Zaraz za drzwiami zaczęła wspinać się powoli po starych drewnianych schodach. Piąty stopień zaskrzypiał. Gdy dotarła na drugie piętro, stanęła przed drzwiami, które musiały prowadzić do pokoju od frontu, w którym poprzedniej nocy widziała światło. Nadstawiła ucho, lecz nic nie mogła usłyszeć. Było cicho.

Prawą gołą ręką trzymała broń w torebce, a lewą w rękawiczce położyła na klamce. Nacisnęła powoli i łagodnie. Światło dzienne. Mogła wcześniej wyjąć i wycelować browninga, ale nie chciała tego robić na wypadek, gdyby Roman był w środku. Nie byłby to najlepszy sposób nawiązania rozmowy. Drzwi otworzyły się szerzej i mogła zajrzeć do środka. Arbogasta nie było.

Zamiast niego za biurkiem nad rozłożonymi na blacie plikami papierów siedział Broden. Patrzył spokojnie, mierząc do niej z wojskowego mauzera 7,63 mm. Spojrzała prosto w otwór długiej lufy.

- Proszę wejść, panno Grey - powiedział neutralnym tonem. - Ominęła pani alarm naciskowy przy frontowych drzwiach, ale piąty stopień zaskrzypiał.

- Tak - odparła niepewnie.

- Niech pani wyjmie powoli rękę z torby. Mam nadzieję, że nic nie ma w środku - dodał tym samym neutralnym tonem.

Posłuchała polecenia. Uśmiechnął się i odłożył mauzera na biurko. Zawsze wyglądał ponuro i niebezpiecznie, a teraz, w zamszowej kurtce na zamek błyskawiczny, z szerokim uśmiechem, wystrzyżony na jeża, przypominał jej pluszowego misia. zaproponował kawę, lecz odmówiła. Splótł wielkie ręce na karku i nadal się uśmiechał. Chciała, aby schował mauzera do szuflady. Ta stara broń była przykładem wspaniałej myśli inżynierskiej. Wiedziała, że magazynek mieści dziesięć kul.

- Jest pani twarda - zauważył Broden. - Widziała pani kilka strasznych rzeczy i muszę przyznać, że nie straciła kontroli nad sobą.

Paula nie chciała zagłębiać się w te sprawy. Wytrzymała jego twardy wzrok i powiedziała:

- Myślę, że wasza ochrona jest dość kiepska. Każdy może tu wejść.

- Zgadzam się, ale podlegam rozkazom. Roman nadchodzi, a jemu brakuje cierpliwości na borykanie się z dwoma zamkami. Polegam na alarmie naciskowym - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A w wypadku takich ludzi jak pani na piątym stopniu.

- Przyszłam zobaczyć się z Romanem. A skoro tu jestem, możemy porozmawiać.

- Z przyjemnością.

- Czy spotkał pan kiedyś wiceprezydenta Russella Strauba?

Po zmarszczeniu krzaczastych brwi poznała, że go zaskoczyła.

Wykonał przedstawienie z wyciąganiem papierosów i proponowaniem jednego. Gdy odmówiła, zapalił sam, spojrzął na sufit i wypuścił kłęb dymu.

- Zostałem mu przedstawiony przez Romana. Z jakiego powodu interesujecie się nim?

- Podejrzany jest każdy, kto znajdował się na terenie popełnienia zbrodni.

- Tak, ale mnie nie było w Pinedale, gdy zginął Hank Foley.

- Mógł pan być - podnosiła temperaturę dyskusji. Nie mogła popuścić temu dziwakowi. Wiedziała, że pogardza uległymi.

- Mógłbym?

- Lecąc najpierw do Bostonu gulfstreamem, który - jestem pewna - pozostaje do pańskiej dyspozycji.

- Twarda z pani sztuka - powiedział i palcem wskazującym przekręcił mauzera tak, że przez chwilę lufa była wycelowana w nią. Kręcił jednak dalej, aż zwróciła się ku ścianie. - Jestem pewien, że nikt nie wie o pani wizycie tutaj. Kusi pani los.

- Zna pan jakiegoś płatnego zabójcę? - była tym rzeczywiście zainteresowana.

- Znałem. Jednego. Wynajętego do zastrzelenia mojego pułkownika. Pułkownik grał w pokera, przegrał i odmówił zapłacenia.

- Jakiś pułkownik.

- Jeżeli mam być szczery, to ranga nie ma znaczenia. Tego nauczyłem się w SIB.

- SIB?

Wiedziała, co to takiego, ale chciała, by pozostał w defensywie i dalej opowiadał o sobie. Wątpiła, by często to robił.

- Special Investigation Branch¹⁰. Taki wojskowy SIS. Prowadzi kryminalne śledztwa w armii.

- Co się stało z zabójcą?

- Złamałem mu rękę, w której trzymał pistolet. Wciąż siedzi za usiłowanie morderstwa.

¹⁰ Specjalny Wydział Śledczy.

- I dlaczego opuścił pan armię? - naciskała.

- Służba dobiegła końca. Roman skądś się o mnie dowiedział. Zrobił ze mną wywiad. Jest w tym dobry. Zaproponował mi posadę szefa ochrony ACTIL-u. Przyjąłem ofertę. Zrobiłem na nim wrażenie, a to się Romanowi rzadko zdarza.

- Jakim jest szefem?

- W porządku. Dopóki się przed nim nie płaszczysz. Podziwia panią i jest panią zainteresowany. Musi mu pani stawać okoniem. Teraz wydaje mi się, że...

- ... muszę już iść - ubiegła go. - Nie jest pan taki, jak sobie wyobrażałam - powiedziała, wstając.

- A co sobie pani wyobrażała? - zapytał z uśmiechem.

- Nie chciałby pan wiedzieć.

Wychodząc, aby go rozbawić, przeszła nad piątym stopniem, nie dotykając go. Minęła także matę z alarmem naciskowym. Ledwie znalazła się na chodniku, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna opatulony szalikiem i paltem chwycił jej ramię. Roman Arbogast.

- Po co się pani tu zjawiała? - mruknął.

- Byłam w pańskim biurze, aby się z panem spotkać. Zamiast pana zastałam Brodena.

- Musiała się pani świetnie bawić, rozmawiając z tą głową z Wyspy Wielkanocnej.

- Przyszłam na spotkanie z panem, ale rozmowa z Brodenem była interesująca.

- Interesująca? Pewnie nie mówimy o tym samym człowieku. Czy mogłaby wobec tego spotkać się ze mną pani, powiedzmy, o piętnastej? Proszę się nie spóźnić. Cenię punktualność.

- Zatem mamy jedną wspólną cechę. Do zobaczenia o trzeciej.

Odeszła, nim zdążył odpowiedzieć. Oddałaby wszystko za dobrą kawę, a parę kroków dalej, w Sprungli, podawano najsmakniejszą w Zurychu. Zaabsorbowana konfrontacją z Brodenem, gdyż mimo przyjaznego zachowania niewątpliwie była to konfrontacja, weszła na Bahnhofstrasse i skręciła w lewo. Znow jakaś dłoń chwyciła ją za ramię.

Prawą rękę zanurzyła w przewieszanej przez ramię torbie. Obróciła się z bronią już na wpół wyjętą, gdy usłyszała znajomy głos:

- To ja. Chyba nie zamierzasz mnie zastrzelić? - zażartował Newman.

- Gdzie się wybierasz?

- Wieści szybko się rozchodzą - mówił, idąc obok niej, gdy śpieszyła Bahnhofstrasse. - Pete Nield zadzwonił do Tweeda i powiedział o próbie zabicia ciebie w Altstadt. Tweed posłał mnie, by znaleźć cię jak najszybciej. Powinienem być z tobą. No więc jestem.

- Rob, idę do Sprungliego i chciałabym być sama. To nic osobistego. Mam robotę do wykonania i ty będziesz przeszkodą. Powtarzam, że to nic osobistego. Tweed to zatwierdzi.

- Po tym, co się zdarzyło w Altstadt, kazał mi przykleić się do ciebie na amen.

- Rob, nie mogę wykonywać swojej pracy, kiedy ty wisisz mi na ogonie. Nawet nie będę próbować. A jestem tu, aby robić to, co do mnie należy.

Szybko szli ulicą, gdyż Paula nie zwalniała kroku. Była wściekła na Tweeda, który nie miał prawa pogwałcić ich umowy, i powie mu to przy najbliższym spotkaniu.

- Czy nie możemy dojść do porozumienia? - spytał Newman.

- Myślę, że nie. Zbyt dobrze cię znam. Co ci chodzi po głowie? - Może była dla niego zbyt szorstka? Przecież kiedyś

ocalił jej życie.

- Wybierasz się do Sprungliego - zaczął spokojnie. - Załóżmy, że stanę na zewnątrz, nie na widoku?

- Myślę, że możemy spróbować...

Znaleźli się już przy kawiarni. Ona weszła do środka, a Newman odszedł nieco i włożył ciemne okulary. Nie powinien rzucać się w oczy. Słońce świeciło wspaniale.

Paula pomyślała, że jedyną wadą Sprungliego są schody, które trzeba pokonać, aby wspiąć się na piętro - parter był przeznaczony na sklep. Schody skręcały niebezpiecznie i na środkowym poziomie stopnie były z jednej strony wąskie. Ciekawiło ją, jak sobie dawały z nimi radę kobiety na wysokich obcasach. Musiały wchodzić na górę na palcach.

Na piętrze tego ranka było niewielu klientów. Odstraszała pogoda. Właśnie miała podejść do pustego stolika, gdy ją zamurowało. Doznała szoku. Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Tyłem do niej siedziała przy stole kobieta w futrzanej czapie takiego samego koloru i typu jak Eleny Brucan. Do tego miała taki sam płaszcz. W tym samym rozmiarze.

Gdy podchodziła do jej stolika, nogi miała jak z waty. Stała po przeciwnej stronie tuż za pustym krzesłem. Kobieta była dobrze po osiemdziesiątce, miała wąskie wargi i wynędzniałe rysy ledwie maskowane makijażem. Spojrzała na Paulę dzikim wzrokiem. Mówiła po niemiecku, więc Paula dobrze ją rozumiała.

- To mój stolik. Czekam na przyjaciółkę. Dokoła jest dużo pustych stolików - warknęła.

- Od tyłu wyglądała pani jak moja znajoma - odparła Paula.

Nie myślała o przeprosinach, gdyż sposób bycia i słowa kobiety pełne były agresji. Pewnie jedna z wielkich dam, jakie przychodziły tu co dzień na pogwarki z przyjaciółkami.

Wybrała stolik z dala od niej. Bez zwłoki pojawił się kelner i zamówiła kawę. Nagle jakaś silna ręka spoczęła na jej ramieniu. Paula miała już dość tego typu zaczepek. Odwróciła się z ponurą miną. Tym razem była to Marienetta.

- Ty tutaj? Witam - powiedziała.

Marienetta trzymała dwa talerzyki z ciastkami z kremem. Jeden postawiła przed Paulą. Usiadła na wprost niej i gdy pojawił się kelner, zamówiła kawę. Sobolową kurtkę powiesiła na krześle.

- Doznałaś szoku tak samo jak ja. Myślałaś, że to Elena Brucan, prawda?

- Tak, przez chwilę.

Paula zauważyła, że Marienetta trzyma pod pachą zwiniętą gazetę. Nadarzała się okazja, której grzechem byłoby nie wykorzystać.

- Dlaczego pomyślałaś, że to może być ona? - spytała. Marienetta nie była obecna przy rozpoznaniu ciała, policja trzymała ludzi z dala od tego horroru.

- Dlatego - Marienetta z uśmiechem rozłożyła gazetę.

Przez pierwszą stronę dzisiejszego wydania „Neue Zurcher Zeitung” biegł wielki, łatwy do przetłumaczenia tytuł: DRUGIE CIAŁO BEZ GŁOWY ZNALEZIONE W ZURYCHU. Poniżej był spory tekst Sama Snydera. Nie pominął faktu, że głowa po odcięciu została nasadzona z powrotem na korpus. Obok był wierny szkic głowy Eleny Brucan z wyprostowaną futrzaną czapą. Paula spojrzała na Marienette.

- Dlatego też byłam zaskoczona - wyjaśniła. - Kiedy tylko tu przyszłam, chwilę przed tobą, od razu zobaczyłam ją od tyłu. Kiedyś w Londynie odwiedziła w „Obelisku” Romana. Powiedziała, że ma dla niego ważną informację. Rozmawiał z nią tylko przez chwilę i uznał ją za dziwaczkę.

Poprosił, abym ją wyprowadziła. Była tak samo ubrana jak ta tutaj.

Wyjaśnienie jak na zamówienie, pomyślała Paula. Ale z pogawędki z Marienettą czegoś się dowiedziała. Nici wiążące całość, których Tweed rozpaczliwie szukał, zaczynały się zbiegać.

- Czy spojrzałaś jej w twarz? - spytała Paula.

- Tak. I zobaczyłam, że to ktoś inny.

- To wyjaśnia, dlaczego była na mnie taka wkurzona. Miała dość ludzi próbujących zająć puste miejsce obok niej. Jaką to superważną informację Elena chciała przekazać Romanowi?

- Do diabła, nie wiem. Nie podoba ci się ciastko? Mogę zamówić inne.

- Przepraszam. Ten artykuł w gazecie odwrócił moją uwagę. Widzę, że podano nawet szczegóły tragedii w Montreux. Ciastko wygląda smakowicie. - Spróbowała widelczykiem. - Rzeczywiście doskonale. Chyba zabiorę jedno ze sobą do Baur au Lac.

- Siedź tu. Nie ruszaj się - poleciała Marienettą. Podskoczyła do lady, na której leżała masa ciastek do wyboru.

Płaciło się dziarskiej dziewczynie za szklanym kontuarem. Marienettą wkrótce wróciła z pudełeczkiem i pchnęła je po stole w stronę Pauli.

- Za to muszę zapłacić - powiedziała Paula zdecydowanym tonem.

- Nie wygłupiaj się. To tylko kilka franków. Jakiego tego ranka masz zadanie? Zawsze przecież jakieś dostajecie? Odnotowaliście postępy w śledztwie?

- Czasem mam szczęście - pogodny głos zadudnił nad głową Pauli, a czyjaś ręka zacisnęła się na jej ramieniu.

Znów to samo, pomyślała. Podniosła wzrok. Za nią stał Black Jack Diamond w stroju do jazdy konnej. Nieskalane

bryczesy wpuścił w długie buty. W prawej ręce trzymał palcat. Spojrzała na niego wilkiem.

- Bądź uprzejmy zabrać swą spoconą rękę.

- Spoconą? - zdjął dłoń z jej ramienia. - Umyłem pięć minut temu.

- Umyj jeszcze raz.

Przyciągnął krzesło od sąsiedniego stolika i zasiadł między nimi. Jego tryskająca zdrowiem twarz była zaczerwieniona od mrozu. Strzelił palcami na kelnera. Paula pamiętała ten jego zwyczaj typowy dla parweniuszy. Kelner pojawił się natychmiast z neutralnym wyrazem twarzy.

- Kawa dla klienta, kochaniutki. Jestem tu klientem.

- To Sprungli, a nie jakiś tani bar - zwróciła mu uwagę Paula.

- Ale działa, nie? - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Pojeździłem konno na świeżym powietrzu w szkółce za miastem. Czuję się jak młody bóg.

- Ale nie zachowujesz się jak on - odparowała Paula.

- Kiedy wszedłem, szanowne panie miały poważne miny.

- Sięgnął po gazetę. - Nie zajmujcie się zawsze ciemniejszą stroną życia.

- Zabiorę to - powiedziała Paula, wyjmując gazetę z jego dłoni. - Po tym, co zdarzyło się wczoraj, nie pora dziś na entuzjazm.

- Odpuść sobie. Życie jest po to, by się nim cieszyć.

- Czy widziałeś kiedyś trupa? - dopytywała się Paula.

- Od wczoraj nie.

Paula wstała. Za zuchwalstwem tych słów wyczuła cień groźby. Prawdopodobnie miał to być dowcip, lecz w jego tonie wyczuła coś dziwnego. Biorąc do ręki pudełko z ciastkiem, spojrzała na Marienette.

- Chyba będzie lepiej spotkać się w przyjemniejszych okolicznościach. Muszę już iść.

- Świetnie! - krzyknął za nią. - Czy obiad dziś pod wieczór ci odpowiada? - Wstał i Paula usłyszała za sobą trzask upadającego krzesła.

Obejrzała się i zobaczyła, jak pochyła się, by je podnieść. Ruchy miał niepewne, a przy stoliku wyczuła alkohol. Dlaczego pił o tak wczesnej porze?

Wyszła od Sprungliego z gazetą pod pachą, zatrzymała się na moment i rozejrzała wokół, szukając wzrokiem Newmana. Pojawił się znikąd. Wręczyła mu gazetę.

- Znasz niemiecki - powiedziała. - Wybieram się do baru, gdzie bywa Sam Snyder. Przydałaby się silna grupa wsparcia.

- Ja nią jestem. Poczekaj chwilę. - Przejrzał informacje na pierwszej stronie. - Myślę, że musimy zadać panu Snyderowi kilka poważnych pytań. Beck będzie zaskoczony szczegółami.

Sam nie ma żadnych skrupułów, jeżeli może wyprzedzić konkurencję...

- A potem wracamy do Tweeda. Chyba nieźle się spisałam. Kompletnie zaskoczyłam kilka osób związanych ze sprawą.

Gdy weszli do baru, Sam Snyder siedział przy tym samym stole co zwykle z rozłożoną gazetą i szklanką piwa. Pozdrowił ich z wyraźnym zadowoleniem i Paula ruszyła z wolna w jego stronę. Usiedli na wprost niego.

- Czytaliście mój artykuł? - spytał.

- Tak. Każde słowo. Całkiem interesująca lektura. Szybko się uwinąłeś.

- Dzięki za uznanie. Czego się napijecie?

- Niczego. Jestem zaciekawiona, a nawet poruszona. Zurych wpadnie w panikę po przeczytaniu tego.

- Tak działają dziennikarscy mistrzowie - zaczął z uśmiechem. - Tworzą historie, które sieją panikę. - Wpatrywał się w Newmana, który spoglądał na niego beznamiętnie. -

Historie, które wszyscy tak zwani godni szacunku obywatele muszą przeczytać. Dlaczego? Ponieważ dają im sekretną satysfakcję, że wciąż mają swoje głowy na karkach.

- Musiałeś użyć szkicu Eleny? - spytała Paula wciąż ze spokojem.

- Nie mogłem użyć aparatu. Błysk lampy zaalarmowałby policję i ujawnił moją obecność. Zawsze mam przy sobie mały szkicownik. Drugi rysunek zrobiłem, gdy Zeitzler, chyba tak się nazywa, podniósł głowę, aby pokazać, że została odcięta od szyi. Miałem nadzieję, że też go wydrukują, ale zrezygnowali. - Sięgnął do tylnej kieszeni. - Jestem pewien, że zechcecie obejrzeć.

- Trzymaj go w swoich gaciach, tam jego miejsce - warknęła Paula.

- Jak widzę, szanowna pani nie ma o mnie dobrego zdania.

- Uważa cię za wesz - wybuchnął Newman. - Tak samo jak ja.

- Uspokój się, Rob - wtrąciła Paula. - A teraz, panie Snyder, jak pan zdobył ten materiał? Byłam tam i nigdzie pana nie widziałam. Oczywiście policja też pana nie zauważyła.

- Ach! - Snyder przyłożył gruby palec wskazujący do nosa. - Tajemnica zawodowa. Ale ponieważ ona poprosiła mnie tak uprzejmie, Newman powinieneś się od niej uczyć, to powiem. Na drugim brzegu Sihl jest ukryta w cieniu ścieżka spacerowa. Tam się po cichutku zatrzymałem. Mogłem nawet wszystko słyszeć. Sihl jest bardzo wąska. Musiałem tylko uważać, by robiąc szkice, niewiele się poruszać. Wydawcy gazety nie było. Tu miałem szczęście. Ktoś go czasowo zastępował i chyba chciał sobie wyrobić nazwisko, nim się ruszy gdzie indziej. Pomyślcie, że zaraz po przybyciu, jeszcze przed przyjazdem policji, widziałem mordercę.

- Jak wyglądał? - spytała Paula i, co rzadko robiła, zapaliła papierosa.

- Wysoki, w czarnym płaszczu, bardzo długim, i w takim śmiesznym kapeluszu. Szedł sztywno. Mignął mi tylko, więc nie możecie uznać, że opis jest wierny. Odszedł w stronę Baur en Ville, gdzie teraz jesteśmy.

- Nie napisał pan o tym w artykule - zauważyła Paula.

- Nie. - Snyder się roześmiał. - Gdybym to zrobił, Beck zamknąłby mnie na wiele godzin, aby przesłuchać, więc pominąłem ten szczegół.

- Czy widział pan już kiedyś podobną postać? - spytała.

- Nie mogę powiedzieć, że tak.

- Na pewno?

Snyder uniósł piwo do ust, sporo upił, po czym klepnął dłonią po ustach i odstawił szklanę. Był tak z siebie zadowolony, że Newman chętnie zdzieliłby go pięścią w twarz, ale pozostawił sprawę Pauli, która świetnie sobie radziła.

- Panie Snyder - powiedziała nadal spokojnym tonem - czy ta postać coś niosła?

- Mogła nieść bardzo dużą teczkę, mniej więcej taką - zatoczył łuk ręką. - Nie jestem pewien.

- I zdarzyło się to, nim ciało zostało znalezione i zanim je pan zauważył?

Snyder wyjął niewielkie cygaro. Nieco czasu poświęcił na jego zapalenie. Wypuścił kilka obłoków dymu i rozejrzał się po barze. Było to przestronne, luksusowo umeblowane pomieszczenie ze ścianami obitymi mahoniem, z ladą barową w kształcie półksiężyca i czarnymi stołkami, na których siedziało kilku klientów. Na środku stało wielkie, czarne pianino, a reflektorki osadzone w suficie rzucały klimatyczne światło.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - naciskała Paula.

- Wie pani co? - Snyder wypuścił kolejny obłok dymu. - Sądzę, że odpowiedziałem na wszelkie pani pytania.

- Dziękuję, Rob, za wsparcie - powiedziała Paula, gdy wracali do Baur au Lac.

- W ogóle się nie odzywałem, poza jednym krótkim wybuchem.

- Właśnie to uważam za twoją pomoc.

Spojrzała na Newmana, który zacisnął wargi niezbyt zadowolony z takiej oceny. Nie przejmowała się tym. Wykonała swoje zadanie.

- Co myślisz o tym niejasnym opisie kogoś, kto mógł być zabójcą? - spytała.

- Niejasny to odpowiednie słowo.

- Rodzi mi się w głowie nowa teoria na podstawie tego, co nam powiedział, chociaż nie musiał. Sam Snyder był we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Alejką po drugiej stronie rzeki, skąd zrobił szkice, mógł spacerować wcześniej. Mógł być tym, czego szukamy, zabójcą.

- Halo - powiedział Tweed, podnosząc słuchawkę.

- Tu Ed Danvers - rozległ się szorstki głos. - Wiceprezydent Straub chce pana widzieć. Jesteśmy w apartamencie...

- Ja też...

- Wiemy, gdzie pan jest. Wiceprezydent życzy sobie natychmiast spotkać się z panem.

- Zatem niech przyjdzie. Będzie mile widziany. Poczekam na niego.

Tweed odłożył słuchawkę. Podeszedł do dobrze zaopatrzonego barku i na wypadek, gdyby któryś jednak zechciał przyjść, sprawdził. Tak, była whisky, którą lubią Amerykanie. Przyszli. Rozległo się gwałtowne i długie pukanie. Tweed otworzył i Straub wepchnął się do środka.

Teraz miał na sobie dwuczęściowy biały garnitur, różową koszulę i krawat z emblematem flagi Stanów Zjednoczonych. Kolory straszliwie gryzły się ze sobą, ale zwracały uwagę. Zlekceważył zaproszenie Tweeda, by usiadł, i zaczął krążyć po pokoju. Wyraz jego długiej chudej twarzy nie pasował do stroju; widać było dławiającą go furję.

- Być może pan zapomniał, że jestem wiceprezydentem. Ludzie przychodzą, kiedy ich wzywam.

- Ja nie jestem ludzie.

- Gdy wrócę do Waszyngtonu, nie zachowa pan długo swego stanowiska.

- Więc kiedy pan wraca? - spytał Tweed tym samym spokojnym tonem.

- Jeszcze nie teraz. - Nagle zobaczył butelkę whisky i uspokoił się. - Napiję się trochę - warknął, sadowiąc się w fotelu.

- Spraw mi pan przyjemność. Jest pan bardzo zdenerwowany, panie Straub - zauważył Tweed, nalewając whisky do dwóch szklaneczek. Potem usiadł na wprost gościa, podnosząc jedną.

- Na zdrowie!

- Dlaczego sądzi pan, że jestem zdenerwowany? - spytał Straub.

- Jest pan postrzegany jako wiecznie uśmiechnięty. Przed każdym audytorium odpowiada pan z uśmiechem na najbardziej wrogie pytania. Tymczasem wszedł pan tutaj z miną, jakby pański okręt tonął. Prawda?

- Śmieszne porównanie. - Straub spojrzał twardo na Tweeda. - Te seryjne morderstwa stają się w Stanach newsem numer jeden. I tutaj też. Przy czym zawsze wspomina się o mojej obecności.

- Zapewne dlatego, że jest pan w pobliżu kolejnych miejsc zbrodni. Poza tym muszę się z panem nie zgodzić. Określenie „seryjne morderstwa” sugeruje zabójstwa przypadkowe. A ja wierzę, że te są ze sobą powiązane.

- Powiązane? - zwykle czerwona twarz Strauba pobrała. Po chwili milczenia dodał: - Co, u diabła, pan przez to rozumie?

- Rozumiem, że gdy rozwikłamy tę sprawę, znajdziemy osobisty motyw tych okrucieństw.

- Jest to tak nieprzekonujące, że aż niedorzeczne - orzekł Straub z wściekłością.

- Pańska reakcja świadczy o tym, że właśnie to jest przyczyną zdenerwowania. Czy był pan w swej posiadłości w Pinedale w pobliżu szpitala psychiatrycznego, gdy ten spłonął?

- Nie przyszedłem tu po to, by mnie przesłuchiwać.

- Nie, przyszedł pan po to, by się dowiedzieć, jak daleko zaszło śledztwo. Dobrze, powiem panu. Od przybycia do

Zurychu zaczynam łączyć poszczególne elementy w łańcuch zdarzeń. Ponowne pojawienie się rodziny Arbogastów jest bardzo znaczące. Sądzę, że ich pan zna.

- Myli się pan. Wypiję następnego drinka.

Tweed pełnił honory gospodarza. Przyglądał się, jak Straub ponownie wzniosł szklaneczkę z trunkiem. Jego dłoń drżała. Uspokoił ją, dociskając szkło do wargi i przelękając jednym haustem połowę zawartości.

- Gdyby stał pan przed sądem, a ja byłbym prokuratorem, mógłbym zapytać o pańską wizytę u Romana Arbogasta w „Obelisku” w Londynie. Mógłbym przedstawić dowody uzasadniające pytanie. - Tweed twardo naciskał swego gościa. Wyciągnął kopertę, którą przed przybyciem Strauba wsunął pod poduszkę. Wybrał zdjęcie pokazujące Strauba wspinającego się po stopniach do wejścia do „Obelisku”. Położył je na stole przed wiceprezydentem.

Straub spojrział na fotografię, na której było widać również parkującą przy krawężniku limuzynę, którą przybył. Długo, za długo przyglądał się zdjęciu, nim wreszcie podniósł wzrok.

- Oczywiście z Romanem Arbogastem utrzymuję luźną znajomość. W Bostonie ma fabrykę zatrudniającą kilka tysięcy osób - usiłował się uśmiechnąć - a politycy muszą myśleć o wyborcach.

Straub, jak niektórzy Amerykanie, mówił bardzo szybko. Oglądając jego występy w telewizji, Tweed czasami miał kłopoty ze zrozumieniem słów.

- A Pinedale? - powtórzył spokojnie.

- Nigdy nie znałem Hanka Foleya... - Nagle urwał. Było oczywiste, że pożałował tej szybkiej odpowiedzi. Mocno ściskając szklanekę, wypił resztę whisky.

- Jestem zaskoczony - zauważył Tweed - że pamięta pan nazwisko pielęgniarza. A te zdjęcia zostały zrobione przez

Elenę Brucan, której ciało zostało znalezione wczoraj wieczorem w pobliżu tego hotelu. - Rozmyślnie mówił bardzo wolno. - Chodzi o biedną Elenę Brucan, której głowa została odcięta, a potem w naprawdę obrzydliwy sposób umieszczona z powrotem na szyi.

- Nigdy o niej nie słyszałem. - Ponownie zamilkł. I ponownie pożałował, że słysząc nazwisko, zareagował tak gwałtownie.

- Będąc politykiem, nie czyta pan gazet?

- Oczywiście, że tak. Ale nie znam niemieckiego.

- Nie przypominam sobie, abym mówił, że ten raport został wydrukowany po niemiecku.

To było kolejne potknięcie Strauba. Tak wiele błędów popełnionych przez tak wytrawnego polityka szybko uświadomiło Tweedowi, pod jaką presją znalazł się Straub.

Wiceprezydent wyprostował się w fotelu, w sposób widoczny próbując się odprężyć. Odzyskał całkowicie panowanie nad sobą. Zastosował technikę, której zawsze używał, stając twarzą w twarz z niebezpiecznym przeciwnikiem. Zaatakował.

- Tweed, przyszedłem zasugerować, aby pan zaprzestał tego śledztwa. To szaleństwo. Dlaczego nie wróci pan do domu i nie pozostawi tego Szwajcarom?

- Ponieważ z nimi współpracuję. Oba potworne morderstwa dokonane na terytorium Szwajcarii są bardzo podobne do popełnionych w Wielkiej Brytanii i w Stanach.

- Czy to oznacza, że nie postąpi pan zgodnie z moją sugestią?

- Nie. Nie postąpię.

Straub skoczył na równe nogi. Pomaszerował do drzwi, otworzył je i odwrócił się przed wyjściem. Jego zwykle pusta twarz promieniowała teraz nienawiścią, co przypomniało

Tweedowi portret Romana w złym humorze. Głos Strauba
zmienił się w charkot.

- Sukinsyn - warknął.

Wychodząc, trzasnął drzwiami.

Gdy Paula z Newmanem wchodzili do hotelu, hol był zatłoczony. Kilka osób oczekiwało na rozmowę z obsługą, trzy kolejne zbliżały się do recepcji, a tymczasowy recepcjonista miotał się nieporadnie za ladą. Kątem oka zauważył Paulę i machnął do niej trzymaną w ręce kopertą. Odebrała ją zaskoczona, a on już zajmował się innymi gośćmi. Usiadła z Newmanem na sofie na wprost wejścia do foyer. Przypuszczała, że to jakieś zarządzenie Tweeda. Koperta nie była zaklejona, tylko pasek zamknięcia wsunięto do środka.

Newman patrzył, jak wyciągnęła plik biletów kolejowych na pierwszą klasę. Wystawione na następny dzień na ekspres Zurych Hauptbahnhof - Lugano odjeżdżający o godzinie 13.07. Przedziały dla palących. Cztery miejsca. Nachmurzona spojrzała na przód koperty. Była zaadresowana do Herr Romana Arbogasta. Ten idiota recepcjonista pomylił adresata. Spojrzała na Newmana.

- Teraz wiemy - szepnął. Podniósł głos, aby dotarł do kelnera: - Czego się napijesz, Paulo?

- Proszę kawę i butelkę niegazowanej wody mineralnej. Muszę się tego pozbyć...

Recepcjonista miał kłopoty z klientem, który narzekał na rachunek. Dwaj następni goście oczekiwali niecierpliwie na zakończenie dysputy. Paula podeszła z boku i położyła kopertę na ladzie.

- To nie do mnie. Proszę spojrzeć na adresata. Recepcjonista przesunął kopertę i kontynuował rozmowę ze zdenerwowanym jegomościem. Paula wróciła i usiadła obok Newmana. Podano napoje. Przed Newmanem stanęła podwójna szkocka. Popijając wodę małymi łykami, Paula rozglądała się po foyer.

Przy stoliku w pobliżu wejścia siedział mężczyzna wyglądający na bankiera. Typowy czarny garnitur, biała koszula, a w ręce aktówka na papiery wymiaru A4. Dość młody, przyglądał się jej przez okulary w złotej oprawie. Natychmiast odwrócił wzrok. Diabelny tupet, pomyślała, przecież widzi, że nie jestem sama.

- Cztery bilety - szepnął Newman. - Roman, Marienetta, Sophie i Broden.

- Albo Black Jack. Jak tylko skończysz drinka, pójdziemy na górę i opowiemy Tweedowi, czego się dowiedzieliśmy. Nie śpiesz się.

- Jutro z Zurychu do Lugano - mruknął Newman. - Ekspres z dworca głównego o 13.07. Tak... - Nagle zamilkł.

Paula spojrzała na niego. Co mu przeszkodziło? Szybko skończył drinka. Ruszyli do windy, która czekała pusta. Gdy drzwi się zamknęły, a oni ruszyli w górę, Newman powiedział:

- Czy zauważyłaś tego faceta wyglądającego jak bankier, który siedział samotnie nieopodal nas?

- Tak, wydawało mi się, że się mną interesuje.

- Potrafi czytać z ruchu warg. Prawdopodobnie rozpoznał, co mówiłem.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - powiedziała lekceważąco, gdy wysiadali.

Wiedziała, że Newman był na kursie w Surrey, gdzie elementem szkolenia było rozpoznawanie czytających z ruchu warg. Ich oczy się rozszerzają, wpatrują się w cel z wyraźną intensywnością. Ale Paula stwierdziła, że tym razem Newman zapewne się myli. Tweed otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

Marler oparty o ścianę palił papierosa. Lekko ich pozdrowił.

- Długo cię nie było - zwrócił się Tweed do Pauli - ale dobrze, że Newman cię odnalazł.

- Potrafił doskonale nie wchodzić mi w drogę. Mam ci wiele do opowiedzenia.

- Łącznie z twoją wizytą w siedzibie ACTIL-u - wtrącił Marler z uśmiechem. - Zabawne, że drzwi nie były zamknięte. Weszłaś tak po prostu.

- A więc byłam ze wszystkich stron szpiegowana - zachnęła się.

- Powinnaś być wdzięczna - wycedził Marler. - W Altstadt próbowali cię zabić. Nie spodziewałaś się, że Tweed postanowi cię chronić? I ani razu mnie nie widziałaś.

Zdjęła kurtkę, szalik i rękawiczki. Zapadła się w fotel i z wdzięcznością przyjęła podaną przez Tweeda szklankę wody.

- Przepraszani - powiedziała. - Nie powinnam tak mówić. Wiem, że pracujemy w grupie, i jestem wdzięczna za ochronę. Miałam bardzo pracowity ranek. Złości mnie, że znów mi nerwy puszczają i nie potrafię powiedzieć z jakiego powodu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy Newman otworzył, do środka weszli Butler i Nield. Butler nadal miał opatrunek na czole. Nield rozejrzał się wokół.

- Może powinniśmy zostawić was samych?

- Nie - powiedział Tweed. - Paula zrobiła turę w poszukiwaniu informacji. Przypuszczam, że nieźle jej poszło. Więc siadajcie, słuchajcie i zapamiętujcie.

- Opowiem o tych spotkaniach po kolei - zaczęła Paula. - Przed burdą w Altstadt rozmawiałam w barze z Samem Snyderem...

W milczeniu wysłuchali jej sprawozdania. Gdy słowo w słowo powtórzyła rozmowę, Tweed wyciągnął szklanki, napełnił je i podał. Butler nachmurzył się i spojrzał na barek. Tweed skinął głową i wyciągnął butelkę piwa. Szybko się zorientował, że Paula ze swą zdolnością do prowadzenia

przesłuchań wykonała pracę najlepszego śledczego. Lubił jej sposób rozumowania - nieco ryzykowne traktowanie przypuszczeń jak potwierdzonych faktów.

- Tyle o nim - powiedziała po chwili.

- A więc - podsumował Tweed - Snyder nie zaprzeczył, że był w Pinedale i prowadził śledztwo w sprawie innych morderstw. To znaczące.

- Jeżeli to nie on je popełnił - zasugerował Newman.

- Teraz wiemy również, że znał Elenę Brucan. Uderzyło mnie, że znał za wiele osób odgrywających role w tym dramacie. Do tego ostrzegł cię, że nasłano na ciebie zabójcę, a powiedział to przed atakiem w Altstadt.

- To możliwe - wtrącił Marler. - Tak jak Rob i ja on także ma kontakty w świecie przestępczym. Wspomnił o poczcie pantoflowej.

- Chyba że to on stoi za kontraktem i stara się uprzedzić nasze podejrzenia - wtrącił Newman.

Paula przeszła do wizyty w siedzibie ACTIL-u, której celem było spotkanie z Arbogastem.

- To wtedy zobaczył mnie Marler widmo - powiedziała z zagadkowym uśmiechem.

Opisała szok, jaki przeżyła, gdy natknęła się na Brodena siedzącego w biurze na miejscu Romana. Tak żywo opowiedziała im przebieg rozmowy, że mieli wrażenie, że sami tam byli. Zakończyła informacją o spotkaniu Romana i umówieniu się z nim na trzecią po południu.

- Broden to twardy facet - zauważył Newman. - SIB? Special Investigation Branch. Znałem kogoś stamtąd. Potrafią działać bardzo ostro i często im się to zdarza.

- I Broden - zauważył Tweed - praktycznie przyznał, że częściej niż raz latał do Maine. To ważne.

Paula poprosiła o więcej wody. Od ciągłego mówienia zaschło jej w gardle. Wypiła całą szklankę i podsumowała

swoją analizę. Potem opisała spotkanie u Sprungliego. Ponownie wszystkim wydało się, że byli uczestnikami opisywanej sceny. Kobieta, którą Paula wzięła za Elenę Brucan, przybycie Marienetty, ich rozmowa i wkroczenie Black Jacka.

Tweed nie spuszczał z niej wzroku. Miała wrażenie, że spostrzegł coś ważnego, co przedtem uchodziło jego uwagi. Cóż to mogło być? Skończyła z westchnieniem.

- Tak - skomentował Tweed. - Marienetta знаła Elenę w Londynie.

- Zauważyłam to - zgodziła się Paula. - Boże! Zapomniałam o ciastku. Otworzyła swoją pojemną torbę, ostrożnie wyjęła kartonowe pudełko i podała Newmanowi. - Rob, to dla ciebie. Bóg raczy wiedzieć, w jakim jest stanie.

- Jest raczej zimno - powiedział Newman i otworzył pakunek. Ciastko okazało się nietknięte, więc od razu zaczął je smakować. - Świetne. Byłem głodny.

- Możesz podziękować, opowiadając wszystkim o mojej konfrontacji ze Snyderem, gdy drugi raz do niego poszłam. Byłeś tam, a mnie już głos wysiada...

Tweed spokojnie wysłuchał relacji. Newman nie potrafił opowiadać tak żywo, ale dokładnie zrelacjonował rozmowę.

- Potem wyszliśmy, zostawiając tego szczwanego lisa - zakończył.

- Odkryliście, że Snyder znał Elenę, zanim tu przyleciał. To znaczy w Londynie. To może mieć znaczenie. - Tweed zamilkł i rozejrzał się po wszystkich. - Możecie być przygniecieni lawiną usłyszanych właśnie informacji. Mogę je uprościć.

- Jeżeli potrafisz, to proszę - powiedział Nield.

- Paula więcej dokonała w jeden dzień niż większości z nas udałoby się zrobić w tydzień. Spotkała się z Brodenem i tę rozmowę uważam za ważną. Broden to tajemnicza postać i

wątpię, aby opowiedział Pauli wszystko o sobie. Nie możemy o nim zapominać. Elena Brucan jest kluczową postacią. Teraz wiemy, że знаła ich wszystkich, więc kogo tak zdenerwowała, że postanowił ją zabić?

- To mógł być każdy - stwierdził Nield.

- Może. Gdy to wszystko się działo, ja miałem starcie z panem wiceprezydentem.

I Tweed opowiedział, co się zdarzyło.

- Wydaje mi się interesujące, że Straub był obecny na miejscu wszystkich morderstw. Do tego był dzisiaj bardzo zdenerwowany. Dlaczego? Opowiem Beckowi o moim pojedynku. Myślę, że będzie chciał się z nim spotkać. A teraz proponuję spóźniony lunch.

- A ja muszę szybko wyjść - powiedziała Paula, patrząc na zegarek. - Nie jestem głodna, a o trzeciej mam spotkanie z Arbogastem.

Luigi Morati, teraz udający bankiera Aldo Moldano, za pomocą fałszywego paszportu zarezerwował pokój w Baur au Lac. Gdy Paula pospieszyła do windy, pozostał jeszcze przez chwilę w holu, lecz zaraz potem schował papiery, podążył za nią i odczytał numer piętra, na którym winda się zatrzymała.

Pobiegł schodami i zdążył zobaczyć, jak po wyjściu z windy ruszyła szybkim krokiem do pokoju. Śledził ją ostrożnie. Wyglądając zza rogu, widział, jak wkłada do zamka kartę kodową i znika za drzwiami.

Ruszył korytarzem i zapamiętał numer pokoju. Karta kodowa, która ponoć miała być bezpieczna, gdyż kod zmieniano zaraz po wyjeździe gościa, nie stanowiła żadnego problemu. Miał amerykańskie urządzenie pozwalające na otwarcie takich drzwi w ciągu minuty. Wrócił do siebie.

Luigi już dawno temu uświadomił sobie, że najważniejszą cechą płatnego mordercy jest cierpliwość.

Zawiódł na całej linii w Altstadt. To nauczyło go, że zabicie Pauli na ulicy w Zurychu to zła taktyka. O wiele bezpieczniej będzie wyeliminować ją w jej pokoju podczas wczesnych godzin porannych. A droga ucieczki? Zejście przeciwpożarowe na końcu korytarza. Sprawdzi to później.

Rezerwując pokój, zapłacił gotówką za miesiąc z góry. Wy tłumaczył w recepcji, że być może będzie musiał nagle wyjechać do Niemiec, ale chce mieć pewność, że pokój będzie na niego czekał.

To była mądra ostrożność. W Szwajcarii za jedno z haniebnych przestępstw uważa się opuszczenie hotelu bez zapłacenia rachunku. Zdecydował się na lunch gdzieś na mieście, prawdopodobnie w Baur en Ville.

Paula pospieszyła do swojego pokoju, aby się doprowadzić do ładu przed spotkaniem z Romanem. Gdy otwierała drzwi, kątem oka uchwyciła jakiś cień w korytarzu, ale gdy szybko spojrzała w tę stronę, nie było już tam niczego. Trzymaj nerwy na wodzy, pomyślała.

W drodze na spotkanie z Romanem zobaczyła w holu Newmana rozmawiającego z recepcją. Zamawiał sześć biletów kolejowych pierwszej klasy na ekspres do Lugano następnego dnia. To była odpowiedź Tweeda na informację Pauli o biletach z koperty dla Arbogasta. „To tylko środek ostrożności - stwierdził Tweed. - Myślę, że dotarliśmy do etapu, w którym wróg zacznie wykonywać działania pozorne, mające nas zmylić”.

Po opuszczeniu hotelu pospieszyła opustoszałą o tej porze dnia Bahnhofstrasse. Temperatura jeszcze spadła. Powietrze było iście syberyjskie. Nad głową wisiały ciężkie ciemne chmury.

Przed skruceniem w ulicę prowadzącą do ACTIL-u zatrzymała się na chwilę. Było całkiem pusto i ciemno niemal

jak w nocy. Widziała taśmę policyjną zamykającą odległy kraniec ulicy, ale żadnego funkcjonariusza ani jakiegokolwiek żywej duszy. Wyglądało to nieprzyjaźnie.

Spojrzała w górę na budynek znajdujący się po drugiej stronie ulicy. Żadna lampa nie paliła się w biurze Romana. Wszystkie okna w budynku były ciemne. Dziwne. Zerknęła na zegarek. Była dokładnie trzecia po południu.

Zaciskając zęby, przeszła przez ulicę. Drzwi były zamknięte. Kilkakrotnie nadusiła dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Powoli położyła dłoń na klamce, ale drzwi nie ustąpiły.

Zdumiało ją to i lekko zaniepokoiło. Zapamiętała uwagę Romana na temat punktualności. Chyba jeszcze bardziej się ściemniło. Zdecydowała, że to niemądre pozostawać dłużej na tej pustawej ulicy. Wróciła w stronę Bahnhofstrasse. Nie zauważyła Nielda ukrytego w przejściu. Śledził ją od wyjścia.

Co mogło się stać z Romanem? Zaniepokojona wróciła do hotelu. Zauważyła, że za ladą nie ma już poprzedniego idioty. Stał tam teraz mężczyzna, którego przedtem nigdy nie widziała. Zbliżyła się do recepcji.

- Czy mógłby pan zadzwonić do pokoju pana Arbogasta? Chciał się ze mną spotkać.

- Nie ma go w hotelu - recepcjonista spojrzał na paletę z kluczami. - Jest gdzieś na zewnątrz.

- Widzę, że jest pan nowy - powiedziała.

- Tak. - Recepcjonista wydał wargi i uśmiechnął się. - Tamten był tylko czasowo i wyjechał do pracy gdzie indziej.

Uświadomili sobie, że był marny - pomyślała, jadąc windą w górę. W apartamencie Tweeda zastała resztę grupy. Nield dołączył do nich, gdy opowiadała o daremnej wycieczce do siedziby ACTIL-u.

- To bardzo dziwne - stwierdził Tweed. - Arbogast był zawsze bardzo punktualny. Co mogło się z nim stać?

- Nic - odparł Newman ponuro - w porównaniu z tym, co się przytrafiło innym.

Paula zdjęła kurtkę i usiadła w fotelu tak, by widzieć wszystkich. Doszła do wniosku, że to dobry moment na podzielenie się z innymi przemyśleniami na temat niektórych kluczowych czynników.

- Topór - zaczęła - którego to używa do ucinania głów ofiar, musiał być przewożony, więc jak tego dokonano? Trzeba było go przewieźć z Maine do Brytanii, a potem tutaj...

- Przerwę ci na moment - wtrącił Tweed. - Właśnie Beck poinformował mnie, że zdaniem Zeitzlera do zamordowania Brucan użyto tej samej broni. Zeitzler porównał własne zdjęcia z materiałami z Bostonu. Więc masz rację. W jakiś sposób ta dość kłopotliwa broń była z sukcesem przewożona z miejsca na miejsce.

- To przeraża - ciągnęła Paula - ale być może stanowi klucz do sprawy. W tym samym pojemniku przewożono pień egzekucyjny. Znalazłam jego odciski na ziemi w pobliżu szpitala psychiatrycznego w Pinedale. Ten sam kształt zauważyłam również odcisnięty w plamie krwi na łodzi na rzece Sihl, gdzie zaszlachtowano Elenę Brucan. W pobliżu opactwa Grange w Bray, gdzie zamordowano Holgate'a, użyty pień został na miejscu.

- Jaki to musiał być pojemnik? - spytał Nield.

- Może wzmocniona waliza lub wielka teczka? - zastanawiała się Paula, pochylając się do przodu w celu podkreślenia wagi tego, co zamierzała powiedzieć. - To, co zabójca nosił ze sobą, musiało wyglądać niewinnie. Nie mogło wzbudzać ciekawości. Poza tym nie zapominajmy o trzech zaginionych głowach.

Wszyscy rozważali ponury obraz przedstawiony przez Paulę i w pokoju zapanowało milczenie. Stojący przez cały

czas Tweed zacisnął ręce.

- Zdaje się, że wymyśliłaś coś genialnego - stwierdził. - Do czego doszłaś? Dlaczego zostały zabrane? Co się z nimi stało?

- Nie myślcie, że zwariowałam - odparła - ale podejrzewam, że głowy były transportowane w tym samym pojemniku, choć nie mam pojęcia dlaczego.

- Przypomniałaś mi o czymś - wtrącił Tweed. - Zeitzler chce, aby ktoś z nas odwiedził kostnicę w celu identyfikacji głowy Eleny. Wiem, że przeżyłaś horror na brzegu Sihl, ale Zeitzler jest bardzo skrupulatny. Mówi, że musi mieć identyfikację, której nie można podważyć.

- Więc pójdę do kostnicy - odparła Paula ze spokojem.

- Nie sama - zapewnił Newman.

- Ja pójdę z Paulą - oświadczył Tweed. - Oboje rozmawialiśmy z Eleną twarzą w twarz. Albo Newman może pójść ze mną zamiast ciebie.

- Ja pójdę - powiedziała z uporem. - Jestem jej to winna.

Beck zawiózł ich osobiście do kostnicy. Podjeżdżając pod budynek, przeprosił ich za tę niedogodność, ale Tweed uciszył jego przeprosiny machnięciem ręki. Szwajcar dodatkowo przeprosił Paulę, zaznaczając ponownie, że jej obecność nie jest konieczna.

- To część mojej pracy - powiedziała sucho. - Jestem członkiem grupy tak samo opłacanym jak inni. Załatwmy to wreszcie.

Było już ciemno, co nie poprawiało im nastroju. Zeitzler poczekał, aż ktoś z jego pracowników otworzy drzwi prowadzące do wyłożonego kamieniem holu. Podeszli do następnych drzwi, za którymi znajdowały się wiodące na dół kamienne schody, jak się Pauli wydawało, niemal do trzewi ziemi.

Po minięciu kolejnych drzwi znaleźli się w jasno oświetlonym jarzeniówkami pokoju. Tutaj wszystko było nowoczesne: stoły z metalowymi blatami wyszorowanymi do czysta, kamery na uchwytach teleskopowych, które można było ustawiać pod dowolnym kątem i na dowolnej wysokości.

Paula i Tweed musieli zdjąć wierzchnie okrycia, a Szwajcar z końską twarzą podał im specjalne stroje: białe kombinezony zapinane pod szyję, lateksowe rękawice i gumowe buciory, które naciągnęli na własne buty, oraz maski z aparatami tlenowymi i otworami na oczy.

Gdy Zeitzler otworzył ciężkie drzwi, Paula zaczerpnęła głęboko powietrza. Dopasowała maskę i znany zapach dotarł do jej nozdrzy - niemożliwa do pomylenia z czymś innym silna woń formaliny.

Doskonale nad sobą panowała, gdy Zeitzler poprowadził ich do mniejszego pomieszczenia, gdzie ściany zabudowano szufladami do przechowywania ciał. Weszła do środka w ślad za Zeitzlerem. Na stole leżało coś przykrytego ciężkim białym materiałem. Zeitzler spojrzał na Paulę.

- Gotowa? Jeżeli będzie potrzeba, toaletę znajdzie pani zaraz za drzwiami - chciał jej oszczędzić kłopotów.

Spojrzała na niego i kiwnęła głową. Schwycił materiał od góry i szybko go usunął. Jej palce wewnątrz rękawic zacisnęły się.

Zobaczyła głowę Eleny Brucan odciętą tuż pod podbródkiem. Jej oczy spoglądały na wskroś formaliny z wielkiego słoja ze szklaną pokrywą. Paula spoglądała na ten ponury szczątek jak skamieniała. Patrzyła wprost w oczy Eleny, które - takie miała wrażenie - usiłowały przekazać jej jakąś wiadomość. Czysta wyobraźnia. Palcem wskazała na naczynie.

- To coś nazywamy w Brytanii słojem laboratoryjnym.

- Tak - potwierdził Zeitzler głosem stłumionym przez maskę.

- To właśnie to - powiedziała, ciągle wskazując na coś palcem.

- Co? - spytał Tweed.

- Tego użyto do przewożenia głów.

- Nie sędzę, aby w kieszeniach Eleny coś znaleziono, ale na wszelki wypadek ludzie Becka i Zeitzler przejrzą je dokładnie - powiedział Tweed w zamyśleniu, podnosząc kołnierz płaszcza, gdyż nocne zimno stawało się dotkliwe.

Beck podwiózł ich pod wejście do hotelu, lecz zaszli do parku naprzeciwko. Tuż przed opuszczeniem kostnicy Paula uparła się, by przejrzeć ubranie. Tweed jej ustąpił, choć uważał, że to strata czasu.

- Nic nie znalazłam - przyznała - ale na coś trafiłam.

- Nie mów zagadkami.

- Ty zawsze tak robisz.

- No o co chodzi? - spytał zirytowany.

- Przekonałam się, że czegoś brakuje. Czy pamiętasz wyszywaną chustę, którą zawsze nosiła? Zginęła.

- Czy mogła zostać zdjęta... - Tweed ostrożnie sformułował zdanie - zanim zabójca wykonał swe szatańskie dzieło? Mogła mu przeszkadzać, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- Więc co się z nią stało?

- Prawdopodobnie wrzucił ją do rzeki.

- Nie sędzę. Prosiłam Becka o przeczesanie rzeki w poszukiwaniu zagubionej głowy.

- Przecież głowa nie zginęła.

- Przepraszam, jestem zmęczona. Prosiłam go o przeczesanie rzeki w celu znalezienia czegokolwiek, co mogłoby być kluczem do sprawy. Zrobili to. Nawet posłali nurków do sprawdzenia dna. Chusty w rzece nie było.

- Teraz przyszło mi do głowy, że zabójca lubi wodę. W Maine morderstwo zostało dokonane blisko Atlantyku. Ciało znaleziono w szczelinie tuż nad poziomem fal sztormowych. W Bray ciało Holgate'a było zanurzone w odnodze Tamizy.

Potem w Montreux ciało Seale'a pływało w jeziorze. Zbyt częste, by uznać to za zbieg okoliczności.

- I - dodała Paula - ciało Eleny znalezione na łodzi na brzegu Sihl. Co to znaczy? Czy znamy kogoś, kto lubi żeglować?

- Na razie nie.

- Mam nieodparte wrażenie, że jakaś istotna uwaga na ten temat gdzieś padła, na pewno, ale nie mogę sobie przypomnieć jaka, kto był jej autorem i kiedy. A było to niedawno.

- Przestań o tym rozmyślać. Wyczyść głowę, a samo nadpłynie w podświadomości.

- Jestem przekonana, że to bardzo ważne - upierała się. - Jedna z tych przypadkowych uwag dających szansę rozwiązania. I ciekawa jestem, czy ten, kto tę uwagę wypowiedział, zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Może stąd ten atak na mnie w Altstadt? Dlaczego na mnie? Ponieważ wiem za dużo, ale nie wiem co.

- Daj sobie z tym spokój.

Tweed przyglądał się cieniom w parku za hotelem. Był pewien, że zauważył jakiś ruch. Wsunął rękę do kieszeni marynarki i zacisnął dłoń na rękojeści walthera. Uznał, że lepiej będzie, jeśli szybko wejdą do środka.

- Wracamy prosto do hotelu. Teraz...

Luigi spacerował po parku, sprawdzając teren. Spostrzegł zbliżającego się do wejścia Tweeda z Paulą u boku i przez chwilę pomyślał, że to dobry moment na atak, ale gdy wyciągnął glocka, spostrzegł, że Tweed wpatruje się w miejsce, gdzie skrył się w cieniu. Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Poczekaj do środka nocy i gdy będzie spała, wykona robotę w jej sypialni. Potem wyjdzie z hotelu drogą przeciwpożarową.

Mógłby wyjechać z Zurychu samochodem, który wynajął pod fałszywym nazwiskiem. Gdyby szczęście mu dopisało, minąłby granicę z Austrią, zanim ciało zostanie znalezione. Zabawiłby tam kilka tygodni i zapuścił brodę, która zmieniłaby całkowicie jego wygląd. Potrafił planować z wyprzedzeniem. Tylko dlatego jeszcze żył.

- Jediną osobą, jakiej nie miałam szansy przepytac - zauwazyła Paula, gdy wchodzili do hotelu - jest Sophie.

- Trudno sobie wyobrazic, aby miala z tym cos wspolnego - skomentowal Tweed.

- A ile miales przypadkow, gdy winna byla osoba najmniej podejrzana?

- Calkiem sporo - przyznal.

- Zamierzam cie opuscic - powiedziala nagle. - Jest Sophie. Siedzi sama w foyer. Tylko troche tu tloczno.

Gdy Paula zblizyła sie do Sophie, ta podnosila szklanke, by wypic drinka. Na stoliku stala niemal pusta butelka dzinu. Czy byla na rauszu?

- Brakuje mi towarzystwa - zaczela Paula, zdejmujac kurtke. - A moze wolisz zostac sama?

- Skadze, jestem w takim samym stanie jak ty - rozejrzala sie dokoła. - Tutaj nie bedziemy mogly spokojnie rozmawiac. Chodzmy do mojego pokoju.

W milczeniu wjechaly winda na drugie pietro. Sophie miala pokoj od frontu z widokiem na wejscie. Paula rozejrzala sie zdumiona. Wszedzie staly walizy, niektore ogromne. Dwie szafy byly otwarte, a w nich wszystko starannie poukladane, co zaskoczylo Paule, gdyz uwazala Sophie za balaganiare.

- Zdejmij kurtke - powiedziala gospodyni i otworzyla szafe z ubraniami.

Kocha ciuchy, pomyslala Paula, lustrujac wieszaki i siadajac w fotelu. Zauwazyła takze, ze mimo wypicia znacznej

ilości alkoholu Sophie porusza się sprawnie i zwawo. Była wysoka i wysportowana.

- Wezmę sobie drinka - powiedziała, jakby to miał być pierwszy tego dnia. - Co pijasz?

- Poproszę kieliszek Chardonnay, jeżeli to nie jest dla ciebie problem.

- Problem? Mam tylko jeden. I nie potrafię sobie z nim poradzić.

Zniknęła w łazience. Kiedy pojawiła się z powrotem, trzymała wetknięte pod pachą dwa kieliszki z rżniętego szkła, w jednej ręce butelkę Chardonnay, a w drugiej - szkocką. Nalała drinki i usiadła naprzeciw Pauli. Stuknęły się kieliszkami.

- Za morderstwo.

- Chyba raczej za rozwiązanie tajemnicy morderstw, których świadkami byliśmy w ostatnich tygodniach?

- Przyprowadziłam cię tutaj, aby Marienetta nas nie zdybała. Choć to mało prawdopodobne, bo zniknęła.

- Naprawdę? To zdaje się tak samo jak twój ojciec.

- Miejmy nadzieję, że na stałe - zachichotała, wypijając pół szkockiej.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała Paula.

- Oczywiście.

Takiej Sophie Paula jeszcze nie widziała. Mówiła łagodnie, bez złośliwości, niemal obojętnie. Miała na sobie suknię z czarnego aksamitu z wąskimi pasami na silnych ramionach. Brunatnych włosów nie związała tym razem w koński ogon i spływały jedwabistą falą na ramiona, sięgając łopatek. Była zgrabna i atrakcyjna. Szare oczy w czasie rozmowy ożywiały się i połyskiwały jakby zaszklone. Przyciągały uwagę Pauli, która miała wrażenie, że potrafią hipnotyzować i że zaraz sama ulegnie ich wpływowi. Spojrzała w bok, zamrugła i rozejrzała się po pokoju.

- Masz całe tony bagażu.

- Lubię stroje. Powinnaś zobaczyć kolekcję Marienetty. Wielkie walizy. Potrafi nieść dwie jak papierowe torby. Jest wytrzymała i silna.

- Dużo się kłócicie? - spytała Paula, przypominając sobie policzek wymierzony Sophie przez Marienettę. - A jak było, gdy byłyście młodsze?

- Walczyłyśmy jak pies z kotem. Ona była starszą siostrą, a ja zbędnym bagażem. Aż pewnego razu miałam dość i omal nie złamałam jej szczęki.

- Jak ci się to udało?

- Zwędziłam swojemu chłopakowi kastet i włożyłam rękawiczki, żeby go ukryć. Gdy ją uderzyłam, wywineła kozła do tyłu - zachichotała. - Przez tydzień leżała w szpitalu. Potem dała mi spokój - zaśmiała się ponownie.

Oczy Sophie znowu zwilgotniały i Paula drugi raz odniosła wrażenie, że wciągają ją w głąbie. Denerwowało ją to. Pociągnęła łyk Chardonnay, a Sophie znów naląła sobie szkockiej. Siedziała prosto z łokciami na kolanach. Nagle zapadła się w fotel, położyła głowę na oparciu i spojrzała w sufit. Czy był to efekt alkoholu?

- Jak myślisz, kto popełnił te okropne morderstwa? - zaatakowała ją Paula pytaniem.

- Może George Karazov. Czytałam taką książkę, „Naśladowcy”. To było o Karazovie. Zwykł kroić swe ofiary na plastry jak mięso. Wydawało się, że bez potrzeby. Raz wślizgnął się do kostnicy, gdzie na blacie leżało jedno z jego osiągnięć. Zrobił masę zdjęć i wymknął się cichaczem. Posłał zdjęcia do FBI z napisaną na maszynie notatką: „Ode mnie. Nigdy mnie nie złapiecie”. I nigdy nie złapali. Może znów się pojawił?

Paula знаła przypadek Karazova, ale zdziwiła ją reakcja Sophie. Poczwała się nieswojo, lecz parła dalej:

- Powiedziałaś: „Wydawało się, że bez potrzeby”. Co miałaś na myśli?

- Miał nóż. Dlaczego po prostu nie poderżnął im gardła i byłoby po wszystkim?

- Powiedziałaś także „osiągnąć”. Nie rozumiem, co miałaś na myśli.

- Hm... Przypuszczam, że ta robota dawała mu zadowolenie. - Sophie nagle wyprostowała się w fotelu i utkwiała wzrok w Pauli. - Jak myślisz, kim jest ten facet?

- Na razie trudno powiedzieć.

- Ale musicie już mieć jakieś dowody. Do czego prowadzą? - spytała gwałtownie.

- Nie mamy nic szczególnego. Musimy czekać, aż popełni błąd.

- Jeszcze go nie popełnił?

- Nie jestem pewna. Musimy czekać - powtórzyła.

- Jeżeli Karazov powrócił do życia, będziecie czekać w nieskończoność. Jest za bystry. Ma także wielkie doświadczenie.

- Tak. - Paula zamilkła na chwilę. - Ale myślę, że to nie Karazov. Teraz muszę wracać, bo zaczną się niepokoić, co się ze mną stało. Przyjemnie było z tobą pogawędzić - skłamała.

Normalna czy nienormalna? Zastanawiała się, wracając, by zdać raport Tweedowi. Prawie nie miała wątpliwości, jaka powinna być odpowiedź.

Mercedes był jednym z niewielu samochodów jadących nocą drogą koło Zurychu. Ed Danvers zaparkował w pobliżu jeziora. Od spokojnej tafli przypominającej czarne zwierciadło oddzielał go tylko szeroki, płaski mur spadający stromo do wody. Na miejscu pasażera siedział sztywno wyprostowany i spięty Russell Straub.

- Tweed staje się problemem - powiedział ponuro. - Należy go zmusić do porzucenia śledztwa.

- Dlaczego, proszę pana? - chciał się dowiedzieć agent FBI.

- Ponieważ odkrycie zabójcy stanie się światową sensacją. A lepiej, żeby tak nie było.

- Czy myśli pan o zamordowaniu Foleya?

Straub odwrócił głowę i spojrzał na przyciemnione okno pokryte szronem. Nie było ryzyka, że ktoś go zobaczy. Przyłożył do ust cygaro.

- Nigdy nie palę publicznie. Antynikotynowe lobby to wiele głosów.

- Czy jest pan zaniepokojony śmiercią Foleya? - naciskał Dan-vers. - Czy dlatego, że pański dom znajduje się w Pinedale, w pobliżu miejsca, gdzie został zabity? To miałyby się stać pożywką dla prasy? - Instynkt agenta FBI podpowiadał mu, że nie taka była przyczyna niepokoju Strauba.

- Przecież, do cholery, znasz prasę. „Washington Post” mnie nie lubi.

- Jeżeli śledztwo Tweeda niepokoi pana z innego powodu, powinienem o tym wiedzieć. Inaczej działam po omacku.

- Nie ma żadnego innego powodu - warknął Straub. - I nie zapominaj, że gdy zostanę prezydentem, wywalę na zbity łeb Corda Dillona. Mogę cię wsadzić na jego miejsce równie łatwo, jak zapaliłem to cygaro. Ale mogę też - jego ton stał się groźny - zostawić cię w Londynie, byś gnił tam do śmierci.

- Chyba nie proponuje pan, bym najał kilku zbirów do usunięcia Tweeda?

- Czy podejmowałbym takie ryzyko, Ed? - spojrzał na agenta i uśmiechnął się wymuszenie. Jego głos nie zabrzmiał przekonująco.

- Sądzę - powiedział Danvers powoli - że mógłbym wyrzucić na Szwajcarów dyplomatyczną presję, by pozbyli się Tweeda z kraju.

Jakaś postać w prochowcu i filcowym kapeluszu naciągniętym na twarz przeszła wzdłuż muru. Przechodzień zajrzał do auta przez przednią szybę odmrożoną przez Danversa i zaraz zniknął.

- Kto to, u diabła, był? - warknął Straub. - Patrzył wprost na mnie.

- Jakiś Szwajcar na przechadzce. Czy chce pan wracać do hotelu?

- Tak. I nie zapomnij, że do tej pory dość dobrze nam się współpracowało. Do tej pory... - powtórzył, odwracając się w stronę Danversa z wymuszonym uśmiechem.

Mężczyzna w prochowcu kontynuował swą wypoczynkową przechadzkę, dopóki mercedes nie odjechał. Potem Marier wrócił do kupionego w Zurychu motocykla.

Stał akurat przed wejściem do hotelu, gdy na szeroki, wygodny parking podjechał mercedes z Danversem za kierownicą. Z hotelu natychmiast pospieszył wiceprezydent, który szybko wskoczył na przednie siedzenie.

Zaintrygowany Marler ruszył za autem, śledząc je z bezpiecznej odległości, póki nie zatrzymało się nad jeziorem. Teraz mógł Tweedowi zdać sprawę z tego, co widział.

Ledwie Paula zdążyła opowiedzieć o swoim spotkaniu z Sophie, w apartamencie Tweeda zadzwonił telefon. To była Monica. Po krótkiej wymianie zdań połączyła Tweeda z dyrektorem Howardem. Rozmowa przeciągała się i Paula zorientowała się, że wieści są niedobre. Wreszcie odłożył słuchawkę.

- Kłopoty? - spytała.

- Niektórzy mogliby to tak nazwać.

Przed telefonem Tweed wyglądał na zdenerwowanego. Teraz był niemal beztrocki. Wziął ją za ramię i posadził w fotelu, a sam zajął miejsce naprzeciw.

- Monica przeszła samą siebie. Usiłując zbudować drzewo genealogiczne rodziny Arbogastów, odkryła, że Vincenzo, stryj Romana, który osiedlił się w Stanach, miał troje dzieci. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Drugi brat Mario, który także wyemigrował z Rzymu do Stanów, też się ożenił i miał syna i córkę. Córka urodziła się w Wielkiej Brytanii. Na razie nie znamy imion dzieci. Drzewo genealogiczne powoli się wypełnia. Potem Howard powiedział mi, że był dwukrotnie wzywany przez premiera. Nathan Morgan, nowy szef Wydziału Specjalnego, jedzie tu, aby eskortować mnie do domu.

- Pojedziesz?

- Oczywiście, że nie, ale naciski rosną. Podoba mi się, że ujawniają się coraz bardziej. To dowodzi, że władza jest istotnym czynnikiem w tym śledztwie. Powtarzam, że problemem jest odkrycie wielkiego sekretu, który starają się ukryć. Naprawdę potężne siły muszą być w to zaangażowane, skoro premier dzwonił w sprawie Holgate'a. Zauważyłaś, że próbują ciąg brutalnych morderstw traktować jak oddzielne przypadki?

- A ty wyglądasz całkiem beztrocko.

- Dane Moniki zaczynają pasować do moich domysłów. Posuwamy się naprzód.

- Nie zamierzam pytać cię, jakich domysłów - powiedziała kpiąco.

- Na to jeszcze za wcześnie.

- A co myślisz o mojej dziwnej rozmowie z Sophie?

- Pouczająca. Ciekawe, że zwykle zachowuje się tak spokojnie, że o niej zapominamy.

- A Abraham Seale mówił, że ludzie nie zrównoważeni przez większość czasu wydają się normalni. Lub coś podobnego.

- Dochodzimy do tego. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- Niemal padam z nóg. Chyba pójdę prosto do łóżka i będę spała jak zabita. Och! Dość niefortunne określenie.

Po drodze do swego pokoju Paula natknęła się na Marienette ubraną w podbity futrem płaszcz przeciwdeszczowy. Szybkość jej ruchów jeszcze bardziej uświadomiła Pauli, jak bardzo jest zmęczona.

- Myślałam, że przepadłaś - powiedziała Paula.

- Byłam na wędrownie od baru do baru, zapewne ostatniej tutaj. Możemy powiedzieć, że zabawiałam się w detektywa. Mam ci masę do opowiedzenia - ścisnęła Paulę za ramię. - Ani kroku dalej. Tu jest mój pokój, więc wstąp na drinka. Daj się namówić, to pogadamy.

Paula stłumiła ziewanie. Może powinna jej wysłuchać? Marienetta zdawała się triumfować. Jej wielki pokój niewiele się różnił od pokoju Sophie. Wszędzie stały olbrzymie walizy, czasem jedna na drugiej.

- Dla ciebie Chardonnay - powiedziała Marienetta wesoło. - Szkocka dla mnie. Dobrze mi zrobi po tych szaleństwach. Zgadnij, z kim byłam. Gęba mu się nie zamykała. Black Jackowi oczywiście. Gadał i gadał, więcej, niż należało.

Nalewając drinki, usiadła na kanapie na wprost Pauli, która zajęła inną kanapę. Stuknęły się i Marienetta pociągnęła wielki łyk, opróżniając kieliszek do połowy. Miała na sobie długą suknię dopasowaną do koloru włosów. Wokół smukłej talii obwiązała zielony pas z jubilerską klamrą. Skrzyżowała nogi.

- Odwiedziliśmy sześć barów. Black Jack był w topowej formie. Zgaduję, że wpelzł do łóżka, nie zdejmując ubrania. Choć miał ochotę zdjąć moje, kiedy mówiłam mu dobranoc. Musiał być kompletnie zalany. Nie potrafił użyć klucza. Nie nabierał mnie. Pochłania trunki jak beczka bez dna. A potem mówi rzeczy, których by normalnie nie powiedział.

- Przejdź do meritum.

- Pojawił się temat kary śmierci. Jack oświadczył, że jest jej zwolennikiem. Powiedział, że bez niektórych ludzi świat byłby lepszy i że z kilkoma już sobie poradzono.

- Jesteś pewna, że tak powiedział?

- Przytaczam dokładnie jego słowa. Powiedział, że ma listę ludzi, którzy nie powinni dłużej chodzić po tym świecie. Spytałam go, kto na niej jest. Obawiał się mi powiedzieć, twierdząc, że reklama to ostatnia rzecz, jakiej nam potrzeba. Spytałam, co znaczy „nam”.

- I co?

- Odpowiedział, że ogólnie światu, co nie zabrzmiało sensownie. Muszę sobie dolać. Tobie też?

Paula pokręciła głową. Gdy Marienetta nalewała sobie kolejną dużą porcję szkockiej, zastanawiała się, co powinna teraz powiedzieć. Marienetta usiadła i wpatrzyła się w nią. Jej kocie oczy błyszczały.

- Powiedz mi - odezwała się Paula, ostrożnie wypowiadając słowa - czy ostatecznie przyznał się do zabicia którejś z zamordowanych osób?

- Powtórzyłam ci dokładnie jego słowa, a mam dobrą pamięć do rozmów.

- Więc ostatecznie nie przyznał się do żadnego konkretnego zabójstwa?

- Możesz to, co powiedział, interpretować według własnego uznania. - Marienetta wzruszyła ramionami. - Wszystko to nastąpiło po kilkugodzinnych rozmowach na inne

tematy, chociaż on wciąż wracał do jednego, w kółko opowiadając, jak lubi żeglowanie i że mógłby mnie zabrać na Jezioro Zuryskie. Odpowiedziałam, że innym razem. No to jak mnie oceniasz jako detektywa i współpracowniczkę?

- Myślę, że dobrze sobie poradziłaś.

- I opowiesz to wszystko Tweedowi? Powinien wiedzieć. To może być przełom. Jack dużo podróżuje. Dzięki uprzejmości stryja często lata gulfstreamem do Bostonu.

- Och, a gdzie jest Roman? Wydaje się, że zaginął.

- Nie mam pojęcia. Robi, co mu się podoba. Niechętnie ujawnia swoje plany.

- A ty gdzie się wybierasz? - spytała Paula, patrząc na sterty bagaży.

- Ach, to. Lubię być gotowa do wyruszenia w każdej chwili. Muszę, gdy Roman jest w pobliżu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chyba wyruszę teraz do łóżka. Miałam raczej męczący dzień - powiedziała Paula, wstając.

- Zostawiłaś połowę swego pieprzonego drinka! - stwierdziła Marienetta tonem bliskim wybuchu. - I zamierzałam posłuchać, jak daleko posunęliście się w śledztwie.

- Z rana, jeżeli nie masz nic przeciwko temu - odpowiedziała Paula, kierując się ku drzwiom. - Wypiłam już wystarczająco dużo drinków, ale dzięki za gościnność.

Marienetta wstała. Jej kocie oczy świeciły się jak robaczki świętojańskie. Podeszła do Pauli i przytrzymała kłamkę.

- Powiedziałam ci wszystko, czego się dowiedziałam, a ty nie powiedziałaś nic.

- Rano. Dobranoc, Marienetto...

Przeszła szybko do swego apartamentu w obawie, że Marienetta pójdzie za nią. Nie poszła. Zmusiła się do wzięcia

szybkiego prysznic. Wciąż była wyczerpana, ale to nie powstrzymało jej przed zrobieniem tego, co powinna zrobić.

Dokładnie o trzeciej rano Luigi w stroju bankiera wyszedł ze swego pokoju. Sprawdził drogę przeciwpożarową, upewniając się, czy będzie mógł z niej skorzystać. Potem z wielką aktówką z glockiem w środku ruszył opustoszałymi korytarzami w stronę pokoju Pauli.

Rankiem Paula obudziła się z pierwszego głębokiego snu od dawna. Naciągnęła szlafrok na pizamę i spojrzała na drzwi.

Przed pójściem spać zastosowała dwa środki ostrożności. Po pierwsze, wcisnęła pod klamkę krzesło. Po drugie, wyciągnęła z walizki gruby gumowy klin, który zawsze wozila ze sobą, i wepchnęła go głęboko pod drzwi.

Teraz drzwi były otwarte na pięć centymetrów. Krzesło zostało przechylone, ale się nie poddało. Naprawdę ocalił ją klin. Ten, kto starał się dostać do jej pokoju, musiał pchać bardzo mocno, ale im mocniej pchał, tym klin silniej blokował drzwi.

Z browniegiem wyciągniętym spod poduszki w ręce wyjrzała przez szparę i nasłuchiwała. Usunęła krzesło, po czym całym ciałem naparła na drzwi. Zsunęły się z klina i zatrzęsnęły. Odetchnęła z ulgą.

Po wzięciu prysznicą szybko włożyła wełniany golf i takąż spódnicę oraz parę wygodnych butów. Przerzuciła przez ramię torbę z browniegiem i ruszyła do Tweeda. Tuż przed nią zjawił się u niego inny gość.

Gdy Tweed otworzył drzwi, znalazł się twarzą w twarz z Nathanem Morganem w niedźwiedzim futrze i futrzanej czapce. Ten strój pogrubiał go i czynił śmiesznym. Tweed wpuścił go do środka, lecz nie zaproponował, by usiadł.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność? - spytał z drwiącym uśmiechem.

W tym momencie zapukała Paula i Tweed podszedł do drzwi, by ją wpuścić. Spojrzała na Nathana i usiadła w fotelu. Powtórzył swoje poprzednie pytanie.

- Sekretnej misji - odpowiedział pompatycznie Nathan. Spojrzał na Paulę i dodał: - Musimy zostać sami.

- Myślałem, że zdołał już pan uświadomić sobie, że panna Grey jest moją osobistą asystentką i od lat ściśle ze mną współpracuje. Jest teraz o krok od zidentyfikowania wielokrotnego brutalnego mordercy przenoszącego się z kontynentu na kontynent.

Naprawdę jestem? - zdziwiła się Paula.

- Co?! - wrzasnął Nathan.

- Nie mam ochoty wszystkiego powtarzać dwa razy - odparł Tweed jak najuprzejmiej.

- Jest tu diabelnie zimno - powiedział Nathan. - O wiele zimniej niż u nas.

Jego płaska twarz zaczęła pokrywać się potem. Miał wielką ochotę zdjąć ciężkie okrycie, ale nikt mu tego nie zaproponował. Ciężko oddychając, zaczął od początku:

- Przyjechałem prosto z lotniska. Moja misja polega na eskortowaniu ciebie z powrotem do Brytanii. - Z kieszeni futra wyciągnął kopertę i wręczył ją Tweedowi.

Po przeczytaniu zadrukowanego arkusza Tweed rzucił go na stół, lecz nie trafił i pismo spadło na podłogę.

- To moje upoważnienie - ciągnął Nathan stanowczym tonem. Rozległo się pukanie do drzwi, które przeszło w gwałtowne dobijanie się. Gdy Tweed otworzył, do pokoju wpadł Beck. Z ponurą miną spojrzał na Nathana.

- Niech mi wolno będzie przedstawić sobie panów - kontynuował Tweed przyjacielskim tonem. - To jest Nathan Morgan, dyrektor...

- ... Wydziału Specjalnego - wtrącił Nathan z emfazą.

- ... dyrektor tymczasowy Wydziału Specjalnego. To angaż próbny. Twierdzi, że przyjechał tutaj, aby mnie eskortować do Wielkiej Brytanii. A to Arthur Beck, szef policji federalnej.

- Człowiek, którego potrzebuję - powiedział Nathan gorliwie i wyciągnął paskudną rękę, którą Beck zignorował.

- Możesz mi pomóc w wypełnieniu mojej misji - powiedział szybko Nathan - i dostarczyć mi eskortę, gdy będę towarzyszył Tweedowi w drodze na lotnisko, aby złapać następny samolot do Wielkiej Brytanii.

- Problem polega na tym - zauważył Tweed - że ja nie zamierzam wracać z tym dżentelmenem. - Spojrzał na Nathana. - Widzę, że muszę wyjaśnić strukturę naszych sił bezpieczeństwa. SIS podlega bezpośrednio premierowi. Wydział Specjalny jest podporządkowany komisarzowi policji. Na podłodze - mówił dalej, odwracając się w stronę Becka - leży głupawy list od ministra spraw wewnętrznych, który pan Nathan uważa za swoje pełnomocnictwo. Nie jest wart papieru, na którym go napisano.

- Protestuję! - Nathan pocił się obficie. - Panie Beck, żądam współpracy w tej sprawie.

- Wydaje mi się, że pańskie pełnomocnictwa nie są wiele warte nawet w Wielkiej Brytanii - stwierdził Beck zimno. - W Szwajcarii zaś nie mają żadnego znaczenia. Jeżeli pan Tweed nie ma nic przeciwko temu, proponuję, aby pan wracał sam.

- To oburzające.

- Oburzający jest pański przyjazd tutaj - wtrącił Tweed spokojnie.

Nathan wepchnął rękawiczki pod pachę i wyciągnął chusteczkę. Przetarł nią czoło i twarz. Nim skończył, chustka była mokra. Paula napełniła szklanę wodą i podała mu.

- Proszę się napić przed wyjściem, bo się pan odwodni.

- Dziękuję - prychnął Nathan.

Paula podeszła do drzwi i otworzyła je. Nathan rozejrzał się wokół zakłopotany. Wypił całą szklanę. Prawdopodobnie gorąco ostatecznie ułatwiło mu decyzję. Ruszył w stronę drzwi, ale tuż przed nimi odwrócił się i spojrzał na Tweeda.

- Możesz być pewien, że napiszę pełny raport o tym incydencie.

- Proszę to zrobić - zachęcił go Tweed.

Po wyjściu gościa Paula zamknęła drzwi i zablokowała zamek. Tweed pomógł Beckowi rozebrać się i szef policji usiadł w fotelu. Wziął szklanę wody podaną przez Paulę, wypił i zaczął przebiegać po szkle długimi palcami.

- Przyszedłem, aby cię poinformować, że powstał problem dotyczący twojego pobytu w Szwajcarii. Ale nie denerwuj się, poradziłem sobie z tym. Być może ten dureń maczał w tym palce, choć nie przypuszczam. Odbyłem długą rozmowę telefoniczną z ministrem w Bernie. Sugerował, abyś nieco wyciszył śledztwo w sprawie tych morderstw.

- Przepraszam - wtrąciła się Paula - ale skąd wiedział o tym, że Tweed jest w Zurychu?

- Dojdę do tego. Nim szlag mnie trafił, pozwoliłem mu nieco pobredzić. Potem powiedziałem, że Tweed jest naszą największą nadzieją na rozwiązanie międzynarodowej sprawy morderstw, które rozpoczęły się w Maine, gdzie już zrobił rozpoznanie. Następne morderstwo popełniono w Wielkiej Brytanii, a teraz mamy dwa w Szwajcarii. Sekcje zwłok zaś wskazują, że odpowiada za nie ten sam zabójca. Potem dałem mu czas na zastanowienie i spytałem, ilu turystów przyjedzie w tym roku, jeżeli międzynarodowy morderca pozostanie na wolności i będzie dalej pozbawiał ludzi głów. A może dla niego nie mają znaczenia pieniądze, jakie turyści zostawiają w naszym kraju? Gdy go poinformowałem, że moim zdaniem jesteś naszą główną szansą na rozwiązanie tego problemu, szybko się wycofał i skończył, życząc ci powodzenia.

- No to miałeś dość trudny dzień, ale uwieńczony sukcesem - powiedział Tweed.

- Paula spytała - kontynuował Beck - skąd wiedział, że jesteście w Zurychu. Odpowiedzią jest Roman Arbogast. Był w Bernie.

- To dlatego zaginął - skomentowała Paula.

- Właśnie wrócił. On także prosił ministra, aby nieco ochłodził twój śledczy zapał. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Ja wiem dlaczego - odezwała się Paula - ale nie naciskaj na mnie, abym to teraz wyjaśniała.

- Po moim wybuchu - powiedział Beck - z tego też się wycofał, używając tych samych argumentów, które mu wcześniej przedstawiłem.

- Władza - powiedział Tweed, akcentując słowo - i walka o nią stanowią kulisy tego wszystkiego. Władza i potęga emanujące z Waszyngtonu.

- To raczej przerażające - stwierdził Beck. - Musi to być coś naprawdę wielkiego.

Na krótką chwilę w apartamencie zapanowała cisza. Każdy zastanawiał się nad tym, co zostało powiedziane. Milczenie przerwała Paula, opowiadając, co zdarzyło się w nocy w jej pokoju. Tweed i Beck słuchali z poważnymi minami.

- To mnie przekonuje - dodała Paula na koniec - że wiem coś, czego nie powinnam wiedzieć. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego...

Tweed wytłumaczył Beckowi, że Paula ma wrażenie, że podczas którejś rozmowy usłyszała jakąś ważną uwagę, ale nie potrafi ustalić, o co chodziło.

- Wiem, co masz na myśli - zwrócił się Beck do Pauli. - Kiedyś w jakiejś poważnej sprawie rozwiązanie wisiało w powietrzu. Była to krótka uwaga rzucona przez kogoś w rozmowie ze mną. Dość długo nie potrafiłem sobie tego przypomnieć. Gdy jednak wyłuskałem to zdarzenie z pamięci, odkryłem, kto był przestępcą.

- Poprosiłem Newmana o zarezerwowanie dla nas biletów kolejowych na pierwszą klasę do Lugano - oświadczył

Tweed i poinformował Becka, że Arbogastowie tam się wybierają, a Paula dowiedziała się o tym przypadkiem.

- Czy Lugano coś ci mówi?

- Tylko że Arbogast ma tam kolejną firmę. To w pobliżu włoskiej granicy. Roman zarabia masę pieniędzy na eksporcie materiałów wybuchowych. To nas niepokoi. Dlatego pojechał na spotkanie z ministrem z dokumentami dotyczącymi ostatniego transportu, który właśnie pociągiem towarowym zdąża na południe.

- Materiały wybuchowe? To dział, którym zarządza Sophie - zauważyła Paula. - A skąd ten niepokój?

- Ponieważ nie znamy ostatecznego miejsca ich przeznaczenia. Po kontroli przejeżdżają granicę i jadą do Genui. Tam są w porcie ładowane na statek. Spokojnie sprawdziliśmy jego trasę. Ładunek ma zawierać butle z tlenem. Tym razem będzie to „Saturn” pod liberyjską banderą. Roman robi interesy z bardzo szacownym pośrednikiem. Tam ślad się urywa.

- Więc co was niepokoi? - powtórzyła Paula.

- Przypuszczamy, że niektóre z tych butli zawierają broń chemiczną.

- A jeżeli tak, to jakie jest miejsce przeznaczenia? - zapytała Paula.

- Gdy znajdą się na pokładzie „Saturna”, mogą trafić dokądkolwiek - stwierdził Beck. - Kto w ACTIL-u odpowiada za materiały wybuchowe i wszelkiego rodzaju uzbrojenie?

- Sophie - niemal szeptem odpowiedziała Paula.

- Mannix - powiedział Tweed. - Pan Mannix zatrzymał się w tym hotelu.

- Co?! - wykrzyknęła Paula. - Był już Mannix widmo w hotelu w Montreux. Przeszukaliśmy jego pokój i nic nie znaleźliśmy.

- Wspominam o tym w twojej obecności - powiedział Tweed do Becka - bo może udałoby ci się skłonić kierownika do wpuszczenia nas do jego pokoju.

- Spróbujmy. - Beck wstał ochoczo. - Najlepiej teraz...

Pięć minut później pod wpływem autorytetu Becka i wzmianki o śledztwie w sprawie morderstwa popełnionego w pobliżu hotelu pomocnik kierownika zastukał do drzwi i po chwili otworzył je kluczem matką. Pokój był obszerny, z oknami wychodzącymi na wejście do hotelu. Asystent kierownika wezwał pokojówkę, która poinformowała, że w łóżku nikt nie spał.

Paula zaczęła otwierać szafy. Była to powtórka tego, co widzieli w Montreux. Z wieszaka zwisał długi czarny płaszcz, a obok czarny garnitur na osobnika, który według Becka musiał mierzyć nie mniej niż metr osiemdziesiąt.

Również w łazience historia się powtórzyła. Drogi nieużywany pędzel do golenia na półce nad umywalką oraz mydło w sztyfcie i brzytwa wyglądające na całkiem nowe, nawet nietknięte. Mydło hotelowe tkwiło nadal w papierowym opakowaniu. Szczotka do włosów także nowiuteńka, bez śladu włosów.

Paula szukała wszędzie, ale nigdzie nie było śladu kapelusza ani rękawiczek. Instynktownie wyczuwała, że nikt w tym pokoju nie mieszka. Było w tym coś przerażającego. Po włożeniu lateksowych rękawiczek otworzyła wielką czarną walizę. Była pusta.

- Pan Mannix dwa dni temu zarezerwował pokój na tydzień - poinformował dyrektor. - Zapłacił z góry. Gotówką.

- Jak wyglądał? - spytał Beck.

- Na pewno przyjechał z kilkoma osobami, więc recepcjonista, który dokonał rezerwacji, nie jest pewien jego wyglądu. Wydaje mu się, że pamięta wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu z wielkim spuszczonej rondem kryjącym twarz. Portier, który wnosił bagaże, pamięta jeszcze mniej. Powiedział, że gość milczał. Wręczył mu jedynie banknot pięćdziesięciofrankowy i ani słowem nie odpowiedział na pytanie, czy jeszcze czegoś sobie życzy.

- Widmo - powiedziała Paula. - Jak w Montreux. O co tu chodzi?

- Jeżeli wróci, proszę do mnie natychmiast zadzwonić - powiedział Beck, wręczając asystentowi wizytówkę. - Gdyby pan mógł nas na chwilę opuścić i zamknąć drzwi... - Gdy zostali sami, Beck powiedział: - Mam wam jeszcze coś do zakomunikowania, co może być dla was szokiem. W kieszeni płaszcza Eleny Brucan znaleźliśmy wielką porcję kokainy. Czy mogła być kurierem?

- Nie - odpowiedział Tweed z naciskiem. - I nie interesuje mnie sprawdzanie odcisków palców w tym pokoju. Żadnych nie będzie. Paula bardzo trafnie użyła słowa „widmo”. To świetne określenie. To tylko odwracanie naszej uwagi od śledztwa. Pan Mannix nie istnieje - chyba że jest mordercą. Tak samo jest z tą paczką kokainy. To kolejny ruch mający nas zmylić i sprowadzić na manowce. Mamy przeciw sobie naprawdę diabelski umysł.

Towarzyszyli Beckowi do podnóża schodów, gdzie się pożegnali. Paula idąca na przodzie spostrzegła Sophie siedzącą w holu na krześle w otoczeniu mnóstwa walizek. Zerwała się na równe nogi i uścisnęła Paulę.

- Wczesnym popołudniem wyjeżdżamy do Lugano. Lubię mieć wszystko przygotowane z góry. Zatrzymamy się w Splendide Royal. To jeszcze jeden świetny hotel z widokiem na otoczone górami jezioro Lugano. Dlaczego nie jedziecie z nami? Wyjeżdżamy ekspresem z dworca głównego o 13.07. Wystarczy ci czasu na spakowanie. Mój ojciec jest teraz w radosnym nastroju. Jedź! Będę miała z kim pogadać.

Słowa wypływały z ust Sophie wartkim strumieniem, poganiając się nawzajem. Paula spojrzała jej w twarz. Oczy wydawały się normalne i pełne życia. Która Sophie była prawdziwa? Chichocząca uczennica czy dojrzała, dorosła kobieta kierująca dwoma oddziałami ACTIL-u?

- Pozwól, niech się nad tym zastanowię - odparła Paula z uśmiechem. - Możemy mieć jeszcze coś do załatwienia w Zurychu.

- Och! Lubię Zurych, ale już się na niego napatrzyłam. Chcę czegoś nowego. Mówią, że w Ticino, włoskojęzycznym kantonie Szwajcarii, jest dużo palm i zupełnie inne jedzenie. Nie mogę się doczekać, kiedy tam dotrzemy. Na Marienette to nie działa, choć nigdy wcześniej tam nie była. Jestem taka podniecona. Podobno pociąg jest wspaniały. Leci jak strzała. Pojedziesz, prawda?

- Jeżeli będę mogła.

Odwróciła się, by pożegnać się z Beckiem, i uświadomiła sobie, że już go nie ma. Tweed rozmawiał spokojnie z Newmanem ubranym w kurtkę, jakby gotowym do wyjścia. Rzeczywiście wyszedł, gdy Paula ruszyła w ich stronę.

- Chciałam się pożegnać z Beckiem, ale chyba się spóźniłam - powiedziała.

- Tak - odparł Tweed. - Ale przesyła ci uściski i sądzi, że jesteś urodzonym detektywem. Chodźmy teraz na górę.

W tym momencie pojawił się Black Jack w rzucającym się w oczy żółtym garniturze, fioletowym krawacie i białych,

robionych na zamówienie butach. Niósł dwie wielkie walizy, które ustawił obok bagaży Sophie.

- Moja droga Paula - przywitał ją z przyjacielskim uśmiechem. - Zdaje się lata minęły od naszego ostatniego spotkania. Chodźmy na drinka do foyer. Żadnej odmowy nie przyjmuję do wiadomości.

- Ale tylko jednego, bo się śpieszę.

Gdy weszli do foyer, Paula odwróciła się i chciała machnąć ręką do Sophie, ale doznała szoku. Sophie kompletnie się zmieniła. Jej twarz przypominała chmurę gradową. Gniew zniekształcał ją niemal nie do poznania. Pokręciła głową i odwróciła wzrok w inną stronę. Jej nastroje zmieniały się szybciej niż pogoda. Co ją teraz doprowadziło do wściekłości? Może Black Jack idący z Paulą na drinka?

Gdy siadała z nim przy narożnym stoliku, myśli w jej głowie przelatywały jak błyskawice. Pakiet kokainy w kieszeni biednej Eleny. Konfrontacja z Nathanem Morganem. Czy rzeczywiście wyjechał z Zurychu? Mannix widmo. Czy rzeczywiście widmo? W pokoju zauważyła, choć nie miała czasu się nad tym zastanowić, wielką zmiętą szmatę koło łóżka. Wyglądała tak, jakby ktoś na niej spał.

Luigi pojawił się w holu w kompletnym bankierskim stroju i w okularach w złotej oprawie w momencie, gdy Sophie mówiła o wyjeździe do Lugano i podawała szczegółowe dane pociągu, którym mają podróżować.

Minał Paulę i wyszedł na podwórzec. W prawej ręce miał aktówkę z pistoletem ukrytym między ubraniami. W środku nocy spotkał go wielki zawód. Dla kogoś z jego doświadczeniem otwarcie zamka w drzwiach Pauli nie stanowiło problemu. Ale gdy powoli je pchnął, zdziwił się. Nie otwierały się. Starając się zachować spokój, zaczął z uporem napierać na nie raz za razem. Wkrótce jednak uświadomił sobie, że są zablokowane. Aby pokonać blokadę,

użył całej swej niezgorszej siły i doszedł do punktu, w którym uświadomił sobie, że dalej się nie posunie. Klnąc na siebie, wrócił do pokoju. Na szczęście zarezerwował pokój i zapłacił za miesiąc z góry.

Był przyzwyczajony do niespodzianek i niepowodzeń. Pozostał na miejscu. Teraz należało jedynie wynająć samochód i poczekać w pobliżu wyjścia. Zdecydował, że byłoby rozsądnie zarezerwować bilet pierwszej klasy na ekspres do Lugano o 13.07. Z pokoju zadzwonił na Hauptbahnhof, zamówił bilet i polecił, by czekał na niego przygotowany, a odbierze go tuż przed odjazdem i zapłaci gotówką. Jak słyszał, jego cel nie był pewien, czy pojedzie. Postanowił czekać w samochodzie, który - jeżeli wszystko pójdzie dobrze - będzie mógł potem zostawić przed dworcem i zadzwonić do firmy wypożyczającej z informacją, skąd ma go zabrać.

Tweed był sam w pokoju, gdy zadzwonił telefon. To był Beck. Zwykle spokojny głos szefa policji był pełen napięcia.

- Wyjdź z hotelu i zadzwoń do mnie z budki telefonicznej, dobrze?

- Już idę... - powiedział Tweed i odłożył słuchawkę.

Zaciekawiony, zarzucił na ramiona płaszcz i zbiegł do holu.

Nie było tam zbyt wielkiego ruchu. Gdy wyszedł na zewnątrz, nagle - nie wiadomo skąd - pojawił się Harry Butler.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, będę ci towarzyszył - zaproponował.

- Oczywiście, że nie. Ale dlaczego?

- Wiemy, że ktoś w środku nocy starał się włamać do pokoju Pauli. Prawdopodobnie morderca drugi raz próbował ją zabić. Nie zapominaj, że byłem w Altstadt, gdy ktoś do niej strzelał. Być może tobie też to grozi.

- Doceniam twoją troskę. Idę tylko zatelefonować do Becka. To rozmowa osobista.

- No to postoję na zewnątrz, gdy będziesz rozmawiał.

- Wczoraj wieczorem Marler śledził samochód prowadzony przez Eda Danversa z Russellem Straubem w środku. Zaparkowali za Zurychem i ucieli sobie pogawędkę. Ciekawi mnie to, bo rozmowa wyglądała na ściśle tajną. To nie potrwa długo.

Słońce świeciło wspaniale, ale było bardzo zimno. Po wejściu do budki Tweed spojrzął za siebie. Zmarszczki na Jeziorze Zuryskim pobłyskiwały jak rtęć. Widok był piękny, a nieliczni przechodnie szli grupkami dobrze opatuleni. Tweed wrzucił do aparatu monety, które otrzymał od konsjerża, i wybrał numer Becka.

- To ja - powiedział, gdy szef policji odebrał.

- Dzięki Bogu nie marnowałeś czasu. Mam złe wieści. Ponownie dzwonił do mnie minister z Berna. Naciska, abys dzisiaj wyjechał z Zurychu. Protestowałem, ale jest uparty.

- Masz jakiś pomysł, co mogło wpłynąć na zmianę jego zdania? Wczoraj udało ci się go uspokoić.

- Od tego czasu kontaktował się z nim wiceprezydent Russell Straub. Narzekał, że go nękaasz i psujesz mu pobyt tutaj. Ludzie w Bernie ze względów handlowych dbają o dobre stosunki ze Stanami. Wnioskuje, że Straub solidnie się wściekł i zagroził interwencją w Waszyngtonie. Trudno wydobyć taką informację.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Mam nadzieję, że wyjeżdżasz dziś do Lugano. Jeżeli minister ponownie do mnie zadzwoni, będę mógł powiedzieć, że zniknąłeś z Zurychu i może wróciłeś do domu.

- Wszyscy wyjeżdżamy, jeżeli Arbogastowie pojedą tym ekspresem. A myślę, że tak zrobią. Widziałem Sophie w holu ze stertą bagaży. Newman już zarezerwował dla nas bilety.

- Czy zamawiał je przez recepcję?
- Nie. Poszedł po nie do biura podróży.
- Dobrze. Odetchnąłem.
- Dlaczego?
- Robi się gorąco, a minister może przysłać tu urzędników, aby sprawdzić, czy jeszcze tu jesteście.
- Jakbyśmy nie byli w Szwajcarii...
- Tak - westchnął Beck. - Nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką reakcją Berna. Niech to diabli porwą, ale wydaje mi się, że teraz nie będę w stanie utrzymać ich z dala. W jakim hotelu się zatrzymacie?
- W tym samym co Arbogastowie, choć oni jeszcze o tym nie wiedzą. W Splendid Royal.
- Dzięki. Może przylecę tam helikopterem. W Lugano jest lotnisko. Uważajcie na siebie...

Wchodząc do hotelu, przy stoliku w foyer Tweed spostrzegł Paulę. Gawędziła z Black Jackiem. Nigdy nie przestaje zbierać informacji, pomyślał. Jest wyjątkowa.

- Panie Tweed, dobrze, że pana widzę - usłyszał powitanie z amerykańskim akcentem.

Odwrócił się w kierunku, z którego nadeszło, i spostrzegł Russella Strauba z uśmiechem od ucha do ucha. Uśmiechem z kampanii, gdy zabiegał o głosy wyborców. Tweed stanął, a Harry zatrzymał się nieco z tyłu.

- Wygląda pan na zadowolonego - odparł Tweed. - Jak gdyby odniósł pan zwycięstwo.

- Och, wcześniej czy później, ale zawsze zwyciężam. Wytrzymałość, zdecydowanie i siła woli.

- Z naciskiem na siłę - odparował Tweed z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Do tego się to sprowadza - odparł Straub zupełnie niezrażony. - Ale kluczem do powodzenia w polityce jest

osobowość.

- I absolutnie nieskalana przeszłość.

Nastawienie Strauba zmieniło się. Uśmiech znikł, a jego miejsce zajął grymas wściekłości. Twarz przybrała złowrogi wyraz kogoś, kto chce zabić. Szybko jednak opanował emocje, zaniepokojony tym, co jego utrata kontroli nad sobą mogła sugerować.

- W pełni się zgadzam - ściszył głos, rozejrzawszy się wokół. - Powiedzieli mi, że jest pan najbystrzejszym detektywem w Europie.

- Przesadzili, kimkolwiek oni są. Proszę wybaczyć, ale czeka mnie dziś wiele pracy...

- Nie wierzę tej kanalii - skomentował zdarzenie Harry, gdy znaleźli się w windzie. - Nie pozwoliłbym mu nawet przeprowadzić dziecka przez jezdnię. Gdy występuje w telewizji, wciąż ma na gębie ten sztuczny uśmiech.

Paula była już wyczerpana słuchaniem gadaniny Black Jacka. W dodatku na razie nie usłyszała jeszcze nic godnego zapamiętania. Odziany w nowy strój do polo tryskał samozadowoleniem. Zdecydowała, że już pora wsadzić mu szpilę.

- Słyszałam, że jesteś żarliwym zwolennikiem kary śmierci.

Do tej chwili Black Jack, zrelaksowany, siedział rozparty na krześle, ze swobodnie skrzyżowanymi nogami, racząc ją opowiadaniem o swych wyczynach, teraz zachował się tak, jakby przypiekła go papierosem. Gwałtownie się wyprostował i uśmiech samozadowolenia znikł z jego twarzy. Rysy mu stwardniały, a oczy błysnęły wściekłością.

- Przypuszczam, że rozmawiałaś z Marienettą. Ta suka uwielbia dźgać nożem, udając wspaniałą przyjaciółnię.

- Ostry język, Jack. Jeden z naszych ludzi był akurat w tym samym barze, gdzie rozmawialiście ostatniej nocy.

- Och. - Poklepał ją po kolanie, czego nie znosiła. - Zatem mój wybuch był całkowicie nieuzasadniony. Zjadłem olbrzymie śniadanie i chyba coś mi zaszkodziło. Szkocka nieco na to pomaga.

- Więc lepiej wypij następną - ironicznie podsumowała Paula. Sama sączyła ten sam kieliszek Chardonnay, który zamówiła na początku rozmowy.

- Chyba tak zrobię. Świetny pomysł. Kelner! - Strzelił palcami. - Tutaj. Jeszcze jedną podwójną szkocką. - Odwrócił się w stronę Pauli, która pokręciła głową.

- Nie zdziwiło mnie to, co powiedziałaś - zapewniła. - Na świecie naprawdę jest kilka paskudnych osób. Na przykład to, co tu w Europie ucina ludziom głowy. Także w Maine.

- Myślisz, że zasłużyli na to? - spytał spokojnie.

- Nie, nie myślę. Mówiłam o tym nieludzkim stworzeniu, które popełniło te zbrodnie. Zastanawiam się, czy je kiedykolwiek złapiemy.

- Czy są jakieś poszlaki? - spytał od niechcena.

- Musi to być ktoś, kto może łatwo, bez zwracania uwagi, latać do Ameryki - powiedziała, obserwując go.

- Wielu biznesmenów tam lata - powiedział po chwili. - Niektórzy lecą tam, załatwiają, co mają do załatwienia, i tego samego dnia wracają do domu.

Sączyła drinka, jakby rozważając sugestię.

- Nie są przy tym niewidoczni - odpowiedziała w końcu.

- A poza tym mamy jeszcze kwestię broni używanej podczas tych zabójstw. Patolodzy twierdzą, że to ten sam topór.

- Tak mówią? - Wypił połowę nowej porcji szkockiej podanej przez kelnera. - „Coś do oclenia?!”. „Tylko wielki topór” - roześmiał się, ale nie na swój zwykły radosny sposób.

- Mówię poważnie - rzekła.

- Oczywiście, moja droga. - Znow poklepał ją po kolanie.
- Wiem, wiem. Próbowałem tylko nieco rozluźnić atmosferę.
Mój błąd.

- Często je robisz?

- Co robie? - spytał.

- Błędy.

- Jak dotąd... - zaczął szybko przebiegać palcami po szklance - udawało mi się unikać poważnych. Na przykład kupiłem Templeton's. To był rzeczywiście strzał w dziesiątkę.

- Musi ci przynosić wystarczający dochód.

- Wystarczający! - wybuchnął głośnym śmiechem. - Przepuszczałem, że użyjesz tego słowa. To zdumiewające, w jaki sposób tak zwani inteligentni mężczyźni potrafią stracić w jeden wieczór fortunę. Musimy ich pilnować, aby mogli sobie pozwolić na utratę takich sum.

- W jaki sposób?

- Mamy bardzo dobrą pocztę pantoflową. Wiemy, kto jest kim i na jaką stratę go stać. Coś jak w twojej firmie, oczywiście myślę o SIS. Musicie mieć swoje źródła.

- Muszę już iść. Mam telefon do załatwienia i powinnam pogadać z Marienettą. Nie widziałam jej jeszcze dzisiaj.

- Nic dziwnego. Wyjechała porannym pociągiem.

- Naprawdę. Gdzie ją teraz poniosło?

- O to ją powinnaś zapytać. I nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Musicie mieć swoje źródła.

- Myślałam, że to stwierdzenie. Wszyscy znamy ludzi, którzy lubią plotki.

- Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie. I czy masz jakiś cel w tym ciągnącym się w nieskończoność przepytywaniu?

- Niech ci się nawet przez chwilę nie wydaje, że się dowiesz - wtrącił się niespodzianie w ich rozmowę jakiś głos.

Sam Snyder podkraść się do nich. Reporter ubrany był w płaszcz w militarnym stylu. Z cynicznym uśmiechem spoglądał na indagującego Paulę Black Jacka.

- Wyciągnięcie informacji z Pauli Grey przypomina wyciskanie wody z kamienia. A dokąd to się wszyscy wybieracie? W holu minąłem piękną Sophie otoczoną tyloma walizkami, że starczyłoby ich na wyprawę na Mauritius.

- Właśnie tam jedziemy - odparł Black Jack, spojrzawszy ze złością na Snydera. - Właśnie na Mauritius.

- A więc ty też wyjeżdżasz. Ciekawe. Może wyrusza cały klan Arbogastów?

- Spływaj, szpiclu - warknął Black Jack, wściekły na siebie, że wymknęła mu się informacja o własnym wyjeździe.

- Taka moja praca. Szpiegowanie - odparował reporter z szerokim uśmiechem.

Może z powodu tego uśmiechu, a może z wściekłości na siebie Black Jack eksplodował. Skoczył na równe nogi i walnął pięścią w szczękę Snydera. A przynajmniej taki miał zamiar, bo Snyder odgadł, na co się zanosz, i zrobił zwinny unik, tak że pięść Black Jacka trafiła powietrze, a on sam stracił równowagę.

- Kontynuujcie swoją zabawę, ja odchodzę - poinformowała Paula i ruszyła w stronę windy.

Miała teraz dla Tweeda nowe informacje, niektóre istotne.

Paulę zaskoczył widok całej grupy w komplecie. Na ustawionych w kręgu fotelach siedzieli już Newman, Butler i Nield. Zajął więc puste miejsce obok Newmana. Marler i Tweed stali nieco dalej. Marler jak zwykle oparty o ścianę, a Tweed z rękami na oparciu krzesła. Minę miał bardzo poważną.

- Przyszedł w samą porę - powiedział. - Masz jakieś nowe informacje?

- Dowiedziałam się, że Black Jack również wyjeżdża do Lugano. I wie już o tym też Sam Snyder...

Zwięźle streściła swoją rozmowę w foyer. Newman roześmiał się, słysząc o nieudolnym starciu.

- Szkoda, że Black Jack nie złamał Snyderowi szczęki. Ten facet wyskakuje jak pajacyk z pudełka wszędzie tam, gdzie może zdobyć jakieś informacje.

- Teraz - zaczął Tweed zasadniczym tonem - muszę was zapoznać z sytuacją. Jest niewesoło, bo prominentne osoby z Londynu i Waszyngtonu zamierzają zatrzymać nasze śledztwo. Wyjeżdżamy stąd ekspresem tylko wtedy, gdy zrobią to Arbogastowie. Jakby tego było mało, kilka minut temu telefonował Beck, aby mnie poinformować, że do Zurychu wyleciał właśnie oddział złożony z czterech agentów FBI. Prawdopodobnie mają nas śledzić i być może próbować zastraszyć.

- Lub coś gorszego - dodał Newman.

- To mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe - przyznał Tweed. - A wszystko zaczęło się w szpitalu psychiatrycznym w Pinedale w Maine. Kluczem do rozwiązania jest prawdopodobnie tajemnicza wysoka postać w czerni, która wyjechała limuzyną, a potem wróciła. Jej tożsamości zupełnie nie znamy.

- To tam zaczęły się morderstwa - wtrąciła Paula.

- Dokładnie tak - potwierdził Tweed. - Do tego ostatnio kilka osób pytało o postępy w śledztwie i zgromadzone dowody. Ktoś się denerwuje, co zwiększa zagrożenie. Sądzę, że jedna osoba musi być teraz szczególnie, ale dyskretnie, strzeżona w dzień i w nocy. Myślę o Pauli - powiedział, patrząc na nią.

- W ten sposób nie będę mogła działać - zaprotestowała. - Jak mam pracować ze strażą u boku?

- Powiedziałem „dyskretnie” - przypomniał Tweed.

- Przecież - przerwał Nield - nie widziałaś mnie, gdy szedłem za tobą do Altstadt i dalej, gdy wybrałaś się na spotkanie z Romanem.

- Jestem ci wdzięczna - odparła z naciskiem.

- Chodzi mi o to - kontynuował Tweed tym samym znaczącym tonem - że Paula jest kolejnym celem. Ktoś próbował włamać się do jej pokoju, gdy spała. Podejrzewam, że w obu wypadkach atakującym był wynajęty płatny zabójca. Dwukrotnie chybił, więc...

- Czy myślisz - przerwała mu Paula - że teraz zajmie się mną nasz morderca?

- Tak - potwierdził Tweed. - I pamiętaj, że ma za sobą pasmo odrażających sukcesów. Więc, Paulo, podporządkujesz się moim poleceniom. - Zamilkł na chwilę. - Jest to najgorsza sytuacja, z jaką kiedykolwiek mieliśmy do czynienia, i niebezpieczeństwo jest oczywiście największe. Komplikuja ją jeszcze naciski z Londynu i Waszyngtonu, rosnące niemal z godziny na godzinę. Nawet Beck przyznał, że coraz trudniej mu utrzymać te siły za zaporą. Dlatego cieszy się z naszego wyjazdu do Lugano. Nawiasem mówiąc, jestem przekonany, że Abraham Seale i Elena Brucan wyczuwali, kto jest zabójcą, i zadali pytanie, które ich zdradziło.

- Więc morderca jest diabelnie bystry - zauważył Newman.

- Ciągle myślę o tym pniu egzekucyjnym - powiedziała Paula. - Musi być bardzo ciężki i trudny do przenoszenia z miejsca na miejsce. Odcisk na trawie w Pinedale, w pobliżu opactwa Grange, a także na promenadzie nad Sihl jest jednak tego samego kształtu. Do tego ten topór.

Tweed podszedł nagle do okna, spojrzął w dół, po czym wrócił na poprzednie miejsce.

- Widziałem właśnie Romana i Sophie wsiadających do limuzyny. Ładują tony bagaży. Więc teraz wiemy. Wyjeżdżają do Lugano.

- Czas ruszać - powiedziała Paula, wstając, ale Tweed machnął ręką, nakazując jej, by usiadła z powrotem.

- Mam jeszcze jedną rzecz do wyjaśnienia - dodał. - Prawdziwą przyczynę mojego niepokoju. Wszyscy powinniście wiedzieć, z czym naprawdę mamy tu do czynienia. Poznać prawdziwą naturę rzeczy.

- Co to takiego? - spytał Marler.

- Obłąd.

Jak większość szwajcarskich pociągów ekspres „Cisalpino” ruszył z dworca w Zurychu o 13.07, co do minuty zgodnie z rozkładem jazdy. Długi ciąg wagonów gwałtownie przyspieszył, gdy miasto pozostało z tyłu.

Aura była ponura, niemal złowieszcza, a niebo pokrył całun niskich, prawie czarnych chmur. Wagon na przodzie zajęła rodzina Arbogastów. Roman ścisnął kurczowo skórzaną teczkę stojącą na siedzeniu obok. Naprzeciw niego siedział tylko jeden pasażer, Broden. Nad miejscem Sophie piętrzyła się na półce sterta waliz. Siedzący naprzeciwko niej Black Jack podjął kilka daremnych prób nawiązania z nią rozmowy, lecz go ignorowała i z ponurą miną patrzyła przez okno.

W środkowym wagonie pierwszej klasy siedziała Paula z Tweedem; korytarz miała po prawej ręce. Była całkiem spokojna i również spoglądała przez okno. Obłąd. Wstrząsnęło nią to słowo wypowiedziane przez Tweeda. Przez głowę przelatywały jej obrazy wszystkich osób zaangażowanych w zdarzenia. Jak go rozpoznać? Pamiętała uwagę Seal'a, że tacy ludzie przez większość czasu wydają się normalni. Nie było to łatwe.

Z rozkładu jazdy przeglądane przez Tweeda wynikało, że ekspres przed dotarciem do Lugano zatrzyma się w kilku miejscach.

- Wkrótce staniemy w Zug - powiedział. - Potem w nijakiej, ale całkiem sporej miejscowości zwanej Arth-Goldau. Następnie przemkniemy przez Göschenen u wlotu do słynnego tunelu Gottharda. Przejazd pod pasmem Alp Berneńskich zajmie nam dziesięć minut. Przy wylocie z tunelu miniemy miejscowość o nazwie Airolo i wkroczymy w inny świat, który przetniemy, dążąc wprost do Lugano.

- Ile czasu to zajmie? - spytała Paula.

- Całkiem sporo.

Do przedziału wszedł Newman i zajął miejsce obok Pauli. Szeroko uśmiechnął się do Tweeda.

- Interesująca podróż. Sprawdziłem cały pociąg. Arbogastowie są z przodu. Roman, Sophie i Black Jack, który - zdaje się - nie chce zostawić ich samych. Ciekawe dlaczego?

- A co z Marienettą? - spytał Tweed.

- Och! - powiedziała Paula. - Zupełnie zapomniałam ci powiedzieć. Wyjechała porannym pociągiem. Podejrzewam, że sama - uśmiechnęła się. - Pewnie nie chciała podróżować z Sophie. Podobno zawsze darły koty.

- I jeszcze coś zdumiewającego - ciągnął Newman. - Na samym końcu pociągu w przedziale z zaciągniętymi żaluzjami jedzie... Zgadnicie kto? Wiceprezydent Russell Straub. Ed Danvers stał na zewnątrz, więc sobie z niego zażartowałem: „Wciąż pilnujesz następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych?” - rzuciłem, a on odpowiedział, że Jego Lordowska Mość - to oczywiście moje słowa - nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

- Więc dlaczego jedzie za Arbogastami? - zastanowił się Tweed.

- Jestem pewien, że odnajdziemy jego cel w Lugano.

- I prawdopodobnie będzie to apartament w Splendide Royal

- powiedziała Paula ponuro.

- Wykupiłem także - ciągnął Newman - karty na lunch w wagonie restauracyjnym, do którego idzie się w tę stronę.

- Wygląda na to, że nic ci nie umknęło - skomentował Tweed. Ale nie mógł się bardziej mylić.

Luigi śledził grupę Tweeda od czasu wyjazdu taksówkami z Baur au Lac na dworzec. Po zaparkowaniu wynajętego samochodu przeszedł za nimi do przestronnej hali

i zobaczył, jak kierują się na peron. Na wiszącej w hali tablicy odczytał miejsca docelowe ekspresu: Lugano, Mediolan.

Pospieszył do kas i na wypadek, gdyby mieli przebyć całą trasę, kupił bilet powrotny pierwszej klasy do Mediolanu. Z teczką zawierającą naładowanego glocka wsiadł do ostatniego wagonu na trzy minuty przed odjazdem pociągu.

Przed przedziałem z zasłoniętymi oknami zobaczył dobrze zbudowanego mężczyznę. Gdy zbliżył się do niego, agresywnie oznajmił, że ten przedział jest zarezerwowany. Wymowa zdradziła, że jest Amerykaninem.

- Idę dalej - powiedział Luigi, a mężczyzna, aby go przepuścić, przywarł do drzwi przedziału.

Luigi przeszedł do następnego wagonu. Teraz szedł wolno, zaglądając po kolei do wszystkich przedziałów. Wybrał ten, w którym zasiadły naprzeciw siebie i prowadziły rozmowę dwie starsze eleganckie panie. Ich bagaże na półce miały etykiety z Heathrow. Prawdopodobnie Angielki, pomyślał i nie mylił się.

- Bardzo przepraszam - powiedział uprzejmie. - Mam nadzieję, że nie mają panie nic przeciwko temu, abym tu usiadł. Pociąg jest raczej zatłoczony.

Uważnie wybrał miejsce - narożne, najdalej odsunięte od nich.

- Oczywiście, że nie. - Białowłosa dama, do której się zwrócił, oceniła jego eleganckie ubranie i dobre maniery. - Jedziemy aż do Lugano.

- Tak samo jak ja.

Usiadł, ostrożnie otworzył teczkę i wyciągnął papiery, ale w ciągu kilku minut został wciągnięty do gorącej dyskusji, w której ujawnił, że jest dyrektorem banku, co powinno na nie podziałać uspokajająco.

Gdy Newman zajrzał potem do nich, zobaczył szwajcarskiego bankiera w złotych oprawkach żywo

dyskutującego z dwiema damami. Poszedł więc dalej w stronę ostatniego wagonu.

Ekspres miał już za sobą dwuminutowy przystanek w Zug i teraz pędził na południe. Newman usiadł obok Pauli, ciesząc się z udanego rozpoznania. Zauważyła jego wyraz twarzy.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie, Rob.

- Mam jeszcze coś do powiedzenia, w co nie będziecie mogli uwierzyć.

- No zobaczymy - zaproponował Tweed.

- Jest jeszcze jedna ciekawa osoba w pociągu. Siedzi samotnie w przedziale mniej więcej w połowie między nami i końcem pociągu. To Sam Snyder.

- Moglibyśmy obyć się bez niego - skomentowała Paula.

- Widział cię? - chciał się dowiedzieć Tweed.

- Tak. Podniósł wzrok, gdy zajrzałem. Odwrócił głowę i bazgrał coś w książce trzymanej na kolanach.

- A gdzie są Butler i Nield? - spytał Tweed.

- W miejscach strategicznych. Harry na korytarzu niedaleko końca pociągu wygląda przez okno. Pete robi to samo, ale w pobliżu przodu. Rozmawiałem z obydwojema. Od czasu do czasu będą przechodzić wzdłuż przedziałów. Kiedy zajrzą tutaj, nie będą się do nas przyznawać.

- Więc zrobiliśmy wszystko, co było można - stwierdził Tweed. - Reszta w rękach Boga.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś się spodziewał ataku - powiedziała Paula.

- Może. A czy nie czas, abyśmy zajęli miejsca w wagonie restauracyjnym?

Wagon restauracyjny był niemal pusty. Arbogastowie siedzieli w dalekim końcu, więc Tweed wybrał stół tuż przy wejściu. Roman, wraz z Sophie zwrócony do nich twarzą, popijał wino. Zauważył ich ponad szklami okularów, ale nie dał tego po sobie poznać. Sophie spojrzała ponuro i odwróciła wzrok. Siedzący naprzeciw niej Black Jack zorientował się, że kogoś zobaczyła. Odwrócił się na krześle, uśmiechnął szeroko i radośnie pomachał ręką. Paula mu odpowiedziała.

- Przynajmniej jeden udaje, że nas lubi - powiedziała.

- Roman nie jest zadowolony z naszej obecności - stwierdził Tweed. - Ciekawe dlaczego. Jest bystry i na pewno zorientował się, że również jedziemy do Lugano.

- Dostanie apopleksji, gdy się dowie, że zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu - powiedziała Paula z satysfakcją. - Dlaczego tak się denerwuje? Czy stara się coś ukryć?

- Wiele ludzi stara się coś ukryć - odparł Tweed. - O, jest nasz kelner...

Tweed chciał wrócić do przedziału, zanim dotrą do tunelu Gottharda, więc zgodnie z jego sugestią poprosili o lekki lunch, który mogli zjeść szybko. Gdy zatrzymali się na dwie minuty w sporym mieście Arth-Goldau, Newman opuścił ich na chwilę, by wyjrzeć przez automatycznie otwierane drzwi. Wrócił z informacją, że nikt nie wsiadł ani nie wysiadł z pociągu.

Szybko podano doskonały posiłek. Nie tracąc czasu, zjedli go i popili wodą. Paula cały czas wyglądała przez okno. W dole szybko przesuwały się piękne szwajcarskie doliny. Lubiła solidne tutejsze drewniane domy o stromych dachach, z kamienną podmurówką i balkonami na piętrach udekorowanymi skrzynkami na kwiaty. Stały tu od pokoleń. Przejaśniło się. Kobaltowe niebo i błyski słońca odbijały się w wielkim jeziorze, którego przeciwny brzeg sięgał odległej góry z pokrytym śniegiem szczytem.

- To Jezioro Czterech Kantonów - powiedział Tweed - a to wspaniałe górskie pasmo w oddali to, jak sądzę, Pilatus.

- Sceneria spokojna i wspaniała - odpowiedziała.

Tweed uregulował rachunek. Gdy wychodzili, Black Jack ruszył w ich stronę przejściem między stołami. Dogonił ich, gdy szli korytarzem, Tweed na przodzie, Paula za nim, a Newman w ariergardzie.

- Wspaniale cię widzieć, Paulo! - zawołał przez ramię Newmana. - Co za zbieg okoliczności, że jedziemy tym samym pociągiem. Polecam hotel Splendide Royal w Lugano, gdzie się zatrzymamy. Naprawdę będzie świetnie, jeżeli tam będziecie - dodał, a jego głos nabrzmiał entuzjazmem.

- Czas pokaże - odpowiedziała Paula.

- Doskonale, mam nadzieję. Bezpiecznej podróży...

Po tych słowach wycofał się do wagonu restauracyjnego, gdzie Arbogastowie dalej spożywali posiłek. Po dotarciu do przedziału Newman prychnął:

- Przypuszczam, że Roman przysłał go tu na przeszpiegi, aby się dowiedzieć, gdzie jedziemy.

- Nie sądzę - odpowiedziała Paula. - Roman nie ujawniłby, że go to interesuje. Ponadto Black Jack nie jest typem skłonny odgrywać rolę chłopca na posyłki.

Gdy tylko usiedli na poprzednich miejscach, korytarzem przeszedł powoli Pete Nield. Zajrzał do środka, nie dając po sobie poznać, że kogoś rozpoznaje, i skierował się w stronę wagonu restauracyjnego.

- Wkrótce przemkniemy przez niewielką stację Goschenen i wjedziemy do tunelu Gottharda - zauważył Tweed. - Jeśli wysiądzie się w Goschenen, można zjechać kolejką zębatkową do centrum narciarskiego Andermatt.

Paula niezbyt uważnie go słuchała. Przycisnęła twarz do okna i chłonęła widoki. Olbrzymie, pionowe kamienne ściany Alp Berneńskich były tak blisko, że wydawało się jej, iż zdoła

ich dotknąć. Wkrótce nie mogła już dojrzeć pokrytych śniegiem szczytów, gdyż zniknęły z pola widzenia.

- Zbliżamy się do Goschenen - ostrzegł Tweed.

Malutką stacyjkę minęli w takim pędzie, że ledwo zdołali ją zauważyć, i wjechali do tunelu Gottharda.

W pociągu zapalono słabe lampy, ale Paula pozostała w pełni świadoma czerni tunelu. Nienawidziła tuneli. Jej czuła wyobraźnia zaczęła gwałtownie pracować. Myślała o piętrzącym się nad nimi olbrzymim masywie najwyższego pasma górskiego Europy. Wyobrażała sobie niewiarygodne ciśnienie miliardów ton skał napierających z góry na tunel.

- Jak długo trwa przejazd tunelem? - spytała, usiłując ukryć swój niepokój.

- Tylko dziesięć minut - zapewnił ją Tweed. - Zanim się obejrzymy, będziemy po drugiej stronie - podtrzymywał rozmowę, obserwując jej zaciśnięte dłonie. - Po wyjeździe w mgnieniu oka minjemy malutkie Airolo i wkroczymy w zupełnie inny świat.

Zanim się obejrzymy? Pauli się wydawało, że została uwięziona w tunelu na wieczność. Czy zdarzył się tu kiedyś jakiś wypadek? Zaniepokoiła się, ale nie zadała tego pytania. Ktoś idący korytarzem od końca pociągu zatrzymał się przed ich przedziałem i odsunął drzwi. Był to szczupły mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie. Miał okulary w złotej oprawie i dużą aktówkę. Typowy szwajcarski bankier, pomyślał Newman.

- Przepraszam - powiedział - szukam wagonu restauracyjnego.

- W tamtą stronę. - Newman wskazał kciukiem przód pociągu.

- Dziękuję ze szczerego serca.

Bankier zamknął drzwi i ruszył w kierunku wskazanym przez Newmana. Luigi wiedział teraz, że gdy trzeba będzie, drzwi otworzą się lekko.

Paula zmarszczyła brwi. Zauważyła, że Tweed poruszył się i prawą dłoń wsunął do kieszeni marynarki.

- Chyba go już gdzieś widziałam - powiedziała.

- Jego replikę kilkadziesiąt razy - zbagatelizował Newman jej uwagę. - O ósmej rano bankierzy śpieszą do swych biur.

Spojrzała na Tweeda. Wciąż trzymał prawą dłoń w kieszeni. Uśmiechnęła się do niego, drażniąc się.

- Wyglądasz teraz jak Napoleon.

- Musiałbym mieć jeszcze ten śmieszny pierogowy kapelusz.

Ponownie spojrzała na zewnątrz w migającą w ciemności ścianę tunelu. Kiedy wreszcie wyjadą z tej grobowej czeluści? Szkoda, że nie spojrzała na zegarek, gdy Tweed mówił o dziesięciu minutach. Nigdy nie cierpiała na zawroty głowy, lecz klaustrofobia była jej słabością. Jedziemy tutaj już chyba ponad dziesięć godzin, pomyślała.

Nagle znaleźli się na zewnątrz. Ekspres zwolnił i rozpoczął niekończące się zjeżdżanie w doliny. Nie było słońca. Niebo zalegało morze chmur. Spodziewała się całkiem czegoś innego. Gdzie te palmy, cyprysy i egzotyczne krzewy z ich wspaniałymi kolorami? Na pewno nie tutaj.

- Wkrótce miniemy Airolo - poinformował Tweed.

Ponieważ ekspres zwolnił, mogła wszystkiemu lepiej się przyjrzeć. Wydawało się jej, że spogląda na pustynię. Stoki Alp były kamieniste, jałowe i bezludne. Ekspres przejechał szybko przez Airolo z domami z drewna i kamienia ustawionymi wzdłuż wąskich uliczek, na których Paula nie zauważyła śladu życia. Coś jednak przyciągnęło jej uwagę.

Mniej więcej kilometr za miastem wznosiły się na stoku dwie połączone murem wieże strażnicze. W ich stronę spływała z wysoczyzn szara mgła. Patrząc na nie, poczuła się nieswojo. Było w nich coś złowróżbnego. Od miasta wiódł do nich szeroki trakt, a z dala znacznie węższa droga wspinała się na południe i znikwała za granią. Wydawało się, że zaczyna się na końcu jednej z uliczek miasteczka. Widok wież podziałał na Paulę przybijająco, ale nie mogła od nich oderwać wzroku. Mgła spływała z gór, lecz one zdawały się jej opierać, jak gdyby zdolne do jej odepchnięcia. Dlaczego tak bardzo ją poruszyły?

- Za Airolo - powiedział Tweed - wydobywano jakąś rudę lub skałę. Do transportu używano podziemnych kolejek. Gdy złoża się wyczerpały, kolejki zamknięto i zabezpieczono.

Ekspres wciąż zjeżdżał stromym zboczem, a Paula złożyła głowę na oparciu siedzenia i zamknęła oczy. Lecz nawet wtedy pod powiekami widziała zarys bliźniaczych wież. Tweed położył dłoń na jej kolanie.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się ciepło. - Myślę, że to ten tunel mnie uśpił - skłamała.

- Jesteśmy już w innym świecie, śródziemnomorskim, łacińskim, nordycki został po drugiej stronie. To Ticino, najdalej na południe wysunięty kanton Szwajcarii, w którym mieszkańcy mówią po włosku. Nie ma już gasthofu, jest ristorante.

- Spodziewałam się czegoś więcej. Tu tak nijako, kamieniście, jałowo.

- Poczekaj, aż zjedziemy niżej. Zobaczysz, jak odmienne jest Lugano. Półtropikalny raj, choć już po sezonie i powinno być raczej spokojnie.

- Nie mogę czekać...

Przerwał jej dzwonek telefonu Newmana. Odpowiedział krótko i podał komórkę Tweedowi.

- To Beck.

Tweed przyłożył telefon do ucha.

- Halo, Tweed! Właśnie wylądowałem w Airolo Sikorskim¹¹. Nie mogłem zadzwonić wcześniej. Te zabawki nie działają w górach...

- W sprawach bezpieczeństwa nie dowierzam tym cackom czy gadżetom, jakkolwiek je tam zwać. Mówmy dyskretnie.

- Nic dodać, nic ująć. - Beck w głębi ducha był dumny ze swej znajomości kolokwialnej angielszczyzny. - Zaraz po zakończeniu tej rozmowy lecę na lotnisko w Lugano. Będę tam przed wami. Będzie tam na mnie czekał samochód, który zawiezie mnie do Bellinzony, i tam się spotkamy.

- Nasz przedział jest niedaleko przedniego wyjścia. W trzecim wagonie za restauracyjnym.

- Trzymaj się i uważaj.

Tweed oddał komórkę Newmanowi. Nie była mu już potrzebna. Przekazał innym informacje od Becka.

- Bellinzona? - zapytała Paula, sięgając po rozkład jazdy.

- To ostatni i jedyny przystanek przed Lugano - powiedział Tweed. - Jakies dwadzieścia minut wcześniej.

- Dlaczego robi sobie dodatkowy kłopot z jazdą do Bellinzony? - zaciekawiała się Paula. - Mógłby się spotkać z nami w Lugano.

- Przypuszczam, że obawia się czegoś. Bellinzona was zainteresuje, nawet jeżeli zatrzymamy się tam jedynie na kilka minut. Jest otoczona zamkami.

Paula oparła głowę i głęboko usnęła. Przejazd przez tunel rzeczywiście ją wyczerpał. Tweed obudził ją, ściskając za kolano. Oprzytomniała natychmiast i rozejrzała się wokół.

¹¹ Helikopter produkowany przez Sikorsky Aircraft Corp.

- Już dojechaliśmy?

- Będziemy w Bellinzonie za dziesięć minut. Chciałem, abyś to zobaczyła.

Spojrzała przez okno. Wszystko się zmieniło i wyglądało znacznie przyjemniej. Po obu stronach rozciągały się pola zaoranej ziemi. Tu i ówdzie widać było wiecznie zielone rośliny. Ekspres na tej wysokości znów przyspieszył. Tweed wyjął rękę z kieszeni marynarki i potarł dłoń o kolano. Zrobił to ponownie i znowu schował dłoń w kieszeni.

- Coś nie w porządku z twoją ręką? - spytała zaniepokojona.

- Nie - uśmiechnął się. - Raczej naśladowuję Napoleona - zażartował.

Pociąg zwalniał. Paula z przyjemnością przyglądała się trasie. Zewsząd wynurzały się olbrzymie zamki górujące nad miastem. Nigdzie jeszcze nie spotkała się z tak forteczną atmosferą. Przygotowała się do wstania.

- Wyjdę zobaczyć, czy uda mi się namierzyć Becka - zaproponowała.

- Wszyscy pozostaną na miejscach - oznajmił Tweed rozkazującym tonem.

Paula nie mogła pojąć jego nagłej zmiany nastroju. Siedział wyprostowany ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. W przedziale zapanowała atmosfera ekstremalnego napięcia. Paula nie ośmieliła się nawet sięgnąć po browninga. Tweed zakazał jej wszelkich ruchów.

Wszystko nastąpiło bardzo szybko.

Pociąg właśnie stanął i Paula usłyszała syk automatycznych drzwi wagonu. Drzwi do ich przedziału odsunęły się na trzydzieści centymetrów. W szparze stanął bankier z wymierzonym w Paulę glockiem. Wylot lufy wyglądał jak armata. Rozległy się dwa strzały. Mężczyzna w czarnym garniturze upadł na podłogę bez połowy twarzy.

Krew i mózg rozbryzgnęły się po korytarzu. Tweed schował walthera do kabury.

- Wszystko w porządku? - zapytał Newman Paulę.
- Z nim nie za bardzo. O i proszę, jest Beck.

Ukryli się w poczekalni do czasu odjazdu Arbogastów i wiceprezydenta z Edem Danversem. Mniej więcej pół godziny później Beck otworzył drzwi i powiedział rażno:

- Możecie już jechać do hotelu. Arbogastowie i wiceprezydent odjechali limuzynami. Twoje zeznanie, Tweed, mogę dostać później. Na szczęście byłem świadkiem i widziałem płatnego zabójcę mierzącego z pistoletu do waszego przedziału. Byłeś cholernie szybki. Ale seryjny morderca nadal gdzieś tu jest. Zadzwoń później.

Paula jechała taksówką razem z Tweedem, Marlerem i Newmanem. Butler i Nield wsiedli do drugiej. Aby stłumić szok, z zainteresowaniem wyglądała przez okno. To mi się podoba, pomyślała.

Słońce świeciło na czystym niebie, a droga kluczyła w dół przez Lugano. Pomiedzy budynkami przeblyskiwały niebieskawo-zielone wody jeziora. Na przeciwnym, niezbyt odległym brzegu majestatyczne góry pięły się aż po swe wierzchołki. Widać było palmy, cyprysy, a w skrzynkach na oknach jakieś krwistoczerwone rośliny. To był basen Morza Śródziemnego.

Potem jechali wijącą się drogą, brzegiem jeziora Lugano, gdy taksówka gwałtownie skręciła w bok i stanęła na szczycie stromego podjazdu. Przybyli do luksusowego hotelu Splendide Royal.

Bagażowy zawiózł Paulę windą na pierwsze piętro i poprowadził do wielkiego pokoju z podwójnym łóżem. Przeszedł w jego odległy koniec i uchylił dwie wielkie szklane tafle okienne. Wyszła na balkon, skąd ujrzała rozległą panoramę z dwoma wielkimi trójkątami szczytów w tle i

jeziorem w dole, po którym sunęły powoli białe trójkąciki jachtów.

Bagażowy wskazał przerwę między wierzchołkami.

- Tam Włochy. Za górami.

- Dziękuję panu.

Wręczyła mu szczodry napiwek i z zadowoleniem pożegnała. Potrzebowała samotności. Spojrzała na wspaniałą widok i ruszyła do działania. Otworzyła walizę, aby pozwolić odetchnąć zgniecionym ubraniom, po czym rozpoczęła przegląd licznych szaf i szuflad. Miejsca na bagaże było wiele. Szybko się rozpakowała, a przyrządy toaletowe zaniósła do wspaniałej łazienki.

Mimo tych wszystkich działań nie potrafiła jednak wyrzucić z myśli krótkiego i gwałtownego zdarzenia z pociągu. Newman sięgnął po swego smith & wessona, ale zapewne nie miał szansy zdążyć. Walther pojawił się w ręce Tweeda jak za sprawą czarów. Wydawało się, że oba strzały zostały oddane w jednym momencie i twarz zabójcy zniknęła razem z częścią czoła. Chwilę potem pojawił się Beck z automatem w dłoni, ale już nie musiał go użyć. Wsiadając na stacji Bellinzona, też by się spóźnił.

Właśnie skończyła rozpakowywanie bagażu, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła w drzwiach uśmiechniętego Tweeda. Za nim stał kelner z kubelkiem lodu, z którego wystawała butelka szampana.

- Proszę, wejdz...

Kelner otworzył szampana i rozlał go do kieliszków. Potem otworzył butelkę wody mineralnej i napełnił dwie szklanki. Gdy tylko wyszedł, Pula podbiegła do Tweeda i wtuliła się w niego z rozpaczą. Wybuchnęła płaczem, a on opiekuńczo wziął ją w ramiona. W końcu cofnęła się i wyciągnęła chusteczkę, by osuszyć oczy.

- Przepraszam - powiedziała drżąc. - Takie załamanie to nie w moim stylu.

- Opóźniona reakcja szokowa. Nieunikniona po tym, co się stało. Proponuję, abyś napiła się wody, nim spróbujemy szampana.

- Wypiłam już prawie litr. Musisz zobaczyć mój balkon.

Trzymając w jednej ręce szampana, drugą ujęła go za ramię i wyprowadziła na zewnątrz. Zadrżała.

- Tu jest chłodniej niż w Zurychu. Nie pomyślałaś o tym.

- Gdy poprzednio wychodziłam, było tak samo. Nadciąga noc i temperatura może spaść nieoczekiwanie, nawet gdy słońce świeci jak teraz.

Stuknęli się kieliszkami. Paula najpierw spróbowała smaku, po czym pociągnęła spory łyk. Szampan przeniknął ją jak ogień.

Zaczęła się odprężyć. Wciąż trzymała Tweeda za ramię, więc poczuł wyraźnie, jak napięcie w niej zelzało. Przeprosiła go na moment. Zdjęła zakiet, włożyła cieplejszą kurtkę i wróciła na balkon. Siedział przy stole, pilnując kieliszka. Jej żwawe kroki świadczyły o tym, że zaczyna wracać do siebie. Usiadła przy nim.

- Ta góra na lewo - wskazał dłonią - to Monte Bré. Na szczyt można wjechać kolejką linową. Ale to trochę ryzykowna wyprawa. Gdy kupujesz bilet na dole, nie mówią ci, że podróż ma dwa etapy. Połowę drogi jedziesz przestronnym wagonem, po czym musisz się przesiąść do czegoś, co rozmiarem przypomina nieduże pudełko. Tak mnie to zdenerwowało, że machnąłem ręką i dużym wagonikiem wróciłem do bazy.

- A ten szczyt po prawej?

- Nie wiem, jak się nazywa. Ale na prawo za rogiem hotelu jest Monte San Salvatore. Tam można wjechać

prawdziwą kolejką linową. Niedaleko stąd na południe widok na jezioro zapiera dech w piersiach.

- Nie mogę zapomnieć o tym, że to nie wakacje. Wciąż się zastanawiam, dlaczego to coś zabierało głowy. Tylko biedną Elenę Brucan potraktowało inaczej.

- Beck wyjaśniał, że została zamordowana w środku dużego miasta i to po południu. Teren nad Sihl jest dość odludny, ale morderca nie mógł być pewny, że nikt nie nadejdzie. - Omal nie dodał: „I musiał się spieszyć”, ale się powstrzymał, by nie nasycać rozmowy horrorem.

- Nadal nie potrafię sobie przypomnieć tej istotnej uwagi. Nie pamiętam nawet, o czym była mowa.

- Jak już ci mówiłem, nie walcz z pamięcią. Dolać ci?

- Tylko odrobinę. Rozpuszczasz mnie. Widziałam butelkę. Pijemy Kruga.

- Tylko to, co najlepsze, jest wystarczająco dobre - powiedział, ponownie napełniając kieliszki.

- Beck dobrze nas potraktował. Wziął cały ciężar na siebie. Gdy wychodziliśmy z poczekalni, zauważyłam, że pociągu już nie było.

- Świetnie to zorganizował. Porozmawiałem z nim jeszcze, gdy siedziałaś w taksówce. Począł, aż wszyscy wysiedli i wagon był pusty. Pasażerów z Lugano nie wpuszczono do środka, mając ich jakąś bajeczką. Wtedy podjechał wezwany ambulans. Sanitariusze i patolog weszli do środka, wzięli ciało na nosze i zabrali. A patolog w niczym nie przypominał Zeitzlera. Nawet nie zrobił zdjęć. Masz ochotę na herbatę na dole?

Wypiła już drugi kieliszek szampana i była zaskoczona, że tak beztrąsko się poczuła. Spojrzała ponownie na widok za oknem. Kolory się zmieniły, różowo-fioletowa mgła pokryła góry. Temperatura znów spadła.

- Podoba mi się ta propozycja - odpowiedziała. - Daj mi pięć minut, to się przebiorę. Nie musisz wychodzić. Zrobię to w łazience. Pysznic będzie musiał poczekać. Przed twoim przyjściem porządnie się umyłam. - Zachichotała, patrząc na niego.

Jego szaroniebieskie oczy były w nią wpatrzone.

- Ciekawa jestem, kogo spotkamy na dole. To może być interesujące.

Zaraz po wyjściu z pokoju spotkali Newmana, który razem z nimi wsiadł do windy. Miał na sobie elegancki garnitur w drobną szarą kratkę. Tweed, spojrzawszy na niego, zaczął się zastanawiać, czy również nie powinien się przebrać.

- Zostawiłem wam, parę nierozłączek, masę czasu - droczył się z nimi.

- Co takiego? - spytała Paula, gotowa do ataku.

- Tak mi się wyrwało - odparł Newman, wpatrując się pilnie w sufit windy.

Tweed ruszył w stronę przestronnego holu i zatrzymał się przy wejściu. Paula zajrzała mu przez ramię, by zobaczyć, dlaczego przystanął. Na wprost nich w wielkim fotelu siedział Roman Arbogast, który zabierał się do jedzenia ciastka. Ciastko stało w pół drogi między jego grubymi wargami a talerzykiem. Oko zaczęło drgać, gdy Tweed zbliżył się do niego, aby się przywitać.

- Drogi panie Tweed, co za zaskakujące i miłe spotkanie. Jest pan ostatnią osobą, jaką spodziewałem się tu spotkać. - Zamilkł na chwilę i wykrzywił twarz w uśmiechu przypominającym grymas. - Jakiś cynik mógłby spytać, czy przypadkiem pan nas nie śledzi.

- Jestem cynikiem.

Ta odpowiedź zdumiała Arbogasta. Gdy szukał w myślach riposty, ktoś dotknął rękawa Tweeda. Odwrócił się,

by zobaczyć radośnie uśmiechniętą twarz Marienetty. Objęła go ramionami i uraczyła przeciągłymi całusami w oba policzki.

- Wreszcie spotkała mnie jakaś uciecha - powiedziała.

Jej kocie oczy wpatrzyły się bardzo sugestywnie w jego źrenice. Poczul się zobowiązany do odwzajemnienia gorącego uścisku.

- Wybierzmy się gdzieś sami - szepnęła - gdy będziemy mogli. I to jak najszybciej.

- Kuszący pomysł, któremu trudno się oprzeć.

Paula słyszała każde słowo. Stała spokojna i opanowana, gdy Marienetta odwróciła się w jej stronę. Miała na sobie zieloną, przylegającą do ciała suknię z odsłoniętymi ramionami, utrzymującą się jedynie na cienkich ramiączkach. Objęła Paulę i mocno uścisnęła.

- Wydaje mi się, że posunęłam się w śledztwie - powiedziała stłumionym głosem, którego nikt nie mógł usłyszeć. - Na Boga, pozbadźmy się tych nudziarzy i chodźmy gdzieś same.

- Wspaniały pomysł - odparła Paula uwolniona z uścisku. Tweed poprowadził Newmana, Paulę i Marlera do stołu pod ścianą. Gdy usiedli, Paula zrozumiała, dlaczego wybrał to miejsce. Mieli stąd świetny widok na rodzinę Arbogastów. Tweed mógł obserwować pod kątem Romana, który bez obrócenia się na krześle nie mógł go widzieć.

Przy stole Romana usiadły Marienetta i Sophie. Wszystkie rozmowy zamarły i w foyer zapadła pełna napięcia cisza. Gdy podano herbatę i ciasto, Paula, podnosząc filiżankę, spostrzegła wpatrzona w nią oczy Sophie. Ku jej zaskoczeniu Sophie obdarzyła ją radosnym uśmiechem, a cała jej twarz promieniowała ciepłem. Długie brązowe włosy miała związane w koński ogon.

Weszli Nield i Butler. Zatrzymali się na chwilę, po czym usiedli przy stole niedaleko drzwi, skąd mogli mieć na wszystkich oko. Spojrzenie Nielda przesunęło się po stoliku Tweeda, jakby siedzieli tam nieznajomi.

- Myślę, że zepsuliśmy Arbogastom przyjemność picia herbaty - szepnęła Paula.

- Taką miałem intencję - odparł Tweed poważnym tonem. - Nadeszła pora wzmożenia nacisku z naszej strony. Mamy mało czasu.

- Dlaczego?

- Wcześniej dzwonił do mnie Beck. Dowiedział się, że nasz przyjaciel Nathan nie wyjechał z Zurychu. Przestraszone rządy są gotowe chwycić się różnych metod. Nathan czeka na lotnisku Kloten. Beck przypuszcza, że czeka na posiłki.

- Nie mogą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Mogą, jeżeli Roman im powie. Teraz zapewne będziemy mieli ciekawe towarzystwo.

W sali pojawił się Black Jack w stroju do polo. Rozejrzał się szybko i podszedł do Pauli. Pochylił się i powiedział spokojnie:

- Gdy skończysz, spotkajmy się w holu. Odkryłem coś, co powinnaś wiedzieć.

- Już skończyłam. Przyjdę za minutę - odpowiedziała. Wyraz twarzy Black Jacka nie zdradzał zwykłej skłonności do dowcipów. Wyglądał poważnie i mówił natarczywie. Wychodząc z foyer, pokiwał ręką Arbogastom. Nikt mu nie odpowiedział.

- Chyba pamiętasz - powiedział Tweed nadal ponurym tonem - jak w foyer Baur au Lac Marienetta, rozmawiając z tobą, nazwała wiceprezydenta kuzynem? Powiedziałaś wtedy, że wyglądał tak, jakby mógł ją zabić. Wstając, spojrzysz za siebie w róg po lewej stronie.

Wstała powoli, robiąc przedstawienie z poprawianiem torby na ramieniu, i spojrzała na daleki koniec sali. Przy stoliku siedzieli Ed Danvers i Russell Straub, który teraz patrzył wprost na nią. Straub patrzył tak, jakby mógł ją zabić.

Powoli potoczyła wzrokiem po wszystkich obecnych. Boże! - pomyślała. To coś prawdopodobnie mieszka w tym hotelu.

W holu Black Jack podszedł wprost do niej.

- Na zewnątrz będzie bardzo zimno.

- Więc przepraszam na chwilę. Tylko skoczę po kurtkę. Otwierając drzwi do swego pokoju, znalazła kopertę, którą ktoś wcisnął w szparę przy podłodze. Zamknąwszy się w środku, wyciągnęła skrawek papieru z odręcznym pismem Nielda:

„Wynajętem samochody dla nas wszystkich. Dla ciebie czerwonego peugeota. Numer rejestracyjny poniżej, obok kluczyka”.

Szybko odkleiła kluczyk i wsadziła do torby na ramieniu.

Przed włożeniem kurtki sprawdziła dokładnie browninga. Załadowała go i z powrotem schowała na miejsce. Potem włożyła kurtkę i dostosowała pasek od torebki tak, by mogła szybko sięgnąć do środka. Potem wróciła do holu.

Black Jack oglądał samotnie obraz olejny w złotych ramach, przedstawiający wielki i starodawny dom wznoszący się na samej krawędzi skał nad brzegiem jeziora. Dom był piętrowy, z mansardowymi oknami wyglądającymi diabolicznie w świetle księżyca. Coś ją w tym obrazie zdenerwowało. Black Jack wskazał na niego i powiedział:

- Bardzo dziwne, ale gdy tylko tu przyjechałem, ktoś mi powiedział, że to miejsce jest własnością Romana, i

wytłumaczył mi, jak się tam dostać. Naszkicowałem mapę. - Podał jej złożony arkusz papieru, po czym pochylił się nad nią tak, że gdy wyjaśniał trasę, ich ramiona się dotykały. - Trzeba z podjazdu skręcić w prawo, a potem jechać drogą wzdłuż jeziora aż do drogowskazu na wioskę Finero. Tam wjeżdża się na górę, przecina Finero i szuka wąskiej dróżki po lewej stronie, która prowadzi w dół do tego domu. Gdybyś za Finero pojechała dalej i dotarła do kolejnej wioski Intragna, znaczyłoby to, że minęłaś zjazd.

Uderzyło ją to, że opisywał drogę tak, jakby właśnie nią jechał. Ponownie spojrzała na obraz i wcale nie nabrała ochoty na odwiedzenie tego miejsca.

- Jedziesz ze mną? - spytała neutralnym tonem.

- Chciałbym, ale Roman zauważyłby pewnie moją nieobecność, a to mogłoby być niebezpieczne. Jeżeli wrócę do foyer, pomyśli, że ty poszłaś na górę. Niesamowite, ale ten obraz musiał powstać wieki temu. Masz samochód?

- Tak.

- Tak myślałem. Widziałem na zewnątrz Nielda rozmawiającego z kierowcami, którzy przyprowadzili flotylę aut.

Prawie nic nie może ujść twojej cholernej uwagi, pomyślała. Ktoś wyszedł z sali i zniknął w głównym wejściu. Była tak zajęta studiowaniem mapy, że nie zauważyła, kto to był. Black Jack zaś wrócił do foyer. Nadal nie była pewna, czy ma podjąć tę dziwną podróż. Wtem ukazał się Newman, wziął do ręki jakieś broszury i spojrzał na nią. Skinęła głową i wyszła na zewnątrz w poszukiwaniu peugeota.

Mimo ciepłego stroju poczuła dotkliwe zimno. Gdy wsiadała do peugeota, z podjazdu ruszyło audi. Ktokolwiek siedział za kierownicą, miał głowę owiniętą szalem jak kapturem. Nie mogła zobaczyć, czy to kobieta, czy mężczyzna. We wstecznym lusterku widziała Newmana

zajmującego w pośpiechu miejsce w swoim audi. Wtedy się zdecydowała. Była chroniona.

Gdy ruszyła w dół stromym zjazdem, zauważyła, że audi z zakapturzonym kierowcą skręciło w prawo. Zrobiła to samo. Ciemność rozświetlały jedynie latarnie ustawione wzdłuż drogi i samochodowe reflektory. Podążała za audi jadącym z cywilizowaną prędkością. Utrzymywała odpowiednią odległość i spoglądała w lusterko, szukając wzrokiem samochodu Newmana. Bez skutku.

Przed wejściem do hotelu Newman desperacko starał się uruchomić audi, ale silnik odmówił posłuszeństwa. Próbował raz za razem, aż akumulator zaczął się wyczerpywać. Ruszył biegiem z powrotem do hotelu po kluczyki do innego auta. Przed wejściem do foyer zwolnił kroku. W palcach trzymał niezapalony papieros. Upuścił go w pobliżu krzesła Butlera.

- Harry, gdzie jest Pete? - szepnął, pochylając się, by go podnieść.

- W łazience.

Newman zaklął po cichu. Zapewne już stracił szansę dognania peugeot. Do tego nie miał pojęcia, gdzie Paula pojechała. Wszystko to wprawiło go w irytację. Poza tym zaczął się o Paulę bać.

Paula jechała dość wolno promenadą z jednej strony wysadzaną drzewami. Trzymała się jadącego na przodzie audi. Nie wiedziała dlaczego, ale instynkt podpowiadał jej, by działała w ten sposób, a ona przywykła już być mu posłuszną.

Ruch był niewielki, a ci, co jechali, zdążali w drugą stronę. Wiedziała, że oddała się od miasta. Gdy wyjeżdżała z hotelu, świecił księżyc. Teraz zniknął. Patrząc poza promenadę, widziała gęstą mgłę unoszącą się nad jeziorem rozmazanym w mroku. Tylko tego mi brakowało, pomyślała.

Sprawdzała każdy zjazd na prawo, ale żaden drogowskaz nie wskazywał Finero. Nagle spostrzegła, że światła jadącego przed nią audi zniknęły. Musiało skrócić w prawo. Zwolniła. Ledwo zdołała odczytać napis wycięty na starodawnym drewnianym drogowskazie: Finero. Po raz ostatni spojrzała we wsteczne lusterko i skrzyła. Nigdzie nie było widać Newmana.

Zjazd był wąski, ale nawierzchnia równa. Droga natychmiast zaczęła się ostro wspinać, często skracając. Wjeżdżała na górę. Od czasu do czasu widziała tylne światła audi, które teraz znacznie przyspieszyło, galopując przez zdradzieckie zakręty i wspinając się coraz wyżej i wyżej. Żadnego śladu domostw ani ludzi. Grunt po obu stronach był kamienisty. Na drogę napływała mgła.

Czasami widoczność była doskonała, kiedy indziej prowadziła jak w całunie. Po pokonaniu szczególnie ostrego podjazdu droga się spłaszczyła. Zobaczyła przed sobą zabytkową wioszczybę, ale czerwone światła pozycyjne zniknęły. To coś musiało porządnie wcisnąć gaz, pomyślała. Uświadomiła sobie, że bezwiednie użyła w myślach słowa „to”.

Na wiejskiej uliczce zwolniła. W żadnym domu się nie świeciło. Wkrótce zobaczyła dlaczego. Domy po obu stronach były parterowe. Dachówki spadały ze stromych dachów, szyby powybijane. Do cholery! Nikt tu nie mieszka. To opuszczona wioska. Coś takiego diabelnie dodaje otuchy.

Widząc przed sobą wolny od mgły odcinek drogi, docisnęła gaz, mając niewielką nadzieję na ponowne zobaczenie czerwonych świateł. Nigdzie nie było miejsca, w którym audi mogłoby zjechać w bok. Gdy wioska pozostała w tyle, zacisnęła zęby. Czyżby dała się zwabić w pułapkę? Opuściła wieś z uczuciem ulgi. Sposób, w jaki ta podróż się

zaczęła, zaczął ją niepokoić. Dlaczego Black Jack z nią nie pojechał? Czy działał na rozkaz Romana?

Tak ją ucieszył wyjazd z Finero, że niemal straciła drogę. Finero? Skończony? Rozklejasz się, udzieliła sobie napomnienia. Gwałtownie zahamowała. W światłach reflektorów zobaczyła po lewej szeroki brukowany trakt. Zmiana nawierzchni i stromizna zmusiły ją do zmniejszenia prędkości. Zmarszczyła brwi. W niektórych miejscach na zwożeniach szlaku zauważyła ślady wielkich kół i plamy po oleju. Musiały jeździć tędy wielkie ciężarówki. Ale dlaczego? I dokąd?

Zjazd stawał się niewiarygodnie stromy. Pewnie dlatego na długo przed dotarciem na dół jej reflektory odbijały się w wodzie. Posuwała się wolno, mając jezioro po prawej stronie. Znowu pojawił się księżyc. Zatrzymała się. Zobaczyła przed sobą olbrzymi dom z obrazu. Jak zwierz skulony na krawędzi. Prawdziwy był jeszcze bardziej niezwykły niż namalowany.

Nie wysiadając z samochodu, przyglądała mu się uważnie, szukając jakiegoś śladu życia. Nie było żadnych świateł. Starodawny, mansardowy dach sprawiał niesamowite wrażenie. Otworzyła okno i nasłuchiwała. Cisza była tak niepokojąca, że z nadzieją oczekiwała jakiegokolwiek dźwięku. Wtem mgła wróciła i skryła wszystko.

Obejrzała się za siebie. Wychodząc z hotelu, zabrała ze stojaka zakończony czubem parasol. Nie miała pojęcia, co ją do tego skłoniło. Teraz miała przynajmniej jakąś osłonę przed okropną mglistą wilgocią. Należało przyjrzeć się temu domowi.

Wyjęła z samochodu parasol i latarkę, ale nim otworzyła parasol, mgła pokryła jej twarz. Nie cierpiała tego uczucia. Brukowana droga kończyła się przy prowadzących do wejścia szerokich, drewnianych stopniach z poręczami. Wyglądały na bardzo stare.

Była już niemal na ich szczycie, gdy jeden szczebel pękł i spadł na ziemię. Utrzymała równowagę dzięki poręczy. Czy to dobry pomysł? Nikt przecież nie wie, gdzie teraz jest. Żaden z przyjaciół nie ma o tym pojęcia. Wszystko tu sprawia dziwne wrażenie. Oparła się chęci rezygnacji. Na szczycie schodów zobaczyła werandę i solidne drewniane drzwi. Latarka oświetliła potężny nowoczesny zamek. Prawdopodobnie nigdy nie udałoby się jej go sforsować. Powoli sięgnęła do klamki, nacisnęła ją i pchnęła. Drzwi otworzyły się, ale bała się wejść do środka.

Ponownie nawiedziły ją wątpliwości. Czy kogoś tam spotka? Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Wsunęła latarkę pod ramię, złożyła parasol i wyciągnęła broń. Pchnęła ciężkie drzwi, aż uderzyły o ścianę, ubezpieczając się w ten sposób na wypadek, gdyby ktoś się za nimi ukrywał. Po przeciwległej ścianie powiodła wolną ręką w poszukiwaniu włącznika światła. Namacała go i nacisnęła. Światło zaalało przestronny, zupełnie pusty hol. Po lewej stronie zobaczyła wejście do następnego pomieszczenia. Wyłączyła światło, nie chcąc o swej obecności informować kogoś na zewnątrz.

Od zapadnięcia się stopnia na zewnątrz nie dowierzała trwałości całej konstrukcji. Nasłuchiwała. W środku panowała całkowita i przytłaczająca cisza. Ostrożnie posunęła się w stronę jedynych w holu drzwi.

Przed zrobieniem kolejnego kroku wypróbowała deski czubkiem parasola i oświetlała drogę latarką trzymaną pod pachą. Często stawała i nasłuchiwała. Rozlegające się od czasu do czasu skrzypnięcia przypisywała wiekowi domu. Przestraszyła się, gdy cała budowla poruszyła się delikatnie jak statek na spokojnym morzu. Nadal posuwała się przez środek pokoju, przerażająco ciemnego poza smugą światła latarki.

Zatrzymała się i skierowała latarkę w dół. W miejscu, gdzie zamierzała stanąć, ziała spora dziura po drewnie, które zapadło się jak w pułapce. Wciągnęła powietrze i poświeciła latarką w ten otwór. Z mroku wyłoniły się kamienne ściany wielkiej i głębokiej piwnicy. Błysnęły w niej dwa rubiny, potem dwa następne. Rozszerzyła wiązkę światła i spojrzała w dół na dwa największe szczury, jakie kiedykolwiek widziała. Czerwone ogniki wpatrywały się w nią, zaskoczone. Miały szkaradnie długie ogony. Gdyby tam się znalazła...

To koniec dla takich jak ja eksploratorów, pomyślała. Co tu mogło być do ukrycia? Szczury biegały dokoła, jakby czując świeże mięso. Obeszła pułapkę, stukając parasolem. To miejsce na krztynę nie wzbudziło jej sympatii.

Zatrzymawszy się, usłyszała osypywanie się kamieni na zewnątrz. Jakby zgrzyt pod czyimiś stopami. Bez pośpiechu wycofała się do frontowych drzwi, cały czas dokładnie oświetlając drogę. Podłoga piwnicy musiała leżeć co najmniej sześć metrów poniżej. W najlepszym wypadku, gdyby tam spadła i się nie zabiła, straciłaby przytomność. Wyobraziła sobie siebie pożeraną przez te wygłodniałe bestie.

Gdy zbliżyła się do drzwi, przekonała się, że księżyc znowu świecił. Wyłączyła latarkę, wyjrzała na zewnątrz i zeszywniała. Pasma mgły otaczały jej peugeota i w tej mgle w pobliżu auta poruszała się jakaś niewyraźna postać. Nie mogła zobaczyć jej ubrania, widziała tylko, że była wysoka.

Paula miała już tego dość. Podniosła browninga i wystrzeliła, starannie mierząc ponad niemal niewidzialną postać. Intruz zniknął. Paula wcisnęła parasol pod pachę. W lewą rękę wzięła latarkę gotową do włączenia, a w prawej ścisnęła browninga.

Gdy po spróchniałych schodach szła w dół, omijając świeżą dziurę, wokół znów panowała przytłaczająca cisza. Zatrzymała się. Nasłuchiwała. Nagle groza chwili została

zniszczona przez dźwięk silnika od razu wprowadzonego na wysokie obroty. Nie zobaczyła samochodu, który z rykiem odjechał z wielką prędkością, wspinając się po ostro wznoszącej się drodze.

Na chwilę tylko błysnęły jej czerwone światła sunące niebezpiecznie blisko krawędzi drogi, lecz szybko zniknęły za zakrętem. Odgłos towarzyszący tej szaleńczej wspinaczce ucichł niemal natychmiast, nie zdążyła nawet dotrzeć do peugeot'a i po oświetleniu wnętrza usiąść za kierownicą. Zamknęła drzwi, wsadziła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Bez skutku. Spróbowała ponownie. Dalej nic. Silnik milczał. Została tutaj unieruchomiona, a do tego było okropnie zimno.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Dzięki Bogu księżyc znów świecił. Pociągnęła dźwignię maski i świecąc latarką, zajrzała do środka. Zakląła. Ktoś wyrwał kabel z gniazda. Po kilku minutach udało jej się umieścić go z powrotem. Wracając do środka, zobaczyła na trawie nieduży notatnik. Podniosła go i ponownie usiadła za kierownicą.

Usiłując zmarzniętymi rękami uruchomić silnik, upuściła kluczyk. O Boże! Przy zablokowanych drzwiach odszukanie zguby zajęło jej niemal pół godziny. Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu silnik zaskoczył. Nie wiedząc, co ją może jeszcze spotkać podczas powolnego wjeżdżania na tę diabelską górę, browninga wsunęła za spódnicę.

Księżyc zniknął i gdy w końcu wyjechała na drogę do Finero, otoczyła ją gęsta mgła. Powoli przejechała przez ciemną wioskę, przez cały czas spodziewając się zasadzki. Jej nastrój poprawił się, dopiero gdy znalazła się wreszcie na prowadzącej brzegiem jeziora drodze do Lugano.

- Poproszę Tweeda, aby przemaglował Black Jacka, aż zacznie ze strachu szczekać zębami - powiedziała do siebie.

Ta wesz posłała ją wprost w pułapkę. W ponurym nastroju dotarła do hotelowego podjazdu. Pewien niepokój

wzbudziły w niej zaparkowane tam samochody policyjne z migającymi kogutami. Kolejne stały na parkingu, utrudniając znalezienie miejsca do zaparkowania. Gdy wysiadła i zablokowała drzwi, zatrzymał ją umundurowany policjant, mówiąc coś po włosku. Rozłożyła ręce, pokazując, że nic nie rozumie.

- Jestem Angielką - powiedziała.

- Nie może pani tu parkować. Hotel jest zamknięty.

- Proszę nie opowiadać głupot - zdenerwowała się. - Mieszkam tutaj. Nazywam się Paula Grey.

- Puść ją - rozległ się znajomy głos. Zobaczyła Becka w prochowcu.

- Tweed jest w holu - powiedział, podchodząc z ponurą miną. - Bardzo się o ciebie niepokoi. Zdarzyło się następne morderstwo.

Cała jej frustracja i napięcie wyparowały. Na twarzy Tweeda widoczna była mieszanina ulgi i gniewu. Wiedziała, jak bardzo się niepokoił z powodu jej nieobecności.

- Gdzie byłaś? - spytał ostro. - Butler, Nield i Newman jeździli po okolicy, wszędzie cię szukając...

- Nie pojechałam dla własnego widzimisię - odparowała. - Newman zamierzał jechać za mną, ale potem się nie pokazał. Mam ci masę do opowiedzenia, kiedy się uspokoisz. - Jej umysł przepełniały ostatnie przeżycia, więc w ogóle nie dotarło do niej, co powiedział Beck.

Tweed wziął ją za ramię i poprowadził do pustej windy. Zaczęła mówić, gdy winda zaczęła piąć się w górę.

- Chcę przede wszystkim, abyś przemaglował Black Jacka, aż zacznie ze strachu dzwonić zębami. Posłał mnie wprost w straszną pułapkę.

Nie odezwał się słowem, dopóki nie odzukała klucza i nie otworzyła drzwi do pokoju. Weszli do środka. Na stole stały trzy nowe butelki: szkocka, woda i Chardonnay. Uspokoiała się, gdy pojęła, że to Tweed polecił je przygotować na jej powrót.

- Pomoże ci chyba kropelka szkockiej - zaproponował. - Choć nie jestem pewien. A może woda i potem Chardonnay?

- Woda i Chardonnay - westchnęła, padając na fotel. Począł, aż wypić dwie szklanki wody i kilka łyków wina.

Usiadł na wprost niej z poważną miną.

- Tak mi ulżyło, że wróciłaś bezpiecznie. Przepraszam za mój wybuch. Wiem, że spodziewałaś się, że Newman będzie cię eskortował, ale jego audi nie chciało ruszyć. Zadzwoił do firmy wynajmującej i posłał ich do wszystkich diabłów. Już wymienili auto.

- Chcę, żebyś maksymalnie przemaglował Black Jacka - powtórzyła.

Opowiedziała mu ze szczegółami o koszmarze jazdy pod górę w ślad za czyimś audi. Mówiła dalej o okropnościach domu nad jeziorem, wspominając, że w hotelowym holu wisi obraz przedstawiający to diabelne miejsce. Wyciągnęła mapę, jaką narysował dla niej Black Jack. Tweed wziął ją, obejrzał i położył na stole.

- Mam ponure wieści.

- O Boże! - jej umysł wrócił do teraźniejszości. - Beck powiedział mi, że było następne morderstwo.

- Tak. I nie przemagluję Black Jacka. Jego ciało znaleziono u stóp kolejki na San Salvatore, która jest tuż obok, ale nocą nie działa. Lepiej ci?

Skinęła głową i uśmiechnęła się blado.

- To znów ruszyło do akcji. Ciało było bez głowy.

- Co za okropność - powiedziała, gdy minął szok. - Był takim pomieszaniem z poplątaniem. Czasem go lubiłam. Miał w sobie tyle życia. Kiedy indziej zaś dręczył mnie. Jak dawno to się zdarzyło?

- Zapewne jakieś pół godziny temu. Właśnie wróciłem z oględzin.

- Więc to mogła być ta widmowa postać, która uszkodziła mój samochód nad jeziorem - jej umysł pracował już na pełnych obrotach. - Po naprawieniu auta masę czasu zajął mi powrót tutaj, a ona wystartowała stamtąd jak kierowca na torze Le Mans.

- Przyjrzałaś się jej choć trochę?

- Było to jak spotkanie widma, a trwało zaledwie kilka sekund. Czy na zewnątrz stoi jakieś audi? Należy zobaczyć, sprawdzić ciepłotę silnika.

- To nic nie da. Przy takim zimnie silnik stygnie natychmiast.

- Ale przynajmniej możemy się dowiedzieć, do kogo należy.

- To wiem. Należy do Sophie, a ona jest wysoka.

Paula spojrzała na Tweeda ze szczerą wątpliwością. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i wyciągnęła notatnik. Taki sam można było znaleźć wszędzie w hotelu. Na górze była wydrukowana jego nazwa. Paula zacisnęła wargi, obawiając się, że traci zdolność logicznego myślenia. Wręczyła notatnik Tweedowi.

- Przez tę pospieszną ucieczkę stamtąd zapomniałam o tym. Znalazłam go na trawie tuż obok drzwi kierowcy. Napastnik musiał go upuścić, może gdy strzeliłam mu nad głową. Myślę, że to potwierdza jego obecność w tym hotelu.

Tweed przyglądał się górnej kartce z napisem „CH.....”.

Pokazał to Pauli.

- Co to może znaczyć?

- Od CH rozpoczynają się numery rejestracyjne w tym kraju. Skrót ten oznacza „Confederation Helvetica”. Nie mam pojęcia, co znaczą myślniki.

Tweed włożył rękawiczki, na wypadek gdyby na bloczku były odciski palców. Uniósł górny arkusik i zajrzał pod niego. Na szczycie widać było resztki oderwanego papieru. Podsunął bloczek pod nocną lampkę. Pochylił go w różne strony.

- Coś było napisane na wydartej kartce, gdyż na następnej został leciutko odcisnięty ślad. Cholera, gdybym tylko mógł go odczytać. Ale masz rację, mamy potwierdzenie, że to zatrzymało się w tym hotelu, co znacznie zawęży pole poszukiwań.

- Czy moglibyśmy sprawdzić, kto stąd wychodził, gdy ja usiłowałam nie dać się pożreć szczerom?

- Beck próbuje to zrobić od czasu znalezienia ciała Black Jacka. Na razie jednak do niczego go to nie doprowadziło. Wiele osób wychodziło. Ci, którzy byli w środku, twierdzili, że nie ruszali się od pory herbaty.

- Więc myślę, że powinniśmy wziąć w obroty Sophie. To jej samochód został użyty.

Tweed wiedział, gdzie jest pokój Sophie. Na tym samym piętrze co Pauli. Stąd również rozciągał się widok na jezioro i, jak pomyślała Paula, na hotelowy parking przed głównym wejściem. Tweed zastukał do drzwi i poczekał chwilę, po czym zastukał głośniejsze. Usłyszeli stłumione pytanie.

- Kto to?

- To ja - odpowiedziała Paula. - Z Tweedem. Możemy na słówko?

Drzwi uchyliły się, lecz pozostały zabezpieczone łańcuchem, gdy Sophie, odziana w szlafrok, wyjrzała na zewnątrz. Odpięła łańcuch i wpuściła ich do środka, po czym dobrze zaryglowała drzwi. Niedawno umyła włosy i zdołała je wysuszyć jedynie w połowie. Ze szczotką w ręku wskazała im krzesła.

- Jestem nieco rozczochrana - stwierdziła. - Właśnie wzięłam prysznic. Musicie się pogodzić z moim stanem.

- Nieźle wyglądasz - powiedziała Paula.

- Wcale tego nie czuję, zwłaszcza po tej strasznej wieści o Black Jacku.

- Wiem, lubiłaś go - Paula okazała współczucie.

- Wcale nie - odrzekła Sophie, siadając w fotelu na wprost gości. - Nie mogłam mu za grosz zaufać.

Paulę uderzyła całkowita bezduszność jej reakcji. Sophie robiła makijaż i wyglądała na całkiem nieprzejętą. Co to za kobieta? Była wyraźnie niezadowolona z wizyty.

- Ciekawi was, kto będzie następny - zawyrokowała.

- Potrafię zrozumieć taką reakcję - powiedział Tweed uprzejmie. - Chcielibyśmy zadać tylko kilka pytań. Po prostu po to, aby wyjaśnić pewne aspekty, które nas niepokoją.

- Jakie aspekty? - burknęła Sophie, mrużąc powieki.

- Audi to pani samochód. Czy gdzieś nim pani wyjeżdżała od czasu naszego przybycia?

- A jak, u diabła, mogłabym to zrobić?! - krzyknęła w jego stronę z błyskiem oczu i policzkami zaczerwienionymi od gniewu. - Ktoś mi zwędził kluczyki! - Podniosła się gwałtownie. - Marienetta mówi, że z ciebie wielki detektyw - zwróciła się do Pauli szyderczo. - No to rozwiąż mi ten problem.

Paula zastanawiała się nad tym wybuchem, gdy Sophie sięgnęła po butelkę stojącą na stole. Nalała sobie szczerą porcję dzinu, wypila połowę i z hałasem odstawiła szklanę.

- Pomóż nam to zrozumieć - powiedziała Paula spokojnie. - Kiedy zginęły ci kluczyki? To może mieć znaczenie.

- Gdy byłam w tym cholernym foyer na herbacie. Smakowało mi ciasto. Może zjadłam za dużo. Muszę uważać na figurę. Było to najlepsze ciasto, jakie jadłam od wieków. - Przez jej twarz przebiegł uśmiech zadowolenia. - Trzeba sobie od czasu do czasu pofolgować. Potrzebuję nieco radości w życiu. Tyle ode mnie w ACTIL-u wymagają. Ja wykonuję większość pracy, a Marienetta zbiera laury.

- To przykre - powiedziała spokojnie Paula, starając się skłonić ją do mówienia na temat. - A więc w jaki sposób zniknęły kluczyki?

- Ze stolika w foyer. Twój dobry przyjaciel - powiedziała tonem insynuacji - Rob Newman wręczył mi je, gdy zaczynaliśmy pić herbatę. Położyłam je na stoliku, wokół którego było tłoczno. Kiedy wstałam, już ich nie było.

- A więc kiedy wyszłaś z foyer? - spytała Paula, a w jej głosie słyhać było ponagląjący ton. - Musiałaś być zszokowana.

- Kiedy skończyłam ciasto.

Osobowość Sophie zdawała się ulegać gwałtownym przemianom. Teraz wyglądała na małą dziewczynkę z kwaśną miną.

- Kto jeszcze był w foyer, gdy wychodziłaś?

- Nikt. Wyszłam ostatnia. Wcześniej posprzeczałam się z Marienettą - usiadła sztywno. - Nie lubię jej.

- Zapewne pozostał tam jeszcze Russell Straub. Może siedział daleko z tyłu ze swym pomocnikiem...

- Paulo! - Sophie znów zapałała gniewem. - Przecież właśnie ci powiedziałam, że spostrzegłam brak kluczyków, gdy w foyer nikogo już nie było. Ludzie czasem uważają, że jestem głupia, ale jestem bardziej rozbawiona niż większość z nich. - Zrobiła chytrą minę. - Może ty też tak myślisz? Uważaj, bo może cię spotkać niespodzianka.

- A więc - Sophie wystawiała cierpliwość Pauli na ciężką próbę - w foyer nikogo już nie było. Zapewne szukałaś ich? Ja bym tak zrobiła.

- Przetrzęsłam całe to cholerne miejsce. Na czworakach, łącznie z odsuwaniem mebli. - Pochyliła się w stronę Pauli. - Kochanie, kluczyków tam nie było. Ktoś je zwinął.

- Wierzę ci.

- Naprawdę? - Sophie rozpalonym wzrokiem spojrzała na Tweeda. - Słyszał pan? Ona mi wierzy. To jakiś cud.

Tweed wstał i z rękami w kieszeniach spodni podszedł do podwójnego okna, przez które widać było balkon. Sophie również wstała, ruszyła za nim i spojrzała w dół.

- Wspaniały widok - powiedział. - Nawet nocą ze światłami na Monte Bre. Czy widzi pani ten łańcuch świateł?

- Tak, przypuszczam, że to wznosząca się droga - odpowiedziała ze śmiechem. Jej nastrój zmienił się ponownie.
- Wyobrażam sobie, że stamtąd byłby równie wspaniały widok w naszą stronę.

- To prawda - zgodził się Tweed. - I jestem pewien, że ten łańcuch świateł oświetla trasę kolejki linowej. - Spojrzał w dół. - Zakładam, że to pani audi stoi tam zaparkowane.

- Tak, prawda, ale nie miałam jeszcze okazji przejechać się tym złomem.

- Pani znikające kluczyki mogą się znaleźć. Jeżeli nie, to poproszę jutro Newmana, by załatwił pani przysłanie duplikatów.

- Dziękuję. Ostatecznie mogłabym poprosić Black Jacka o ich przywiezienie, ale, och, nie, nie mogę - kontynuowała obojętnym tonem - bo już go nie ma pod ręką.

Spojrzała na Tweeda. Był zdumiony. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Niecierpliwie pociągnęła go za ramię.

- Jestem naukowcem. A naukowcy inaczej patrzą na życie.

Obliczamy, ile życia ktoś ma przed sobą, ile razy możemy go spotkać, nim skończymy dzieło mające nam do czegoś posłużyć.

- Myślę, że powinniśmy już pójść - odpowiedział Tweed sztywno. - Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

- Dobrze. Możemy przecież pogadać przy obiedzie...

- Co z niej za zimnokrwiste diable! - powiedziała wstrząśnięta Paula, gdy po wyjściu z pokoju Sophie ruszyli korytarzem. - A przecież mieli się ku sobie. Jeżeli w czasie obiadu będzie miała ochotę się dosiąść, znajdź sposób, by jej to uniemożliwić. Myślę, że trudno by mi było przełknąć przy niej jakiś kęs.

- Przyznaję - powiedział Tweed powoli - że na chwilę mnie замуrowało. Ta obcesowość jej wypowiedzi.

- Arbogastowie są bardzo dziwni - zamyśliła się Paula.

- I siedzą po uszy w tym wszystkim. Po tym, co mi powiedziałaś, jestem przekonany, że to siedziało w audi, za którym jechałaś. Ponadto przypuszczam, że właśnie ono skłoniło Black Jacka do namówienia cię na tę przejażdżkę. Potem musiało wrócić tutaj szybko i go wyeliminować, abyśmy nie odkryli, że prosiło go o dostarczenie ci mapy.

- Tak, ale przecież nie skłoniłaby go do tego nawet olbrzymia suma...

Dotarli do jej pokoju. Gdy przekrecała klucz w zamku, otworzyły się drzwi windy i wysiadł z niej Beck. Wyglądał na przygnębionego, lecz zadowolonego ze spotkania z nimi. Dołączył do nich i razem weszli do środka.

- Nie chciałbym was niepokoić - zaczął - ale mam dla was kilka zdjęć do obejrzenia. Nieprzyjemnych.

- Czy chcesz, abym poszedł i zidentyfikował ciało? - spytał Tweed.

- Dziękuję, ale to już zostało zrobione. Wcześniej trafiłem na Marienette i zgłosiła się na ochotnika. Poszedłem z nią. Była wstrząśnięta, ale trzymała się doskonale. Dokonała identyfikacji, po czym od razu chciała stamtąd uciekać.

- Skąd miała pewność - spytała Paula - jeżeli ciało nie miało głowy?

- Rozpoznała ubranie i sygnet na prawej ręce. Kieszenie, niestety, były puste. Zdenerwowałem lokalnego patologa, upierając się, by ciało odesłano do Zurychu. Nie ma drugiego takiego jak Zeitzler. Teraz, jeżeli jesteście już gotowi, usiądźmy może przy stole.

Beck wyciągnął z aktówki wielką kopertę i rozłożył na blacie serię zdjęć ciała. Wiele z nich pokazywało uciętą szyję.

Paula przyniosła szkło powiększające i przyglądała się im długo, nim podniosła wzrok.

- Zastosowano tę samą diabelską metodę i to samo narzędzie co poprzednio. Topór ze szczerbą. Jestem pewna, że zauważyłam niewielki postrzępiony obszar pomimo niewiarygodnie równego cięcia tuż pod podbródkiem.

- Zgadzam się - powiedział Tweed. - I za chwilę pokażę ci dowód, że morderca zatrzymał się w tym hotelu.

- Jest jeszcze coś - przerwała Paula - co zauważyłam u Sophie. W każdym pokoju jest taki bloczek do notatek. U niej go nie było.

- Poszlaka, ale interesująca - odparł Tweed.

Rozległo się pukanie do drzwi. Beck szybko schował zdjęcia do koperty, a Tweed znalazł się twarzą w twarz z Samem Snyderem w drogim garniturze i z szatańskim uśmiechem.

- Przyniosłem zdjęcia ofiary, ostatniej, tej spod kolejki. Pomyślałem, że zechcecie zobaczyć.

- Wpuść go - poprosił Beck.

Tweed, gotów do odprawienia Snydera, na życzenie Becka zaprosił go do środka. Dziennikarz wszedł z kartonową teczką w ręce, rozejrzał się po pokoju i uśmiechnął do Pauli.

- Och, jest z nami najatrakcyjniejsza kobieta w Szwajcarii. To dodatkowa premia.

- Nie zbliżaj się do mnie - ostrzegła. - Nie chcę się niczym zarazić.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi. Tym razem wszedł Newman. Zmroził go widok Snydera, więc usiadł obok Pauli.

- Może pokaże pan te zdjęcia - zaproponował Beck.

- Przecież po to przyszedłem - burknął Snyder. - Przyjemna impreza. - Jego uśmiech stał się impertynencki. -

Tak czy owak, powinniśmy wypić drinka na cześć mojego wyczynu.

Nikt na to nie zareagował. Gdy otworzył teczkę, Tweed ponownie usiadł przy stole. Snyder zamasyście wyciągał odbitkę po odbitce i kolejno rzucał na stół. Beck i Paula pochyłili się nad nimi. Nie były to zbliżenia, lecz w przerażająco dramatyczny sposób pokazywały ciało Black Jacka pozbawione głowy.

- Jak udało się je panu zrobić? - dopytywał się Beck beznamiętnie. - Policja powinna pana powstrzymać.

- Och! Nie było miejscowych hien, a tłumek był niewielki. Stałem za ludźmi i użyłem bezfleszowego aparatu.

- Bardzo sprytnie - skomentował Beck. - Konfiskuję wszystkie te zdjęcia jako dowód. Wydam panu pokwitowanie.

- Przewidziałem to. - Snyder otworzył usta i ryknął śmiechem. - Więc u lokalnego fotografa zrobiłem kopie. Razem z artykułem, jaki napisałem, wędrują już ekspresem do „New York Timesa”, „Time'a”, „Le Monde'a” i „Spiegla” i jeszcze do kilku innych redakcji. - Jego śmiech stał się jeszcze bardziej odpychający.

- Czy możemy się dowiedzieć, jaki będzie tytuł?

- „Już trzy bezgłowe ciała w Szwajcarii”. - Po raz drugi ryknął śmiechem. - To bardzo pomoże waszemu przemysłowi turystycznemu. Wszystkich zapraszam do licytacji. Zarobię fortunę.

- Którą, mam nadzieję, przepijesz - burknął Newman. - I tym się zadławisz.

- Mogę uzyskać nakaz pańskiej deportacji - powiedział Beck, choć zdawał sobie sprawę, że szanse na to są niewielkie.

- Wolność prasy! - ryknął Snyder.

- Myślę, że już czas, by pan sobie poszedł - powiedział Tweed, wstając.

Newman również wstał, zaciskając prawą dłoń w pięść. Powoli zmierzał w stronę Snydera, ale Beck polecił mu usiąść, po czym odwrócił się do dziennikarza, który pośpieszył do już otwartych drzwi.

- Panie Snyder - odezwał się Beck, nadal doskonale panując nad sobą - czy mogę spytać, gdzie pan był, gdy morderstwo zostało popełnione?

- U siebie w pokoju, dopóki nie dotarła do mnie o nim wieść. Wiadomość rozeszła się po całym hotelu. Cały personel o tym trąkotał.

- Ale nie spytał pan, kiedy zostało popełnione - ciągnął Beck. - Mógł pan być wszędzie. Na przykład obok kolejki linowej. Czy ma pan świadka potwierdzającego, gdzie pan był w istotnym dla sprawy czasie?

Snyder stracił arogancką pewność siebie. Tweed z kluczem w kieszeni nadal stał przy drzwiach. Zapadła cisza i wszyscy obecni spoglądali na reportera. Na jego czoło wystąpiły krople potu.

- Byłem w swoim pokoju - powtórzył zdenerwowany - aż usłyszałem o tym, co się stało. Myślę, że tak samo jak inni goście.

- Proszę, aby nie opuszczał pan kraju bez powiadomienia mnie o tym zamiarze - podsumował Beck.

Tweed otworzył drzwi i Snyder zniknął.

- Nigdy nie sądziłam, że Snyder może być mordercą - zauważyła Paula. - Jest mało prawdopodobnym podejrzanym.

- A ile razy najmniej podejrzanym okazywał się łajdakiem?
- skomentował Newman.

- Przypuszczam - ciągnęła, rozwijając nową teorię - że jako czołowy reporter kryminalny mógł zabawiać się myślą o popełnieniu zbrodni, naprawdę ohydnych, i opisanie ich w celu zbiccia fortuny. Właśnie powiedział, że zamierza ją zdobyć.

- Zapominasz - zwrócił jej uwagę Newman - o pacjencie leczonym w Pinedale. Trudno uwierzyć, że był to Snyder.

- Jeżeli nie jest obłąkany - upierała się Paula. - Jeżeli tak, na pewno nie chciał, aby ktokolwiek odkrył zapisy dotyczące jego choroby. Więc spalił szpital. Potem uświadomił sobie, że Abraham Seale wykrył, kim naprawdę jest, więc go wyeliminował. Z tego samego powodu pozbawił potem głowy Elenę Brucan.

- A co z zamordowaniem Adama Holgate'a? Jak on do tego pasuje?

- Snyder węszył w ACTIL-u i był we wnętrzu budynku, co wiemy ze zdjęć zrobionych przez Elenę. Holgate mógł go przyłapać na bobrowaniu w ich danych i Snyder uświadomił sobie, że może być wydany. Jedno prowadzi do drugiego.

- Wygląda dziwnie - stwierdził Newman stanowczo.

- Zdarzyło się wiele dziwnych morderstw - wtrącił Beck. - Prowadzimy śledztwo w sprawie klasycznej serii dziwnych morderstw przeprowadzonych w dziwny sposób.

Podczas tej rozmowy Tweed zaczął się przechadzać od stołu do balkonu. Poważnie zastanawiał się nad tym, co powiedziała Paula.

- I wiemy na pewno - przypomniał - że Snyder latał potajemnie do Stanów gulfstreamem. Ale są i inni. - Odwrócił się i spojrzał na Becka. - Czy wiesz cokolwiek o tym, gdzie był Russell Straub w czasie, gdy zamordowano Black Jacka?

- Przepytałem go - odparł Beck. - Trudny facet do przesłuchania. Straszyl mnie raportem do ministra. Życzyłem mu powodzenia. Powiedział, że przez całe popołudnie był sam w swoim apartamencie. Całe wnętrze jest zasłane arkuszami z nazwiskami osób wspierających jego kampanię. Na wszystkie moje wcześniejsze pytania odpowiadał tylko jednym słowem „nie”.

- Ma z tym coś wspólnego - zapewnił Tweed. - A Paula miała dziś nieco wcześniej przerażające przeżycie. Opowiedz Arthurowi...

Zrelacjonowała, co się wydarzyło, gdy pojechała w ślad za audi. Mówiła rzeczowo, nie opuszczając żadnych szczegółów. Beck przyglądał się jej i słuchał. Gdy skończyła, spytał, o której godzinie odkryła, że jej samochód został uszkodzony.

- Było wystarczająco dużo czasu, by wrócić stamtąd tu i zamordować Black Jacka. Obawiałam się, że to może czekać na mnie po drodze, i prowadziłam bardzo wolno...

- To? - spytał Beck.

- Tak nazywam mordercę. Ponieważ po dokonaniu tak okropnych rzeczy nie może być normalną istotą ludzką.

- Rozumiem. Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć. Jutro Arbogastowie wyjeżdżają na południe. Poinformował mnie o tym tajniak, którego umieściłem w kasie biletowej na dworcu. Jadą późnym popołudniem.

- Do Chiasso - dodał Tweed.

- Tak. - Beck był zdumiony. - Jak to odgadłeś?

Tweed wyciągnął bloczek hotelowy znaleziony przez Paulę w pobliżu domu nad jeziorem.

- „CH.....” - pokazał bloczek Beckowi. - Najpierw myślałem, że CH to pierwsze litery rejestracji. Potem nagle mnie olśniło. Chiasso.

- To na granicy szwajcarsko-włoskiej - wyjaśnił Beck. - Podniósł się spory krzyk, że wysyłany przez Romana transport ma trafić na Bliski Wschód i tak naprawdę zawiera gaz trujący zamiast tlenu. Roman wie, że to sprawdzimy, i chce być obecny przy kontroli. Jutro na granicy mogą nastąpić dramatyczne zdarzenia. Teraz muszę lecieć. Chcę dopilnować ambulansu, który ma przewieźć ciało Black Jacka na lotnisko. Co zamierzacie? Paulo, nie możesz się nigdzie ruszać bez

eskorty. To rozkaz. Z jakiegoś powodu jesteś dla zabójcy następnym celem.

- Wiem, co mam teraz zrobić - powiedziała Paula, gdy zostali sami. - Zamierzam nie iść na obiad, wziąć prysznic, a potem spać, spać i spać.

- Ale żadnych snów więcej - ostrzegł Tweed.

Koszmar.

Przed pójściem do łóżka Paula dokonała umysłowego wysiłku wyrzucenia z głowy rozstrajających nerwy doświadczeń ze starego domu i piwnicy zamieszkaney przez olbrzymie szczury. Gdy wyłączyła lampkę, wiedziała, że się jej udało. Szybko usnęła. Jej umysł zaczął pracować.

Najpierw znalazła się sama na bezludnym zbocz. Znikąd napłynęła mgła i jej zdradzieckie kłęby zaczęły powoli otaczać Paulę. Z trudem ciągnęła w górę stopy ciężkie jak z ołowiu. Było ciemno. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, i to wzbudzało jej niepokój.

Wtem szara mgła wokół jej szyi zmieniła kolor. Stała się różowa. Zbliżał się świt. Ręce miała tak zimne, że gdy starała się odepchnąć mgłę od szyi, ich dotknięcie przeszło ją lodowatym dreszczem.

Wokół panowała śmiertelna cisza. Zbyt wielka. Nie mogła usłyszeć swych ciężkich butów uderzających o kamieniste zbocze. Wtem dobiegło do niej dziwne dudnienie, jak gdyby skalne masywy zaczęły z wolna sunąć w dół, w jej stronę. Próbowwała zawrócić i zbiec po stoku, ale stopy pozostały nieruchome, zbyt ciężkie, by je unieść.

„Paulo, nie możesz się nigdzie ruszać bez eskorty” - usłyszała rozkaz Becka odbijający się echem w jej głowie. Gdzie jest Newman? Dlaczego wspięła się na ten bezludny stok? Dudnienie gigantów rozlegało się coraz bliżej i bliżej. Teraz mogła nieco poruszyć stopami, lecz niosły ją w stronę zbliżającej się masy.

Przed nią w górze mgła się przeredzała i przeistaczała w feerię kolorów. Na Boga, dlaczego nie pojawia się światło poranka, aby mogła zobaczyć grożące jej niebezpieczeństwo? Mgła nad nią cofała się i dostrzegała już olbrzymie sylwety,

nieruchome jak bogowie strzegący Olimpu, którego spokoju śmiertelni nie mogli zakłócić.

Serce podchodziło jej do gardła, a stopy same niosły ją w górę, tam, gdzie wcale nie chciała dotrzeć. Starła się zmusić je do zatrzymania. Nie słuchały. Niosły ją coraz bliżej olbrzymów. Słońce jeszcze zza nich nie wyszło, ale feeria światła stawała się coraz wyraźniejsza.

„Nie chcę iść pod górę” - mówił jej wewnętrzny głos przerażenia, ale jej stopy wciąż niosły ją tam w bezlitosnym marszu. Całkiem nad nimi nie panowała. Dźwięk posuwających się gigantów zelżał i powróciła przerażająca cisza. Otworzyła usta, by krzyknąć, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Cisza była złowieszcza, przepełniona grozą. Czyżby traciła zmysły?

Narastał blask poprzedzający wschód słońca. Mgła nadal była w odwrocie, ale przesuwała się w górę. Wydało się jej, że słyszy stłumione bicie dzwonów kościelnych, których dźwięku od dzieciństwa nie znosiła. Przerwy między uderzeniami były długie i gdy zdawało się jej, że bicie ustało, napływało następne ciche uderzenie.

Różowa, pomarańczowa i zielona poświata stawały się jednym pasmem światła. Nagle widziane wcześniej sylwety nabrały ostrości. Jej stopy szybko poniosły ją w górę. Stała zahipnotyzowana i niedowierzająca.

Na górskim grzbiecie wznosiły się dwie szerokie kamienne wieże połączone ze sobą murem sięgającym połowy ich wysokości. Już je kiedyś widziała. Wiedziała gdzie. Jak się tu dostała tak daleko od Lugano? Widziała je z pociągu, gdy wyjechali z tunelu Gottharda. Zaraz za Airolo.

Obudziła się z rękami zaciśniętymi na skłębionej pościeli.

Tweed wciąż pracował przy biurku, w piżamie, z karafką wody pod ręką. Starał się uporać z delikatnym zadaniem. Przed nim leżał hotelowy bloczek znaleziony przez Paulę.

Odchylił pierwszy arkusik, na którym drukowanymi literami nakreślono „CH „, co - był pewny - stanowiło skrót nazwy stacji granicznej Chiasso. Podniósł również drugą kartkę, na której widniał lekki odcisk, jaki powstał przy zapisywaniu słowa na usuniętej karteczce.

Powoli mazał ołówkiem po odcisniętym zarysie, mając nadzieję na ujawnienie słowa. Poruszał nim leciutko, ledwie dotykając papieru, i coś zaczęło się pojawiać. Nie uległ chęci przyspieszenia pracy i silniejszego naciśnięcia rysika.

O czwartej rano odłożył ołówek i spojrzał na magicznie odtworzone słowo. Nie miało sensu. Daremnie próbował połączyć je ze zdarzeniami, jakie nastąpiły, aż wreszcie - co rzadko mu się zdarzało - zapalił papierosa. Nadal wpatrywał się w odczytany wyraz, starając się zgłębić jego sekret.

Airolo.

Paula wyszła z pokoju o siódmej. Chciała jak najszybciej opowiedzieć Tweedowi o nocnym koszmarze. Gdy szła korytarzem, otworzyły się jakieś drzwi i ukazała się w nich Marienetta. Silnie chwyciła Paulę za ramię i niemal siłą wciągnęła do środka.

- Umówiliśmy się na rozmowę, aby porównać notatki i zobaczyć postępy.

- Ale tylko na kilka minut. Mam coś do zrobienia.

- Kawy? Mam przygotowaną. Wyglądasz, jakbyś źle dzisiaj spała. Lubię to ubranie. Dobrze ci w tym odcieniu niebieskiego. Siadaj, proszę. Zapewne słyszałaś, że to ja zidentyfikowałam biednego Black Jacka. Beck mnie poprosił. Słyszał, że znaleźliśmy się całkiem dobrze. Zrobiłam to, ale nie mogę powiedzieć, aby to było najprzyjemniejsze doświadczenie w moim życiu. - Podawała Pauli filiżankę kawy. - Morderca ma obrzydliwą osobowość. Black Jack leżał tam z palcatem w dłoni. Musiał mu go włożyć już po tym, co się stało.

- To typowe dla obłąkanego umysłu, z jakim mamy do czynienia. Jesteś ubrana jak do podróży.

- Tak. O siedemnastej łapiemy pociąg do Chiasso. Droga nie zajmie więcej niż pół godziny. Roman ma do wysłania jakiś wielki transport, który mu ciągle kwestionują celnicy. A Roman, jak to Roman, chce sam wszystkiego dopilnować, aby ładunek został odpowiednio przepakowany. Mówiono mi, że to klaustrofobiczne miejsce. Ale wróćmy do naszego śledztwa. Czy doszłaś do czegoś interesującego?

- Ty pierwsza. Ja się dopiero rozbudzam.

- Dobrze...

Marienetta zamilkła na chwilę, choć poprzednio słowa płynęły z jej ust wezbraną rzeką.

Co za witalność, pomyślała Paula.

- Zaczęłam się zastanawiać, kto mógł zamordować Black Jacka. Wiesz, że ten biedny czort jest, a raczej był, bankrutem. Teraz mój główny podejrzany zniknął ze sceny - głos jej zadrżał - a taki był z niego fajny facet. Miałam nadzieję, że się mylę, no i proszę. Ale, o Boże, co za piekielny sposób potwierdzenia tego.

Otworzyła butelkę wody mineralnej. Gdy nalewała, szyjka butelki dzwoniła o szklanekę. Paula zrezygnowała z udzielenia pomocy, gdyż sądziła, że mimo ekstrawertycznego stylu bycia Marienetta była samotniczką i wolała sobie ze wszystkim radzić sama. Silna kobieta.

- Teraz lepiej - powiedziała, odstawiając pustą szklanekę. Poklepała kanapę, w którą się zagłębiła. - Choć, dołącz do mnie, abyśmy mogli pogadać.

- Zdumiało mnie - zaczęła Paula - że Black Jack był bankrutem. Był przecież właścicielem Templeton's, bardzo dochodowego domu gry w Mayfair.

- Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy zainwestował wielkie sumy w firmy dotcomowe, które pękły jak bańki mydlane. Zaciągnął nawet pożyczkę hipoteczną pod zastaw Templeton's, by więcej zainwestować. Przyszedł wielki krach i zbankrutował. Dwa banki zamierzały przejąć Templeton's. Praktycznie nie miał nic.

- Zachowywał się bardzo spokojnie.

- Był dumny ze swej reputacji człowieka, który zamienia w złoto wszystko, czego się dotknie. Mam jeszcze jednego podejrzanego.

- Kogo?

- Brodena. Jest wielki, wysoki i bezlitosny. Ma osobowość jak z kamienia, lecz zauważyłam ukryte pod powierzchnią szaleństwo. Zanim Roman go zatrudnił,

proceeding enjoying the success of the detective agency. He had qualifications for chief of protection.

- Detective agency? - Paula was completely surprised. - He told me, that he was in Special Investigation Brandi.

- I believed you? - Marienetta put her hand on Paul's shoulder, looking at her with a special smile. - Broden in a moment of eye changing his biography, adapting it to the listener. A strange man.

- Maybe I really must go - said Paula, looking at her watch.

- But not earlier, than you tell me, what you discovered. Only the truth.

- I'm learning more, for example about family connections, the more everything worries me. I concentrate on this, who could have a motive.

- Motive? So don't judge, that they were accidental murders?

- No. The problem is that we need to find a link of the victim, and that is not easy. Accidental? No. I have only information about our progress. We will certainly find something. Luck plays a big role in solving criminal puzzles. And now excuse me, but I really must go.

- Of course. Watch yourself - she looked at Paula with a stern look. - Sophie is at least of all the most business-minded. She doesn't think about anything else but business. Even I don't know how many times she was in Boston. She makes a robot. She even convinced some general in the Pentagon to give us a big order.

- Bravo for Sophie - commented Paula, getting ready to leave.

Śpieszyła do apartamentu Tweeda, gdy zagroziła jej drogę krzepka postać w swetrze i spodniach.

- Tylko jedno słowo, proszę - powiedział Broden, otwierając drzwi do swego pokoju.

Paula zawahała się, ale przyszło jej na myśl, że od czasu pogawędki w biurze w Zurychu właściwie z nim nie rozmawiała. Jego zwykle beznamiętna twarz teraz uśmiechała się, gdy poprowadził ją do fotela i spytał, czego się napije.

- Poproszę kawę, jeżeli nie sprawi to kłopotu.

- Ten dzbanek dostarczono przed kilkoma minutami. Z kremem i śmietanką?

- Nie, dziękuję. Czarną.

- Kobiety wolą czarną jak grzech piekielny - powiedział, nalewając i podając filiżankę. - Bóg widzi, że mamy wystarczająco dużo grzechów dokoła. Morderstwo Black Jacka zaskoczyło mnie. - Usiadł na krześle obok. - Abraham Seale i pani Brucan byli dziwnymi postaciami, które mogły źle skończyć. Oboje odwiedzili Romana w Londynie. Na jego żądanie byłem obecny przy spotkaniach z nimi, bo nie chciał, by zostawali zbyt długo. Ale Black Jack to typ, który moim zdaniem powinien żyć długo. Miły facet, jeżeli umiało się odpowiednio na niego reagować.

- A co z Hankiem Foleyem z Pinedale?

- Pewnie pozostanie tajemnicą. Czy mogę zapalić? - Z pudełka na stole wyciągnął małego papierosa.

- Proszę bardzo.

Przyglądała mu się. Ogorzała twarz wskazywała na to, że sporo czasu spędzał na powietrzu. Oczy, jak szklane, nigdy nie zdradzały prawdziwych myśli. Pokrywały je grube powieki, które czasem opuszczał jak okiennice. Miał nos, wargi i szczękę eks-boksera.

- Dlaczego myśli pan, że tajemnica morderstwa Hanka Foleya nigdy nie zostanie odkryta? - spytała.

- Ten policjant Parrish, z którym wypiliśmy kilka piw, jest tak tępy, że nie zobaczy dowodu, nawet gdy mu się go podsunie pod nos. A w FBI, jak mi powiedział przyjaciel z Bostonu, odłożyli sprawę na później, czyli na wieczne nigdy.

- Czy ma pan jakieś przypuszczenia co do tożsamości mordercy? - spytała, wstając.

- Ktoś z tego hotelu.

- Śniadanie musi jeszcze poczekać - poinformowała Tweeda, gdy dotarła do jego pokoju. - Znów mam ci wiele do powiedzenia.

Usiadł i nie odzywał się słowem, gdy zdawała sprawę z rozmowy z Marienettą i z późniejszego spotkania z Brodenem. Krótko skomentował jedynie jej uwagę o nagłym spotkaniu z szefem ochrony.

- Wiesz, chyba poświęciliśmy Brodenowi za mało uwagi.

- Przeżyłam naprawdę okropny koszmar nocny - mówiła dalej. - Wszystko było jak żywe i przerażające...

Znów wysłuchał, nie przerywając. Przez cały czas obserwował jej twarz. Przedstawiła to, co przeżyła, tak świetnie, że koszmar jej stał się niemal jego udziałem. Ręce, zwykle tak spokojne, splatała na udach, skręcając przy tym i zaciskając palce. Od czasu do czasu, przypominając sobie minione przeżycia, zamykała oczy. Kończąc opowiadanie, westchnęła.

- Przykro mi, że przez to przeszłaś - skomentował Tweed - ale nie pierwszy raz wspominasz o bliźniaczych wieżach straszących cię w przebłyskach podświadomości.

- Prawdopodobnie to jakaś dziecinada - stwierdziła.

- Jedziemy dzisiaj do Chiasso. Zamierzam siedzieć na ogonie tej dziwacznej rodziny, dopóki nie zakończę sprawy. A ty powinnaś wiedzieć, że kilka faktów, o których mi dziś

rano opowiedziałaś, pasuje do obrazu, jaki buduję. Mam na myśli to, że zbliżamy się do punktu kulminacyjnego.

- Cieszę się, że ci pomogłam. Wszystkie rozmowy były przypadkowe.

Wstała, podeszła do otwartego okna i wyszła na balkon. Tweed dołączył do niej. Świeciło słońce. Na odległym krańcu jeziora dwa trójkątne szczyty połyskiwały w jego blasku. Jezioro miało wspaniałą błękitno-kobaltową barwę.

- Tak tu pięknie i spokojnie - powiedziała Paula. - To nie miejsce na tak okropne zdarzenia.

- Rejon, gdzie znaleziono Black Jacka, jest zwany rajem.

- Co za piekielna ironia.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Newman. W garniturze w pepitkę dołączył do nich na balkonie i przywitał się z uśmiechem. Spojrzał na otaczający ich widok i wziął głęboki oddech.

- Panorama naprawdę wspaniała - zachwycił się, ale zaraz zauważył poważną minę Pauli. - Rozluźnij się i odetchnij. To raj.

- Właśnie to jej powiedziałem - wtrącił Tweed ponuro.

Wziął ją za ramię, poprowadził do środka i posadził w fotelu.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Gdy zaczęła mówić, głos się jej zatrzęsł.

- Znów się rozklejam. Bóg wie dlaczego.

- Ten sen...

- Zapomnij o nim. Nie wracajmy do tego. Jestem pewna, że to moje przywidzenia.

- Może nie. Przez noc pracowałem nad odciskiem napisu. Dzięki uporowi i może cierpliwości udało mi się go odczytać.

Wyciągnął bloczek, otworzył w odpowiednim miejscu i pokazał jej. Spojrzała, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Airola.

Spóźniony lunch jedli w dobrej restauracji Sayonara. Tweed starannie wybrał miejsce w centrum Lugano, dość blisko kolejki dowożącej pasażerów do dworca kolejowego. Newman już kupił cztery bilety do Chiasso i powrotne.

- Obsługa i jedzenie są tu doskonałe - zauważył Tweed, szybko zjadając paellę i opróżniając talerz przed innymi.

Paula siedziała obok niego, mając przed sobą Newmana i Marlera. O tak późnej porze w restauracji było spokojnie. Wyjazd ze Splendide Royal odbył się zgodnie z planem. Najpierw Newman pojechał taksówką do Lugano, aby wynająć mikrobus. Zaparkował go niedaleko stacji kolejki, przy której znaleziono ciało Black Jacka. Miejsce nadal było odcięte taśmą policyjną, a funkcjonariusze robili dodatkowe zdjęcia. Piechotą wrócił do hotelu. Czeka zaparkowany - poinformował Tweeda.

Hotel opuszczali pojedynczo i spacerując promenadą, docierali do Lugano. Nikt z nich nie natknął się na rodzinę Arbogastów.

Mieli masę czasu na zjedzenie posiłku. Paula była spięta i jadła najwolniej.

Upiła nieco z jedyne go zamówionego kieliszka wina i choć nikogo nie było w pobliżu, powiedziała ściszym głosem:

- Jak myślicie, co może zdarzyć się w Chiasso?

- Nie mam pojęcia - odparł Tweed. - W drodze na śniadanie trafiłem na Romana. Wydawał się zrelaksowany i pewny siebie.

- Czy mógłby się tak zachowywać, gdyby w butlach zamiast tlenu był gaz trujący? A jeżeli jest, to gdzie by go wysyłali?

- Na Bliski Wschód, dla muzułmańskich fundamentalistów. Zapłaciliby wielką fortunę, by tylko dostać go w swoje ręce. Przypuszczam, że po minięciu Chiasso butle przejechałyby wynajętymi samochodami do Mediolanu, a potem do portu w Genui. Tam by je załadowano na statek.

- Roman - wtrącił Newman - byłby zrelaksowany i pewny siebie, nawet gdybyś wymierzył do niego z pistoletu. To twardy facet.

- Ale czy podjąłby takie ryzyko? - rozważał Tweed. - Zbudował ACTIL, konglomerat firm, nie narażając się na żadne oskarżenie o ciemne interesy. Wkrótce się przekonamy. Beck mówił mi, że będzie tam z grupą specjalistów, by sprawdzić każdą butlę. A tymczasem wolałbym, aby Roman nie wiedział, że jedziemy tym samym pociągiem...

Dalej wszystko szybko się potoczyło. Tweed spojrzął na zegarek i stwierdził, że pora ruszać. Po wyjściu z restauracji skręcili w prawo i trafili na „Mayfair” Lugano, wielki pusty plac otoczony starymi, dobrze zachowanymi domami. Teren był pokryty włoską odmianą bruku, wygładzonego, by ułatwić spacerowanie. Było już ciemno, lecz miejsce to oświetlały latarnie zwisające z przymocowanych do ścian wsporników.

Mała kolejka linowa właśnie zjechała z dworca kolejowego. Gdy wsiedli do wagonu, drzwi zamknęły się automatycznie i kolejka zaczęła się wspinać na stromy stok, przejeżdżając po drodze przez krótki tunel. Newman miał na sobie znoszone palto, ponadto włożył przyciemnione okulary i beret.

W chwili wyjścia z restauracji Paula poczuła przejmujące lodowate zimno. W kolejce owinęła szyję futrzanym kołnierzem. To również zaplanował Tweed. Gdy kolejka dotarła łagodnie do przystanku, Newman wyszedł i zniknął. Paula czekała na wyjście Tweeda, w którego ślady ruszył Marler. Dopiero wtedy mogła opuścić wagon i po stopniach

weszła na peron. W tym momencie zajęła limuzyna i zaparkowała niedaleko miejsca, gdzie Newman zostawił mikrobus. Wysiadł z niej zakutany w futro Roman, z futrzaną czapą w rosyjskim stylu. Za nim pokazała się Sophie, a potem Broden. Nie było Marienetty. Ukryta za żelaznym filarem Paula pomyślała, że Marienetta uznała wyjazd za nudny lub nie chciała uczestniczyć w niebezpiecznym zdarzeniu.

Pociąg wjechał na peron. Arbogastowie weszli do przedniego wagonu pierwszej klasy. Pojawił się trudny do rozpoznania Newman. Kiwnął, by wsiedli do drugiego wagonu. Gdy pociąg ruszył, Paula usiadła przy oknie. Był to krótki, dwuminutowy przystanek. Tweed również usiadł przy oknie na wprost niej, Marler jak zwykle z tyłu, a Newman za przejściem obok Pauli. Minęli szybko wyżej położone rejony Lugano i wyjechali na pustkowie.

- Aż do Chiasso - powiedział zrelaksowany Tweed - mamy przed sobą trasę malowniczą nawet w nocy. Jeżeli usiądziesz obok Roba, Paulo, wkrótce zobaczysz szczyt San Salvatore.

Paula przyglądała się mapie, którą zabrała z hotelu. Teraz spojrzała na Tweeda.

- Jezioro Lugano jest jak ośmiornica z mackami rozciągniętymi we wszystkie strony - stwierdziła.

- Dobre porównanie - zgodził się Tweed.

Przy skręceniu pociągu Paula ujrzała światła Lugano z łańcuchem lamp jaśniejących niczym sznur diamentów wijący się w miejscu, gdzie wyobrażała sobie Monte Bré. Gdy przeszła na miejsce obok Newmana, wskazał w górę na olbrzymią wapienną turnię, która rosła w oczach, przypominając im o zbliżaniu się do tunelu Gottharda, lecz teraz Paula mogła dojrzeć wierzchołek z czerwonym światłem nawigacyjnym ostrzegającym samoloty. Tweed zawołał, by wróciła na miejsce.

Ruszyła z powrotem, zafascynowana światłem księżyca na mieniącej się teraz srebrem rtęci tafli jeziora. Westchnęła z zadowoleniem. Wszystko wyglądało nierealnie, jak w pięknym śnie.

- Jest tak romantycznie - powiedziała.

- Od tego miejsca - wyjaśnił Tweed - tory biegną przez chwilę wzdłuż jeziora, a wkrótce - spojrzał na zegarek - przeprawimy się przez nie wielkim mostem kolejowo-drogowym. Rozglądaj się wtedy, a w oddali zobaczysz ponownie Monte Bré.

Gdy to mówił, pociąg skręcił w lewo i wjechał na długi most. Spojrzała na jezioro wprost przed siebie i w oddali zobaczyła połyskujące światła idące w stronę szczytu. Była oczarowana. Ściągnęła kurtkę, delektując się ciepłem wnętrza wagonu. Zjeżdżając z mostu na suchy ląd, pociąg skręcił w prawo i widok szybko przeminął.

- Teraz - zapowiedział Tweed - będzie raczej nudno. Po samym Chiasso nie spodziewam się wiele, jeżeli nie nic. To tylko wielki węzeł kolejowy.

Przez chwilę przez okno od strony Newmana znów mogła widzieć jezioro. Potem zniknęło. Księżyc pojawił się jedynie na chwilę, jakby chciał sprawić im przyjemność, i zaraz skrył się za chmurami. Usiadła na swoim miejscu.

- Jeżeli w Chiasso pojawią się jakieś trudności - zagadnęła Tweeda - mam nadzieję, że Beck się tym zajmie.

- Powiedział mi, że oprócz specjalistów będzie miał do dyspozycji połowę lokalnej policji. Lepiej włóż kurtkę. Wkrótce dojeżdżamy. Pociąg przed chwilą zaczął zwalniać.

Pociąg hamował i Paula wyjrzała przez okno. Zobaczyła budynek stacji z wielkim napisem: CHIASSO. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak ponurego peronu. Nie wiedziała, dlaczego po tak czarującym przeżyciu nagle poczuła niepokój.

Idąc peronem, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność, Paula pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała tak ponurej i przygnębiającej stacji. Nawet dawniej przezroczyisty dach nad jej głową był brudny i szarobury. Wkrótce uświadomiła sobie, że cały węzeł kolejowy był upchnięty w wąwozie. Po obu stronach stacji wznosiły się nudne wzgórza ze stokami z nędznym poszyciem i sterczącymi gdzieniegdzie niewielkimi drzewami. Za nią, nieco z tyłu, kroczył Newman ze wszystkimi bagażami.

Aż do miejsca, gdzie peron skręcał, nie spotkała ani jednego umundurowanego kolejarza. Teraz zobaczyła butle i pochylających się nad nimi ludzi w białych strojach z maskami. Jeden z nich trzymał w prawej ręce coś, co wyglądało na pipetę, a lewą odkręcał zawór butli. Rozległ się syk gazu wypuszczanego z butli do pipety. Mężczyzna szybko zakręcił zawór i uniósł pipetę, sprawdzając zawartość.

Całej procedurze przyglądał się Roman, w futrze i z rękami w kieszeniach. Paula myślała, że wpadnie w furję z powodu widocznego zamiaru sprawdzenia, jedna po drugiej, olbrzymiej liczby butli na skrzyniach ładunkowych. On zaś wyglądał na rozbawionego.

- Znów czyste jak kryształ - zauważył. Odwrócił się i uśmiechnął do Pauli. - Jeżeli zawartość zmieni kolor, będzie to oznaczało, że w środku jest coś innego.

- Gaz trujący - burknął stojący obok Broden. - Każdy z poczuciem zdrowego rozsądku powinien przestać stroić sobie żarty.

- Szwajcarzy są bardzo dokładni - powiedział Roman do Becka, który właśnie pojawił się nie wiadomo skąd. - Bardzo dokładni - powtórzył, spoglądając na niego. - To dlatego tak długo trwa wyprodukowanie zegara z kukułką.

- Sprawdzamy wszystkie podejrzane towary - odparł Beck.

- A dlaczego te butle z tlenem są podejrzane? - spytał Roman z sarkazmem w głosie. - Z powodu plotki rozgłaszanej przez jednego z moich konkurentów. Jeszcze pan tego nie pojął? Inna plotka mówi, że pan jest szefem policji federalnej.

- Co akurat jest prawdą. Podejrzewamy, że miejscem przeznaczenia tych butli z tlenem jest Kair.

- Podejrzewacie? - Roman wybuchnął gniewem i przysunął się do Becka. - Teraz posłuchaj pan, bo jesteś pan zupełnym ignorantem w sprawach handlu międzynarodowego. Egipcjanie potrzebują tlenu w szpitalach. To, co sami produkują, jest zanieczyszczone. To typowe dla Arabów, ale już przeglądają na oczy. Czy teraz pan rozumie, panie komendancie policji federalnej?

Po wygłoszeniu tej tyrady Arbogast wycofał się, jak gdyby bliski kontakt z Beckiem był nie do zniesienia. Odwinął mankiet futra, by spojrzeć na zegarek, po czym zaczął od nowa:

- Czy może pan, panie Beck, przewidzieć z tą waszą szwajcarską precyzją, jak długo jeszcze potrwa ta farsa?

- Około pół godziny, może kilka minut dłużej.

Twarz Becka nie zdradzała żadnych uczuć. Najmniejszym drgnieniem nie reagował na obraźliwe przemowy. W czasie wymiany zdań z Romanem specjaliści sprawdzili trzy kolejne butle, które robotnicy przenieśli i bardzo ostrożnie ułożyli na prawie pełnej skrzyni ładunkowej. Między pojemniki, owinięte jakimś papierem przypominającym polistyren, wpychali trawę.

Właśnie zaczął padać zapewne kolejny tego dnia deszcz, bo wagony stojące na innym torze połyskiwały wilgocią. Pauli wydawało się, że szwajcarska grupa działa bardzo sprawnie, ale jeszcze co najmniej pół godziny będzie musiała tkwić w tej

wilgoci. Zostawiła więc ekipę i zaczęła spacerować po peronie. Wtem dojrzała Sophie, skuloną na jedynej widocznej ławce. Na jej brzegu były ułożone trzy wielkie walizy.

- Witaj, Sophie - powiedziała, przysiadając się do niej. - Tak mokro, że równie dobrze można usiąść na trawie.

- Dach przecieka, ale to jedyne miejsce do siedzenia - burknęła Sophie.

Miała na sobie chroniący przed deszczem płaszcz, a na głowie przeciwdeszczowy kapelusz z wielkim rondem. Widok Pauli nie rozwiął jej ponurego nastroju. Paula szturchnęła ją lekko i próbowała rozweselić.

- Przynajmniej jesteś ubrana odpowiednio. O wiele lepiej ode mnie.

- Nie dotykaj mnie. Nie lubię, gdy mnie ludzie dotykają. I nikt cię nie prosił, byś tu siadała.

- Powiedziałaś, że to jedyne miejsce...

- Nieprawda. Pewnie dlatego, że innego nie możesz zobaczyć, myślisz, że go nie ma. Jest - dodała złośliwie i zachichotała.

- Po co kłopotowałaś się przyjazdem tutaj? Roman ich pilnuje.

- Ponieważ jestem naukowcem. Po sprawdzeniu jakości gazu nadzorowałam napełnianie tych butli w Londynie. Widzę, że ci tutaj pracują, jak należy, ale ojciec myśli, że to sterczenie nad nimi coś da. Życzę mu powodzenia.

- Nie widziałam Marienetty.

- Nic dziwnego. Powiedziała, że nie jedzie, i poszła do swego pokoju, co prawdopodobnie oznacza, że zjawi się tu następnym pociągiem. Taka z niej kłamczucha. Nie można wierzyć w ani jedno jej słowo.

Kropla wody spadła na rondo niezwykłego kapelusza Sophie. Gdy Paula owijała głowę chustą, Sophie wstała i otrząsnęła kapelusz tak, by ją ochlapać. Koński ogon miała

wsunięty za kołnierz płaszcza. Włożyła kapelusz i ponownie ciężko usiadła.

- Wydajecie się w sobie zakochane - zauważyła Paula z odcieniem rozbawienia.

- Nie jesteśmy. Nigdy nie byliśmy. Nigdy nie będziemy.

Paula usłyszała silnik lokomotywy toczącej się po torze za nimi. Po chwili dał się słyszeć głośny szczęk, który aż ją poderwał na nogi. Spojrzała w tamtą stronę, ale zakrzywienie peronu nie pozwoliło jej nic zobaczyć.

- Co to, na Boga? - spytała.

- Przetaczają wagony towarowe i formują pociąg.

- Wolałabym, żeby najpierw zagwizdali.

- Przywykniesz do tego. To naprawdę zabawne - stwierdziła Sophie ironicznie.

Paula była skłonna się z nią zgodzić. Lekki deszcz padał nadal, zasłaniając świat wodnym welonem. Siedziały razem w ciszy, pomijając zgrzyt, który rozległ się przed chwilą. Paula miała wrażenie, że to chyba jedno z najbardziej samotnych miejsc na świecie. I pomyśleć, że Lugano z jego jeziorem i światłami na Monte Bre było zaledwie o trzydzieści minut jazdy na północ.

Spojrzała w prawo i w oddali dostrzegła Newmana stojącego obok okropnych żelaznych słupów wspierających dach. Właśnie skończył papierosa, zgasił go i wrzucił niedopałek do kosza na śmieci. Dał jej znak uniesionym kciukiem.

- Głupi Szwajcarzy - zaczęła wykrzykiwać Sophie. - Czy oni naprawdę sądzą, że eksportujemy gazy trujące na Bliski Wschód? Ten tlen kosztuje ich fortunę. Negocjowałam tę transakcję zawzięcie przez telefon. Na koniec powiedziałam, że jeżeli nie mogą zaakceptować naszej ceny, to niech gdzieś kupią gorszy towar, i rzuciłam słuchawką. Za dziesięć minut

zadzwoił ponownie, zgadzając się na nasze warunki. Zmusiłam łotra do przysłania pieniędzy z góry.

Od tej strony Paula jej nie znała. Sophie była ekspertem od twardych negocjacji.

- Jeżeli Roman przejdzie na emeryturę - zaryzykowała, poruszając niebezpieczny temat - zapewne jedna z was, ty lub Marienetta, przejmie kierowanie ACTIL-em.

- Tak, jedna z nas - odparła Sophie bez zastanowienia. - Dlatego Marienetta tak mu nadskakuje i chyba popełnia błąd. Ja po prostu robię swoje.

Zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni, aby poprawić kołnierz płaszcza. Paula zauważyła, że na trzecim palcu miała pierścień z wielkim rubinem. Chyba go przedtem nie widziała. Wstała, czując, że ma Sophie po dziurki w nosie. Jej miejsce było teraz suche.

- Idę się przejść - powiedziała. - Zbyt długie siedzenie napawa mnie niepokojem.

- Jestem strasznie znudzona - odparła Sophie, ziewając. - Utnę sobie drzemkę.

Wiał silny północny wiatr. Sophie zamknęła oczy i wtuliła się w płaszcz przeciwdeszczowy. Paula zaś podciągnęła kołnierz i przeszła peronem, mijając jego szeroki skręt. Z dala przed sobą zobaczyła znajomą postać, która teraz stała odwrócona do niej tyłem. Russell Straub.

Co on, na Boga, robi w Chiasso? Jakby nie potrafił żyć z dala od Arbogastów. Co może łączyć kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych i potężnego, odnoszącego sukcesy biznesmena z Londynu? To nie miało sensu.

Usłyszała za sobą daleki odgłos wracającej z kolejnym wagonem lokomotywy. Musi tu gdzieś być dodatkowa linia, aby lokomotywa mogła zawrócić. To strasznie otepiające zajęcie, a niektórzy pewnie robią to przez całe życie.

Wzdrygnęła się. Przeszył ją zimny, ostry podmuch. Machnęła ramionami, uderzając się rękami po plecach. Nie poczuła żadnej różnicy. Było to jednak lepsze od towarzystwa ponurej Sophie.

Ale czegoś się dowiedziała. Jeżeli któregoś dnia Roman odejdzie na emeryturę, kontrolę nad gigantycznym konglomeratem przejmą Marienetta lub Sophie. Którą wybierze? Paula nie miała pojęcia. Poza tym wątpiła, by Roman miał zamiar usunąć się w cień w ciągu najbliższych lat. Jeśli w ogóle.

Zbliżyła się do tworzonego składu pociągu i stwierdziła, że wagony są już poszczepiane. Zatem po każdym przetoczeniu kolejnego jakiś pracownik musiał dopinać go do pozostałych. Skrzyżowała ramiona, próbując zachować resztki ciepła. Zatrzymała się niedaleko od brzegu peronu.

Nagle na środku pleców poczuła uderzenie pięścią. Nastąpiło silne pchnięcie, po którym poleciała do przodu, wysuwając tylko przed siebie ramiona, by chociaż trochę osłabić upadek. Wylądowała w najbardziej niezdarnej pozycji, z nogami i kolanami na peronie, a resztą ciała poniżej, na torach. Próbowała podciągnąć się z powrotem, ale jej ręce, bezwładne jak lodowe bloki, nie były zdolne zapewnić potrzebnego oparcia. Jakby górna część ciała wrosła w pokłady, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

Kręciła głową, próbując ustalić, co się stało, i gdy spojrzała w prawo, zobaczyła zbliżające się nieszczęście. Przetaczany wagon miarowo jechał w jej kierunku. Widziała wielkie obracające się koło, a ona ciągle tkwiła na torach. O Boże! Połyskiwało wilgocią i zbliżało się bezlitośnie, tak że mogła już nawet zauważyć drobny defekt na jego obręczy. Nadludzkim wysiłkiem starała się podciągnąć na rękach, lecz zbrakło jej siły. Ramiona bolały. Nigdy przedtem nie była tak

sparaliżowana strachem. Od śmiertelnego koła dzielił ją
już tylko metr...

Silne ręce objęły ją wokół piersi, jednym ruchem dźwigając w górę i odrzucając w lewo, aby uniknąć zderzenia z wagonem.

Newman ukląkł na krawędzi peronu, gdyż jedynie w tej pozycji mógł ją dosięgnąć i chwycić. Wstając, pociągnął ją plecami ku sobie tak silnie, że wyskoczyła w górę jak korek z butelki. Rozległ się szcęk buforów i dopchnięty wagon dołączył do stojącego na torze składu.

Wziął ją na ręce i zaniósł w stronę ławki. I wtedy rozległ się wrzask z amerykańskim akcentem:

- Pomocy! Pomocy! Pomocy!...

Paula otworzyła oczy i zobaczyła Russella Strauba około dwóch metrów od ostatniego wagonu. Złożył dłonie wokół ust i gorączkowo krzyczał.

- Zamknij się, do cholery! - ryknął Newman.

Gdy zbliżyli się do ławki, Paula zobaczyła, że Sophie ma otwarte oczy. Ponadto obok niej była sucha plama, co mogło oznaczać, że zmieniła pozycję. Czy spała?

- Zjeżdżaj z tej cholery ławki - odezwał się do niej niezbyt grzecznie Newman. - Zabieraj się stąd, miejsce jest potrzebne dla Pauli.

To podziałało. Oburzona Sophie skoczyła na równe nogi i odeszła z miną jak gradowa chmura. Newman łagodnie ułożył Paulę. Wyglądał na przerażonego i czuł się winny.

Składając głowę na oparciu, rozprostowała nogi i poruszyła nimi. Działy normalnie. To samo powtórzyła z rękami. Dzięki Bogu z takim samym skutkiem.

- Wszystko w porządku? - spytał Newman ochryple.

- Przeżyję - powiedziała miękko.

Zaschło jej w gardle.

- Na Boga, przepraszam - sapnął Newman. - Miałem kłopot z zapaleniem papierosa. To przez ten wiatr. Odwróciłem się do ciebie tyłem, a miałem cię pilnować. Skopałem robotę. Przepraszam.

- Nie bądź głupi - zachrypiała. - To nie twoja wina. Ktoś zepchnął mnie z peronu.

- Kto? - Jego twarz zmieniła się w maskę gniewu.

Gdyby ktoś teraz podał mu nazwisko, była pewna, że bez zastanowienia natychmiast by zabił.

- Nie mam pojęcia. Strasznie chce mi się pić. Ciężko mi mówić.

W tym momencie do ławki podeszli funkcjonariusze; niektórzy ciągle ubrani na białą. Jeden z nich sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął piersiówkę.

- Co to takiego? - burknął Newman. - Jej potrzeba wody.

- To woda - odpowiedział strażnik spokojnie.

Wyjął czystą chusteczkę, przetarł nią szyjkę butelki i wręczył Newmanowi.

- Popij - polecił Newman. - No dalej. Inaczej możesz się dławić.

Kilka minut wcześniej po przeciwnej stronie peronu zatrzymał się ekspres z Lugano do Mediolanu. Tweed, który nie usłyszał krzyków Strauba, stał obok niego. Wsiadło kilku pasażerów, a wśród nich Marienetta.

- Witamy w Chiasso - powitał ją ironicznie.

- Dobrze pana widzieć. - Objęła go i mocno uścisnęła. - Nie przyjechałam od razu, ale potem zmieniłam zdanie. Pomyślałam, że lepiej się upewnić, czy Roman dobrze wykonuje zadanie. - Puściła go, uśmiechając się mile. - Ile trucizny już znaleźli?

- Nic. Zupełnie nic.

- Durnie ci Szwajcarzy. O Boże! - zakryła usta ręką, widząc podbiegającego Becka.

- Chodź ze mną - powiedział Beck gwałtownie. - Pauli omal nie przydarzył się śmiertelny wypadek. Ale wszystko z nią dobrze - dodał szybko, widząc wyraz twarzy Tweeda.

Pobiegli wzdłuż peronu, mijając specjalistów, którzy zaczęli zdejmować białe kombinezony. Kolejarze wózkami widłowymi przewozili skrzynie z butlami. Tweed pędził jak na skrzydłach. Newman odsuwał od ławki tłoczących się ludzi. Paula stanęła obok niego. Przechadzała się teraz tam i z powrotem, sprawdzając sprawność nóg i obracając rękami.

- Mam już tego dość - powiedziała, gdy zobaczyła Tweeda.

- Wszystko z tobą w porządku? - spytał, pochylając się nad nią z niepokojem na twarzy. - Słyszałem, że miałaś poważny wypadek.

- Mogło źle się skończyć! - wybuchnęła. Opróżniła całą piersiówkę strażnika i jej głos wrócił do normy. - Stałam na skraju peronu, obserwując przetaczanie wagonów. I wtedy ktoś podszedł do mnie z tyłu i zepchnął mnie tuż przed nadjeżdżający wagon. Nie mogłam się ruszyć. Koło zapewne odcięłoby mi głowę, ale Rob uratował mnie w ostatniej chwili.

- Pokaż mi dokładnie, gdzie to się stało - polecił Beck.

Paula zaczęła wstawać, lecz Newman przytrzymał ją za ramię. Oznajmił, że on może to zrobić. Po obejrzeniu miejsca zdarzenia Beck wrócił, krocząc jak generał. Podsunął odznakę pod nos strażnika kolei.

- Nikt nie odjedzie tym ekspresem, dopóki nie sprawdzę wszystkich pasażerów.

Strażnik ruszył do roboty, a Beck spojrzał na kręcącego się w pobliżu Strauba. Podszedł do niego.

- Gdzie pan był, gdy usiłowano popełnić morderstwo?

- Pan wie, kim ja jestem - odparł Straub wyniośle.

- A pan wie, kim ja jestem - odparował Beck, trzymając swój identyfikator przed nosem wiceprezydenta. - Więc gdzie pan był?

- Sądzę, że na drugim końcu tego zakrzywionego peronu!

- Sam? Zwykle Ed Danvers jest z panem. Ochrona osobista.

- Na pewno sam - odparł Straub bez zastanowienia. - Rozwazałem następne posunięcie w mojej kampanii wyborczej po powrocie do Stanów.

- To prawda - rozległ się głos Danversa stojącego z tyłu za kilkoma funkcjonariuszami kolei. - Woli być wtedy sam. Nim mnie pan zapyta, powiem, że gdy nadjeżdżał ekspres, byłem niedaleko na peronie.

- Jeżeli pan Beck nie ma więcej pytań, to możecie obaj panowie odejść - powiedział Newman.

Obok Pauli usiadła Marienetta. Jedną ręką zaciskała kołnierz futra wokół szyi, drugą delikatnie dotknęła Pauli i ściszyła głos.

- Chyba czujesz się już lepiej po tej strasznej przeprawie?

- O wiele lepiej, dziękuję ci.

- Czy wiesz, gdzie była Sophie, gdy to się stało?

Paula pomyślała, że to dziwne pytanie. Spojrzała na Marienettę, która wpatrywała się w nią z powagą. Dlaczego tak się interesuje Sophie?

- Nieco wcześniej zostawiłam ją na tej ławce. Powiedziała, że chce się zdrzemnąć.

- Rozumiem.

- Pora uciekać z tej wilgoci - rozległ się głos Romana, który stał za Danversem. - To była farsa. Właśnie nadjeżdża pociąg z Lugano. Wkrótce będzie wracał. Powinniśmy wsiadać - powiedział i klepnął Marienettę po ramieniu. - Chodź. Ruszajmy.

Widząc, że Arbogastowie jak poprzednio wybrali pierwszy wagon, Tweed z Paulą i Newmanem wsiedli do drugiego. Odprężona Paula padła na siedzenie, jak zwykle na miejscu przy oknie. Miała dość Arbogastów i więcej niż dość Chiasso. Już nigdy więcej tu nie przyjedzie.

Gdy pociąg przejechał przez most nad jeziorem, spojrzała na puste miejsce przed sobą. Lśnienie świateł Lugano przestało ją pociągać. Siedzący po drugiej stronie przejścia Tweed zauważył ten zanik zainteresowania. W tym momencie jednak otworzyły się drzwi i w ich wagonie pojawiła się Marienetta. Newman pokręcił głową w jej stronę. Skinęła, uśmiechnęła się i znikła.

- Nie mogę odgadnąć, kto próbował wepchnąć mnie pod koła - powiedziała Paula nagle.

- Liczba podejrzanych jest ograniczona - odparł Newman.

- Czy masz ochotę na obiad po powrocie?

- Tylko na butelkę wody mineralnej i pójście do łóżka.

- Więc tyle jaśnie pani dostanie.

- Przepraszam, jeżeli wcześniej byłam nietowarzyska. Teraz mam ochotę mówić.

- Jeżeli tak - odezwał się Tweed z drugiej strony przejścia

- może powiesz mi dokładnie, gdzie znalazłaś ten bloczek hotelowy.

- Leżał na zewnątrz, przy moim samochodzie, niedaleko drzwi kierowcy. Bez trudu go zobaczyłam po strzeleniu do tego widma we mgle, kimkolwiek ono było. Dlaczego pytasz?

- Dopiero teraz doszedłem do wniosku, że chciano, abyś go zobaczyła i podniosła. Ktoś to dobrze zaplanował. To daje do myślenia.

- I co z tego myślenia wynika?

- Jeszcze nic. Nadal obracam to w głowie na wszystkie strony.

- Tajemniczy diabeł z ciebie - droczyła się.

Dzięki temu Tweed uświadomił sobie, że wraca do pełni sił po szoku. Odetchnął z ulgą. Gdy po kilku minutach spojrzął w jej stronę, miała głowę opartą na ramieniu Newmana i zamknięte oczy. Szybko usnęła.

W Lugano Newman musiał ją obudzić. Ostrożnie ruszyli do drzwi wagonu i Tweed pierwszy stanął na peronie. Gestem pokazał, by szli za nim. Na parkingu było ciemno, że oko wykol, ale z daleka widzieli Romana wsiadającego do prowadzonej przez szofera limuzyny. Za nim ruszyła Sophie z walizami, a później Marienetta.

- Sophie musi być bardzo silna - zauważyła Paula. - I niezależna.

Potem zobaczyli Russella Strauba wsiadającego do limuzyny z Danversem. Gdy światła ich auta zaczęły niknąć na drodze prowadzącej do hotelu, Tweed zauważył:

- Wydaje mi się bardzo dziwne, że Straub zawsze podróżuje z Arbogastami. Może to stanowi klucz do rozwiązania sprawy?

Gdy pakowali się do mikrobusa, Paula była zbyt zmęczona, by spytać go, co miał na myśli. Ponownie zapowiedziała, że idzie zaraz prosto do łóżka z mnóstwem butelek wody mineralnej.

Gdy dotarli na miejsce, Tweed z Newmanem odprowadzili ją do pokoju. Była już odprężona, więc Tweed zaproponował:

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zrobiłem grafik dyżurów na tej kanapie.

- Proszę bardzo. Dzięki temu na pewno wyśpię się porządnie.

Pete Nield nie był głodny i na ochotnika zgłosił się do pełnienia pierwszej straży. Poczekał na balkonie, aż Paula weźmie prysznic, włoży piżamę i zanurkuje w pościeli. Przez chwilę błąkała się między snem a jawą. Przed oczami żywo

przemykały jej kolejne twarze: Roman, wściekły i dziki jak na obrazie Marienetty w Londynie, Sophie na ławce w Chiasso, a obok niej sucha plama, Marienetta z błyskiem kocich oczu ściskająca jej rękę na tej samej ławce, Straub, który przechadzał się na drugim końcu peronu, i wreszcie ponury Danvers, stojący z dala za strażnikami. Normalni? Nienormalni? Wszyscy wyglądali na nienormalnych. Jej myśli znieruchomiały. Zapadła w bardzo głęboki sen.

Po obiedzie Tweed zebrał grupę w swoim apartamencie. Poprosił Harry'ego Butlera, by potem, gdy Newman przejmie straż nad Paulą, przekazał Nieldowi informacje.

- A kto powie Pauli? - spytał Marler.

- Nikt. To rozkaz. - Tweed popatrzył na Newmana, Butlera i Marlera. - Zanim poprosiłem was o przybycie, wyslizgnałem się z hotelu, aby z budki telefonicznej zadzwonić do Moniki. Podąa mi kilka interesujących informacji, które niemal uzupełniły budowane przez nią drzewo genealogiczne Arbogastów. To niełatwe zadanie. Musiała polegać na siatce kontaktów, którą budowała przez lata. A i tak musiała sporo się napocić. Wygląda na to, że informacje te są dostępne tylko dla członków rodziny.

- Brawo, Monica - powiedział Butler. - Jest naszym skarbem.

- Wiemy - kontynuował Tweed - że ojciec Romana miał brata Vicenza, który wyemigrował do Stanów i zmienił imię na Vincent. Wiemy także, że drugi brat Mario, który również wyemigrował do Ameryki, ożenił się tam i założył rodzinę. Jego syn Aldo też się ożenił i miał syna i córkę. Dotarliśmy już do pokolenia Sophie. Monica ma nadzieję wkrótce poznać ich imiona. Uważam ten postęp za bardzo znaczący.

- Dlaczego? - spytał Marler.

- Ponieważ śledzimy monstrum. Bardzo inteligentne. Musimy cały czas bardzo się pilnować. Długo zastanawiałem się nad motywem tych zbrodni. I myślę, że już go znam. Cała ta ponura sprawa wiąże się z władzą. Olbrzymią władzą.

- Dlaczego mamy nie mówić o tym Pauli? - dopytywał się Marler.

- Po pierwsze dlatego, że ma za sobą trudne przejścia. Po drugie dlatego, że jak sądzę, ona zna już prawdę. Dlatego jutro z rana wszyscy wyjeżdżamy do Airolo.

- Airolo? - Marler wyglądał na zdumionego. - Musimy się cofnąć niemal do Gottharda.

- Przed chwilą zszedłem do recepcji zapytać o coś nocną zmianę. Na ladzie leżał wielki rachunek Arbogastów, obejmujący również jutrzejsze śniadanie. Recepcjonista usunął go na bok, ale zdążyłem przebiec po nim wzrokiem. Wymykają się potajemnie.

- Potajemnie? - spytał Marler. - Prawdopodobnie już kupili bilety na pociąg.

- Jeszcze nie. Dzwoniłem do Becka, który wciąż trzyma człowieka na dworcu w Lugano. Nie sprzedano tam takich biletów.

- Może Roman odłożył to na rano? - dopytywał się Marler.

- Nie zrobiłby tego. Jest świetnym organizatorem. Gdyby mieli wyjechać pociągiem, już dawno kupiłby bilety.

- Więc czym wyjeżdżają?

- Wracając z budki telefonicznej, widziałem na dole ich limuzynę. Mechanicy ją sprawdzali, co może oznaczać, że przed nią jazda na dużą odległość. Więc my powinniśmy udać się za nimi mikrobusem.

- Jak myślisz, gdzie ich niesie? - spytał Marler.

- Do Airolo.

- Skąd wiesz?

- Wierzę instyktowi Pauli, który okazał się już niezawodny. Nawiedzają ją te bliźniacze wieże z Airolo. Ponadto mamy notes, który znalazła koło swego auta. Jestem pewien, że podrzucono go jej specjalnie. Jest w nim napis „Chiasso”, gdzie omal nie zginęła. I jeszcze drugie słowo, o którym zabójca myślał, że go nie odcyfruję. To „Airolo”, panowie.

- Co może być w tej dziurze? - zdziwił się Butler.

- Klucz do wszystkiego. Przyczyna, dla której dwóch z najpotężniejszych ludzi na świecie wygląda na coraz bardziej zaniepokojonych.

- Roman Arbogast i Russell Straub? - podpowiedział Marler.

- Właśnie. Więc rano opuścimy hotel tak samo jak dziś, wychodząc oddzielnie. Newman zatankuje do pełna i zaparkuje mikrobus w tym samym miejscu co poprzednio.

- Piękne dzięki - powiedział milczący do tej pory Newman. - Jak myślisz, o której Arbogastowie się ruszą?

- Myślę, że dobrze po południu. Mówiłem, że na ich rachunku było jutrzejsze śniadanie.

- Czy bierzesz pod uwagę taką możliwość, że będzie to po prostu następna pułapka? - powiedział Newman ponuro.

- Tak, i czuję, że zbliżamy się do ostatecznego rozwiązania. Już pora, by sami wpadli we własne sidła.

Nastał ranek. Tweed ostatni pełnił straż przy Pauli. Przeciągnął kości obolałe od leżenia na kanapie i uświadomił sobie, że Paula nadal śpi głęboko. Spojrzał na zegarek. Była 9.30.

Wstał. Światło przesączało się przez zaciągnięte zasłony. Ale to wystarczyło, by zauważył, że ktoś po cichu wsunął pod drzwi hotelową kopertę. Otworzył ją i spojrzał na arkusz hotelowego papieru. Odczytał jedyne napisane na nim słowo: „Airolo”.

Wsunął papier z powrotem do koperty, a tę do kieszeni marynarki starannie powieszonych na krześle. A więc to pułapka. Newman miał rację. Włożył buty i marynarkę, przejrzał się w lustrze, zapiął kołnierzyk koszuli i uczesał zmierzwiłone włosy.

- Pora wstawać - powiedział, delikatnie potrząsając Paulę za ramię.

- Która godzina? - spytała, budząc się błyskawicznie. Odpowiedział. Ziewnęła, zakrywając usta dłonią.

- Czy wszystko w porządku? Spałam wspaniale. Podaj mi szlafrok.

Wzięła krótki prysznic, ubrała się w łazience i szybkim krokiem weszła do pokoju. Wróciły jej kolory i zwykłe ożywienie. Popijała wodę, gdy on wyłuszczał plan. Przyjęła go pozytywnie, niemal z zapalem.

- Airolo! Dzięki Bogu. Czułam, że kiedyś musimy tam pojechać. Do czegoś to pasuje. Ale nie wiem do czego. Dobrze, że nasz bagaż jest niewielki. Mam tylko jedną walizkę do przeschmuglowania. A co z rachunkiem?

- Zarezerwowałem wszystkie pokoje na tydzień - poinformował ją Tweed. - Za to, co zjemy, będę miał okazję zapłacić, gdy w recepcji zapanuje spokój. Powiem

obsłudze, że potem wrócimy, aby jeszcze skorzystać z pokoi. Wyglądasz na podnieconą.

- Bo jestem. Chcę się zmierzyć z prześladowającym mnie widmem Airolo. Boże, jak świetnie się wyspałam. Jeść mi się chce.

W opustoszałym holu spotkali Newmana. Był ubrany do wyjścia i wyglądał na uradowanego perspektywą działania.

- Jadę zatankować do pełna - powiedział do Tweeda. - Marler też zjadł porządne śniadanie. Zostanie w hotelu, aby ostrzec mnie przez komórkę, gdy Arbogastowie będą wyjeżdżać. Przyprawdżę mikrobus i zaparkuję za rogiem, aby zabrać was potem do Sayonary na lunch.

- Mam ochotę rozejrzeć się po sklepach na Piazza Cioccaro - poprosiła Paula.

- Nie - powiedział Newman i spojrzał na nią. - Od tej chwili nie odłączasz się od grupy. Ciesz się śniadaniem...

Słońce ładnie świeciło i Paula z przyjemnością zjadła lunch, nie mogąc się doczekać wyjazdu z Lugano. Dobrze po południu Marler zadzwonił, że Arbogastowie już wyruszyli, a on zaraz dołączy do reszty.

Podjechał na motocyklu. Tweed spojrzał na niego sceptycznie. Była to potężna maszyna.

- Co to za pomysł? - spytał, gdy Newman pomógł Marlerowi upchnąć motocykl na tyle mikrobusa.

- Może się przydać. Teren wokół Airolo jest trudny. W Londynie masz taki sam, prawda?

- Prawda. Ruszajmy.

Tweed korzystał z niego w przejazdach do pracy, aby omijać korki uliczne. Teraz usiadł z przodu obok Newmana, który był kierowcą. Po skosie z tyłu usiadła Paula z Marlerem u boku. Butler i Nield siedzieli w ostatnim rzędzie. Szybko

ruszyli z Lugano na północ. Paula z mapą na kolanach była pilotem.

Jadąc autostradą, minęli opasaną zamkami Bellinzone i wkrótce rozpoczął się ostry podjazd w stronę Alp Berneńskich. Skończyły się palmy i egzotyczne jeziora. Bez żalu Paula zostawiała je za sobą. Liczyło się to, co mieli do zrobienia. Nagle przypomniała sobie twarze, które przewinęły się w jej głowie, nim usnęła. Jednej brakowało.

Sama Snydera.

Zaczynało się ściemniać, co czyniło obraz za oknami jeszcze bardziej ponurym i odludnym. Noc zapadała, a oni wspinali się wyżej i wyżej. Jedyne światłem były zapalone przez Newmana reflektory.

- Spodziewam się, że zamówiłeś dla nas pokoje w hotelu?! - krzyknęła Paula do Tweeda.

- Nie. W Airolo są tylko dwa hotele - Supremazia i Grandezza. Nie wiemy, w którym zatrzymają się Arbogastowie, a wolę, byśmy nie rzucali się im w oczy.

- Nazwy brzmią pięciogwiazdkowe Supremacja i Majestat.

- Nie spodziewałbym się wiele po Airolo - sceptycznie zauważył Tweed.

- Jesteście pewni, że Arbogastowie kierują się do Airolo?
- zapytał Marler.

- Ja jestem - odparł Tweed. - Wyciągnął arkusz papieru, który nocą wsunięto do sypialni Pauli. - Takie same drukowane litery jak w notatniku hotelowym.

- Co to znaczy? - spytała Paula.

- Że morderca chce, abyśmy tam pojechali. Więc tam będzie.

Po tych słowach na długi czas w mikrobusie zapanowało milczenie. Droga ostro się wznosiła. Dotarli do punktu, w którym autostrada nagle się obniżyła, wchodząc jednocześnie

w diaboliczny zakręt. Ze szczytu mogli spojrzeć na drogę leżącą bezpośrednio pod nimi.

- Przed nami czerwone światła pozycyjne - ostrzegł Newman. - Wielka limuzyna. Niech ktoś mi poda noktowizor. Drugi dajcie Pauli. Gdy dojedziemy do następnej pętli, zatrzymam się. Wtedy powinniśmy móc rozpoznać, kto jest w środku...

Newman zwolnił, aby uniknąć dogonienia pojazdu jadącego przed nimi. Tweed trzymał na kolanach lornetkę, drugą podał Pauli. Długo trwało, nim dotarli do kolejnej pętli. Newman zatrzymał się i wziął noktowizor. W tym samym czasie Paula swój przycisnęła do oczu. Pętla była tak niebezpieczna, że limuzyna musiała znacznie zwolnić. Przez lornetki ujrzeli wnętrze pojazdu.

- Miałeś rację - powiedział Newman do Tweeda. - Twoja hazardowa zagrywka opłaciła się. Marienetta prowadzi, Roman siedzi obok, a za nimi Sophie obok Snydera, na którego stara się nie patrzeć. Jak zwykle. Pewnie nie zamienili ze sobą ani słowa.

- A z tyłu - krzyknęła Paula - widać Russella Strauba z Danversem! Widziałam ich wyraźnie.

- Jedź wolniej - polecił Tweed. - Nie chcemy ich dogonić. Ale ich nie zgub.

- Błędne koło - powiedział Newman. - Albo tak, albo tak się nie uda.

- Kiedy dojedziemy do Airolo - ciągnął Tweed - chcę zobaczyć, który hotel wybiorą, ale tak, by nas nie widzieli.

- Wspaniale - odparł Newman sarkastycznie. - Może sam poprowadzisz?

- Jak wysoko leży Airolo? - spytała Paula, kończąc sprzeczkę.

- Tysiąc sto metrów nad poziomem morza - odparł Tweed.

- Ochładza się - skomentowała.
- Więc włączę ogrzewanie - odparł Newman. - I od tej pory wszyscy zachowują spokój.

Wyszedł księżyc i blade światło rozjaśniło opustoszałe Airolo. Arbogastowie wybrali Supremazię położoną niedaleko Grandezzy, w którym zatrzymała się grupa Tweeda. Ku zdumieniu Pauli kilka sklepów było nadal otwartych, w tym jeden tuż obok ich hotelu, który handlował skuterami zaparkowanymi na chodniku. Zafascynowana podeszła do nich z Marlerem i wsiadła na jeden. Marler pokazał jej, jak go uruchomić i kontrolować prędkość. Właściciel, mały i śniady, wyszedł na zewnątrz z uśmiechem. Podał cenę za wynajęcie na dzień i na tydzień oraz wysokość depozytu. Powiedziała, że pomyśli.

- Są pokoje dla wszystkich - poinformował Tweed, gdy weszła do środka z Nieldem.

Marler wciąż oglądał skutery.

- Hotel jest pusty - kontynuował Tweed. - Już po sezonie.

- A jest tu jakiś sezon? - szepnął Nield.

Korytarze były wąskie, a drewniane meble pamiętały lepsze czasy. Ale właściciel wyglądający na brata sprzedawcy skuterów zapewnił, że mogą zjeść obiad, jeżeli są głodni. Paula usłyszała silnik motocykla, warkot jednak zaraz ucichł.

- Wyciągnąłem motocykl z mikrobusa i sprawdziłem - powiedział Marler, gdy stanął już przy nich. - Zaparkowałem go na bruku za samochodem. Nie chciało mi się taszczyć go z powrotem do środka. Jestem pewien, że niezbyt wielu tu złodziei.

- Jestem głodna - poinformowała Paula właściciela - ale czy mogłabym najpierw zobaczyć mój pokój?

Sama wzięła walizkę, odrzucając propozycję pomocy. Czowała, że potrzebny jest jej wysiłek. Mężczyzna poprowadził

ją krętymi schodami, otworzył drzwi kluczem i ruchem ręki zaprosił ją do środka. Wyszedł, gdy z uśmiechem powiedziała, że się jej podoba.

Rozejrzała się. Uniosła roletę i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Po drugiej stronie ciemnej ulicy ostro schodziła w dół ścieżka kończąca się wąskim traktem prowadzącym na zbocze góry. Był to ten sam trakt, który widziała z okna pociągu. Głęboko nabrała powietrza w płuca. Wyżej, na stoku góry, ujrzała dwie masywne, połączone murem wieże, które dręczyły ją w snach od czasu, gdy je pierwszy raz ujrzała. Wzdrygnęła się. Emanowała z nich ta sama aura śmiertelnego zagrożenia.

Paula obudziła się, gdy do wnętrza zaczęły wnikać pierwsze przebliski światła poprzedzające prawdziwy świt. Przed pójściem do łóżka umyła się w letniej wodzie i nie zaciągnęła żaluzji w oknie. Ktoś szarpał za klamkę u drzwi. Wyskoczyła z pościeli tylko w piżamie, a w pokoju było niemal tak samo zimno jak na zewnątrz.

Nie było możliwości, aby w jej malutkim pokoiku ktokolwiek pozostał na straży. Zastosowała więc poprzednią taktykę, klinując drzwi i podstawiając krzesło pod klamkę.

Przez szparę pod drzwiami wsunięto kolejną kopertę. Otworzyła ją, rozrywając. Wewnątrz był tylko pusty firmowy papier korespondencyjny z hotelu w Lugano. Nic po jednej stronie, nic po drugiej. O co tu, u diabła, chodzi?

Wtedy usłyszała zanikający dźwięk potężnego silnika. Biegając do okna, zobaczyła mikrobus wspinający się po zboczu góry w stronę bliźniaczych wież. Miał jeszcze przed sobą długą drogę do celu. Chwyciła lornetkę i ustawiła ostrość. W środku było czterech mężczyzn: Butler i Nield na środkowym siedzeniu i Newman z Marlerem z przodu. Prowadził Newman.

O co tu, u diabła, chodzi? - pomyślała ponownie.

Działali zgodnie z poleceniem Tweeda, który, gdy Paula poszła spać, zebrał ich w swoim pokoju i wydał dyspozycje.

- Paulę bardzo niepokoją te dwie wieże. Chcę, abyście wszyscy czterej jeszcze przed świtem, bardzo wcześnie z rana, pojechali tam mikrobusem. Należy sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, o czym powinniśmy wiedzieć.

- Nie sądzę, aby to było konieczne - zgłosił obiekcje Newman.

- Jest konieczne, aby raz na zawsze uspokoić Paulę. W czasie tej wyprawy przeszła przez piekło.

Zdumiona i zaskoczona Paula usiadła na łóżku. Aby czymś się zająć, wyciągnęła browninga, sprawdziła mechanizm i w pełni załadowała. Właśnie kończyła tę operację, gdy usłyszała silne put-put uruchamianego skutera, a potem odjazd w pośpiechu.

Czyżby to Tweed zdecydował się na dołączenie do grupy? Wtedy pozostałaby sama w tym zapyziałym miasteczku. Cóż, jeżeli tak ją załatwili, musi sobie z tym radzić. Wróciła do okna, wyjrzała przez nie i zamarła.

Skuter pokonał już dwie trzecie ścieżki prowadzącej do szlaku na górę. Kierujący nim osobnik był wysoki, w długim czarnym płaszczu i w kapeluszu z szerokim rondem silnie wciśniętym na głowę.

Wsunęła browninga do torebki, przerzuciła ją przez ramię i pobiegła otworzyć drzwi. Szybko pokonała dziwaczne schody. Powitał ją z uśmiechem stojący za ladą właściciel hotelu. Machnęła mu przed nosem kopertą.

- Czy wie pan coś o tym?

- Tak, signorina. Wszedł człowiek, zapytał o numer pani pokoju, aby to dostarczyć. Powiedziałem mu, że ja dostarczę, i napisałem na wierzchu „Pokój 11”. Wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i dziwnym kapeluszu...

Wybiegła z hotelu do sklepu za ścianą. Był otwarty i skutery stały już na chodniku. Trzymała w ręce szwajcarski banknot, wystarczający na pokrycie depozytu i tygodniowe wynajęcie pojazdu. Wcisnęła go właścicielowi.

- Za dużo...

Już siedziała na siodelku, dziękując Marlerowi w duchu za przypomnienie, jak się to prowadzi. Powiedział wtedy: „Włosi robią najlepsze skutery na świecie”. Usiadła wygodnie

i uruchomiła silnik. Znow poczuła się jak nastolatka i ruszyła w dół stromą brukowaną ścieżką. Śpieszyła po ostro opadającym zjeździe, na którym z powodu wybojów z trudem utrzymała równowagę. Po obu stronach otaczały ją stare kamienne jednopiętrowe domy. Właściciel sklepu musi wstawać bardzo wcześnie, a żeby oszczędzić na elektryczności, chodzi wcześnie spać. Liczą tu każdy grosz.

Szlak rozpoczynał się między dwoma domami. Dojechała do nich i skręciwszy w prawo, wpadła w niewielki wąwóz. Spojrzała w górę, ale nie spostrzegła żadnego śladu tego. Musiało już pokonać kilka kilometrów w górę. Zatrzymała się, by krzyknąć w stronę odległego mikrobusa.

- Nie tędy! Jedziecie w złą stronę!

Jej głos odbił się echem od stoku. Mikrobus wspinał się nadal starą trasą, malejąc z minuty na minutę. Nie było szans, by ją usłyszeli. Zaczęła wąwozem podjeżdżać w górę. Wciąż w górę i w górę.

Musiała stale balansować ciałem, aby utrzymać równowagę. Trakt był pokryty łupkami kamieni. Ale pozostawało wystarczająco dużo miejsca na ograniczone manewrowanie. Przenikało ją zimno. Minęła wapienną grań, którą przedtem widziała z pociągu, i wjechała na płaskowyż, gdzie szlak ponownie zagłębiał się w kolejnym wąwozie. Stała na chwilę i spojrzała za siebie i w górę.

Świt już wstawał i dwie wieże ukazały się na tle fantastycznych barw: od delikatnego różu przez pomarańcz i paś do czerwieni. Dokładnie tak widziała je we śnie.

- Ruszaj dalej - powiedziała do siebie - bo to ci ucieknie.

Przemknęła przez płaskowyż i wjeżdżając do drugiego wąwozu, bardziej stromeego od pierwszego, zmniejszyła prędkość. Teraz rzeczywiście musiała uważać. Skuter obijał się o kamienie i chwiał pomiędzy nimi, ale udawało się jej

utrzymać równowagę. Ręce bolały ją od mocnego ściskania kierownicy.

Gdzie, u diabła, jesteś? - pytała, ale skalista przestrzeń milczała. Tym razem cię nie zgubię, potworze.

W hotelu Tweed obserwował mikrobus ruszający do długiej wspinaczki. Zadowolony usiadł w piżamie i ciepłym szlafroku, popijając kawę z piersiówki. Nagle usłyszał start skutera. Podbiegł do okna akurat na czas, by ujrzeć postać w długim czarnym płaszczu i kapeluszu wjeżdżającą na prowadzący w górę szlak. Potem zobaczył Paulę mknącą skuterem w dół ścieżki.

Klnąc, ściągał w pośpiechu piżamę i szlafrok i wkładał ubranie, nie zwracając uwagi na poprawność wyglądu. Przed włożeniem palta sprawdził walthera, naładowanego, choć napominał członków swej grupy, że takie przetrzymywanie broni oznacza ryzyko. Wsunął go do kabury na biodrze, przekręcił klucz w zamku i zbiegł po schodach.

Właściciel coś do niego powiedział, lecz minął go w pośpiechu i wybiegł na ulicę. Z ulgą zobaczył motocykl Marlera nadal stojący na podpórce. Wskoczył na siodełko, nacisnął guzik rozrusznika i pomknął w dół ścieżki, skręcając na jej końcu na szlak wiodący przez wąwóz. Miejsca było akurat dla jego maszyny. Pędził z dużą prędkością, wiedząc, że Paula musi już być daleko.

Czy nigdy nie dotrę do tego szczytu? - pytała Paula siebie. Czy w ogóle ten szczyt istnieje?

Wspinanie się wąwozem ciągnęło się w nieskończoność. Nie było żadnej wskazówki, gdzie szlak prowadzi, ale wiedziała, że jest już wysoko. Zimno zmuszało ją do silniejszego zaciskania dłoni na kierownicy.

Czy jeszcze będę miała siłę do walki, gdy to spotkam? - denerwowała się.

Droga stała się wyboista, więc skuliła się i pochyliła do przodu, by walczyć o utrzymanie równowagi i motocykla w pionie. Nagle zamrugała. Szlak wyprowadził ją na plateau w kształcie czaszy. Coś zauważyła. Zwolniła i wyłączyła silnik.

Obok gładkiego kamienia leżał na boku rzucony skuter. Wokół śladu żywej duszy. Wtem zobaczyła pokrywę wjazdu, którą to po otwarciu zostawiło odsuniętą. Ustawiała skuter na podpórce i nasłuchiwała, po czym kilkakrotnie naprężyła bolące mięśnie nóg, aby przywrócić im siłę i sprawność. Z browningiem w ręce podeszła do krawędzi płaskowyzu i spojrzała na ostro spadające zbocze i widoczne w oddali Aiolo, wyglądające stąd jak miasteczko dla lalek. Szybko odwróciła się od przepaści z automatem w dłoni, obawiając się zepchnięcia jak z peronu w Chiasso.

Blizniacze wieże, skąpane w słońcu, wyglądały teraz na znacznie mniejsze. Wtem dobiegł ją dźwięk, którego nie znosiła - powolne, jęklive, niesione echem po górskich stokach bicie dzwonu. Podeszła do pokrywy i pochyliła się, by ją unieść. Boże, co za ciężar! Ostrożnie weszła do wielkiej odsłoniętej dziury. Zaryzykowała, oświetlając drogę w ciemności jedynie latarką. W dół prowadziła stara żelazna drabina z pordzewiałymi szczeblami i tylko jedną poręczą po lewej stronie. Przypomniała sobie, co Tweed mówił o górnictwie rudy sprzed lat i kolejowym systemie transportu urobku. Nasłuchiwała. Nic, tylko straszliwa, przerażająca cisza.

No, dalej, dziewczyno - powiedziała do siebie.

Niezręcznie było schodzić tyłem. Wepchnęła włączoną latarkę za pasek. Jedną rękę zacisnęła na browningu, a drugą chwyciła się poręczy. Gdy znalazła się niżej, wyczuła odór, z którym już się zetknęła w kostnicy Saafeld'a w Holland Park

w Londynie i w kostnicy Zeitzlera w Zurychu - zapach formaliny używanej do konserwacji ciał.

Latarka niewiele pomagała. Musiała stopami wyszukiwać kolejne szczeble. Wreszcie w przeblysku światła dojrzała płaską powierzchnię, która stanowiła dno tunelu. Stare torowisko miało mniejszy rozstaw szyn niż normalnie. Jej stopa nieoczekiwanie trafiła na skałę. Dotarła na sam dół.

Powoli poświeciła dokoła latarką. Był to wykuty w skale tunel kolejowy o beczkowym sklepieniu. Po prawej stronie tory kończyły się ślepo przy pokrytej pleśnią betonowej ścianie. Po lewej znikwały za zakrętem. To była jedyna droga.

Do zakrętu było jednak dalej, niż sądziła. Próbowwała poruszać się bezdźwięcznie, lecz luźne kamienie między szynami chrobotwały pod stopami. Kroczyła jak najbliżej kamiennej ściany. Odór formaliny się nasilał. Skierowała wyżej światło latarki i omal jej nie upuściła.

Pod przeciwną ścianą, na wysokości mniej więcej półtora metra od dna tunelu, dojrzała półkę skalną, a na niej tuż przed sobą wielki szklany słój laboratoryjny zamknięty wiekiem z okrągłym uchwytem. Był wypełniony. W środku zobaczyła głowę człowieka, którego nigdy przedtem nie widziała, zanurzoną w całości w przezroczystym płynie. Była to głowa pięćdziesięcioletniego mężczyzny, z zapadniętymi policzkami, wymizerowana, z połyskującymi szklisto oczami. Hank Foley, pielęgniarz z Pinedale w Maine, odgadła.

Przesunęła światło na słój stojący obok i niemal straciła oddech; poznała Adama Holgate'a. Wzrok miał zamglony i na wpół opuszczone powieki, jakby spał. Zaciskając zęby, oświetliła kolejny słój i niemal krzyknęła z rozpacz, widząc wyraźnie orli nos Abrahama Seale'a. Spoglądał na nią, jakby starając się przekazać jej jakąś wiadomość. Tak jak poprzednie, też była odcięta tuż pod podbródkiem.

Zacisnęła zęby, wiedząc, co zobaczy w następnym słoju. Światło jej latarki padło wprost na szal Eleny Brucan. Brakowało go na miejscu zbrodni. Był starannie udrapowany poniżej miejsca, gdzie miała spoczywać jej głowa, co sprawiało szczególnie ohydne, nieludzko odrażające wrażenie.

Odruchowo ruszyła dalej, chociaż do głębi przepelniała ją odraza. Nie rozumiała, jak ktoś mógł dokonać czegoś takiego. W kolejnym słoju była głowa Black Jacka. Jego górna warga pozostała odchylona, co sprawiało wrażenie, jakby spoglądał z pożądaniem. Wydało jej się to jeszcze gorsze od wszystkiego, co zobaczyła przedtem.

Wsunęła browninga za pas. Dłoń była mokra od potu. Szybko wytarła ją o spodnie i ponownie chwyciła broń. W tym momencie wyczuła za sobą ruch. Ktoś musiał się ukryć w jednej z nisz, które minęła. Spojrzała w prawo. Saafeld mówił, że to od lewej strony spadło na Holgate'a tępe uderzenie. Tępy koniec topora otarł się o jej głowę. Potknęła się, obróciła i upadła na plecy. Jej prawa ręka uderzyła o szynę i wypuściła broń.

Latarka również wypadła jej z ręki, ale się nie rozbiła. W jej świetle ujrzała wysoką postać w czarnym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem dobrze kryjącym twarz. Oszołomiona uświadomiła sobie, że jej szyja jest uniesiona i spoczywa na czymś gładkim. Patrząc na boki, zobaczyła dwie obejmujące ją, zakrzywione powierzchnie. Upadła na pień egzekucyjny! Wysoka postać stanęła nad nią z uniesionym toporem w prawej ręce. W świetle latarki błysnęło mające spaść na nią ostre jak brzytwa ostrze. Zaczęło się zniżać.

Skreśliła ciało w lewo i wykonując pełny obrót, uderzyła głucho o ścianę tunelu. Prawą ręką na coś trafiła. Browning. Chwyciła go, wymierzyła i w ślepej furii, która nią owładnęła, gwałtownie wystrzeliła. Chciała zabić, zabić, zabić. Naciskając spust raz za razem, strzeliła dziewięć razy.

Rozległy się jeszcze dwa dodatkowe strzały. To Tweed, niezgrabnie uczepiony drabiny, wystrzelił w stronę napastnika. Wysoka postać runęła na plecy i pozostała bez ruchu.

Pauli udało się stanąć na nogi, nim Tweed dotarł do dna tunelu i podszedł do niej. Pochylił się nad odzianą w czern postać, sprawdził puls i podniósł wzrok.

- Martwa jak kamień.

- Ale kto to jest?

Usłyszeli słaby dźwięk lądującego helikoptera i odgłos stóp schodzących po stopniach drabiny. Ktoś krzyknął pełnym, rozkazującym głosem:

- Nie ruszać się, bo strzelam!

Od razu rozpoznali Becka. Tweed, ciągle pochylony nad leżącym twarzą w dół ciałem, odkrzyknął:

- Do nikogo nie strzelaj! Jestem tu z Paulą!

Paula podniosła latarkę i oświetliła ciało. Tweed wyciągnął rękę i ostrożnie uniósł dziwny kapelusz. Marienetta.

Spoglądające na Paulę kocie oczy zdawały się nadal płonąć nienawiścią.

Epilog

STRAUB OGŁOSIŁ REZYGNACJĘ ZE STARTU W WYBORACH PREZYDENCKICH „Z powodów zdrowotnych” KUZYNKA MARIENETTA SERYJNĄ MORDERCZYNIĄ

Nagłówki w „Daily Nation” krzyczały z biurka na Tweeda. Poniżej umieszczono długie opowiadanie o pozbawiającej głów morderczyni. W linii pod tytułem widniało nazwisko Roberta Newmana. W biurze na Park Crescent Tweed zasiadł na obrotowym krześle i spojrzał na wszystkich członków zespołu. Przyleciał z Zurychu cztery dni po opuszczeniu Airolo.

Był wieczór i londyńskie ulice mokły w deszczu. Pierwsza odezwała się Paula:

- Gratulacje, Tweed. Jak zwykle w końcu dotarłeś do sedna.

- To była najtrudniejsza sprawa ze wszystkich, jakie prowadziłem - przyznał. - Ale gratulacje należą się tobie, bo pomimo naprawdę trudnych przeżyć rozwiązałaś sprawę.

Odczekał, aż wszyscy uczczą wyczyn Pauli owacją. Wyglądała na zmieszaną i spuściła wzrok. Czując, że powinna coś powiedzieć, odezwała się cicho:

- To było tak blisko, tam, na dole, w kopalni. Absurdalne jest to, że nim ściągnęłaś jej kapelusz, wiedziałam, że to ona. Przypomniałam sobie słowa, których wcześniej nie potrafiłam wydobyć z pamięci. Marienetta powiedziała kiedyś: „Lubię tworzyć muzea”. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego głowy ginęły. Chciała stworzyć muzeum nieżywych. Ale jej pomysł był jeszcze gorszy, jeszcze bardziej szalony. Pamiętasz, Tweed, jak przed wyjściem z tuneli poszłam dalej? Znalazłam

warsztat z gotowym zestawem materiałów rzeźbiarskich. Zamierzała użyć tych głów jako modeli dla swoich rzeźb.

- Beck wyjaśnił mi także - dodał Tweed - tajemnicę pnia egzekucyjnego. Odwiedził fabrykę plastików w Vevey. Marienetta miała duplikat klucza do prywatnego pokoju Sophie. Znalazła w nim ukrytą gdzieś formę rozmiarów bloku, który znaleźliśmy w tunelu. Ponieważ Sophie trzymała tam instrukcje, Marienetta wymieszała zgodnie z nimi składniki, wlała masę do formy i podgrzała. I już. Miała gotowy pień, a raczej blok egzekucyjny, bardzo mocny i łatwy do przenoszenia. Beck znalazł dwa dodatkowe w tunelu w Airolo.

- Ale w jaki sposób ta diablica transportowała głowy? - zaciekawiał się Nield.

- Beck - ciągnął Tweed - znalazł także wzmocnioną skórą torbę z Bloomingdale'a. Wystarczająco wielką, by ukryć w środku topór i słój laboratoryjny. Były tam też nowe ubrania maskujące rzeczywistą zawartość. Dalej w tunelu trafił na drugą taką samą.

- To Marienetta musiała pchnąć mnie pod pociąg - powiedziała zdumiona Paula - ale przecież przyjechała ekspresem później.

- Posłużyła się starym trikiem - wyjaśnił Tweed. - W Splendide Royal powiedziała, że nie jedzie, i poszła do siebie. Potem złapała wcześniejszy pociąg i czekała tam na ciebie. Po próbie zabicia cię wskoczyła do ekspresu zaraz po otwarciu drzwi, przeszła przez kilka wagonów i jakby dopiero teraz przybyła, wysiadła, wpadając wprost na mnie. Kilka dni wcześniej użyła tego samego triku, wyjeżdżając wcześniej z Zurychu pociągiem zatrzymującym się w Airolo. Przewiozła swoje głowy trofea, aby zapoczątkować swe ukochane muzeum. Potem złapała następny pociąg do Lugano.

- Ale Rob - powiedziała Paula, spoglądając na gazetę - aby to napisać, musiał mieć dowód, że była kuzynką Strauba.

- Po powrocie do Zurychu zadzwoniłem do Roya Buchanana. Uzbrojony w nakaz rewizji, z wielkim zespołem wkroczył do siedziby głównej ACTIL-u. Po włamaniu się do szafy pancernej znaleźli akt urodzenia Marienetty. Urodziła się w Ameryce. Jej ojcem był brat ojca Strauba, Vito, a matką Angielka. Była więc stryjeczną siostrą Russella Strauba. Taka jest prawda. Mówiłem, że motywem była walka o władzę. Newman w tym artykule położył na to nacisk i na zawsze przekreślił ambicje Strauba. Kto wybrałby do Gabinetu Ovalnego kogoś, kto miał w rodzinie szaleńca?

- Czy myślisz, że Straub wiedział o jej poczynaniach?

- Teraz wiem, że tak. To Marienetta była tajemniczym pacjentem przetrzymywanym w Pinedale. Prowadzący szpital Bryanowie ujawnili się w Ohio, gdy liczba morderstw zaczęła narastać. Zeznali przed FBI, że Straub zapłacił olbrzymi rachunek. Powiedział mi to Cord Dillon, mój stary przyjaciel z CIA, do którego zadzwoniłem, czekając w Zurychu na powrót do domu.

- Więc dlatego Straub pilnował Arbogastów jak pies. Gorączkowo obawiał się, że morderstwa Marienetty będą następować jedno za drugim. Wiedział, że jego kariera wisi na włosku. I wisiała, a teraz definitywnie się skończyła. A kim był Mannix?

- Mannix to Marienetta - odparł Tweed. - Diabelsko przebiegła. To była dywersja, która miała odwrócić moją uwagę. Mannix nie istniał. To ona go stworzyła.

- Dlaczego zabiła Adama Holgate'a? - spytał Butler.

- Wiemy, że Holgate został przyłapany na myszkowaniu w dokumentach ACTIL-u. Zapewne Marienetta pomyślała, że widział jej akt urodzenia, który ujawniłby całą sprawę.

Zwabiła go więc do Bray i łup! Miała kolejną głowę do swego muzeum.

- To potworne! - krzyknęła Paula. - Prosiła mnie o udział w jej zabawie w detektywa.

- Ponieważ obawiała się ciebie i chciała wiedzieć, czy zbliżamy się do poznania prawdy.

- A co z Seale'em, Bručan i Black Jackiem? - spytał Nield.

- Seale był kryminologiem. Zapewne popełnił błąd i wymknęło mu się jakieś słówko o tym, że podejrzewa ją o obłąd. To samo stało się z Bručan, której wielka wrażliwość na obecność zła była dla Marienetty zagrożeniem. Black Jacka użyła do przekazania Pauli mapy wskazującej drogę do starego domu nad jeziorem. Gdy Paula uniknęła wpadnięcia do piwnicy ze szczurami, Marienetta pośpieszyła, by wyeliminować Black Jacka, aby nie wyjawiał Pauli, kto nim pokierował. Przedtem musiała przekupić zbankrutowanego Jacka.

- A Hank Foley, pielęgniarz z Maine?

- Tak samo jak Holgate lubił wścibiać nos w nie swoje sprawy. Mówiła nam o tym Millie. Zapewne istniała karta z imieniem i nazwiskiem Marienetty i opisem kuracji mającej powstrzymać jej ataki szaleństwa. Nie mogła ryzykować istnienia kogoś, kto zna jej tajemnicę, więc łup!

- Proszę, nie używaj tego słowa - zaprotestowała Paula. - Jest zbyt opisowe. I moje ostatnie pytanie: jak przetransportowała te wszystkie głowy do Airolo?

- Nie pamiętasz? Jestem pewien, że złapała wcześniejszy pociąg. Wsiadła, złożyła swe skarby w muzeum i późniejszym pociągiem dojechała do Lugano, gdzie przybyła po nas. Wszystko pasuje.

- Nie pasuje tylko to, że Sam Snyder wcześniej porozsyłał wszędzie swoje sprawozdania, które dotychczas się nie ukazały.

- To moja sprawka - zachichotał Newman. - Snyder w przeszłości często stosował brudne sztuczki, więc uznałem, że teraz moja kolej. Zadepeszowałem do wszystkich pism, ostrzegając, że mają wkrótce otrzymać sensacyjny raport ze sprawy jeszcze przed jej rozwiązaniem, co nie było prawdą. Prawnicy musieli powstrzymać wydawców, którzy potem z zadowoleniem przyjęli mój opis.

- Teraz już wiem, dlaczego bywałam taka roztrzęsiona - powiedziała Paula. - Zawsze zdarzało się to po rozmowie z nią. Moja podświadomość przesyłała mi sygnał ostrzegawczy. Myślę, że lepiej pójdę już do domu.

- Nie pójdziesz - zaproponował szybko Tweed. - Zarezerwowałem stół w Santorini's na tarasie wychodzącym na Tamizę. Zapewnili mnie, że mają mnóstwo szampana. Więc wszyscy w drogę. Łącznie z Monicą. Zbudowałaś ważne dla sprawy drzewo genealogiczne Arbogastów.